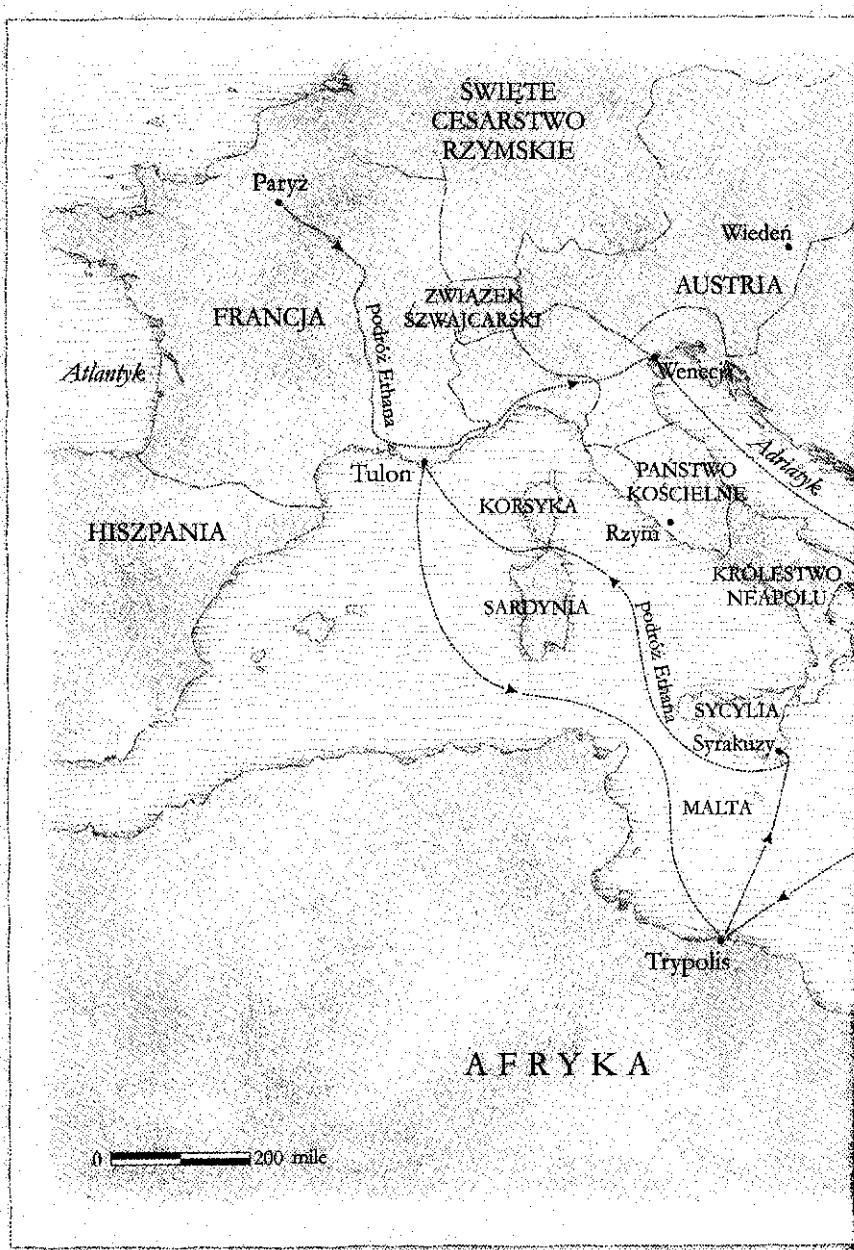


WILLIAM DIETRICH

BERBERYJSCY PIRACI

Mateowi i Selenie Zizom, osobom w odpowiednim wieku
do właściwej oceny tej książki





CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Po tym, jak dałem się uwieźć z trzema naukowcami w podpalonym przeze mnie burdelu, wrobiłem ich w rozpaczliwą kradzież beczkowitzu straży pożarnej, zostałem aresztowany przez francuską tajną policję, a potem podjąłem się sekretnej misji dla Bonapartego, niektórzy mogliby zacząć powątpiewać w mój zdrowy rozsądek.

Pozwólcie mi więc wykazać, że pomysł na przeżycie burzliwej nocy należał w równej mierze do nich, jak i do mnie. Turyści przyjeżdżają do Paryża, by sobie pofolgować.

Zgodnie z tym, co powiedziałem, nie zdziwiłem się przesadnie, gdy trójka uczonych - angielski badacz minerałów i skamielin William „Warstwy” Smith, francuski zoolog Georges Cuvier i amerykański stuknięty wynalazca Robert Fulton - uparła się, bym ich zabrał do Palais Royal. Może i byli luminarzami nauki, ale po całym dniu oglądania starych kości albo (w wypadku Fultona) kreślenia niepraktycznych planów dla francuskiej marynarki wojennej, wszyscy nabrali przemożnej ochoty na obejrzenie parady najbardziej znanych paryskich prostytutek.

Nie będę oczywiście wspominał o projektach zjedzenia kolacyjki w eleganckiej kawiarence w Palais, jakimś niewinnym hazardziku i spacerku po sklepach w poszukiwaniu paryskich pamiątek, takich jak francuskie perfumy, srebrne szczoteczki do zębów, chińskich jedwabiów, erotycznych pamflecików, egipskiej biżuterii lub dość nieprzyzwoitych ciekawostek rzeźbionych z kości słoniowej. Któż nie ulegnie czarowi miasta będącego siedliskiem grzechu i zmysłowych rozkoszy? Naukowcy doszli też do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli winę za tego rodzaju rozrywki zrzuci się na kogoś tak dyskretnego i pozbawionego poczucia przyzwoitości jak ja.

- Monsieur Gage upierał się przy tym, że powinniśmy poświęcić trochę czasu na taką wycieczkę - wyjaśniał Cuvier każdemu rozmówcy, bezwstydnie się przy tym czerwieniąc. Ten człowiek był przebiegły niczym Sokrates, choć w głębi duszy, mimo iż przebił się do grona najświetniejszych francuskich naukowców, pozostał prowincjuszem z Alzacji. Rewolucja francuska zastąpiła urodzenie zdolnościami i nadmierność i zblazowanie szlacheckich światowców przedkładała ciekawość i wytrwałość w jej zaspokajaniu. Cuvier był synem żołnierza, Smith urodził się na wsi, a Fultona spłodził zrujnowany farmer, który umarł, gdy chłopczyk miał trzy lata. Sam Bonaparte nie był nawet Francuzem, tylko Korsykaninem, a jego generałowie stanowili doprawdy różnorodną zbieraninę: Ney był synem bednarza, Lefebre urodził się w młynie, ojciec Murata prowadził oberżę, a Lannes był synem stajennego. Ja, dziecię filadelfijskiego kupca, czułem się wśród nich jak wśród swoich.

- Jesteśmy tu, żeby zbadać źródła państwowych dochodów i publiczne upodobania - powiedziałem, idąc w sukurs poczuciu godności osobistej Cuviera. - Napoleon nie zamyka Palais, bo chce opodatkować to miejsce.

Po mojej ostatniej niefortunnej i pełnej dramatycznych wydarzeń wizycie w Ameryce postanowiłem zostać nowym człowiekiem i podejrzewam, że powinienem wzgardzić pomysłem, iż jestem odpowiednim przewodnikiem po osławionym Palais. W istocie jednak kierowany chęcią przeprowadzenia dociekań społecznych i architektonicznych zwiedziłem jego zakamarki podczas minionych pobytów w Paryżu. Teraz, w czerwcu 1802 roku, do Palais paryżanie przychodzili, żeby się pokazać albo, jeżeli ktoś miał skandaliczne albo perwersyjne gusta, by je zaspokoić bezpiecznie i dyskretnie.

Smith, który niedawno stracił polegającą na badaniu kanałów pracę w Anglii i był przygnębiony brakiem uznania dla swoich geologicznych opracowań, przybył do Paryża, by konferować z naukowcami francuskimi i podziwiać miasto. Był tęгим, łysiejącym już mężczyzną o krzepkiej, idealnej dla badacza przyrody budowie angielskiego buldoga, ogorzałej cerze wieśniaka i serdecznych, choć prostackich manierach oracza. Ze względu na pochodzenie autora z nizin społecznych angielscy naukowcy, snoby jeden w drugiego, nie zwrócili uwagi na geologiczne mapy, które były jego dziełem. Smith wiedział, że inteligencją przewyższa trzy czwarte członków Królewskiego Towarzystwa Naukowego.

- Wykazał pan sporo sprytu, nie dając się wkreślić do tej kompanii - podsunąłem mu wymówkę, gdy Cuvier przyprowadził go do mnie, proponując mi zajęcie przewodnika i tłumacza.

- Moja kariera wiedzie równie grząską ścieżką jak kanały kopane przez moją firmę. Jestem tu, bo nie wiem, co z sobą począć.

- Podobnie jak połowa Londynu. Pokój w Amiens otworzył wrota fali turystów, jakiej tu nie widzieliśmy od wybuchu rewolucji. W Paryżu gości już dwie trzecie Izby Lordów, w tym pięciu diuków, trzech markizów i trzydziestu siedmiu hrabiów. Na gilotynę gapią się z taką samą ciekawością jak na dziwki.

- My, Anglicy, jesteśmy ciekawi stosunków wolności i przewrotności.

- A Palais jest miejscem, gdzie można je zbadać, Williamie. Dźwięki muzyki, błysk latarni i człowiek może zabłądzić pomiędzy minstrelami, ulicznymi akrobatami, przedstawieniami dla pospólstwa albo szulerami proponującymi obstawianie kulki i trzech kubków. Może też pogapić się na modne stroje, wymienić z przechodniami kilka

ciętych uwag, upajać się nastrojem chwili albo zabawić w jakimś burdelu.

- I to wszystko jest oficjalnie tolerowane?

- Patrzy się na to z przymrużeniem oka. Od czasów Filipa Orleańskiego policja trzyma się z dala od Palais, a Filip Egalité tuż przed rewolucją dodał arkady. Od tamtych czasów to miejsce bez większych szkód przetrwało rewolucję, wojnę, czasy Terroru, inflację i konserwatyzm Napoleona. Bonaparte zamknął trzy czwarte paryskich gazet, ale Palais przetrwało.

- Wygląda na to, że poświęcił pan sporo czasu na badania.

- Ten rodzaj historii mnie ogromnie interesuje.

Prawdę mówiąc, byłem trochę niedoinformowany. Ponad półtora roku przebywałem poza Paryżem i w mojej rodzimej Ameryce, a na skutek przerażających doświadczeń bardziej stanowczo niż kiedykolwiek postanowiłem się wyrzec kobiet, hazardu, pijaństwa i poszukiwań skarbów. Prawdę rzekłszy, tylko częściowo udało mi się wytrwać w tych postanowieniach. Moją stawką na karcianym stole w St Louis stała się złota kula wielkości kiści winogron (jedyna zdobycz, jaką wyniosłem z przygód na zachodniej granicy). Potem na krótko uległem wdziękom jednej czy dwu pogranicznych szynkareczek i solidnie się spiłem winem u Jeffersona, gdy w końcu złożyłem raport w waszyngtońskim Domu Prezydenta. Jefferson wysłuchał uważnie mojego opisu Terytorium Luizjany i poparł pomysł, żebym został nieoficjalnym przedstawicielem amerykańskiego rządu w Paryżu i spróbował namówić Napoleona na sprzedaż tych pustkowi Stanom Zjednoczonym.

Zdobyłem więc swój naporstek sławy i kieliszeczek szacunku i postanowiłem, że będę żył tak, by żadnego nie stracić. Przyznaję, że nie mogłem się oprzeć zademonstrowaniu moich wojskowych umiejętności i osiągnięć, gdy ofiarowano mi transport przez Atlantyk na

pokładzie okrętu należącego do amerykańskiej eskadry marynarki wojennej, która miała osłaniać nasze statki handlowe przed berberyjskimi piratami. Ku mojej satysfakcji pasza Trypolisu, piracki królik zwany Jussuf Karamanli, przed rokiem wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym, żądając 225 tysięcy dolarów za zawarcie pokoju i rocznego trybutu w wysokości 25 tysięcy dolarów. Jak to często bywa w polityce, Jefferson - który sprzeciwiał się rozbudowie armii i floty - wysłał pięć fregat zbudowanych przez jego poprzednika, Adamsa, by odpowiedzieć siłą na tę bezczelną próbę wymuszenia. Mój dawny mentor Benjamin Franklin powiedział kiedyś: „W niektórych okolicznościach nawet pokoju nie należy kupować za zbyt wysoką cenę”. Jefferson ofiarował mi przejazd na pokładzie jednego z okrętów floty, ja zaś się zgodziłem, otrzymawszy zapewnienie, że dotrę do Gibraltaru, zanim rozpoczną się boje.

Niepotrzebnie się martwiłem. Dowódca eskadry, komandor Richard Valentine Morris, okazał się w równej mierze gnuśny i bojaźliwy, jak nieudolny. Zabrał ze sobą żonę i syna, jakby wyprawa miała być spokojną wycieczką po Morzu Śródziemnym, i postawił żagle z dwumiesięcznym opóźnieniem. Ale jego brat kongresman pomógł Jeffersonowi wygrać prezydenckie wybory przeciwko Aaronowi Burrowi, a nawet w młodej Ameryce polityczne sojusze przebijały niekompetencję. Morris był ustosunkowanym idiotą.

Moje wojenne opowieści podczas podróży przekonały połowę oficerów, że w kwestii talentów nie ustępuję Aleksandrowi Wielkiemu, druga zaś połowa uznawała mnie za notorycznego łgarza. Ale, widzicie, starałem się.

- Jesteś, panie, kimś w rodzaju dyplomaty? - dopytywał się Smith.

- Pragnę tylko namówić Napoleona do sprzedaży Luizjany mojemu krajowi. To bezużyteczne dla Francji

pustkowie, Napoleon jednak nie chce żadnych negocjacji, dopóki nie otrzyma wieści, że jego wojska na San Domingo albo Haiti pokonały zbuntowanych niewolników i zostały wycofane do Nowego Orleanu. Mam tam dojście do generała Leclerca.

Nie uznałem za stosowne wspomnieć, że „dojście” do Leclerca polegało na tym, iż puknąłem jego żonę, Paulinę, zanim przyłączyła się do męża na Karaibach. Ostatnie wieści, jakie o niej miałem, mówiły, że podczas gdy jej mąż, tak jak i Murzyni, walczy z żółtą febrą, Paulina studiuje wudu. Jej charakter moglibyście osądzić, przysłuchując się sporom paryżan, kto był inspiracją dla markiza de Sade, gdy pisał on swój ostatni gorszący pamflet Zoloe i jej dwie przyjaciółki - Paulina czy żona Napoleona, Józefina. Bonaparte rozstrzygnął spory, posyłając autora do więzienia w Charenton, gdyż nie dbał o to, kogo markiz miał na myśli. Przeczytałem tę książkę ze względu na debatę i żeby wskrzesić isierkę dawnych erotycznych emocji.

Tak więc przedostawszy się z Gibraltaru do Paryża, żyłem ze skromnej amerykańskiej rządowej pensji; przyrzekłem sobie, że wreszcie zrobię coś z moim życiem, jak tylko dokonam wyboru, kim pragnę zostać. Palais, europejska Gomorra, było miejscem równie dobrym do przemyśleń jak każde inne. Grałem tylko wtedy, gdy trafiałem na niezbyt biegłego w hazardzie przeciwnika, pieprzyłem dziwki tylko wtedy, gdy stawało się to towarzyską koniecznością, utrzymywałem fizyczną formę dzięki lekcjom szermierki - nieustannie nadziewałem się na ludzi przy szpadzie - i gratulowałem sobie powściągliwości oraz samodyscypliny. Zastanawiałem się też, czy moje talenty mogą być lepiej wykorzystane, gdy poświęcę je filozofii, językom, matematyce bądź teologii. I wtedy właśnie znalazł mnie

Cuvier i zaproponował, żebym zabrał Smitha i Fultona do Palais Royal.

- Gage, możesz mówić o mamutach i pokazać nam dziwki.

Byłem spoiwem naszego kwartetu. Uznano mnie za eksperta w kwestii tych kudłatych słoni, ponieważ wyprawilem się na ich poszukiwania w Ameryce, a Europejczyków bardziej interesowały zwierzęta wymarłe niż te, które mieli pod ręką.

- Odkrycie, dlaczego te słonie wyginęły, może być ważniejsze od stwierdzenia, że w ogóle żyły na Ziemi - wyjaśnił mi Cuvier. Ten trzydziestotrzylatek o miłym wyglądzie, pociągłej twarzy i wysokim czole nad orlim nosem miał mocno zarysowany podbródek i zaciskał wargi, co nadawało mu wyraz głębokiego zamyślenia. Dzięki odkryciu tego wybryku natury wysunął się na czoło francuskich zoologów, jak to zresztą się często zdarza. Miał też niezłomną powagę człowieka, który się wybija dzięki osobistym zaletom, a nie - jak ja - dzięki zbiegowi szczęśliwych przypadków. Jego talenty organizacyjne przyniosły mu stanowisko dyrektora paryskiego ogrodu zoologicznego i ministra edukacji, choć tę akurat funkcję uznawał za wyjątkowo niewdzięczną.

- W każdym systemie zdolni górują, a tępi marzą jedynie o ucieczce, ale politycy sądzą, że nauczyciele zdołają naprawić błędy ludzkiej natury.

- Każdy ojciec uważa, że za absolutnie przeciętne wyniki jego dziecka należy winić nauczyciela - stwierdziłem.

Cuvier uważał, że powinien zazdrościć mnie, człowiekowi bez pozycji społecznej, dochodów czy zabezpieczonej przyszłości, który bez namysłu godzi się na taką czy inną misję dla dwu, a niekiedy i trzech rządów naraz. Ja sam miewałem niekiedy kłopoty z opanowaniem tego wszystkiego.

Choć nie było po temu żadnych przesłanek, zostaliśmy przyjaciółmi.

- Fakt, że znajdujemy szkielety wymarłych zwierząt, wspiera tezę, iż Ziemia jest starsza niż biblijne sześć tysięcy lat. - Uczony lubił wygłaszać takie uwagi pouczającym tonem.

- Jestem chrześcijaninem równie dobrym jak inni, ale niektóre skały w ogóle nie mają skamielin, co dowodzi, że życie nie jest tak wieczne, jak twierdzi Pismo.

- Ale słyszałem, że jakiś biskup obliczył dość dokładnie datę Dnia Stworzenia. O ile dobrze pamiętam, stało się to 23 października 4004 roku przed Chrystusem.

- Bzdury, Ethanie, wszystko to bzdury. Doliczyliśmy się i opisaliśmy już ponad dwadzieścia tysięcy gatunków zwierząt. Jak one wszystkie pomieściły się w arce? Świat jest znacznie starszy, niż sądzimy.

- Miewałem do czynienia z poszukiwaczami skarbów, którzy byli tego samego zdania, Georges, ale muszę stwierdzić, że nadmiar czasu przyprawiał ich o łagodnego bzika. Nigdy nie wiedzieli, w jakim żyją czasie. Palais ma tę miłą właściwość, że nikt nie myśli tu o dniu wczorajszym ani o jutrze. Nie masz tu ani jednego zegara.

- Zwierzęta też nie mają poczucia czasu. I są z tego powodu zadowolone. My, ludzie, jesteśmy skazani na świadomość przeszłości i czekającej nas nieuchronnie przyszłości.

Smith też był poszukiwaczem skamieniałych kości i w naszym towarzystwie wszyscy przerzucali się teoriami dotyczącymi katastrof i nieszczęść, które być może unicestwiały pradawne zwierzęta. Powodzie? Pożary? Mrozy? Upały? Cuviera zaintrygowało słowo „Tera” - wyczytałem je na złotym płacie, który odkryłem podczas wyprawy na zachód Ameryki Północnej. Pewna szczególnie zła kobieta, Aurora Somerset, sądziła, że ten zwój jest bardzo ważny, a Cuvier

powiedział mi, że Tera, znana również jako Santoryn, to grecka wysepka, która bardzo interesuje europejskich mineralogów, ponieważ może być pozostałością po jakimś starożytnym wulkanie. Gdy więc z Londynu przybył „Warstwy” Smith, który równie się palił do dyskusji o skałach jak do wizyt u dziwek, oczywiście było, że zostaliśmy sobie przedstawieni. Cuvier był nad wyraz podniecony, bo Smith zgadzał się z jego odkryciem, że określone skamieliny znajdują się w pewnych tylko warstwach skał, co prowadziło do wniosku, iż można określić datę ich osadzania się.

- Wykorzystując przekroje ścian kanałów i odcinki dróg, zacząłem kreślić geologiczną mapę Wysp Brytyjskich - z dumą w głosie stwierdził Smith.

Kiwnąłem głową, jak zwykłem robić w towarzystwie uczonych, nie mogłem się jednak powstrzymać od zadania pytania:

- Po co?

Zdobywanie wiedzy o tym, gdzie znajdują się jakie skały, wydawało mi się nudne.

- Bo można to zrobić. - Widząc moje z wątpienie, dodał: - Może to mieć też sporą wartość dla kompanii węglowych lub górniczych. - Powiedział to obronnym i nieco zniecierpliwionym tonem bystrego człowieka, który musi coś wyjaśnić tępemu przełożonemu.

- Chcesz powiedzieć, panie, że miałbyś mapę wskazującą, gdzie są złoża węgla czy metalu?

- Nie, lecz wskazywałaby, gdzie mogą być.

Nieglupie. Po tym stwierdzeniu zgodziłem się na zorganizowanie uczonym wycieczki do Palais. Liczyłem na to, że Smith, podpisawszy sobie, może napomknąć, gdzie jest jakaś żyła miedzi lub złoża rudy żelaza. I może zdołałbym szepnąć słówko inwestorom giełdowym lub ludziom zajmującym się spekulacjami giełdowymi.

Trzydziestosześcioletni Fulton był moim własnym dodatkiem do naszej czwórki. Natknąłem się na niego po powrocie do Paryża, gdy obaj na próżno czekaliśmy na audiencję u Bonapartego, a mnie ujęło w nim to, że miał chyba jeszcze mniej szczęścia niż ja. Przebywając we Francji od pięciu lat, usiłował namówić rewolucjonistów do skorzystania z jego wynalazku, ale dowództwo francuskiej marynarki wojennej uparcie odrzucało projekt łodzi podwodnej albo „zanurzalnej”.

- Powiadam ci, Gage, mój Nautilus doskonale się spisywał w Breście. Przebywaliśmy pod wodą trzy godziny, a mogliśmy zostać przez kolejne sześć. - Fulton był dostatecznie przystojny, by zabrać go na kobiece łowy, miał jednak drażliwość sfrustrowanego marzyciela.

- Robercie, mówiłeś admirałom, że twój wynalazek sprawi, iż flota nawodna stanie się zbędna. Może potrafisz uchronić swoją łódź od pójścia na dno, ale jesteś najgorszym sprzedawcą świata. Chcesz, żeby kupili od ciebie to, co pozbawi ich zajęcia?

- Ale te podwodne łodzie będą tak groźne, że położą kres wszystkim wojnom!

- Kolejny punkt przeciwko tobie. Myśl, człowieku.

- Cóż, mam jeszcze jeden pomysł dotyczący wykorzystania parowego silnika Watta do poruszania okrętów - nie dawał za wygraną.

- A niby czemu ktoś miałby podgrzewać kocioł, gdy wiatr i wiosła są za darmo?

Uczeni mogą sobie być bardzo sprytni, ale choćbyś zebrał ich cały pułk, nie znajdziesz wśród nich zdrowego rozsądku. Dlatego właśnie potrzebowali mnie.

Fulton odnosił znacznie większe sukcesy jako twórca szokującej panoramy przedstawiającej płonący Paryż. Mieszkańcy płacili franka lub dwa, po czym stawali pośrodku

obracającego się malowidła otoczeni jakby płomieniami i jeżeli to nawet lepiej niż cokolwiek innego świadczy o osobliwościach ludzkiej natury, nie mogę ich za to winić. Fulton niestety nie skorzystał z mojej rady. Mówiłem mu, że prawdziwe pieniądze zarobi nie jako twórca nikomu niepotrzebnych parowych silników, ale przerażających widowisk sprawiających, iż ludzie mają ochotę wiać gdzie pieprz rośnie.

Mój pomysł więc polegał na tym, żeby zabrać kompanów na męski wieczór do Palais Royal i wydobyć informację o dochodowych pokładach węgla albo o tym, dlaczego średniowieczni rycerze zajmujący się mistycyzmem i okultyzmem zaznaczyli Terę na złotej folii, którą znalazłem w samym sercu Ameryki Północnej. Potem mieliśmy się przekonać, czy którykolwiek z nas zdoła wymyślić sposób zamiany tych informacji na konkretne pieniądze. Zamierzałem również popracować nad poprawą mojego charakteru.

Nie brałem pod uwagę tego, że będę musiał narazić swoje życie, ani tego, iż w to wszystko wtrąci się francuska tajna policja.

ROZDZIAŁ 2

Horrorzy możemy obłąskawić. Z klęską można się pogodzić. Nieznane wywołuje w nas strach, a pośród nocy dręczy nas niepewność. Tak więc moje postanowienie poprawy obyczajów było mniej stanowcze, niż się spodziewałem; prawdę mówiąc, nie wyrzekłem się kobiet bez reszty. Po bólu i rozdarciu, jakich doświadczyłem na amerykańskim pograniczu, zapragnąłem odnowić kontakt z Astizą, kobietą, którą pokochałem przed czterema laty podczas egipskiej kampanii Bonapartego. Pozostawiła mnie w Paryżu, wracając do Egiptu, i po tragicznym końcu mojego ostatniego romansu zacząłem do niej pisać.

Zrozumiałbym, gdyby odrzuciła propozycję odnowienia związku. Był bardziej burzliwy niż satysfakcjonujący. Niestety, mimo jej obietnicy, że kiedyś znów będziemy mogli być razem, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Co prawda Egipt wciąż lizał rany po brytyjskiej interwencji i wyparciu Francuzów rok wcześniej, komunikacja więc nie mogła być pewna. Czy było możliwe, że moją partnerkę spotkała jakaś zła przygoda? Udało mi się nawiązać kontakt ze starym przyjacielem Aszrafem, który stwierdził, że widział Astizę po jej powrocie do Egiptu. Otoczyła się po dawnemu woalem tajemniczości i żyła niemal jak pustelnica. Potem, mniej więcej gdy wróciłem do Europy, nagle zniknęła. Byłbym znacznie bardziej zdumiony, gdybym się dowiedział, że założyła rodzinę, choć z pewnością nie miałem do niej żadnych praw. Ale teraz zżerała mnie niepewność.

I dlatego zaprowadziłem kompanów do niewłaściwego burdelu.

A stało się to tak. Palais Royal to ogromny prostokąt kolumnowych arkad z dziedzińcem pełnym ogrodów, fontann i krętych alejek. Jedliśmy w kawiarni na zewnątrz i gapiliśmy się na córki Koryntu poubierane jak bywalczyńie najbardziej

eleganckich salonów republiki. Trójka uczonych dyskutowała tymczasem o klasyfikacji skamielin i zaletach napędu śrubowego. Pokazałem im miejsce, gdzie Napoleon grywał za pieniądze w szachy jako kapitan artylerii i łuk arkad - miejsce spotkania dziwki, z którą jako młody żołnierz stracił dziewictwo. Nieopodal znajdował się klub, w którym minister spraw zagranicznych wydał raz 30 tysięcy franków podczas jednej nocy, i sklep, gdzie Charlotte Corday kupiła nóż, którym zadźgała Marata w kąpielni. Ramię w ramię spacerowali tu upierzeni równie barwnie jak panienki pederacji, korzystający z tego, że rewolucja wycofała ten rodzaj miłości z kodeksu karnego. Zebracy mieszały się tu z milionerami, prorocy wygłaszali kazania wstrząsające przepowiedniami, szulerzy czyhali na naiwnych, a perwersyjni pobożnisie szukali miejsc, w których mogli znaleźć zaspokajające ich wypaczone popędy seksualne biczowanie z dokładną kalibracją kary i bólu. Zeszliśmy do piwnicznego „cyrku”, w którym pary kochanków mogły tańczyć pośród „nimf” w przejrzystych sukniach albo z pozornie akademicką bezstronnością mogły poddawać badaniom zestaw czterdziestu czterech posągów Wenus.

Podczas tego obchodu Cuvier dał się namówić na spróbowanie szczęścia przy nowej, spopularyzowanej przez Napoleona grze w „oczko”, Smith testował rozmaite gatunki szampana z wytrzymałością starego bywalca pubów, a Fulton studiował wykorzystanie dźwigni przy akrobatyce.

Od połykacza ognia trzeba go było odciągać siłą.

- Wyobraźcie sobie, co by to było, gdybyśmy mogli wynaleźć smoka!

- Francuzi i tego by nie kupili.

Domyśliłem się, że moi kompanioni byli równie zadowoleni z przyglądania się prostytutkom, jak z korzystania z ich usług. Biorąc pod uwagę, że połowa proponowanych w

Palais rozrywek była teoretycznie nielegalna - od roku 1600 francuscy królowie wydali trzydzieści dwa dekryty skierowane przeciwko hazardowi - zdecydowanie pragnąłem utrzymać nas z dala od kłopotów. I wtedy, prowadząc naszą małą grupkę przez mroczną arkadę kramów, usłyszałem, że ktoś woła mnie z imienia.

Obejrzawszy się, zobaczyłem Madame Marguerite, albo - jak wołała się nazywać - Isis, Królowa Arabii. Była burdelmama o sporych ambicjach i przedsiębiorczości, z którą miewałem do czynienia, zanim powziąłem mocne postanowienie poprawy obyczajów.

- Monsieur Gage! Musisz mnie, panie, przedstawić swoim przyjaciołom!

Marguerite prowadziła jeden z najbardziej wystawnych burdeli w Palais. Był to istny labirynt nisko sklepionych klitek pod zatłoczonym salonem gry. Miał orientalny wystrój, a przejrzyste kostiumiki dziwek zostały zainspirowane dzikimi fantazjami Europejczyków dotyczącymi serajów Sztambułu. Plotki głosiły, że można tu się poczęstować opium i haszyszem pomagającymi w przybraniu roli pana haremu. Burdel był drogi, dekadentcki, nielegalny i nieodparcie pociągający. Niestety, nie był też miejscem, które odwiedzali szacowni naukowcy. Instynktownie przyspieszyłem kroku, ale Madame zabiegła mi drogę, a stropieni towarzysze skupili się za moimi plecami, jakbyśmy stanęli przed wejściem do labiryntu Minotaura.

- Witaj, Izydo - pozdrowiłem ją ostrożnie. - Jak stoją sprawy?

- Doskonale, ale jakże bardzo nam brakowało naszego Ethana! Powiedziano nam, że przepadłeś gdzieś w Ameryce. Ta wiadomość złamała serce moim panienkom! Płakały, myśląc o tym, jakże znechęją się nad tobą czerwonoskórzy!

Cóż, swego czasu wydałem tu sporo grosza.

- Wróciłem z włosami na zwykłym miejscu, ale jestem teraz nowym człowiekiem - powiadomiłem ją. - Doszedłem do wniosku, że celibat poprawia charakter.

Parsknęła śmiechem.

- Cóż za absurdalny pomysł! Twój przyjaciele z pewnością się z tym nie zgodzą.

- To uczeni i badacze przyrody. Oprowadzam ich tylko i pokazuję osobliwości.

- Moje panienki mogą im też coś pokazać. Collette! Sophie!

- Obawiam się, że nie możemy tu zostać.

- Czy to arabski harem? - przerwał mi stojący za mną Cuvier, zaglądając mi przez ramię. - Słyszałem o nim.

- Wygląda jak pałac osmański - powiedział Smith, spoglądając w głąb przez drzwi spelunki. - Architektura jest niesamowita.

- Naprawdę chcecie, panowie, by widziano, jak tu wchodzić? - zapytałem, podczas gdy Marguerite radośnie ścisnęła moje ramię. - Panowie, odpowiadam za waszą reputację.

- W tym domu przestrzega się najściślejszej dyskrecji - zapewniła nasza gospodyni. - Panowie uczeni, zechciejcie przynajmniej zerknąć na wystrój wnętrza. Tak ciężko nad nim pracowałam. I dobrze się składa, Ethanie, że cię spotkałam... mój pracujący wewnątrz asystent niedawno pytał właśnie o ciebie.

- Zastanę go teraz?

- Owszem. To mężczyzna grający rolę Ozyrysa. - Mrugnęła znacząco.

- Nie jestem zainteresowany.

- Och, nie, on chciałby tylko z tobą zagrać. Słyszał

o twoich talentach do gry i powiedział, że z pewnością zasiądziesz do stolika, gdy się dowiesz, że stawką jest informacja, na której ogromnie ci zależy.

- To znaczy?

- Wiadomość o twojej egipskiej przyjaciółce.

To mnie zaskoczyło i dało mi powód do myślenia. Nigdy dotąd nie rozmawiałem z Marguerite o Astizie.

- Skąd Ozyrys ma te wiadomości?

- Wejdz, proszę, i wysłuchaj jego propozycji! - Oczy Madame lśniły, źrenice miała rozszerzone i zamglone. - Wprowadź swoich przyjaciół, nikt nie patrzy. Wypijcie trochę clareta i odprężcie się, panowie.

Było to wbrew wszelkim moim postanowieniom, ale skąd niby cudzoziemiec miałby coś wiedzieć o mojej egipskiej kochance?

- Może powinniśmy zajrzeć - zwróciłem się do towarzyszy. - Dekoracje są nie gorsze niż w teatrze. To też jest lekcja tego, jak toczy się ten świat.

- A jaki jest temat tej lekcji? - zapytał Fulton, gdy schodziliśmy do podziemi.

- A taki, że nawet patrzenie kosztuje. - Isis wciągnęła nas do sali powitalnej jej seraju i moi uczeni wytrzeszczyli oczy na gotowe do inspekcji „arabskie” piękności, z których kostiumów z trudem dałoby się wykroić jedną szarfę. - To zajmie najwyżej minutkę - ciągnąłem. - Z czystej uprzejmości zechciejcie, panowie, udać się do pokojów. Mister Fulton, proszę kupić dziewczynie szklanekę wina i porozmawiać z nią o parze. Panie Smith, ta kasztanowa piękność ma wygląd osoby o bardzo bogatej topografii. Cuvier, zechciej spojrzeć na anatomię tej tam blondyneczki. Z pewnością zechce pan przeprowadzić badania dotyczące związku klepsydry z kobiecymi kształtami. - Powinno ich to zająć na czas

dostatecznie długi, żebym się dowiedział, kim jest ten Ozyrys i czy wie coś konkretnego.

Naukowcy tak byli zajęci stwarzaniem pozorów, że to wszystko jest moim pomysłem, iż Marguerite powinna podzielić się ze mną zyskami. Na nieszczęście wydusić z niej choćby franka było jeszcze trudniej niż z mojej byłej gospodyni, Madame Durrell.

- A ty, Ethanie, co zechciałbyś puknąć? - zapytała mnie właścicielka burdelu, gdy dziewczyny ciągnęły uczonych do salki zacienionej mglistymi zasłonami. Murzyńscy służący przynieśli wysokie tureckie dzbany. Świece i wonne dymki wypełniły komnatkę złocistą poświatą.

- Poślubiłem prawość - stwierdziłem. - Tocz wojnę ze swoimi występkami, mawiał mi Ben Franklin. Teraz mógłbym świecić przykładem biskupom.

- Biskupom! Toć to nasi najlepsi klienci. Dzięki bogu, że Bonaparte pogodził się z Kościołem.

- Owszem, słyszałem, że w Notre Dame śpiewają wielkanocne Te Deum, by uczcić nowy konkordat z Rzymem.

- Cudowna farsa! Królowie judejscy nad wejściem wciąż pozostają bez głów, bo zbuntowane chamstwo pomyliło ich z królami francuskimi i porozbijało rzeźby. To jakby kamienny pomnik gilotyny! Sam kościół, który jakobini przemianowali na Świątynię Rozumu, jest dość kiepsko remontowany. Te Deum było pierwszym od dziesięciu lat wydarzeniem, dla którego uderzono w dzwony, i żaden z tych generałów nie miał pojęcia, kiedy się klęka. Te draby sprezentowały broń, zamiast przyklęknąć, gdy odsłonięto hostię na Ofiarowanie. Przez te wszystkie szeptki, kpinki, brzęk szabel i szczęk bagnetów nie było słyhać kościelnej łaciny.

- Pospółstwo jednak się cieszy z powrotu Kościoła, a o to Napoleonowi chodziło.

- Owszem, kraj wraca na dawne tory: wiara, tyrania i wojna. Nic dziwnego, że ogromna większość społeczeństwa głosowała za uczynieniem z niego dożywotniego konsula. Na szczęście mój interes kwitnie niezależnie od wstrząsów politycznych. Rojaliści czy rewolucjoniści, księża czy świeccy, wszyscy lubią chędożyć. - Podniosła do góry kielich szampana. - Za pożądanie!

- I dyscyplinę. - Przełknąłem trunek, tęsknie patrząc na dziewczęta. Naukowcy przemawiali pouczająco, jakby byli w salach Instytutu, dziwki udawały fascynację przedmiotami wykładu, a powietrze było duszne, wonne i uderzało do głowy niczym wino. - Powiem ci, że abstynencja to dobra rzecz - stwierdziłem uparcie. - Napiszę o tym książkę.

- Bzdura. Każdy człowiek potrzebuje odrobiny występku.

- I przysięgam, że wyrzekam się również hazardu. - Panie, jestem pewien, że mam jednak coś, co cię skusi do zakładu - przerwał nam jakiś męski głos.

ROZDZIAŁ 3

Odwróciłem się. Do przedpokoju wszedł smagły mężczyzna o orlim nosie, ubrany w sułtańskie szaty. Miał oczy drapieżnika i jaszczurczo cienkie wargi, które nadawały mu gadzi wygląd inkwizytora albo jednego z moich wierzycieli. W turban wetknął sobie strusie pióro z rodzaju tych, jakie żołnierze przywozili z Egiptu po ustrzeleniu głupich ptaszysk, biegających tam na wolności. W istocie jednak nie wyglądał na Araba, ale na Francuza. Wszyscy lubimy podawać się za kogoś innego.

- Niechże mi będzie wolno przedstawić Ozyrysa, boga świata podziemnego - odezwała się Izyda - Marguerite. - Jest badaczem Egiptu tak jak ty, Ethanie.

Nieznajomy zgiął się w ukłonie.

- Nie znalazłem oczywiście skarbów takich jak sławny Ethan Gage.

- Obawiam się, że wszystko straciłem. - Ludzie wciąż żywią nadzieję, że jestem bogaczem i zechcę się z nimi podzielić. Wyprowadzam ich z błędu tak szybko, jak tylko się da.

- I opuściłeś, panie, Egipt przez zakończeniem kampanii, nieprawdaż?

- Podobnie jak sam Napoleon. Jestem Amerykaninem, nie Francuzem, sam więc kieruję swoim życiem. - Nie było to do końca prawdą, któż mógłby powiedzieć o sobie coś takiego, nie podobała mi się jednak implikacja, że wymknąłem się z Egiptu chyłkiem.

- A czy zechciałbyś, panie, postawić to życie w zakładzie?

- Raczej nie. Mówiłem tej tu Królowej Arabii, że rozpocząłem wszystko od nowa.

- Ale nie masz człowieka, który nie ulegnie pokusie, i to jest lekcja, jaką odbieramy tu, w Palais Royal, czy nie tak?

Wszyscy mamy swoje pragnienia i tęsknoty. Może i podziwiamy ludzi prawych, ale tak naprawdę ich nie lubimy i nawet im nie ufamy. I krzyżujemy największych pobożnisiów. Jeżeli chcesz mieć przyjaciół, pozostań niedoskonały, czyż nie?

Tymczasem moich towarzyszy ich przyjaciółeczki wyprowadziły już z sali. Naukowcy byli bardziej śmiali albo pijani, niż sądziłem. To oznaczało, że nagle zostałem sam.

- Nikt nie jest bardziej niedoskonały ode mnie - przyznałem. - A ty, mości Ozyrysie? Jesteś stręczycielem?

- Asystuję i uczę się. I dlatego mogę ci, panie, zaproponować zakład, w którym wygraną będzie informacja o tym, co chcesz wiedzieć. Żeby wygrać, nie musisz stawiać nawet jednego sou.

- A niby co chciałbym wiedzieć?

- Gdzie jest ta kapłanka, oczywiście.

Astiza była swojego rodzaju kapłanką i badaczką dawnych religii. Coś drgnęło w głębi mojej pamięci.

- Myślę, że nadal jest droga twojemu sercu, panie. Ludzie mówią o tobie, że jesteś płytki i próżny, Ethanie Gage, ale zgaduję, iż jest też w tobie odrobina lojalności.

- Skąd wiesz o Astizie? - Byłem świadom tego, że moi towarzysze gdzieś przepadli, a z mroku wyłonili się teraz dwaj ludzie, każdy zbudowany jak szafa. Stanęli po obu stronach drzwi wyjściowych. I gdzie się podziała Marguerite?

- Moje bractwo specjalizuje się w odgadywaniu ludzkich pragnień. - Spod szaty wyjął symbol, który widziałem na szyi mojego wroga w Ameryce: zwisającą na łańcuszku z szyi złotą piramidę, wokół której wił się węzowy bóg Apofis. Było to godło ścigającej mnie po całym świecie loży rytu egipskiego. Ostatni raz zetknąłem się z nimi przy palu tortur w indiańskiej wiosce. Ujrawszy ten medalion, zeszywniałem natychmiast i zapragnąłem mieć w dłoni swoją rusznicę, którą

oczywiście zostawiłem w domu. Ozyrys patrzył na mnie w tej chwili jak wąż, a ja poczułem w powietrzu piżmowy aromat haszyszu.

- Należysz do loży?

Loża rytu egipskiego była grupką renegatów i zdradzieckich masonów, w poprzednim pokoleniu założył ją szarlatan Cagliostro. Ci ludzie ścigali mnie od chwili, gdy przed czterema laty wygrałem w karcianej grze pewien złoty medalion. Myślałem, że się ich pozbyłem, oni jednak byli natrętni i uparci jak urzędnicy podatkowi.

- Należę do grupki ludzi podobnie myślących. Nie zwracaj uwagi na plotki. Tak jak ty, zmieniliśmy się wewnątrz.

- Czy mogę się przyjrzeć temu medalionowi?

Podał mi go bez wahania. Medalion był ciężki, być może wykonano go z litego złota.

- Spróbuj go zawiesić na szyi. Myślę, że promieniuje mocą i potrafi cię natchnąć pewnością siebie. Magia jest w tym, co nosimy.

- Nie jest w moim stylu. - Myśląc intensywnie, zważyłem medalion w dłoni.

- Monsieur Gage, szanuję twój opór wobec hazardu. Jakież to inspirujące: spotkać człowieka odmienionego! Ale pozbadź się, panie, obaw, jakie być może obudził w tobie ten symbol. Proponuję sojusz, nie wrogość. Zadam ci prostą, dziecianną zagadkę. Jeżeli odpowiesz prawidłowo, zawiodę cię do Astizy. Jeżeli nie, twoje życie należeć będzie do mnie i zrobisz, co każę.

- Co to znaczy? Jesteś diabłem?

- No, no, panie Gage, masz reputację uczonego i władcy elektryczności. Dziecięca zabawa z pewnością cię nie przestraszy.

Przestraszyć? Trzymałem w dłoni symbol klikli zboczeńców, konspiratorów, czarowników i wyznawców kultu Węża.

- A co ty postawisz?

- Bezcenną informację. Ty, panie, nie stawiasz przecie pieniędzy.

- Ani ty! Jeżeli mamy się bawić w zagadki, to bawmy się obaj. Twoje tajemnice przeciwko mojemu życiu, mości Ozyrysie. Jeżeli odgadnę twoją, a ty nie rozwiążesz mojej, to nie tylko odeślesz mnie do Astizy, ale raz i na zawsze ujawnisz mi wszystkie tajemnice waszego rytu. Czego szuka ta wasza banda ekscentryków? - Przypomniałem sobie zagadkę, jaką zadał mi kiedyś Franklin, i postanowiłem wypróbować bystrość przeciwnika.

Zastanowił się i wzruszył ramionami.

- Doskonale. Nigdy nie przegrywam. - Postawił na stole minutową klepsydrę.

Ten widok rozgrzał mi krew.

- No to zacznijmy.

- Ja pierwszy. Dwaj skazańcy znajdują się na dnie stromej jamy, gdzie czekają na mającą się odbyć o świcie egzekucję. Jeżeli osiągną brzegu jamy, zdołają uciec, ale krawędź jest zbyt wysoko, by się do niej dostali, nawet gdyby jeden stanął drugiemu na ramionach. Mają łopate, którą mogliby wykopać tunel, ale zajęłoby to im kilka dni, a nie parę godzin, jakie ich dzieli od świtu. Jak zdołają uciec? - Po tych słowach mój przeciwnik odwrócił klepsydrę.

Patrzyłem na spadające ziarenka piasku i próbowałem myśleć. Co poradziłby mi stary Ben? Był fontanną aforyzmów, z których połowa była niezmiernie irytująca. Kupuj to, czego nie potrzebujesz, a niezadługo będziesz musiał sprzedawać to, co jest ci niezbędne. Owszem, to

prawda, ale jaką przyjemność dają pieniądze, jeżeli się ich nie trwoni?

Uwięzienie? Ci, co oddają wolność za tymczasowe bezpieczeństwo, tracą jedno i drugie. To też mi nie pomagało. Na dnie klepsydry Ozyrysa, czy jak on tam się zwał, gromadził się piasek, a ten drab patrzył na mnie z rozbawieniem w oczach. Zbyt szybko się starzejemy i zbyt późno nabieramy mądrości. To z pewnością mogło się odnosić do mnie. Piasek, opadający piasek...

To było to! Piasek!

- Powinni kopać - stwierdziłem. - Ale tylko po to, by zgromadzić pod ścianą dostateczną kupę piasku, na której mogą stanąć. Jeżeli będzie wysoka, zdołają dosięgnąć krawędzi jamy.

Zadający zagadkę klasnął w dłoń.

- Gratulacje, Monsieur Gage. Twoja reputacja człowieka mającego odrobinę mózgu między uszami nie jest nieprawdziwa. Wygląda na to, że powinienem cię zabrać do Astizy.

- I być może wyjaśnić cele, do których dąży ten wasz ryt. Miałeś swoją szansę, teraz kolej na mnie. Musisz złożyć pewne oświadczenie. Jeżeli będzie nieprawdą, wezmę wszystko, co masz. Jeżeli powiesz prawdę, zażądam pełnej informacji o tym, kim jesteś i o co ci naprawdę chodzi.

- Panie, stawiasz mnie przed dylematem, którego nie sposób rozstrzygnąć na swoją korzyść.

- Na tym polega wyzwanie, nieprawdaż?

Ozyrys skinął głową, patrząc jak ja przed chwilą na sypiący się w klepsydrze piasek. Potem jego twarz rozjaśnił okrutny uśmiezek.

- Weźmiesz wszystko, co mam.

Teraz ja musiałem niechętnie skinąć głową.

- Dobrze to rozegrałeś.

- Zastanowiłem się nad twoim dylematem. Jeżeli weźmiesz wszystko, co mam, znaczy, że moje oświadczenie jest prawdziwe. Jeżeli jest prawdziwe, nie możesz mi niczego zabrać, bo do tego byłoby potrzebne nieprawdziwe oświadczenie. Ale jeżeli nie zabierzesz mi tego, co mam, moje oświadczenie nie będzie prawdziwe, nie jestem ci więc winien żadnych wyjaśnień. Musisz mnie zwolnić z obu zobowiązań.

- Byłbyś godnym uczniem Franklina.

- A ty mógłbyś być Egipcjaninem.

Obaj zasypywali się komplementami.

- A więc, zabierzesz mnie, panie, do Astizy, choć nie musisz mi niczego wyjaśnić, nieprawdaż?

- Owszem. Ale nie masz jej w Paryżu, Monsieur Gage. Ani, obawiam się, w Egipcie. Ale to nieistotne. Twoja zagadka miała dwa ostrza, podobnie jest z moją. Gdybyś przegrał, twoje życie należałoby do mnie, jak się umówiliśmy. Ale choć wygrałeś, twoje życie nadal należy do mnie. Zabiorę cię do Astizy, choć nieco okreżną drogą. - Skinął głową dwu stojącym niczym kolumny drabom. - Widzisz, potrzebujemy cię na Terze, na którą wstąpimy po drodze do twojej kochanki. Jest tam sekret, który chcemy odkryć. Mam nadzieję, że ci to pochlebia, panie Gage, chcemy wykorzystać twoją bystrość umysłu. Gdybyś zechciał wyrazić sprzeciw, mam tu tych dwu kompanów, którzy... hm... przełamią twoje opory.

- Przykro mi, Ethanie - zawołała Marguerite zza jednej z tych usianych gwiazdami zasłon. - Z tymi ludźmi nie ma żartów. Grozili, że mnie skrzywdzą! Nie miałam wyboru, musiałam cię zwabić tu, na dół. To był wybór między twoim a moim życiem.

Czy wspominałem, że mam niezwykle szczęście do kobiet? Drzwi zastawiali dwaj olbrzymi, a za mną był podziemny seraj. Musiałem szybko coś wymyślić. Jeden z drabów wyjął zza pleców kajdanki.

- Ja też nie mam wyboru.

Jestem człowiekiem spokojnym, który nie lubi używać siły, ale już dawno temu zrozumiałem, że najrozmaitsze łotry potrafią zmusić ludzi do podejmowania szybkich decyzji. Zamachnąwszy się solidnie, smagnąłem Ozyrysa po gębie jego medalionem. Zaklął i chybnął się w tył. Natychmiast potem kopnąłem bliższego z troglodytów w jaja, aż złożył się wpół jak scyzoryk. Drugi runął na mnie, ale zderzył się z poprzednikami, miałem więc czas na zakręcenie medalionu nad głową i ciśnięcie nim w rząd świec.

Jedyne, co zdołałem wymyślić, to wzniesienie pożaru w tym burdelu.

ROZDZIAŁ 4

Woskowe świece niczym ogniste strzały frunęły na wszystkie strony, gdy rąbnął w nie ciężki złoty łańcuch z medalionem. Ozyrys, czy jak się tam zwał, zakławszy siarczyście, cofnął się i wpadł na swoich goryli. Jedną dłoń przycisnął do policzka - sączyła się spod niej krew - a drugą spróbował wyjąć spod szaty ukryty pistolet, ale gdy jedwabne zasłony zajęły się ogniem od skoszonych świec, przewróciłem na posadzkę orientálną lampę. Zanim zdążył wystrzelić, przeskoczyłem na drugą stronę ściany ognia.

Moją ucieczkę osłoniły gęste kłęby dymu, a prześladowcy cofnęli się z wrzaskiem przed płomieniami. Madame Marguerite rozwrzeszczała się przeraźliwie - w kilka sekund zamieniłem jej przytulny przedpokój w radosne ogniste piekło. Kryjąc się w kłębach dymu, dałem nura w głąb burdelu. Za mną rozległy się wrzaski pańienek.

Rozpaliłem ogień od frontu, ale za plecami miałem kamienną ścianę. Sytuacja daleka od ideału. Gdzież, u diabła, podziiali się moi uczeni?

- Georges! Robercie! Williamie!

- Tutaj! - usłyszałem okrzyk Fultona. - Gage, niech cię diabli, coś ty zrobił?

Był bez płaszcza, ale poza tym prezentował się dość przyzwoicie. Na poły rozebrana dziwka wycofywała się odeń na czworakach. No, no - miała zachwycający tyłeczek.

- Wyjaśniałem tej pani proces dostarczania tlenu do mojego Nautilusa - stwierdził gęsto kaszlący wynalazca - kiedy rozpętało się to piekło. Obawiam się, że Cuvier i Smith leżą bez ducha. Napili się z tych tureckich naczyń, a podejrzewam, że do wina czegoś dodano. - Ponad moimi plecami spojrział na migotliwą poświatę sączącą się z pomieszczenia, z którego przed chwilą wybiegłem. - Na Zeusa

i Jowisza, Ethanie, ty też piłeś? Roznieciles tam nielichy pożar.

- Tylko tak mogłem umknąć przed kajdanami, w które chcieli mnie zakuć goryle tego Ozyrysa - wyjaśniłem pospiesznie. - On należy do szajki rytu egipskiego, a to paskudna banda, miewałem już z nimi do czynienia. - Jakby na poparcie mojego stwierdzenia huknęły strzały i od kamiennych ścian piwnicy odbiło się kilka kul. Padłem na ziemię, szarpnięciem za kołnierz zwalając również Fultona. - Lepiej nie wstawajmy. Większość ludzi strzela wyżej, a nad posadzką jest kupa dymu.

- Bardzo to pomocne informacje, Gage. Ale tak się nieszczęśliwie składa, że jedyne drzwi, o których wiem, są po przeciwnej stronie tego piekła.

- Owszem, nie miałem czasu na dokładne przemyślenie sytuacji. Ale czy nie sądzisz, że ta zasłona ognia przypomina twoją panoramę?

Wokół nas z sykiem zajmowały się kolejne zasłony. Kanapy tryskały iskrami jak świąteczne fajerwerki. Ogień pulsował niczym serce żywej istoty.

- Tu jest znacznie bardziej gorąco.

Cofnęliśmy się do kolejnego pomieszczenia, gdzie bez ducha leżeli Cuvier i Smith, oszołomieni zdradzieckim trunkiem. Trzej inni, na poły nadzy klienci z ich dziwkami czołgali się bezładnie i na oślep, czemu towarzyszyło przeraźliwe wycie całej tej menażerii. - Tu gdzieś muszą być tylne drzwi - stwierdziłem, nie poddając się panice. Capnąłem jedną panienkę i mocno nią potrząsałem. - Ty! Którędy jeszcze można stąd wyjść?

- Ona kazała zamurować te drzwi, żebyśmy nie pouciekały!

No tak, psiakrew. Nadal zresztą nie miałem pojęcia, gdzie może być Astiza. Kiedy wreszcie zmienię charakter, będę musiał wieść znacznie bardziej spokojne życie.

- Jeżeli nie znajdziemy dużo wody, to możesz powiedzieć, że nas upiekłem - stwierdziłem.

- Albo możemy spróbować otworzyć te drzwi - mruknął ponuro Fulton. - Gdzie jest to drugie, zamurowane wyjście? - zapytał codzienną bywalczynię.

- To dwie warstwy solidnych kamulców - jęknęła. - Przebicie tego zajęłoby cały dzień!

Fulton zdesperowany spojrzał na mnie.

- A co jest pod nami? - zapytał.

- A niby skąd, u diabła, miałbym wiedzieć. Od skał jest Smith.

- A nad nami?

- Myślę, że ta szulernia. Jesteśmy w piwnicach jednego ze skrzydeł Palais.

- I oto rozwiązanie! Sklepienie! Ethanie, musimy wyjąć kamienny zwornik!

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale rad, że mogę się oddalić od ognia, pogałem za nim głębiej w czeluści burdelu. W kolejnym pomieszczeniu wzniesiono jakby arabski namiot, w którym stopy poduch i dywanów miały imitować wschodnią fantazję. Płócienny dach podtrzymywały solidne drągi, sięgające niemal do kamiennego sklepienia.

- Tymi belkami rozwalimy pułap! - stwierdził wynalazca.

- Jedyna nadzieja w tym, że uda nam się zwalić sklepienie na nasze głowy!

- Chcesz wywołać zawał? Oszalałeś?

- A co, wolisz się upiec żywcem? Jeżeli uda nam się zwalić na dół podłogę szulerni, będziemy mogli się wydostać na górę.

Spojrzałem na sklepienie.

- Te kamienie są solidne jak mur zamkowy.

- A nie mogłeś o tym pomyśleć, gdy rozpętywałeś to piekło? Ale sklepienie nie jest tak grube jak ściany, a każda forteca ma słaby punkt. Teraz owiń namiot i kilka poduszek wokół tamtego drąga i zrób coś na kształt ogromnej pochodni. Smith, Cuvier! - Zdzielił obu w pysk tak, że ocknęli się z grubsza i mogli, choć sztywni jak marionetki, wziąć się do roboty. - Znajdźcie jakąś wodę albo choćby wino! Szybciej, jak nie chcecie się upiec! Ethanie, podpal tę twoją zapalną od ognia.

- I co potem?

- Daj ją tu do mnie.

Z braku lepszego pomysłu ruszyłem ku epicentrum. Strzelanina ustała - prawdopodobnie dlatego, że Ozyrys i Izyda doszli do wniosku, iż najmądrzej będzie wycofać się na parter. Moja dziesięciostopowa zapalniczka zajęła się natychmiast i odskoczyłem szybko od ognia. Fulton pomógł mi skierować ją ku sklepieniu.

- Kamień zwornika wygląda na najslabszy punkt pułapu - powiedział, unosząc huczącą pochodnię ku centralnej części sklepienia. Ściany zwierały się na kamieniu, który stabilizował ciężar całej budowli. Zmrużyliśmy powieki, chroniąc oczy przed deszczem spadających iskier. - Tak jak kamieniarze, musimy używać na przemian żaru i chłodu.

- Nie mogę oddychać - wycharczałem.

- To pracuj szybciej!

Płonące jedwabie rozgrzały kamień. Z głębi burdelu nadbiegli Smith i Cuvier z dzbanem jakiegoś płynu. Fulton chwycił go w dłonie, zamachnął się i chlusnął wodą czy winem - nie dowiedziałem się czym - na rozgrzane sklepienie, chłodząc je zimną ciecżą.

Usłyszeliśmy głośny trzask i na kamieniu pojawiła się spora szczelina. W dół poleciały skalne odłamki. Zwornik pokryła siatka pęknięć.

- Teraz drugi drag! Szybciej, zanim pomdlejemy! Zrozumiałem i uniosłem drugi drag, uderzając nim z całej siły w najwyższy punkt sklepienia. Sypnęły się kolejne skalne odłamki.

- Mocniej! Mocniej! - ryknął Fulton.

- Do kata, to ciężka praca! - wycharczałem, zastanawiając się, co zrobimy, jak sklepienie runie nam na łby.

- Weź dziewczyny do pomocy!

Dym zgęstniał, a ogień zaczął pełzać w naszą stronę, więc dziewczęta ochoczo zabrały się do dzieła, wspomagane przez oszołomionego zoologa i otumanionego badacza skał. Stękając, waliliśmy wszyscy jak tłokami, z energią zrodzoną z rozpacz i determinacji. W końcu rozległ się kolejny łoskot, kamień runął w dół i z głośnym hukiem uderzył o kamienną posadzkę piwnicy. Dziewczęta z wrzaskiem rozbiegły się na boki. Nad nami w sklepieniu zionęła dziura otwierająca się w mrok i nicość.

- Jeszcze! Dalejże, zanim ogarnie nas ogień! Istotnie, w piwnicy robiło się coraz bardziej gorąco.

Waliliśmy w sklepienie jak oszaleli i na posadzkę zaczęły spadać kolejne kamienie. Kobiety ostrzegały krzykami z każdym lecącym kamulcem. Z szulerni na górze dochodziły coraz głośniejsze wrzaski zdumienia i konfuzji. W końcu wszystko zagłuszył coraz głośniejszy łoskot walących się na nas kamiennych brył.

- Precz, w stronę ognia!

Odskoczyliśmy, a sklepienie nagle się zawaliło pociągnięte w dół własnym ciężarem. W górę strzeliła chmura pyłu. Zaraz potem usłyszeliśmy trzask pękających belek - zawaliła się też podłoga szulerni. Z góry strzelił promień

światła niczym obietnica niebiańskiej wolności; do nowo utworzonego krateru runęły belki, stoły, żetony i karty. Razem z tym wszystkim na dół spadli dwaj czy trzej oszołomieni gracze, przywitani przez nas okrzykami radości i wiwatami.

Wraz z powiewem świeżego powietrza wzmógł się ryk ognia za nami.

- W górę! - zawołałem. - Piąć się po belkach, zanim i one padną ofiarą ognia!

Wyroiliśmy się z kolumny dymu niczym demony, nagie, czarne jak smoła kobiety, potykający się, oszołomieni trunkami uczeni oraz gracze, wrzeszczący o pomoc w ucieczce z niespodziewanie rozpetanych piekieł. Fulton tańczył triumfalnie jak król demonów, osmalony, lecz triumfujący. Byliśmy wolni!

Z załzawionymi oczami wydostałem się na posadzkę kasyna. Klienci i gracze biegali bezładnie na wszystkie strony. Pomimo ogólnego zamętu zachowałem dość przytomności umysłu, by z pogromu uratować kilka monet.

Tymczasem do drzwi burdelu podjechały beczkowsy i strażacy zaczęli pompować wodę w uczynioną przez nas dziurę. Za nimi w cieniach ogrodu ukryli się krwawiący wciąż Ozyrys i jego goryle, na wypadek gdybyśmy się jakimś cudem uratowali. Czego oni tak naprawdę chcieli? Co wiedzieli o Astizie?

Wskazałem ich Fultonowi.

- To nasi wrogowie.

- Jacy wrogowie? - zapytał zasapany, urywanym głosem.

- Myślałem, że przyszliśmy tu, żeby się zabawić.

- Sam nie do końca wiem, co się dzieje. Ale musimy się jakoś stąd wydostać. Ten drab chciał mnie pojmać, tak czy inaczej, a was odurzył jakimś trunkiem.

- Ale jak wyjdziemy? Nie zdołamy im uciec z ledwo przytomnymi Cuvierem i Smithem, gdy od ulicy dzieli nas tysiąc ludzi. Może wezwiemy policję?

- Oni tu nie przyjdą. A nawet gdyby się zjawili, zamknęliby nas ze wszystkimi, a dopiero potem oddzielaliby plewy od ziaren. Nasi kompani w celi mogliby nas podusić. A zresztą jakikolwiek związany z nami skandal nie poprawi naszych notowań u Napoleona.

Strażacy uruchomili pompę i ze skórzanych węży trysnęły strumienie wody. Przechodnie ustawili się w łańcuch i zaczęli wiadrami podawać wodę z fontanny do miedzianego lejka zamontowanego na tylnej części beczkowozu. Był to wspaniały, nowoczesny pomysł, ale rozniecony przeze mnie pożar nie zamierzał wygasać.

- Ja bym skonstruował większy beczkowóz i pompę napędzaną siłą końskich mięśni - stwierdził wynalazca. - Albo może nawet silnikiem parowym. No, ale nie da się powiedzieć, że władze nic nie robią.

- To jest myśl! Porwiemy beczkowóz!

- Mówisz poważnie? Zamiast aresztować, po prostu nas zastrzelą. A poza tym potrzebują go do pożaru.

- Strażacy nie mają broni, a za to, że nas wciągnęła w pułapkę, Madame Marguerite zasługuje na odrobinę ognia. Popatrz, podjeżdżają następne beczkowozy, wody z fontanny i tak nie wystarczy, a tamten, ot, po prostu czeka w kolejce. Będziemy udawać, że biegniemy po wodę. Jak miniemy tych ludzi, co chcieli mnie zakuć w kajdany, zwrócimy beczkowóz.

- Jest tylko trochę większy od rydwanu! - Istotnie, dwukołowy pojazd nie był szerszy ani dłuższy od artyleryjskiego jaszczaka i trudno było uwierzyć, że z jego pomocą można zgasić choćby obozowe ognisko.

- Będziemy musieli się stłoczyć.

Podpierając oszołomionych Cuviera i Smitha, pognaliśmy jak do ataku. Fulton odkręcił obejmę węża od zaworu beczki, a ja wsadziłem do niej obu naszych przyjaciół; z trudem się tam mieścili, aż woda się przelała przez krawędź. Potem chwyciłem lejce i mimo wrzasków protestu pogałem dwa kucyki w głąb parku i jak najdalej od Palais. Gapie rozbiegli się na boki, dziwki też, a gdy pomknęliśmy pod arkadami, na wszystkie strony sypnęły się figury szachowe. Gnaliśmy na złamanie karku przez ćwierćmilowy centralny dziedziniec: roztrącając krzesła i odbijając się od latarni, pędziliśmy ku łukowi głównego wejścia, za którym była ulica. Ozyrys dostrzegł naszą szaleńczą szarżę i zabiegł nam drogę. Za nim kuśtykał skulony mężczyzna, którego kopnąłem w klejnoty.

Przejechałem po nich bez najmniejszych skrępowań.

Z wyznawcami rytu zmagalem się od dawna, pojawiali się w moim życiu niczym powtarzający się koszmar. Nie miałem pojęcia, czego chce Ozyrys, i nic mnie to nie obchodziło, chciałem się tylko raz na zawsze uwolnić od prześladowań tego bractwa. Utrzymując równowagę, strzeliłem lejcami, jakbym otrzepywał koc, i pogałem konie. Fulton ryczał coś niezrozumiale, trzymając się kurczowo wozu, Cuvier i Smith pojękiwali z tyłu - i mój pojazd przejechał po miłośniku zagadek. Podskoczyliśmy, wóz się zachybotał i przeleciał przez bramę, zgrzytając osiami o ściany. Usłyszałem za sobą jakiś strzał, ale nawet się nie obejrzałem.

Wpadliśmy z łoskotem na szerszą rue Saint - Honore, zostawiając za sobą protestujących klientów Palais; przed nami pierzchali spacerowicze. W dali widać już było ogromny, mroczny masyw Luwru. W Paryżu jest diabelny ruch nawet w nocy; wozy z dostawami blokują przejazdy, konie srają i szczają, wpadliśmy więc na jakieś inne pojazdy, a nasze konie ugrzęzły w ich zaprzęgach. Rzuciłem lejce i wyciągnąłem uczonych z ich gniazdka.

- Teraz w nogi! Musimy się gdzieś ukryć!

I właśnie wtedy stanął przed nami powoli poruszający się mężczyzna z czarną laską, roztaczający wokół siebie atmosferę autorytetu i pewności siebie. Podniósłszy rękę, powiedział po prostu:

- Przeciwnie, rozkazuję, byście zostali, panowie, na miejscu.

- Na miejscu?

- Jesteście aresztowani.

Z ciemności wyłoniło się kilkunastu żandarmów. Uciekliśmy wyznawcom rytu egipskiego, by wpaść w łapy francuskiej policji.

- Z czyjego rozkazu? - spróbowałem wziąć żandarma na huki.

- Z rozkazu samego pierwszego konsula, Napoleona Bonaparte.

ROZDZIAŁ 5

- Aresztowani? - Musiałem natychmiast coś wymyślić. - Usiłowaliśmy tylko uciec kilku drabom, którzy chcieli nas żywcem spalić. - Obejrzałem się przez ramię, żeby sprawdzić, czy Ozyrys nadal na nas nie czyha, ale gdzieś zniknął. - I szukaliśmy wody. A ci ludzie są szanowanymi uczonymi.

Fulton był szary od dymu, a oszołomieni Cuvier i Smith kołysali się jak pijacy po dobrej wypitce. Mieliśmy podarte ubrania, a nasza godność osobista leżała w gruzach.

- Monsieur Gage, nie został pan aresztowany z powodu tej ucieczki.

Skąd ten policjant mnie znał?

- No to z jakiego powodu?

- Za kontakty z Anglikami podczas pańskiej misji do Ameryki Północnej - odpowiedział zimno. - Postąpił pan wbrew instrukcjom naszego rządu... co może nie jest zaskakujące, jeżeli się weźmie pod uwagę pańską służbę Anglikom przeciwko Francji na Ziemi Świętej w roku 1799. Możemy dodać do tego próbę zepsucia opinii szanowanym uczonym. Uciekł się pan do stręczenia prostytutki, co pomijając wszystko inne, jest nielegalne. Pańscy towarzysze zażywali w burdelu środki odurzające. Możemy pana oskarżyć o zdradę, wywołanie zamieszek, zniszczenie prywatnej własności, przejechanie kilku przechodniów, kradzież beczkowitzu i zakłócenie ruchu publicznego.

Zagryzłem wargi.

- Mogę to wszystko wyjaśnić.

- Niestety, nie mnie będzie pan składał wyjaśnienia.

- A z kim mam honor, mój panie?

- Ach, przepraszam. - Ukłonił się. - Minister policji, Józef Fouche, do usług. - Miał wzrok niby senny, lecz czujny, usta zaciśnięte w sceptycznym uśmiešku i stał swobodnie, ale jak szermierz gotów do pojedynku. Wyglądał na takiego, co nie

wierzy w nic, cokolwiek bym powiedział - a to mogłoby się stać niezłym początkiem znajomości. Wyłapał spiskowców, którzy byli autorami nieudanego zamachu na Napoleona (miał go zabić wybuch beczki prochu w wigilię Bożego Narodzenia roku 1800), wytracił głównych rojalistów i przy okazji wysłał setki francuskich jakobinów na Seszele.

- Fouche? Interesuje się pan takimi jak my turystami?

- Mój panie, interesują mnie wszyscy, wszędzie i zawsze. Włączmy w to morderstwo pewnej prostytutki przed kilkoma laty.

- Nie miałem z tym nic wspólnego! - Byłem o to niesprawiedliwie oskarżony i nawet zyskałem dzięki temu pewien rozgłos, sądziłem jednak, że Napoleon umorzył sprawę. - Ostrzegam pana, że osobiście znam pierwszego konsula! - ciągnąłem. - Jestem bohaterem bitwy pod Marengo i traktatu z Mortefontaine. Prezydent Jefferson uczynił mnie też swoim przedstawicielem.

- Owszem. Wolałbym pana wtrącić do więzienia i posłać na gilotynę, ale Napoleon sądzi, że może pan jeszcze być użyteczny. Nie umiem sobie wyobrazić, w jaki sposób po tym, jak niemal spłonął pan w roznieconym przez siebie pożarze. - Na jego twarzy nie było widać nawet śladu humoru. - Rozumiem, że od pewnego czasu usiłował pan zyskać audiencję u pierwszego konsula. Pańskie starania zostały uwieńczone powodzeniem. Co prawda nie w takich okolicznościach, na jakie pan liczył.

Stojący za mną trzej uczeni śledzili całą rozmowę nie bez zdziwienia i oszołomienia.

- Puśćcie przynajmniej moich przyjaciół - zażądałem. - Oni nie są niczemu winni.

- Ci przyjaciele, Ethanie, są jedynym powodem, dla którego pana ratuję. Zamknijcie ich wszystkich - rozkazał swoim ludziom - zanim kogoś jeszcze stratuja.

Uważałem się za dyplomatę, nie w taki więc sposób chciałem się zobaczyć z Napoleonem. On jednak miał w zwyczaju widywać się z ludźmi wtedy, kiedy chciał, i tam, gdzie miał nad nimi przewagę. Gdy pakowano nas do policyjnej karetki, przyszło mi do głowy, że raczej mało prawdopodobne, żeby minister policji, uważany przez wielu Francuzów za najpotężniejszego i najgroźniejszego po samym Napoleonie człowieka, przypadkowo czekał przy bramach Palais Royal akurat wtedy, gdy ja robiłem z siebie durnia. Czyżby tajemniczy Ozyrys czy zradziecka Marguerite mieli jakieś powiązania z równie tajemniczym Fouchem?

- Ethanie, co się dzieje, u licha? - zapytał Fulton, gdy powóz zakołysał się i ruszył z miejsca.

- To część naszej przechadzki - odparłem wymijająco. - Jedziemy się zobaczyć z Napoleonem. Czy nie tego chciałeś?

- Ale nie jako przestępca! Mówiłem ci, że nie powinniśmy kraść tego beczkowitzu.

- Powinieneś się czuć usatysfakcjonowany. Aresztował nas sam Fouche.

- Ale dlaczego?

- Głównie przeze mnie.

Pozostali dwaj uczeni nadal byli pijani i oszołomieni, a ja wiedziałem, że będę musiał prosić Bonapartego o przysługę uwolnienia ich, przez co zostanę jego dłużnikiem. Krótko mówiąc, Pierwszy Konsul unikał spotkania ze mną, dopóki okoliczności nie sprawiły, że będę zdany na jego łaskę. Podejrzywałem, że właśnie dzięki takim manewrom taktycznym to on, a nie ja, jest teraz władcą Francji.

Nasz pojazd o maleńkich okienkach, przez które wlatywało powietrze, jechał krętymi paryskimi uliczkami. Była ciemna noc. Mijaliśmy rozmaite średniowieczne ruiny odbudowywane po zniszczeniach podczas rewolucji. Ludność Paryża po ucieczce rojalistów i wskutek niedawnych

kryzysów ekonomicznych zmniejszyła się o sto tysięcy i teraz nie przekraczała połowy miliona. Gospodarka zaczęła się dźwigać dopiero pod rządami Napoleona. Jechaliśmy zasadniczo ku zachodnim dzielnicom miasta, co pozwoliło mi odgadnąć cel naszej jazdy.

- Jedziemy do Malmaison - powiadomiłem pozostałych. - To dobra wiadomość. Nie zobaczy was tu żaden z waszych znajomych.

- Zauważą nasze zniknięcie - mruknął Cuvier, który powoli zaczynał odzyskiwać bystrość umysłu.

- Malmaison? Zły dom? - Smith przełożył nazwę posiadłości.

- Tak go nazwali sąsiedzi na pamiątkę jakiegoś dawnego najazdu wikingów. Może byli wśród nich twoi przodkowie, Bill.

- Ba, Anglię też złupili. A przybyli z Francji, jako Normanowie.

Paryż od zawsze był bezładną zbieraniną pałaców, cisnących się do siebie domów, działek warzywnych i błotnistych pastwisk. Jedynymi ludźmi, jakich widziałem o tak wczesnej godzinie, byli nosiciele wody, całymi tysiącami pracowicie przenoszący wiadra z niezbyt obfitych miejskich fontann do domów. Przeciętny paryżanin zużywał około litra wody dziennie i to właśnie było jednym z powodów popularności Napoleona - Pierwszy Konsul postanowił zlikwidować ten niedostatek.

Moi towarzysze zapadli wreszcie w drzemkę.

Z zatłoczonego centrum Paryża przejechaliśmy na zielone przedmieścia, a potem minęliśmy Farmers - General - mur otaczający Paryż i wybudowany przez Ludwika XVI, by ukrócić przemyt. Przejechaliśmy przez krętą Sekwanę i wjechaliśmy w rejon podmiejskich posiadłości ziemskich,

majątków i terenów łowieckich. Gdzieś na południu był Wersal.

Ostatecznie w godzinę po świcie dotarliśmy do znajdującej się poza miastem siedziby Pierwszego Konsula. Po zdobyciu władzy Napoleon w ciągu minionych trzech lat rezydował w Pałacu Luksemburskim, Tuileries, i wydawał ponad półtora miliona franków rocznie na odbudowę starego pałacyku Saint - Cloud. Od czasu do czasu lubił też przenieść się z miasta do mająteczku, który kupiła Józefina, gdy on przebywał w Egipcie. Kupno Malmaison bardzo go swego czasu rozsierdziło, ale później uległ wiejskim urokom posiadłości.

Wzdłuż wysokiego kamiennego muru dojechaliśmy do strzeżonej przez wartę żelaznej bramy. Fouche powiedział coś wartownikom i wjechaliśmy na szeroką, wysypaną żwirem alejkę obsadzoną drzewami. Gdy w końcu wpuszczono nas do środka, zdrętwiałych, brudnych i skacowanych, zobaczyłem dowód doskonałego gustu Józefiny. Jej mąż kochał się w rzeczach wielkich i wspaniałych - uwielbiał przeglądy wojskowe - a Józefina w pięknych.

Malmaison jest urokliwym chateau pokrytym żółtym tynkiem, z jasnoniebieskimi okiennicami i dachem z płytek łupku. Całą szerokość długiego prostokątnego budynku zajmuje amfilada pokojów zalewanych potokami światła dziennego. W zielonych donicach posadzono piękne, starannie poprzycinane krzewy, a ogród aż po okienne parapety pokrywa powódź kwiatów, którymi napelniano niezliczone, stojące wewnątrz wazy. Z parku dolatywały nas śpiewy ptaków.

- Mamy się zobaczyć z Pierwszym Konsulem - oznajmił Fouche jakiemuś ważniakowi, który miał włosy zaplecione w warkocz, przepasany był szarfą, a na nogach miał czarne lakierki.

- Jest przy stawie. On chyba nigdy nie śpi. Tędy proszę... Zerkając ciekawie na boki, przeszliśmy przez komnatę o sklepieniu wspartym na rzymskich kolumnach. W jadalni był fresk z Pompejów przedstawiający tancerki; Józefina bardzo się interesowała ostatnimi wykopaliskami w tej kupie wulkanicznych popiołów. Regały pełne były rzymskich antyków. Naprzeciwko wejścia znajdowała się sala bilardowa, a nieco dalej luksusowy salon z kosztownymi, obijanymi brokatem fotelami, których oparcia wyrzeźbiono w kształcie skrzydlatych egipskich bogiń. Był to hołd złożony egipskiej wyprawie Napoleona. Po obu stronach kominka umieszczono dwa pełne dramatyzmu malowidła.

- Odyseusz? - spróbowałem odgadnąć.

- Osjan - odpowiedział Fouche. - Ulubiony poeta Pierwszego Konsula.

Potem przeszliśmy przez wspaniale urządzonej salon muzyczny, w którym stała harfa i pianino, a na ścianach wisiały portrety kilku francuskich dostojników i przodków mających miny osób cierpiących na chroniczne zaparcia. Poranne światło zalewało drewnianą podłogę ciepłym, miodowym blaskiem. Przeszliśmy dalej, odprowadzani pustymi spojrzeniami marmurowych oczu rzymskich popiersi co sławniejszych wodzów.

- Na górze jest pokój obity jedwabiem, w którym goście czują się jak w wojskowym namiocie - oznajmił policjant. - Umeblowanie pokryte jest rzeźbami przedstawiającymi egipskie bóstwa i nubijskie księżniczki. Bardzo to pomysłowe i robi wrażenie.

- Ma bzika na punkcie mebli czy co?

- Bonaparte wierzy, że nawet krzesło powinno głosić jego chwałę.

Smith obrócił się, mierząc wszystko spojrzeniem pełnym zaskoczenia.

- To nie wygląda jak więzienie w Anglii - stwierdził lekko oszołomiony.

- My, Francuzi, lubimy ład, czystość i porządek. Wyprowadzono nas z domu przez wielkie szklane

drzwi i ruszyliśmy wysypaną żwirem ścieżką ku stawowi, do którego wpływała niewielka rzeczka. W małym rajku Józefiny w powietrzu tańczyły motyle, owce dbały o to, by trawa nie rozrosła się za bardzo, a pawie dumnie rozkładały ogony. Zbliżaliśmy się do jeziora, gdy gdzieś w pobliżu huknął strzał.

- Napoleooooonie! - Krzyk kobiecego protestu pochodził z okna apartamentu nad nami.

Zaraz potem zagrział kolejny wystrzał.

Po przejściu przez niewielki zagajnik natknęliśmy się na grupkę kilkunastu adiutantów, oficerów i ogrodników: wielcy rzadko bywają samotni. Jeden ze sług ładował myśliwską strzelbę, podczas gdy Napoleon, podniósłszy do oka drugą, mierzył w grupkę łabędzi pływających po przeciwnej stronie stawu.

- Celowo chybiam - zwrócił się do świadków tej sceny - ale uwielbiam drażnić się z Józefiną. - Strzelił ponownie; śrut sieknął wodę w sporej odległości od ptaków, wśród których wybuchła panika.

- Napoleonie... prooooooszę! - rozległ się płacz z okna.

- Te ptaki wszędzie srają - wyjaśnił Pierwszy Konsul. - Ona trzyma tu zbyt liczne stado.

W tejże chwili na czoło naszego małego orszaku wysunął się Fouche.

- Jest tu ten Amerykanin, Gage - zaanonsował mnie. - Narobił kłopotów, jak przepowiedziałeś, panie.

ROZDZIAŁ 6

Bonaparte odwrócił się w naszą stronę. Po raz kolejny wyczułem bijącą odeń elektryzującą aurę człowieka nawykłego do wydawania rozkazów, która inspirowała i onieśmielała. Tak go właśnie zapamiętałem: grzywa ciemnych włosów, szare oczy i osobliwie blada jak na Korsykanina cera z żółtawym odcieniem, który mógł być oznaką jakiejś choroby, oraz emanująca od niego energia ściśniętej sprężyny. Widziałem go przed dwoma laty i nieco przybrał na wadze - nie był tłusty, ale też już nie chudy jak młodzik. Był umięśniony - jak trzydziestodwuletni żołnierz, który brał udział w zbyt licznych oficjalnych bankietach. Włosy zaczesywał do przodu na rzymską modłę - może chcąc ukryć zaznaczające się już wyraźnie początki łysiny. Wyglądał jak człowiek, który żyje i starzeje się szybciej niż większość ludzi. Miał bystre, uważne spojrzenie, w którym jednak kryły się iskierki rozbawienia.

Na widok francuskiego naukowca udał zaskoczenie.

- I ty też, Cuvier?

- Pierwszy Konsulu, nie bardzo pamiętam, co się stało. Naszym przewodnikiem był Monsieur Gage. Straciłem przytomność i ocknąłem się w samym środku katastrofy.

- Owszem, doskonale cię rozumiem. Sam go kiedyś poznałem. - Potrząsnął głową i rzucił ministrowi policji spojrzenie wyrażające lekkie niezadowolenie, jakby go nie potrzebował. Policjant jednak był mu potrzebny, jeżeli chciał zachować władzę. - Uczeni tacy jak ty powinni dwa razy pomyśleć, zanim poproszą Ethana Gage'a, by został ich przewodnikiem na szlaku paryskich nieprawości. Nikt tak jak on nie przyciąga kłopotów. I tak gracko się z nich nie wywija. - Dopiero teraz spojrział na mnie. - Ostatnim razem, gdyśmy się widzieli, Gage, wyłaziłeś ze stawu w Mortefontaine z płonąca niemal czupryną. Posłałem cię do Ameryki, by

utrzymać z dala od mojej siostry. Czy odkryłeś tam coś, co mogłoby być dla nas użyteczne?

Mrugnąłem, usiłując zebrać myśli. Byłem więźniem czy dyplomata?

- Luizjana jest niewyobrażalnie rozległa i niewyobrażalnie daleka - powiedziałem. - Pełno tam dzikich Indian i pragną ją zająć Brytyjczycy. Jeżeli nie masz, panie, armii do jej utrzymania, będzie bardziej brzemieniem niż cennym nabytkiem. Proponuję, żebyś ją sprzedał Stanom Zjednoczonym, wtedy nie dostaną jej Angole. Przepraszam, Smith - zwróciłem się do geologa.

Smith zamrugał szybko.

- W tej kwestii nie mam żadnej opinii. Luizjana jest bardzo odległa od moich kanałów.

- Ja mam armię na San Domingo, o ile nie wybili jej ci przekłeci czarni, a Leclerc nie pozwolił, by ludzi przetrzebiły choroby - stwierdził Napoleon. - A co twoi ziomkowie zrobią z Luizjana?

Wzruszyłem ramionami.

- Jefferson chce, by wszyscy uprawiali ziemię, gdzie tylko się da.

- A da się?

- Nie jest porośnięta drzewami, jak stepy. Ale klimat jest fatalny. Nie mam pojęcia.

- Przynajmniej nie mówisz mi tego, co jak sądzisz, chciałbym usłyszeć. - Napoleon westchnął. - Wiesz, Gage, tylko dlatego dawno już nie kazałem cię rozstrzelać. A ci uczeni to eksperci od kości i skał?

- Owszem, Pierwszy Konsulu. Byliśmy w Palais na przechadzce; chcieliśmy się trochę rozerwać i zwabiono nas podstępnie do burdelu. Weszliśmy do środka, by podziwiać wystrój, a potem wybuchł pożar...

- Ty go wybuchnąłeś, Gage. Raport Fouchego dotarł tu przed nim. Wiem więcej od ciebie o tym, co tam się stało. Pytałem o twoich przyjaciół, nie o twoje wygłupy.

- Fulton jest...

- Tak, tak... Wiem wszystko o tej jego przeklętej zanurzalnej łodzi. Mogłaby podkraść się pod brytyjską flotę, tylko że nigdy by do niej nie dotarła.

- Gdybym dostał dodatkowe fundusze na ulepszenia... - zaczął pospiesznie Fulton.

- Dość, powiedziałem! - Był to rozkaz człowieka nawykłego do posłuchu i Fulton natychmiast zamilkł. - Ty, Gage, usiłowałeś się dowiedzieć czegoś o dawnej kochance... Dobrze mówię?

Najwyraźniej Fouche od dawna nas szpiegował; być może nawet zaaranżował to wszystko, by postawić nas w niekorzystnej sytuacji. Odetchnąłem głęboko.

- Pamiętasz Astizę, Pierwszy Konsulu? Zamierzałeś rozstrzelać nas oboje w ogrodach Tuileries.

- Kobiety... - Spojrzał w kierunku chateau. - Józefina wypełniła naszą posiadłość tymi przeklętymi łabędziami, które mam ochotę powystrzelać, ona błaga, ja ustępuję, gówna jest coraz więcej, chwytam za strzelby i ostatecznie się godzimy. - Uśmiechnął się do swoich wspomnień. - Z naturalnego porządku rzeczy wynika, że kobiety powinny być własnością mężczyzn, ale w istocie jesteśmy ich niewolnikami, czy nie tak?

- Nie sędzę, Pierwszy Konsulu, żeby Józefina nazywała cię niewolnikiem.

- Ale ty masz zobowiązania wobec mnie. Dałem ci dwa tysiące dolarów i bardzo wyraźne instrukcje, ale ty większość czasu w Ameryce Północnej spędziłeś w towarzystwie Anglików, jak to zrobiłeś w Ziemi Świętej. Gage, czy ty jesteś ich szpiegiem? Co robisz w towarzystwie tego angielskiego

kopacza kanałów, Smitha? Co jest takiego w tych kombinatorach i piratach będących rodakami Smitha, że uważasz ich towarzystwo za atrakcyjne?

- Piraci i kombinatorzy? - zaprotestował Smith.

- Pierwszy Konsulu - przerwałem mu - wróciłem nie gdzie indziej, ale do Paryża. W Ameryce skończyło się na tym, że musiałem walczyć z napotkaną parą Anglików. Nie zawierałem z nimi żadnego przymierza. Należeli do tej samej perfidnej loży rytu egipskiego, o której ci mówiłem pod piramidami. Teraz natknąłem się na nich w Palais Royal. Powiadam ci, że to są spiskowcy, przed którymi powinieneś się strzec. A Brytyjczycy przekonali mnie, że łatwiej ci będzie sprzedać Luizjanę, niż ją stracić.

- Hmm... - Napoleon ponownie wziął na cel jakiegoś łabędzia, ale nie strzelił, tylko oddał strzelbę słudze. - Mam dla ciebie nową misję i jeżeli dobrze się spiszesz, może ponownie rozważę twoje argumenty dotyczące sprzedaży, co powinno uszczęśliwić Jeffersona. - Zwrócił się do moich towarzyszy. - Panowie, zostaliście aresztowani wskutek zuchwałości i nieprzemyślanych działań obecnego tu Ethana Gage'a. Ten człowiek jest niezwykle pomysłowym i bystrym imbecylem. Daję wam okazję do zatarcia występku, a także oczyszczenia się z zarzutów nadużywania środków odurzających i korzystania z usług dziwki. Chcę, żebyście na pokładzie okrętu udali się na grecką wysepkę Terę i zbadali zasadność dość osobliwych pogłosek.

- Na Terę! - stęknął Cuvier.

- Obecność uczonych powinna zamaskować przed rządem osmańskim prawdziwy cel waszej misji, jakim jest podsuniecie Grekom myśli o buncie przeciwko Turkom. Straciliśmy Egipt i Wyspy Jońskie, a ci przekleci Brytyjczycy nie zamierzają wynieść się z Malty, jak tego wymagają warunki ostatniego traktatu. Grecja jako nasz sojusznik będzie

cierniem w dupie Turcji, Austrii i Anglii, a różą dla nas. Wszystko, czego nam trzeba, to pewny sojusznik i znalazłem takiego w osobie uczonego i buntownika, niejakiego Ioannisa Kapodistriasa. Spotkacie się z nim, udając członków wyprawy archeologicznej, i wybadacie, czy Francja nie mogłaby wywołać tam powstania.

- Czy nie próbowałeś tego, panie, w Irlandii? - zapytałem mało dyplomatycznie.

- Tym razem się uda.

- A co to za misja archeologiczna? - Jeżeli moje pytanie zabrzmiało nieufnie, stało się tak dlatego, że archeologia kojarzyła mi się z zapadniami, pułapkami, zawałającymi się tunelami i kanałami, w których raz już niemal się utopiłem. Piramidy i starożytne świątynie potrafią dać się człowiekowi we znaki.

Odpowiedział mi Fouche.

- W zakresie moich obowiązków ministra policji leży dawanie baczenia na wszelkiego rodzaju ugrupowania, których działalność niesie zagrożenie dla państwa, takich na przykład, jak loża rytu egipskiego. Jeden z moich agentów dowiedział się, że wypytywałeś swoich znajomych naukowców o Terę w tym samym czasie, w którym ci odszczepieńcy wolnomularze gromadzili książki i mapy tej wysepki.

- Ależ ja znam Terę tylko z nazwy!

- Tak mówisz. Zaskakującym jednak zbiegiem okoliczności jest to, że nagle wszyscy zaczynają się interesować jakąś zapomnianą przez Boga i ludzi wysepką na Morzu Egejskim. A ty, mości Gage, po powrocie z Ameryki szukasz znajomości z amerykańskim wynalazcą Fultonem, brytyjskim geologiem Smithem i francuskim specjalistą od kataklizmów Cuvierem. Wszystko to śmierdzi spiskiem! A

pomysł użycia burdelu jako miejsca sekretnego spotkania był iście genialny!

- Zwabiła nas tam Madame Marguerite!

- Dajże spokój, Gage, znamy się zbyt dobrze, nie musisz udawać durnia - odezwał się Napoleon. - To udawanie zmieszania i niekompetencji jest bardzo zabawne, ale sam pakujesz się we wszelkie możliwe istniejące spiski i wtykasz nos w tajemnice. Nie podejrzewam też, żeby twoi szanowni towarzysze zechcieli się wiązać z takim łobuzem i nicponiem jak ty bez jakichś korzyści na widoku. W podziemiach Palais Royal spotykasz się z wyznawcami rytu, rozniecasz pożar, wszczynasz zamieszki, uciekasz przed rywalami i udajesz niewiniątko? Wszyscy wiemy, że od dawna czegoś szukasz.

- Pierwszy Konsulu! - jęknął Cuvier. - Przysięgam, że nic nie wiem o tym spisku!

- Oczywiście, że nie wiesz - stwierdził spokojnie Napoleon. - Gage was po prostu wykorzystuje. Jest podstępny łotrem, mistrzem snucia intryg i gdybym był Francuzem, nie żywiłbym wątpliwości, że Fouche już dawno temu zwerbował go w szeregi francuskiej tajnej policji. Czy nie tak, Fouche?

- Nawet ja nie do końca pojmuję motywy, jakimi ten człowiek się kieruje, i nie umiem odgadnąć, komu jest wierny - przyznał Fouche.

Oczywiście nie miałem bladego pojęcia, co się dzieje; usiłowałem odgadnąć, czy nazwanie mnie przewrotnym i nad wyraz przebiegłym mistrzem intryg powinienem potraktować jako obrazę czy wyrazy uznania. Wszystko opierało się na tym, że odczytałem słowo „Tera” na skrawku złotej folii w amerykańskiej dziczy. Był to jakiś artefakt normańskich templariuszy - zgodnie z tym, co twierdził mój nieżyjący już towarzysz Magnus Bloodhammer - i to wszystko. Ale... jeżeli

policja była tak przebiegła, to może zdołałbym dowiedzieć się czegoś więcej.

Zapуściłem więc sondę.

- Szukam też Og. - To słowo też było na skrawku folii i odczytałem je, zanim zniszczyła ją Aurora Somerset. Ta dziewczka stała się powodem, dla którego wyrzekłem się kobiet.

Usłyszawszy to słowo, Fouche zeszywniał i obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem. Cuvier też popatrzył na mnie ze zdziwieniem. Napoleon zaś zbladł jak papier.

- Coś ty powiedział? - zapytał Pierwszy Konsul.

- Og - powtórzyłem. Nawet mnie samemu słowo wydało się głupie.

Pierwszy Konsul spojrział z namysłem na moich trzech towarzyszy, a potem zwrócił się do pozostałych osób.

- Myślę, że Monsieur Gage i ja musimy porozmawiać na osobności.

ROZDZIAŁ 7

Odeszliśmy od reszty towarzystwa na odległość pięćdziesięciu kroków i stanęliśmy nad brzegiem stawu w miejscu, gdzie nikt nie mógł nas podsłuchać.

- Gdzieś ty usłyszał to słowo? - zapytał ostro Napoleon.

- W Ameryce.

- W Ameryce? Przy jakiej okazji?

Westchnąłem. Po raz pierwszy miałem zrelacjonować, co mi się przydarzyło, i nie spodziewałem się, że ktokolwiek mi uwierzy.

- Może przypominasz sobie, panie, Norwega o nazwisku Magnus Bloodhammer, który był w Mortefontaine podczas podpisywania traktatu pomiędzy Francją a Stanami? - zacząłem. - W Luizjanie natknął się na pewne miejsce, daleko w głębi Indiańskiego Terytorium, w którym były artefakty Normanów. - Doszedłem do wniosku, że nie powinienem się rozwodzić nad opisem tego zdumiewającego miejsca. - Jednym z nich był płat złotej folii ukryty w gnijącej tarczy. Na tej folii był napis, w którym odczytałem to słowo. Utkwiło mi w głowie, bo było tak dziwne.

- Co jeszcze było w tym napisie? - Napoleon miał zaniepokojoną minę, wyglądał jak człowiek odczuwający mdłości.

- Napis był po łacinie i nie zdołałem go odczytać. Zapamiętałem tylko kilka słów, a potem rozpętała się walka z Indianami i folia uległa zniszczeniu. Walkę rozpętała Angielka należąca do członków loży rytu egipskiego, ale to długa historia. - Nie zamierzałem wspominać o tym, że byłem kochankiem Aurory. - Tak jak ci mówiłem, panie, walczyłem z Brytyjczykami. Nie byłem i nie jestem ich szpiegiem.

- Więc nie wiesz, co to znaczy?

- Nie, a ty?

Zmarszczył brwi i popatrzył ponad stawem na grupę adiutantów i policjantów, którzy najwyraźniej zazdrościli mi osobistej rozmowy z ich idolem.

- Gage - odezwał się na koniec spokojnym głosem. - Czy słyszałeś o Czerwonym Gnomie?

Wzmianka o tej starej francuskiej legendzie obudziła we mnie dziwne wrażenie, że ktoś bacznie mnie obserwuje przez jedno z górnych okien pięknego francuskiego château. Odwróciłem się, ale oczywiście nikogo nie zobaczyłem - małe, prostokątne okna mansardy były ciemne. Józefina też cofnęła się w głąb swojej komnaty.

- Owszem, słyszałem plotki. Jak każdy.

- Uważasz, że to istota nadprzyrodzona? Odchrząknąłem.

- Widywałem już różne dziwne rzeczy.

- Czerwony Gnom to podobny do trolla stwór odziany w czerwoną opończę z kapturem. Nikt nie widział jego twarzy, ale jest mały, zgarbiony i ma długie, brązowe palce. Niekiedy można dostrzec tylko błysk jego oczu. Patrzy czujnie i nieufnie. To budzące niepokój spojrzenie istoty, która wie zbyt wiele.

- Każdy Francuz zna tę opowieść, ale to tylko bajka.

- Nie, to prawda. Po raz pierwszy ukazał się Katarzynie Medycejskiej i zgodnie z legendami, mieszka na strychu wybudowanego przez nią pałacu Tuileries. Od czasu do czasu objawiał się członkom francuskiej rodziny panującej, zwykle w czasach kryzysu. Ja uważałem to za bajkę, taką historyjkę do straszenia dzieci. Ale potem zobaczyłem go w Egipcie.

- Generale!

Skinał głową, pogrążając się we wspomnieniach.

- Nigdy nie byłem tak przerażony. To było krótko przed bitwą pod piramidami. Zjawił się w moim namiocie pośród głębokiej nocy, gdy wszyscy moi adiutanci padli ze zmęczenia i tylko ja jeden nie spałem. Dowiedziałem się właśnie o

niewierności Józefiny, z wściekłości i żalu nie wiedziałem, co z sobą począć, i nie mogłem zasnąć.

Przypomniałem sobie tę noc w Egipcie, podczas której Junot powiedział mi, jak niewdzięcznym zadaniem będzie poinformowanie generała o niewierności małżonki, ujawnionej w jednym ze zdobycznych, przysyłanych z Francji listów.

- Lekarz byłby oczywiście powiedział, że to halucynacja. Stwór ten jednak mówił o przyszłości, głosem głębokim, przewrotnym i takim, jakiego nie słyszałem nigdy przedtem ani potem. Nie należał do tego świata, Gage, ale był równie rzeczywisty jak ci stojący tam nad stawem uczeni. A potem zaczął mi przepowiadać przyszłość.

Tamtego dnia w Egipcie Napoleon zachowywał się jak człowiek opętany.

- Później miałem podobne wizje... pamiętasz, jak się położyłem w sarkofagu Wielkiej Piramidy? Ale były niepokojące! Tak czy owak, ów Czerwony Gnom wróżył mi przynajmniej dziesięć lat sukcesów we wszystkim, co sobie zamierzyłem, i dlatego tak mnie zirytowała przegrana z tobą i Sidneyem Smithem podczas oblężenia Akry. Nie powinienem był ponieść porażki! Ostatecznie jednak i tak wygrałem, ponieważ klęska pchnęła mnie do Paryża, gdzie dzięki kluczowi z Rosetty zdobyłem władzę. Ten Czerwony Gnom wszystko przewidział.

A więc stałem się ślepym narzędziem losu i niczego nie pojmując, uruchomiłem lawinę wydarzeń?

- A co to ma wspólnego z Og?

- Ten stwór powiedział, że powinienem przeszukać jego ruiny, ponieważ tam spoczywa machina o ogromnej mocy. Jeżeli wpadnie w ręce moich wrogów, stanie się przyczyną mojej zguby.

- Jakie ruiny?

Poleciałem przeprowadzić poszukiwania dotyczące tylko tej kwestii. Wydaje się, że nazwy Gog i Magog wspomina się w Biblii, a niektórzy interpretują je jako nazwy krain na krańcu świata. Samo Og jest celtycką nazwą potężnego królestwa. Zastanawiałem się, czy te nazwy nie mają wspólnego językowego rdzenia.

Magnus wierzył w dawno zaginione cywilizacje i zapomniane moce.

- Powiedziano mi, że ta machina ma coś wspólnego z Og. Czerwony Gnom ostrzegał władców Francji przed kryzysami, a ja powinienem zapamiętać tę nazwę, bo kiedyś ponownie ją usłyszę. Zapamiętałem, bo brzmi niezwykle, ale nie słyszałem jej nigdy potem... dopiero ty ją wypowiedziałeś.

Wzdrygnąłem się mimowolnie.

- Nie znam żadnego Czerwonego Gnoma.

- Ale znajdujesz rozmaite starożytności i los nieustannie nas ze sobą styka. Ethanie Gage, jesteś narzędziem przeznaczenia i dlatego tak mnie fascynujesz. Nikomu nie mówiłem o Og, bardzo niewiele powiedziałem o Czerwonym Gnomie, a jednak ty znasz to słowo. Ty, krnąbrny, nieobliczalny Amerykanin.

- Po prostu widziałem je zapisane. Nie miałem czasu, żeby zrozumieć, co znaczy.

- Zrozumienie! Niekiedy sędzę, że jestem równie szalony jak moi bracia! - Dziwactwa rodziny Napoleona były oczywiście źródłem nieskończonej liczby paryskich ploteczek. Im usilniej starał się obsadzać swoimi krewniakami odpowiedzialne stanowiska, tym złośliwiej opinia publiczna katalogowała ich pomyłki i błędy.

- Mój starszy brat Józef pragnie się tylko wzbogacić i jest dość lojalny - wyznał Napoleon. - Ale Lucjan jest przekupny i pełen zazdrości, a Hieronim, jak mi donoszą, został oczarowany przez jakąś córunię właściciela statku z

Baltimore. Baltimore! - Powiedział to tak, jakby Baltimore było jakąś barbarzyńską satrapią. - W styczniu tego roku zmusiłem Ludwika do poślubienia Hortensji, córki Józefiny, ale Ludwik nie cierpi kobiet, a Hortensja zakochała się w jednym z moich adiutantów. I przez całą noc przed ślubem zalewała się łzami.

Nie miałem pojęcia, dlaczego mi to wszystko wyznaje, ale ludzie niekiedy mówią mi różne rzeczy, bo uważają, że jestem człowiekiem błahym. Ostatnie paryskie ploteczki były znacznie bardziej złośliwe niż to, co teraz usłyszałem. Lucjan zaczął rozpowszechniać pogłoski, że Napoleon zmusił Hortensję do małżeństwa z Ludwikiem, ponieważ on sam, jej ojczym, pragnąc za wszelką cenę spłodzić dziedzica, stał się sprawcą jej ciąży. Małżeństwo Hortensji miało legitymizować przyszłego następcę. Hortensja była oczywiście w ciąży, ale kiedy i w jakich okolicznościach do tego doszło, było kwestią otwartą. Miałem dość rozumu, żeby nie drażyć tematu.

- Ty, panie, z pewnością nie jesteś szalony - powiedziałem ze współczuciem i pochlebnie. Umieć być bezwstydnym dworakiem. - Po prostu ciąży ci brzemię władzy.

- Tak, tak. Ach, Gage! Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo jesteś szczęśliwy, wolny od tego przekłętą ciężaru trosk!

- Ale próbuję wpłynąć na przyszłość Luizjany.

- Zapomnij o Luizjanie. Nie zmieni się jej status, dopóki się nie rozstrzygnie sytuacja na Haiti. Ci czarni nieustannie się buntują. - Skrzywił się. - A teraz obudziłeś wspomnienia tego gnoma. Zjawił się w moim namiocie mimo wszystkich wart! Jego opończa zostawiła na ziemi ślad podobny do śladu węża. - Mówił bezbarwnym głosem i patrzył gdzieś w dal.

- Ale nie wiemy, gdzie było to Og.

- Owszem, wiemy. Og to nazwa, którą uczeni kojarzą z Atlantydą.

- Z Atlantydą? - Czy tej nazwy też nie dostrzegłem na złotej folii? - A gdzie to niby ma być? - Oczywiście słyszałem o Atlantydzie. Magnus Bloodhammer mówił o niej w Ameryce, uczeni dyskutowali o jej geograficznej lokalizacji i zastanawialiśmy się nawet, czy nie było to miejsce, gdzie w amerykańskiej dżicy znajdowały się kopalnie miedzi. Nie pamiętałem jednak szczegółów tych rozważań.

- Atlantyda to opowieść Platona... bajeczne królestwo nazwane od tytana Atlasa, które zostało zniszczone w wyniku jakiegoś okropnego kataklizmu. Legenda głosi, że wyprzedziło wszystkich w rozwoju i starało się rozciągnąć swoje wpływy na cały świat. Ogólnie wierzy się, że leżało gdzieś daleko, podobnie jak Og. Może za Gibraltarem, który Grecy nazywali Słupami Heraklesa.

- I co wspólnego ma Og z Terą?

- Bo może wcale nie są tak odległe. Moi geografowie utrzymują, że na greckim wybrzeżu też jest miejsce nazywane Słupami Heraklesa. Podczas wyprawy do Egiptu uczeni mówili, że Tera była miejscem kataklizmu dostatecznie potężnego, by zrodzić legendy o Atlantydzie. A może ta wyspa była owym bajkowym królestwem? A może jej zniszczenie spowodowało zatonięcie leżącej gdzieś blisko Atlantydy?

Zatopienie Og? Przyszło mi na myśl, że może były o tym jakieś wzmianki w starożytnym języku używanym przez na poły mityczne stworzenia, które pamiętałem z moich przygód. Podążałem tropami boskich istot zwanych Thor i Toth. Przypomniałem sobie spekulacje dotyczące naszych tajemniczych poprzedników, których teraz pamiętamy jako bogów czy istoty z legend. Skąd przybyliśmy jakie są źródła naszej cywilizacji?

- To tylko legendy - ciągnął Napoleon. - A może nie? Może ta Og czy też Atlantyda naprawdę istniała i zostawiła po sobie coś, czego szukają czciciele zła? W ostatnich dziesięcioleciach byliśmy świadkami gorączkowych poszukiwań dotyczących legend i starożytności, których powodem była rosnąca popularność masonerii i niedawne odkrycia archeologiczne. Odnaleziono niektóre starożytne artefakty. - Z pewnością miał na myśli odszukaną przeze mnie Księgę Totha. - Cóż więc tam jeszcze może być? Dlaczego przywódcy loży rytu egipskiego tak bardzo starają się to odnaleźć? Sądzę, że nic, ale nie mogą sobie pozwolić na całkowitą niewiarę. Mogą to być rzeczy decydujące o wyniku bitew, upadku dynastii lub rezultatach wojen. I oto znowu stajemy twarzą w twarz, ty i ja.

Przełknąłem, przypominając sobie młot Thora: mit, który niemal usmażył mnie żywcem.

- Chcesz, panie, żebym stwierdził, czy te pogłoski zawierają odrobinę prawdy?

- W pewnych raportach mówi się o tajemnicach, jakie można znaleźć na Terze, wysepce skądinąd niemającej żadnego politycznego znaczenia.

- Moi koledzy sądzą, że ma znaczenie geologiczne.

- Dlatego właśnie jesteś tu, a nie w więzieniu. Proszę, porozmawiaj o tym z innymi, ale nie wspominaj o Czerwonym Gnomie. Jeżeli komukolwiek o tym powiesz, każę cię rozstrzelać.

- Sekrety to moja specjalność.

Spojrzał na mnie sceptycznie, ale cóż innego mu pozostało? Byliśmy dwoma łotrzykami związanymi ze sobą wspólnym przedsięwzięciem. Wróciliśmy do reszty grupy; Napoleon założył ręce za plecy, jakby chciał kontrolować swoje nerwy. Moi trzej uczeni towarzysze znowu patrzyli na

mnie z szacunkiem - rozmowa z Pierwszym Konsulem w cztery oczy przydała mi splendoru.

- Omawialiśmy legendę Platona o Atlantydzie - wyjaśnił Napoleon.

- No, niektórzy naukowcy wierzą, że opowieść jest prawdziwa - poprawił Fouche. Miał w sobie leniwą czujność kota; wśród prawd i uników poruszał się równie zręcznie i chyżo jak rachmistrze z izby obrachunkowej. - Mogło coś tam gdzieś pozostać.

- I choć to mało prawdopodobne, wy to zbadacie. - Teraz Napoleon przemawiał szorstko i zacierał ręce, jakby poczuł tchnienie chłodu. - Krążą pogłoski, że na tej wyspie mógł pozostać jakiś obiekt. Gdybym jednak wysłał na Terę ekspedycję wojskową, stałoby się to przyczyną wojny z Turcją, która wcale nie jest mi potrzebna. Ale grupka uczonych? Kogo obchodzi, co robią naukowcy? Przy odrobinie szczęścia możecie się tam zakraść, a potem wymknąć zupełnie niepostrzeżenie. Gdyby ktoś jednak zaczął was wypytywać, jesteście po prostu grupą badawczą mającą przeszukać stary wulkan. Uznają was za nieszkodliwych dziwaków.

- Jaki obiekt? - zapytał Cuvier.

- A to powinno zainteresować mister Fultona - odezwał się Fouche. - Mówi się, że wciąż jeszcze można tam znaleźć jakąś straszliwą broń z dawnych czasów albo przynajmniej wskazówki, jak ją zbudować. Niezbyt jasna jest natura owej broni, niektórzy jednak spekulują, że naród, który nią zawładnie, opanuje Morze Śródziemne, a może cały świat.

- Chcesz powiedzieć, panie, że to jakaś starożytna machina wojenna?

- Nie inaczej.

- Chciałbym ją zobaczyć. - Fultona ciągnęło do maszyn jak mnie do kobiet.

- Gdy się dowiedzieliśmy, że przywódcy loży rytu egipskiego dążą do spotkania z Ethanem Gage'em, zrozumieliśmy, że musimy działać. Niezwykle ważne jest, żebyśmy sprawdzili te pogłoski, zanim w niewłaściwe ręce wpadnie coś potwornego.

- W czyje ręce? Może angielskie? - zapytał wyzywająco Smith.

- Mówię o tych okultystach, którzy wszędzie na świecie mają swoich agentów. Choć wolelibyśmy ciebie w to nie mieszać, Monsieur Smith, sprawa nie dotyczy rywalizacji francusko - angielskiej... to sojusz w obronie nas wszystkich. Zresztą wciągając cię w tę ekspedycję do Palais Royal, Gage nie zostawił nam wyboru. Teraz, obawiam się, będziesz na krótko zmuszony do naukowej współpracy z francuskim rządem. Ostatecznie mamy teraz pokój.

- Ale moje interesy leżą w Brytanii!

- Powiedziano mi, że teraz jesteś bez pracy.

- Co wcale nie znaczy, że mam ochotę na wyprawę do Grecji!

- Cóż, jesteśmy twoimi nowymi pracodawcami, mój panie.

- A jeżeli odmówię?

- To dopóki sprawy się nie wyjaśnią, uznamy cię za szpiega. Pomóż nam, a pomożesz swojej geologicznej karierze. Wiemy, że Królewskie Towarzystwo Geograficzne zlekceważyło twoje prace.

- Zaraz, zaraz - odezwał się Fulton. - Nie zaprzeczam, interesują mnie starożytne maszyny, ale nic mnie nie obchodzą ani ta Tera, ani Og!

- Owszem, zainteresują cię, panie, jeżeli chcesz, by francuski rząd zainteresował się twoim pomysłem zbudowania parowca - odezwał się Napoleon. - Wyczerpałeś naszą cierpliwość i budżet tym twoim pomysłem śmiesznego

Nautilusa, ale jeżeli zgodzisz się nam pomóc, ucziwie rozpatrzemy sprawę twojego osobliwego zestawienia statku i silnika parowego.

- Aha.

- A ty, Cuvier, zechcesz pewnie towarzyszyć tym panom, by dodać osobliwemu kwartetowi szczypty galijskiej logiki i zdrowego rozsądku. Będiesz szefem ekspedycji i jej skarbnikiem. No chyba że wolisz niełaskę, wydalenie z Instytutu i utratę Ministerstwa Edukacji.

- Pierwszy Konsulu, chciałbym tylko odzyskać honor. My, uczeni, musimy dbać o reputację, choć Gage'owi wcale na niej nie zależy. Przepraszam za udział w tej burdzie, ale może obróci się to na dobre.

- A co ze mną? - zapytałem niezbyt zadowolony z tego, że nikt nie sprzeciwił się określeniu „burda”.

- Zgodnie z twierdzeniem Madame Marguerite, która jest naszą agentką, ten przejechany przez ciebie Ozyrys zgodził się zabrać cię do twojej dawnej kochanki, Astizy - wtrącił Fouche. - I też chciał cię zawieźć na Terę. Ta kobieta musi tam być albo przynajmniej znajdziesz tam wskazówki dotyczące miejsca jej pobytu. Przysłuż się Francji, a odeślemy cię do twej egipskiej pani. W przeciwnym razie wrócisz do Stanów z wiadomością, że nie udało ci się namówić nas do sprzedaży Luizjany, a karaibska armia niedługo wyląduje w Nowym Orleanie. Zostaniesz wygnany z Francji, oskarżony o niepowodzenie dyplomatycznej misji w Stanach i w końcu będziesz się musiał wziąć do ucziwej pracy.

Przełknąłem ślinę. Przedstawione tu perspektywy bardzo mi się nie podobały.

- Wszystko więc, co trzeba nam zrobić, to udać się na Terę, porozmawiać z tym Grekiem i pomyszkować w poszukiwaniu starożytnej broni?

- Macie znaleźć tę starożytną broń. A przynajmniej przywieźć jakieś wiadomości, tak by nie znaleźli jej pierwsi tureccy żołnierze, zagraniczni szpiegi, piraci, buntownicy, opryszkowie czy ci wyznawcy z rytu egipskiego. Uznajcie to za rodzaj wakacji, panowie. Nazwijcie to chłopięcą przygodą.

Niewyspani, z piaskiem pod powiekami, obolali i przestraszeni kolejno wyraziliśmy zgodę, choć niechętnie. Jakież mieliśmy wybór?

- Ale jak mamy znaleźć tę broń? - zapytał Cuvier. Fouche wyjął zza pazuchy niewielki aksamitny woreczek.

- Zanim nasze wojska zmuszono do opuszczenia Wysp Jońskich, jeden z naszych oficerów kupił od pewnej szlachetnej, a znajdującej się w potrzebie damy stary pierścień. Utrzymywała, że wykuto go pod koniec piętnastego stulecia. Całe wydarzenie było zbiegiem osobliwych przypadków: ów oficer twierdzi, że dama była niezwykle piękna i bardzo tajemnicza. Niektórzy wysunęli przypuszczenie, że pierścień jest dziełem samych templariuszy. Gdy moi agenci usłyszeli o wszystkim, postanowiłem kupić ten pierścień. Sądzę, że sami się domyślicie, dlaczego tak zrobiłem.

Pierścień był częściowo spłaszczony i przypominał miniaturową pieczęć. Wszyscy czterej natychmiast spostrzegliśmy wyryte na jego powierzchni słowo „Tera”. W tle widać było jakiś budynek częściowo przykryty jakby nadgryzioną kopułą przypominającą półksiężyc, a przed nim coś na kształt kamiennego sarkofagu z uchyloną pokrywą. Stał przy nim jakiś człowiek w długich szatach i średniowiecznej czapie, który jakby z niego wyłaził albo doń wlaził.

- Co to wszystko znaczy?

- Nikt nie wie - odparł policjant. - Najwyraźniej jednak pierścień związany jest jakoś z tą wysepką. Czemu templariusze mieliby wykuwać pierścień z nazwą

zapomnianej wysepki? Teraz to niewiele więcej niż kupa żużlu. Ten Grek, z którym macie się spotkać, może uznać, że warto wam pomóc.

- Może tam właśnie ukryto tę broń - powiedziałem, przyglądając się pierścieniowi. - Ten człowiek włazi do sarkofagu, by nią zawładnąć. - W porównaniu z medalionem, który miałem podczas wyprawy do Egiptu, ten artefakt wyglądał na bardzo prosty i nieskomplikowany.

- To wy zróbcie to samo. Zerknijcie na rewers. Odwróciłem pierścień, by zbadać część płaszczyzny przylegającą do skóry. Zobaczyłem kolejną kopułę, zupełnie zwyczajną i wpisaną w nią literę A.

- Co to znaczy?

- Nie mamy pojęcia. Podczas podróży na Terę będziecie mieli dość czasu, by się nad tym zastanowić. Najważniejsza, panowie, jest szybkość. Niech wasza podróż będzie szybka i cicha, a wyprzedzicie prześladowców.

- Prześladowców? - Zdażyłem już znienawidzić to słowo.

Cuvier potarł zmęczoną twarz.

- Ale przynajmniej możemy zbadać ten wulkan. Może przy odrobinie szczęścia zdołamy spowodować erupcję?

- Czy to nie byłoby wspaniałe? - zapytałem z przekąsem.

- Doskonale! - zamknął sprawę Napoleon. - A teraz... Kto chce postrzelać do łabędzi?

ROZDZIAŁ 8

Napoleon obiecał, że uporamy się z naszą misją w miesiąc lub dwa. Istotnie, Europa zażywała pokoju, upalne lato wysuszyło drogi i dotarliśmy z Paryża do Wenecji w dwa tygodnie. Podróżowaliśmy przez południową Francję, a potem wzdłuż wybrzeża, przekraczając granice niedawno utworzonej przez Napoleona po zwycięstwie pod Marengo Republiki Cisalpińskiej. Nie dostrzegałem niczego, co świadczyłoby o tym, że jesteśmy śledzeni. Oczywiście nasi wrogowie, o ile nie zrezygnowali, mogli dokładnie odgadnąć, dokąd się udajemy, jeżeli weźmie się pod uwagę, że Ozyrys, Marguerite i Fouche znacznie lepiej od nas wiedzieli, co się dzieje. Nasza wyprawa była prawdopodobnie równie tajna jak brak antykoncepcji w dziewiątym miesiącu ciąży. Z drugiej strony nie było niemożliwe, że zniechęciliśmy wyznawców rytu egipskiego albo uczynił to za nas Fouche i nasza wyprawa będzie zwykłą letnią wycieczką.

Choć moi towarzysze nie byli zadowoleni, że zostali zwerbowani, i obwiniali mnie za to, iż musieli ulec namowom Bonapartego, podniecała ich jednak perspektywa podróży na koszt rządu francuskiego. Nasze wydatki pokrywał Cuvier, choć jak wszystkich skarbników niełatwo go było przekonać do zamówienia kolejnej butelki dobrego wina czy lepszej pieczeni.

- Ostatecznie to ja będę się rozliczał z wydatków - warczał - i niech mnie kaczki zdepczą, jeżeli zdołam ministerialnym księgowym wyjaśnić, dlaczego ten krag sera był bardziej potrzebny niż tamten, tańszy i o sto gramów cięższy.

- Wydawało mi się, że wy, Francuzi, stawiacie wyborne potrawy ponad sztukę, a nawet ponad miłość - stwierdził Smith.

- Kiedy przychodzi do oceny wydatków, nasi księgowi wykazują smak Anglików.

Nie zamierzałem się skarżyć. Wiedziałem, że podróżuję dyliżansem, i moim jedynym celem było dotrzeć na miejsce, a nie każdy miał takie szczęście. Mijaliśmy długie szeregi wieśniaków koszących łąny jeszcze o zmierzchu lub opalonych stajennych wynoszących mierzwę ze stajen albo dziewczki przechadzające się wśród stad drobiu zamykających się za nimi niczym fale morza, gdy rozsypywały ziarno. Rozmyślałem o tym, jak inne, bezpieczne i nudne jest życie ludzi przywiązanych do jednego miejsca, których dni różnią się tylko porami roku. Wieczorami, żeby rozprostować kości, wybierałem się na przechadzki, zjadałem znalezione owoce, a gdy natykałem się na jakiegoś bystrego chłopaka lub ładną dziewczkę, prezentowałem im niekiedy swoją rusznicę i pokazywałem, jak można zestrzelić siedzącą na gałęzi wronę. Traktowali takie pokazy jak magiczne sztuczki, mnie zaś jak gościa z innego świata.

Uczeni byli pełni obaw, ale też podnieceni. Mieli zobaczyć niezwykle interesującą geologicznie wysepkę na rubieżach imperium osmańskiego, zająć się dyplomacją i może dokonać jakiegoś odkrycia lub dwu z dziedziny archeologii. Nasza misja z pewnością była bardziej interesująca od akademickich spotkań. Prawdą też było, że wciąż jeszcze miałem reputację bohatera i awanturnika, a uczeni mniemali, że coś z niej może przyłgnąć i do nich. Nie mogłem ich za to winić.

Ustaliliśmy role: ja byłem nie do końca godnym zaufania, ale wzbudzającym postrach przewodnikiem, Cuvier skarbnikiem i sceptycznym nadzorcą, Smith robiącym dobrą minę do złej gry, upartym i zawziętym Anglikiem, zawsze gotowym wziąć na swe barki dodatkowe brzemię lub odpowiedzialność, a Fulton był mechanikiem i złotą rączką,

którego fascynował każdy młyn czy śluza. Wynalazca spędzał czas, szkicując ulepszenia w resorach naszego dyliżansu, które woźnica wszystkie odrzucał jako zbyt drogie albo niepraktyczne.

Z nudów diskutowaliśmy też o konieczności napisania historii świata na nowo.

- Wiemy, że warstwy skał osadzały się i erodowały przez całe eony - mówił Smith. - Ale jak to się działo? Przyczyną były katastrofy, takie jak wybuchy wulkanów czy powodzie, a może niezmordowane działanie wiatru i deszczu? I po co było to całe zamieszanie przed pojawieniem się człowieka w akcie Stworzenia?

Na każdej stacji zbierał skały i kamienie, a potem zaznaczał ich rodzaje na swojej mapie Francji - dla mnie wszystkie wyglądały podobnie, on jednak potrafił je rozróżnić niczym poganiacz bydła swoją trzodę - a potem wyrzucał przez okno dyliżansu.

- Wiemy również, że na Ziemi żyło wiele już wymarłych stworzeń - podjął wątek Cuvier - niektóre były naprawdę ogromne. Czyżby Stwórca zaczął od ogromnej różnorodności na wielką skalę, a potem czas wszystko przetrzebił, zwierzęta zaś skarłały? Wydaje się, że byłby to postęp dość osobliwy. Jesteśmy ukoronowaniem dzieła Stworzenia czy jego zmarniałym owocem? A może zwierzęta się zmieniają i jedne są zastępowane przez inne, jak wnioskują Saint - Hilaire? Z wielu powodów ta hipoteza wydaje mi się śmieszna; nie wiadomo na przykład, w jaki sposób takie mutacje miałyby następować.

- Przedstawił mi ten dziwny pomysł w Egipcie - odezwałem się, trzymając rusznicę między kolanami. Nie było to nerwowe przyzwyczajenie; raz już mnie obrabowano podczas podróży dyliżansem. - Mnie bardziej interesuje zagadnienie początków cywilizacji. Czy ludzkość znała

cudowne urządzenia, o których zapomniano po upadku imperium rzymskiego? Niektórzy ze znanych mi ludzi utrzymują, że mity o starożytnych bogach odnoszą się do starodawnych istot, które uczyły pierwszych ludzi sztuki budowania, pisma i rozwoju, wyciągając nas w ten sposób z błota. Okultyści z rytu egipskiego uważają, że ponownie odkryta wiedza naszych przodków mogłaby stać się źródłem straszliwej potęgi. Widziałem rzeczy i zjawiska świadczące o tym, że mogą mieć rację.

- Jakie rzeczy? - zapytał Cuvier. Miał przy sobie oprawny w czerwoną skórę notatnik i pióro do zapisywania naszych odkryć, a także cynowy oficerski pojemnik polowy, w którym znajdowały się nożyczki, grzebień, szczoteczka do zębów oraz kombinacja zegarka i kompasu w miedzianej obudowie. Zapisywał wszystkie nasze uwagi i zaznaczał zmiany kierunku drogi na każdym zakręcie, jakby nikt nigdy przedtem nie kreślił mapy tej drogi.

- Księga, która była źródłem samych kłopotów. I narzędzie, młot... ten był jeszcze gorszy.

- A my teraz mamy odszukać jakąś starożytną broń, mając na karku Bonapartego, Fouchego i tych szaleńców z burdelu Madame Marguerite, którzy też chcieliby położyć na niej łapy - zrzędził Fulton. - Nie umiem odgadnąć, dlaczego Napoleona tak ciekawią starożytne maszyny, zamiast jak najbardziej nowoczesnych, które mu proponowałem. - Wynalazca zabawiał się rozbieraniem i składaniem swojego kieszonkowego zegarka. Gdy dyliżans podskakiwał na wybojach, gubił sprężyny i tryby, a potem zmuszał nas do szukania części na brudnej podłodze pojazdu.

Cuvier trzymał swój kompas - zegarek z dala od ruchliwych dłoni wynalazcy.

- W ludzkiej naturze leży doszukiwanie się wad w tym, co mamy, i idealizowanie tego, czego nie mamy - odezwałem się.

- Poza tym, Robercie, zbudowanie twojej łodzi podwodnej czy parowca oznacza zmiany, które wielu ludziom nie odpowiadają. Wysyłając nas na poszukiwanie skarbu i spiskowanie z greckim patriotą, Napoleon nic nie ryzykuje.

- Prócz naszych głów - odezwał się Smith. - On jest jak człowiek stojący na brzegu kanału i chcący go pogłębić, a my kopujemy na dnie.

- Człowiek na brzegu kanału powie ci, że ma lepszy widok i lepiej potrafi ocenić potrzebną głębokość - odparł Cuvier.

- A stojący na dnie odpowie, że to on przenosi ziemię i kamienie oraz że to na jego dłoniach robią się pęcherze.

Przeplływając promem płytkie i przejrzyste wody weneckiej laguny, przybyliśmy do tego bajkowego, chylącego się już ku ruinie i podobnego do ślubnego tortu miasta. Wenecja wciąż jeszcze wrzała po krótkim okupowaniu przez wojska Bonapartego w 1797 roku. Francuskie oddziały wyłamały bramy getta (w rezultacie wielu Żydów wstąpiło w szeregi wojsk zdobywców) i zakończyły tysiącletnią niezależność miasta szeregiem dekretów narzucających mu republikańskie idee. Rewolucja była krótka, bo kilka miesięcy później na mocy traktatu w Campo Formio miasto dostało się Austriakom, bram getta jednak nie odbudowano i wszyscy rozprawiali o niepokojących perspektywach obiecaney przez Francuzów wolności. Równie gorąco omawiano ostrzeżenia o tym, że francuskie reformy prowadzą do tyranii. Jednym Bonaparte przyniósł obietnice, innym zagrożenie. Był wyzwolicielem czy nowym panem?

Kusiło mnie, by zatrzymać się na dłużej w tym mieście o dekadencckiej urodzie, pełnym krętych, choć śmierzdzących kanałów i majestatycznych niczym lodowe góry, pochylonych i osiadających w wodzie domów, wśród których słyhać było rytmiczne zaśpiewy romantycznych gondolierów

przeplływających pod łukami nadgryzionych już zębem czasu marmurowych mostów. Z barokowych balkonów opadały kaskady kwiatów, a pod kolumnadami placu Świętego Marka przechadzały się ciemnowłose pięknotki, niczym diuszesy w tańcu, olśniewając jedwabiami szat barwnych jak motyle skrzydła. Miasto wypełniały dźwięki dzwonów, pieśni, operowych arii i odpowiadających im kościelnych chórów, pachniało zaś perfumami, przyprawami korzennymi, węglem, uryną i morzem. Na drobnych falach igrały promienie słońca, a z mroków wabił blask świec.

Przypomniałem sobie jednak, że jestem nowym człowiekiem, który wyrzekł się grzesznych rozrywek, oparłem się więc pokusom skosztowania rozkoszy, zbytku i przewrotności. Zamiast tego uprosiłem moich towarzyszy, by dali mi czas na odszukanie porządnej weneckiej klingi w jakimś warsztacie słynnych włoskich płatnerzy. Weneckie szpady znane były z lekkości, doskonałego wyważenia, a jednak były o włos cięższe i solidniej wykute niż francuskie.

- Najlepsi szermierze mają wyłącznie takie szpady - usprawiedliwiłem się.

Do walk w mrocznych alejkach bardziej nadawał się marynarski kordelas, kołyszący się przy boku rapier wyglądał jednak bardziej elegancko w oczach kobiet. Z ochotą przypiąłem do pasa broń i spojrzawszy na swoje odbicie w popękany lustrze płatnerza, doszedłem do wniosku, że wyglądam niezwykle dwornie. Wydałem więc dwakroć więcej pieniędzy, niż zamierzałem, i szybko się przekonałem, że podczas przechadzki broń tak obijała się o moje udo, iż ostatecznie odpiąłem ją i przełożyłem sobie przez plecy, jak Magnus Bloodhammer nosił swój topór, bo inaczej pochwa plątałaby mi się pomiędzy nogami. W końcu był już dziewiętnasty wiek i doszedłem do wniosku, że gdyby dość niezwykłym przypadkiem zdarzyło się istotnie, iż

potrzebowałbym oręza tak antycznego jak rapier, miałbym z pewnością dość czasu, by zdjąć go z pleców, wyjąć z pochwy, oczyścić go i naostrzyć, a potem przyjąć odpowiednią postawę. Wciąż zresztą nosiłem ze sobą tomahawk i moją rusznicę, którą co prawda szpeciło głębokie nacięcie na kolbie - złamała się o nią szpada Cecila Somerseta podczas mojej niedawnej amerykańskiej przygody. Broń była tak poszczerbiona, że niewiele już zachowała z elegancji, jaką nadano jej w jerozolimskiej rusznikarni. Ale nadal była bardzo celna i z tym wszystkim wyglądałem jak niewielki chodzący arsenał. Kobiety rzucały zza wachlarzy niespokojne, choć zaintrygowane spojrzenia i zastanawiały się, kim może być ten łotrowsko wyglądający nieznajomy, a mężczyźni w wąskich uliczkach na mój widok wtulali się w ściany, jakbym był jakimś stukniętym rzeźnikiem. Wenecjanie nawykli do widoku egzotycznych gości, ale Ethan Gage, Amerykanin z pogranicza, stał się przedmiotem ploteczek, co mnie potajemnie bawiło.

Ze względu na to, że mieliśmy się zapuścić na terytorium osmańskie, moi towarzysze nie protestowali przeciwko mojemu zakupowi i sami też postarali się o broń. Cieszyła nas możliwość nabycia prawdziwie męskiego ekwipunku.

Po wypróbowaniu kilku sztuk oręza Cuvier kupił parę zdobionych srebrem i mosiądzem pistoletów pojedynkowych w szkatułce z różanego drzewa. Niosły śmierć na odległość dziesięciu kroków.

Rubaszny i serdeczny skądinąd Smith znalazł coś niezwykłego: przerażająco wyglądający garłacz, holenderską „grzmiącą rurę”, która z piętnastocalowej lufy wyrzucała grad kul. Broń była dość krótka, by ukryć ją pod płaszczem lub oponczą. Wystrzeliwszy na próbę w porcie, poderwał w powietrze chmurę gołębi na odległym o dwieście kroków placu Świętego Marka.

- Kopie jak muł, ale wali niczym niedźwiedź - oznajmił nam potem. - Ta rura nauczy bojaźni bożej drani, którzy zechcą spróbować abordażu.

Sądziłem, że Fulton też poszuka jakiejś broni palnej, może nawet jakiejś bardziej wymyślnej, jak na przykład dziewięciolufowy muszkiet, przeznaczony do walk morskich i strzelania z bocianiego gniazda, rzadko używany, bo kopał tak straszliwie, że często zrzucał strzelca na pokład lub w morze. Wyglądało na to, że wynalazca potraktuje go jako wyzwanie, i oczami wyobraźni widziałem już Fultona, jak konstruuje obejmy i uchwyty zapobiegające odrzutowi. Ale nie, mojego rodaka zafascynował inny instrument: zakurzone i poobijane szkockie dudy, które znalazł na półce jakiegoś kramu.

- Istotnie wzbudzi to popłoch w szeregach nieprzyjaciół - stwierdziłem z udanym entuzjazmem w głosie. - Słyszałem dudy, na ich dźwięk psy reagują wyciem i ucieczką. Wikingowie przez tysiąc lat trzymali się z dala od szkockich wybrzeży, bo nie mogli znieść tych jęków.

- Wiesz, ten połykacz ognia w Palais podsunął mi pewien pomysł - odparł Fulton. - Nie zamierzam na tym grać, ale mogę to wykorzystać. Co będzie, jeżeli z tej rury plunie ogniem? Może coś wykombinuję podczas rejsu na południe. - Nacisnął wór, wydobywając przeraźliwy jęk. - Albo będziemy mieli zabawę.

Jestem osobnikiem o wyjątkowej pobłażliwości wobec ludzi stukniętych i dlatego może znam ich tak wielu.

Zapłaciliśmy za sprawunki, wynalazca zadał raz czy dwa w dudy, wszyscy skrzywili się okropnie, po czym naukowcy stwierdzili, że czas nam w drogę.

- Pospieszmy się, by więcej czasu poświęcić nauce - wyjaśnił Cuvier. - Tera to depozyt czasowy. Musimy wyjaśnić tajemnice naszej planety, bo bez tego nic nie ma sensu. Czas, panowie, czas...

- Ben Franklin powiedziała, że większość ludzi nie wypełnia danego im czasu w sposób sensowny.

- Mówiłem o nauce. Ludzki umysł jest związany naszą zwięzłą koncepcją historii, Ethanie. Planeta jawi nam się jako coraz bardziej skomplikowany twór i wszystkie nasze wyjaśnienia musimy zmieścić w kilku tysiącach lat, jak dorastający chłopiec zmuszony do noszenia butów o trzy numery za małe. Ale jeżeli przyjmujemy, że Ziemia jest starsza, niż myślimy, to dajemy pole różnym możliwym spekulacjom.

- Na przykład jakim?

- A takim, że skoro świat nie zawsze był taki, jaki jest, to nie musi też taki pozostać - wtrącił Smith. - Może jesteśmy tylko jednym z rozdziałów długiej opowieści. Może ludzie nie są zwińczeniem aktu Stworzenia, lecz tylko graczami w większej grze, której zasad nie znamy.

- Ludziom nie spodoba się ten koncept, Williamie. Lubimy sądzić, że historia zaczyna się i kończy na nas.

- To dlaczego Bóg nie zostawił nam śladów wskazujących, że tak jest w istocie? - zapytał Anglik.

- Cóż, jeżeli te skały są istotnie tak stare, to mamy dość czasu na zjedzenie kolacji na placu, zanim się do nich dobierzemy, prawda?

- Fouche i Napoleon zalecili nam pośpiech. A weneccanie dziwnie nam się przyglądają. Głównie tobie.

- Fouche i Napoleon nie mają odcisków na tyłkach po przejechaniu kilkuset mil do jednego z najpiękniejszych miast na świecie. Kiedy ludzie gapią się na nas, panowie, trzeba się gapić na nich... zwłaszcza na ładne dziewczęta.

Kontynuując wątek, przekonałem towarzyszy o potrzebie odpoczynku, szczególnie że nie znaleźliśmy jeszcze jakiegoś weneckiego kapitana, który zabrałby nas na miejsce. Wenecja miała na pieńku z Turkami przynajmniej od trzystu lat, a

osmańskie wody roiły się od piratów. Grecy cierpieli pod jarzmem muzułmanów, którzy mówiąc o nich, używali określenia rayah, czyli bydło. Żaden weneccjanin nie zdradzał przesadnej ochoty popłynięcia do tak jałowego miejsca na morzu jak wysepka Tera. Kapitanowie, z którymi rozmawialiśmy, proponowali opłaty, za które snadniej moglibyśmy dotrzeć na Księżyc. Obiecałem towarzyszom, że ponownie rozejrzemy się w porcie jutro, a tymczasem powinniśmy znaleźć stolik w Campo di San Polo. Uczeni, oczarowani Wenecją podobnie jak ja, przystali na moją propozycję. Na niebie pojawiły się gwiazdy, na placu rozmaici muzykanci, a na naszym stole dzbany wina. Gdy opijaliśmy nasze dotychczasowe sukcesy, moi towarzysze zaczęli łypać na przechodzące pięknotki równie łapczywie jak ja. Jak Odyseusz, zostaliśmy uwiedzeni przez syreny - i padliśmy ofiarą moich złudzeń, że nasi wrogowie zostali za nami albo znacznie nas wyprzedzili.

Byliśmy już nieźle podchmieleni, gdy naszą uwagę zwróciła przechodząca obok, nader urodziwa i smagła dziewczyna. Miała wysoko upięte włosy, skórę niczym płatki kwiatu i rozciętą z przodu aż do brzuszka suknię. Liczyłem na mrugnięcie albo słówko zachęty, zamiast tego jednak pięknotka kuszącym gestem sięgnęła pod rąbek sukni, uraczyła nas na chwilę widokiem kostki i uśmiechając się figlarnie, wyjęła coś okrągłego. Jabłko? Szybko podniosła tajemniczy przedmiot do kawiarnianej latarni. Z końca przedmiotu sypnęły się iskry jak z czarodziejskiej różdżki, a potem urocza nieznajoma z najśłodszy uśmiechem szurnęła tym po ziemi w naszą stronę.

- Czy to jakiś włoski obyczaj? - Smith czknął i spojrzał na kulę, która zatrzymała się pomiędzy naszymi krzesłami.

- Jeżeli tak, to ona turla to jabłko z wdziękiem bogini - wymamrotał bardzo już wstawiony Cuvier.

- Ethanie, co to jest? - zapytał Fulton, spoglądając ciekawie na smugę dymku, która uniosła się z kuli. - Zaproszenie na festiwal sztucznych ogni?

Schyliłem się pod stół.

- To jest granat, przyjaciele.

ROZDZIAŁ 9

Nie mam pojęcia, dlaczego tak regularnie rozczarowuję piękne kobiety, ale zaryzykowałbym stwierdzenie, że nie rzucają we mnie bombami wcześniej niż po godzinie czy dwu znajomości. Ta rzuciła się do ucieczki, zanim zdążyłem ją pozdrowić, jakby chciała tylko rozerwać na strzępy nasze intymności. Kierowany instynktem, którego źródłem były częste miłosne nieporozumienia, chwyciłem dymiący granat, rozejrzałem się rozpaczliwie dookoła i cisnąłem w jedyne nadające się do tego miejsce, jakie uznałem za odpowiednie - to znaczy do ceglanego restauracyjnego pieca.

Eksplozja, która nastąpiła niemal natychmiast i miotnęła na wszystkie strony odłamkami cegieł, chlebowego ciasta, węgla i fragmentów kaczej pieczeni, mogłaby pourywać nam głowy, gdybym nie podciął nóg swoim towarzyszom i nie zgarnął ich na bezładną kupę, używszy przewróconego stołu jako tarczy. Ogarnęła nas chmura ceglanego pyłu, na całe szczęście piecyk pochłoniął największą część energii wybuchu, a klienci rzucili się z wrzaskiem do bezładnej ucieczki.

- To okultyści z rytu! - krzyknąłem. Piekły mnie oczy, a w głowie wciąż szumiało po eksplozji. - W konie!

- Ethanie, jesteśmy na wyspie - odparł Cuvier, krztusząc się i kaszląc. - Nie mamy koni.

- Owszem. - Potrząsnawszy głową, jak przez mgłę dostrzegłem kilku obleczonych w czarne oponcze z kapturami ludzi, wpadających na Campo z drugiej strony i wywijających jakimiś metalicznie połyskującymi w mroku przedmiotami. Jeden wymachiwał dłonią, jakby udzielał pozostałym wskazówek czy wydawał im komendy. - Więc do gondoli!

- Nie sądzę, żeby te dranie dały nam czas! - syknął Smith.

Pozbieraliśmy się szybko, zgarniając naszą porozrzucaną broń i sakwy, i rzuciliśmy się do ucieczki, bo obcy skoczyli w

naszą stronę. Usłyszałem wrzaski ludzi i zrozumiałem, że odzyskałem słuch.

I nagle rozległ się ogłuszający huk, który podrzucił w górę wszystkich obecnych, a Smitha ponownie cisnęło na rozwalinę pieca. Anglik wystrzelił ze swojego nabitego ośmioma kulami garłacza. Trzej napastnicy runęli na ziemię. Rykoszety zagwizdały wokół niby wściekłe osy. Pozostali łotrzykowie z okrzykami przestachu kopnęli się poszukać jakichś osłon.

- Tam do kata, Angliku, to było jak salwa burtowa! - krzyknął Cuvier.

Idąc za przykładem geologa, podniosłem rusznicę i wymierzyłem w przywódcę opryszków. Wstrzymałem oddech, wziąłem poprawkę na to, że gnał, by skryć się w cieniu, nacisnąłem łagodnie spust i wypaliłem. Runął na ziemię, potoczył się po bruku i nie bez uciechy usłyszałem wrzask bólu.

- Nie zasiadaj do obiadu, nie nabijasz broni - mruknąłem.

- A jak masz garłacz, nie jest istotne, ile wypijeś do posiłku - odpowiedział Smith, czknąwszy donośnie.

Wycofując się, sięgnąłem po przytroczony do pleców rapier, zakławszy w duchu, że nie przypiąłem go do pasa. Zimna stal ma to do siebie, że nie trzeba się martwić nabijaniem. Niestety, musisz się zbliżyć do ludzi, którzy chcą cię zabić. Napastnicy otworzyli ogień, kule wokół nas ze świstem wbijały się w drewno i tynk. Pognaliśmy szybciej.

Przy Giuffa Canal nawet się nie zawahaliśmy. Spostrzegłszy przepływającą obok gondolę z pasażerem i podśpiewującym gondolierem, skoczyliśmy na nią niczym piraci i wyrzuciliśmy biednego pasażera za burtę.

- Tak będzie dla pana bezpieczniej, signore! - ryknąłem za nim.

Pluskał się w brudnej wodzie, a jego kapelusz pływał obok niczym mała tratwka.

W końcu udało mi się wydobyć rapier i przyłożyłem sztych do krtani gondoliera.

- Do Grand Canal! Nie martw się, dostaniesz spory napiwek!

Sternik wybałuszył oczy, patrząc na moją klingę.

- Mam śpiewać, signore?

- Nie, oszczędzaj płuca. Spiesz się. - Gondolier pchnął łódź na kanał, a ja spojrzałem na moich towarzyszy. Smith nabijał już garłacz. - Cuvier, bierz pistolety i strzelaj do drani, jak się tu pokażą. Fulton, proszę, nie graj na dudach.

- Przestrzelili miech, łotry jedne!

- To wymyśl coś innego. - Usiłowałem sobie przypomnieć zarys płataniny miejskich kanałów. - Popłyniemy do portu Świętego Marka i zobaczymy, czy nie da się kupić miejsc na jakimś statku, który nas stąd zabierze.

- Mój Boże, kim była ta kobieta? - zapytał Smith. Ładował proch drżącymi dłońmi. Zabijanie ludzi nie jest łatwe, szczególnie za pierwszym razem.

- Jestem pewien, że nie chodziło jej o flirt. Idę o zakład, że pracuje dla naszych nieprzyjaciół. Myślę, że trwa wyścig do sekretów Tery, i obawiam się, iż nie możemy zwlekać. Po Wenecji obiecywałem sobie czegoś więcej. Mam na myśli cenę oberży.

- Widzę, że ktoś za nami podąża - odezwał się nagle Cuvier, który przez chwilę wpatrywał się w mrok.

Wystrzelił z pistoletu. Błyski wystrzałów oślepiły nas na chwilę tak, że nie mogliśmy zobaczyć, do czego strzelał. Nie uwierzyłbym, że może w cokolwiek trafić z tych swoich zabawek, ale usłyszeliśmy dźwięk rykoszetu i wrzask bólu.

- Na kły mastodontów, działają! - krzyknął uradowany Cuvier. - Niebezpiecznie jest nas zaczepiać!

Minąwszy zakręt, zanurzyliśmy się w mroku, a potem mniejszym kanałem przemknęliśmy do większego, wygiętego na kształt litery S. Po obu jego stronach wznosiły się wspaniałe kilkupiętrowe pałace o wysokich oknach oświetlonych od środka świecami i żyrandolami, w których blasku można było dostrzec resztki dawnej imperialnej wielkości. Widziałem bogate arrasy sprzed stu lat, kryształowe kandelabry, brokatowe zasłony i draperie, i białe, jakby księżycowe twarze wyglądające przez okna na kanał w poszukiwaniu źródeł naszych hałasów. Przepłynęliśmy pod mostem Rialto; pod łukami jego arkad spacerowali kochankowie. Skierowaliśmy się ku centralnej części miasta, do portu i zakotwiczonych tam przy piazza San Marco statków. Gwiazdziste niebo zasłaniały nam gdzieś tam domy i kopuły świątyń, a nad mrocznymi wodami niosły się dźwięki muzyki operowej.

- Chyba ich zniechęciliśmy - stwierdził Smith, oglądając się przez ramię.

- Obawiam się, że muszę cię rozczarować, Monsieur Smith - odpowiedział Cuvier, wskazując jednym z pistoletów, z którego lufy wystawał jeszcze wycior, bo naukowiec nie skończył nabijania broni. - Wygląda na to, że nasi prześladowcy mają liczną kompanię.

Z kanału przed nami wysunął się rząd gondoli - sternicy zamierzali przeciąć nam drogę. Dostrzegliśmy dość lśniącego metalu, by można nim było zappełnić zbrojownię. Potem zobaczyliśmy błyski wystrzałów i wokół nas wykwitły maleńkie fontanny, a od ścian budynków odbiły się echa. Z naszej gondoli sypnęły się w kilku miejscach drzazgi i sternik struchlał.

- Jak spróbujesz wyskoczyć, rozplątam cię od gardła do pierdła! - ostrzegłem go i przystawiłem mu sztych rapiera do

krtani. - Wpłyn w ten tam boczny kanał, zanim wystrzela następną salwę!

Miałem nadzieję, że uda nam się zgubić prześladowców w wodnym weneckim labiryncie. Wąski szlak był mroczny, a ściany domów wyrastały w górę niczym strome skały.

Zaraz potem za nami pojawiły się światła latarni ścigających nas gondoli. Usłyszeliśmy nerwowy chłupot ich wiosła. Ponownie strzeliłem z rusznicy i latarnia pierwszej gondoli zachwiała się, ale nie zgasła. Ktoś runął z pluskiem do wody i odpowiedziało mi kilka wystrzałów, odbiły się rykoszetem od kamiennych ścian budynków i wszyscy mimo woli zmrużyliśmy oczy.

- Gdybyśmy mogli coś zobaczyć, powystrzelalibyśmy ich gondolierów! - mruknąłem, ponownie nabijając broń.

- Signore, zechciej nas z tego wyłączyć! - stęknął drżącym głosem nasz własny wiosłarz.

Ponieważ sam łatwo mógł stać się celem, zrozumiałem, że wiosłuje raczej z ambicji niż z zawodowego nawyku. Wokół nas przemykały mroczne ściany domów, jakby przesuwane mocą parowych silników Fultona. Słyszeliśmy też trzaski otwieranych okiennic; lokatorzy chcieli zobaczyć przyczyny nocnych hałasów, wszystko jednak kryły cienie. Zobaczyli tylko szereg przemykających widm, wyprzedzaliśmy najbliższych prześladowców o dobre pięćdziesiąt metrów. Pojawiające się raz po raz zakręty i mostki nie pozwalały im na celne strzały.

Rozdzwoniły się dzwony, ale nie towarzyszyło temu pojawienie się przedstawicieli władz, którzy zechcieliby nam przyjść z pomocą.

- Mam pewien pomysł - stwierdził Fulton, ujrzawszy jakąś gondolę przecinającą nam drogę. Dryfowała powoli, bo jej gondolier znieruchomiał na widok naszego szalonego wyścigu, któremu towarzyszyły echa wystrzałów. Gdy go

mijaliśmy, wynalazca sięgnął i zrećźnie wyrwał zaskoczonemu wiosłarzowi wiosło, zostawiając go w dryfie i na drodze naszych prześladowców. Potem przelazł na dziób naszej łodzi.

- Co zamierzasz?

- Zaczekajcie na mnie po drugiej stronie tego mostu! Mostek był niskim kamiennym łukiem typowym dla tego miasta. Gdy się do niego zbliżyliśmy, mój rodak nagle pchnął wiosłem w dół i wbił je w dno płytkiego kanału, a sam śmignął na wznoszący się nad nami mostek. Gdy przepłynęliśmy dołem, poleciłem gondolierowi, żeby zatrzymał łódź. Gondola przepłynęła jeszcze metr czy dwa siłą rozpędu, a potem powoli cofnęła się do Fultona. Wynalazca tymczasem wetknął drag zdobycznego wiosła w kamienną balustradę, którą przed chwilą przeskoczył, i potężnie naparł na drzewce.

- Potrzebny mi punkt podparcia! - sapnął z góry. Zaraz potem usłyszeliśmy trzask i zgrzyt.

Gdy ścigające nas gondole wpadły na dryfującą bezwładnie łódź, nad wody kanału wzbiły się soczyste przekleństwa w trzech językach. Potem usłyszeliśmy wrzask i kolejny potężny plusk. Nasi prześladowcy znów ruszyli w pościg, a ja i Smith przygotowaliśmy się do strzałów.

- Poczekajcie na mój sygnał! - szepnął Fulton z góry. Wynalazca przyczaił się za balustradą.

Wrogowie pędzili ku naszemu mostowi na gondolach pełnych mieczów i najeżonych lufami. W świetle gwiazd widzieliśmy metaliczne błyski.

Wtedy z głuchym stęknieniem runęła w dół kamienna balustrada. Na przepływającą dołem gondolę z krawędzi mostu sypnęły się kamienne bloki o ciężarze kowadła, doszczętnie ją rozbijając. Jej pasażerowie zwalili się gremialnie do wody.

Wynalazca wciąż z wiosłem w rękach zeskokczył z drugiej strony do wody i z pluskiem ruszył ku naszej łodzi.

- Strzelajcie w następną! - zagrział.

Nagle polubiłem zimny, wyrachowany umysł tego człowieka.

Kiedy z mroku wyłoniła się druga z prześladowających nas gondoli i zwolniła, gdyż jej pasażerowie ujrzeli szamoczących się w wodzie kompanów, poczęstowaliśmy ich wszystkim, co mieliśmy: jednocześnie niemal zagrzmiały dwa pistolety Cuviera, moja rusznica i garłacz Smitha. Zaraz potem rozległy się przeraźliwe wrzaski, kolejne przekleństwa i druga z łodzi przechyliła się, gdy w wody kanału runęli martwi i ranni prześladowcy.

- Teraz do portu! - ryknął wspinający się do naszej gondoli Fulton. Nasz wioślarz zaczął wywijać drągiem, jakbyśmy mieli ogień na pokładzie.

- Dobra robota, Robercie! - pogratulowałem rodakowi.

- Wszystko zależy od punktu podparcia. Archimedes już pokazał, jak to się robi. Ten stary Grek mawiał: „Dajcie mi odpowiednią dźwignię i punkt podparcia, a poruszę Ziemię”.

- Bystry drań był z niego.

Pod następnym mostem, gdzie kanał zwężały naczółki, Fulton polecił nam się zatrzymać i wklinował swój drąg w ściany nad poziomem wody, na wysokości dziobu gondoli.

- To powinno zatrzymać pozostałe łodzie, dopóki nie przerąbią zapory - wyjaśnił. - Może zyskamy dość czasu.

Popłynęliśmy naprzód, choć nasz gondolier był już bardzo zdyszany.

- Monsieur Gage, przebywanie w twoim towarzystwie nieustannie dostarcza dramatycznych przeżyć - stwierdził Cuvier, żeby przerwać milczenie.

Zauważyłem, że nabiera coraz większej wprawy w nabijaniu swoich pistoletów.

- Cholernie dramatycznych - zgodził się Smith. - Kim byli ci przeklętnicy?

- Przypuszczam, że znów natknęliśmy się na okultystów rytu egipskiego. Albo na wynajętych przez nich łotrzyków. Na całe szczęście nie odcięli nas od portu.

W końcu wypłynęliśmy z wąskiego kanału na szersze wody laguny. Na tle nieba zobaczyliśmy majestatyczny zarys kopuły Bazyliki, a na lekkiej fali kołysały się przycumowane do brzegu gondole. Ale jak w nocnym mroku znaleźć statek?

I wtedy na rufie jakiejś szebeki rozbłysła latarnia.

- Tutaj, tutaj! To jest statek, którego potrzebujecie!

ROZDZIAŁ 10

Nasz gondolier, któremu spieszno było do pozbycia się diabło kłopotliwych pasażerów, szybko powiosłował ku tureckiemu stateczkowi.

Jego muzułmański kapitan, opalony na brąz i żyłasty jak bat, skinieniem dłoni zachęcił, byśmy podpłynęli bliżej. Pozbawiona rękawów kurtka ukazywała muskulaturę godną akrobata, a jego czarne oczy były bystre i ruchliwe jak oczy sprzedawcy dywanów.

- Podpłyńcie do drugiej burty mojego statku, tej przeciwnej do miasta. Tak, skorzystajcie z gościnności Hamida. Słyszałem strzały, przyjaciele, i myślę, że musicie się szybko ulotnić!

Okrążywszy rufę, podpłynęliśmy do drugiej burty. Przy relingu zgromadziło się kilkunastu innych żeglarzy. Mieli krótko przycięte bródki, luźne szarawary, jaskrawe szarfy na głowach, a niektórzy turbany.

- Gage, to są mahometanie! - zachnął się Cuvier.

- A my musimy się dostać na tureckie wody.

- Tak! Zabiorę was, gdzie zechcecie, za połowę tego, czego zażądamy od was chrześcijanie! - obiecał rzutki kapitan.
- Nigdzie nie dotrzecie szybciej i taniej niż na pokładzie mojego Mykonosa. Ale... macie pieniądze, przyjaciele?

- Owszem, i trzeba nam natychmiast odpłynąć!

- To znaczy, że trzeba wam Hamida! Dragut jest najlepszym żeglarzem na Adriatyku i Morzu Egejskim! Spójrzcie na moją jaskółeczkę. Półtora metra, wąska, ma płytkie zanurzenie i wszędzie się wciśnie! Mam czarne żagle, więc płynamy niczym duchy.

- Znasz wyspę Terę?

- Oczywiście, tam się prawie urodziłem. Dwie setki franków i natychmiast odbijamy! Za trzysta, odbiliśmy godzinę temu! - Zaśmiał się. - Chrześcijanie za rejs na tureckie

wody zażądałoby trzykrotnie więcej. Boją się piratów. Ale ja wszędzie mam samych przyjaciół!

- A niby dlaczego jesteś taki tani? - zapytał Fulton, kierując się zdrowym jankeskim sceptycyzmem.

- Bo i tak się wybieram na Morze Egejskie. Zawiozę was na Terę, pohandluję trochę na sąsiednich wysepkach i wrócę, by was stamtąd zabrać. - Kiwnął głową. - Klnę się, że tak będzie, jakem Hamid Dragut!

- Jesteś Turkiem?

- Turkiem, Grekiem i kimkolwiek zechcecie. Nie przejmuję się sprawami religii. Nie wahajcie się! Widzicie te gondole? Kogoś szukają.

Wspiąłem się na burtę i zerknąłem ponad pokładem na drugą stronę portu. Z kanału, który niedawno przebyliśmy, wypłynął kuter strażniczy i ostrożnie ruszył ku zakotwiczonym gondolom.

- Jest ich znacznie więcej niż was - stwierdził kapitan.

- Liczymy na to, że przemkniemy na Terę i z powrotem, zanim ktokolwiek się zorientuje.

- Więc Hamid jest człowiekiem, którego szukacie! Jestem jak duch! Niewidzialny! Mistrz przemytu!

- Nie chodzi nam o przemyt. Po prostu chcemy tam popłynąć i wrócić, nie narażając się na kłopoty ze strony władz.

- To mała wysepka i prawie nie ma tam biurokratów. Słowo tu, moneta tam i wszystko odbędzie się dyskretnie i bez rozgłosu. Znam wszystkich. Wszyscy są moimi przyjaciółmi.

Wodził wzrokiem po naszych twarzach, szukając na nich wiary z energią człowieka, który przywykł do tego, że ludzie wątpią w to, co mówi, ponieważ nie za bardzo dba o prawdę czy zasady. Innymi słowy - znałem takich jak on i uznawałem ich przydatność do pewnych celów.

- Ten Dragut wygląda mi na łotrzyka, jakiego potrzebujemy - zwróciłem się do uczonych.

- Jest godny zaufania?

- Nie, ale ma doświadczenie.

Weszliśmy na pokład, odliczono pieniądze, a ludzie Draguta zaczęli cicho podnosić kotwicę i stawiać żagle. Wszyscy żeglarze mimo ciemności ciągnęli za liny z pewnością i spokojem niechybnie wynikającymi z doświadczenia. Gdy zobaczyli pieniądze, żaden nie zaprotestował przeciwko tak nagłemu i niespodziewanemu wyjściu w morze. Podczas gdy ścigające nas gondole przeszukiwały nabrzeża, bez świateł latarni wypłynęliśmy z Wenecji, zanim pierwsze promienie świtu rozjaśniły ciemności. Słyszeliśmy syk rozcinanych dziobnicą fal, a poranna bryza przyniosła nam zapachy miasta, a potem, gdy wiatr nabrał mocy, napięły się żagle i rozległo poskrzypywanie takielunku. Stateczek, ożywając, przechylił się na burtę i zaczął równomiernie kołysać. Za nami przygasły światła miasta i w końcu znikły wraz z blaskiem ostatnich gwiazd.

A my zapadliśmy w sen.

Obudzwszy się przed południem, obejrzałem wynajęty stateczek. Nasza szebeka miała dwa maszty główne i bezanmaszt, łaćńskie żagle, tuzin lekkich dział dla obrony przed piratami i wysoką przyjemną nadbudówkę rufową, gdzie mogliśmy odpoczywać, podczas gdy kilku muzułmanów czuwało nad statkiem. Pod nią była jedna kabina, o której Hamid powiedział, że może ją z nami dzielić, zbyt niska jednak, by dało się w niej stać prosto. Członkowie jego załogi spali na otwartym pokładzie, a pod kratą na głównym pokładzie była ładownia, gdzie trzymano żagle, zapasy i przewożone towary. Długi, wąski stateczek o płytkim

zanurzeniu był idealny do dyskretnych rejsów pomiędzy małymi i ciasnymi portami Morza Śródziemnego.

Miasto znikło za nami i znaleźliśmy się sami na lśniących srebrzyście wodach Adriatyku.

- Dobrego ranka życzę - powitał mnie Hamid. - Dostarczę was na Terę dwa dni szybciej niż którykolwiek z weneckich kapitanów.

Na śniadanie zjedliśmy kuskus i jagnięcinę - były to pozostałości z kolacji załogi - i zaczęliśmy się jakoś urządzać. Doszedłem do wniosku, że pozytywną stroną otarcia się o śmierć jest poczucie wspólnoty dzięki przeżyтым niebezpieczeństwom. Po udanej ucieczce mogliśmy odetchnąć z ulgą i cieszyć tym, iż zyskaliśmy pewność, że możemy na sobie wzajemnie polegać nawet w sprawach życia i śmierci.

Z moją rusznicą, tomahawkim i rapierem zostałem uznany za weterana. Brałem udział w bitwach, co napełniało towarzyszków ufnością w moją odwagę i umiejętności przetrwania. Dlatego niektórzy ciężko pracują, by zyskać reputację awanturników i ludzi niebezpiecznych.

Smith, ogromnie rad z tego, że może zobaczyć więcej świata niż z dna swoich angielskich rowów, bardzo się interesował pracami załogi, a także poświęcał sporo czasu na czyszczenie swojego garłacza. Dał popis strzału na użytek żeglarzy: odrzut cisnął nim wstecz, huk sprawił, że wszyscy radośnie podskoczyli, a fale smagnały deszcz ołowiu.

Fulton zaszył dziurę w worku swoich dud i grzebał coś przy rurach trąb; napełniając na przemian miech morską wodą i tryskając na Cuviera strumieniami cieczy, poprawiał celność „strzałów”.

- Konstruujesz fontannę? - dopytywał się Francuz.

- Robię zionącego ogniem smoka. Na Terze będę musiał znaleźć trochę oleju lub ropy.

Cuvier, kiedy nie rachował wydatków i nie czynił zapisków w swoim dzienniku, z dumą prezentował swoje pistolety Hamidowi Dragutowi. Obaj zabawiali się pozorowanymi pojedynkami, przemierzając pokład szebeki, i jak chłopcy klikali kurkami.

- Te pistolety są piękne niczym rajskie hurysy! - entuzjasmował się nasz kapitan. - To dobrze, bo śmierć powinna być elegancka. Z dumą przyjąłbym pocałunek tej broni albo liźnięcie języka rapiera naszego amerykańskiego przyjaciela, z radością bym się wykrwawił. Jesteście dżentelmenami o dobrym smaku.

Prawdą było, że wszyscy czuliśmy radosne dreszcze podniecenia i dumy wynikające z dmuchania diabłu w wąsy. Dywersja Bonapartego przekształciła się w podróż po Morzu Śródziemnym, podczas której wszystko nabierało żywszych kolorów, posiłki spożywaliśmy wolniej i z większym smakiem, wieczory były spokojne, kobiety wydawały nam się bardziej tajemnicze, a wszystkie miasta bardziej starożytne. Owiewały nas podmuchy ciepłego wiatru, a kupowany na mijanych wysepkach cytrynowo - pomarańczowy likier był jak słodko - ostra ambrozja.

Rozmowa z Napoleonem o Czerwonym Gnomie przywołała wspomnienia setek tajemnic i pytań bez odpowiedzi. Przypomniałem sobie, jak Bonaparte stał samotnie przed kamiennym sarkofagiem Wielkiej Piramidy, jak w nim się położył, a potem wyszedł zeń z jakimiś podobnymi do halucynacji wizjami. Od tamtych czasów zawsze miałem do czynienia z tajemniczymi przedmiotami - w piramidach był to złoty medalion, a potem Księga Totha w lochach pod Jerozolimą i w Widmowym Mieście. Magnus Bloodhammer odwołał się do nordyckiego mitu o młocie Thora, którego szukaliśmy w kniejach Ameryki Północnej, a wszystkie te pokryte kurzem tajemnice wskazywały na

istnienie w zamierchłej przeszłości dziwnych, podobnych bogom ludzi, którzy dysponowali ogromną, na poły zapomnianą i odkrywaną dopiero wiedzą. Były to sekrety poszukiwane przez wszystkich zdobywców od czasów Aleksandra po wyprawy krzyżowe, które w mroczny sposób splatały się ze znaną nam historią. Za każdym razem, gdy sądziłem, że wszystko się wyjaśniło, odkrywałem przed sobą tylko kolejne drzwi wiodące w głąb labiryntu. Za każdym razem, gdy myślałem, że pozbyłem się prześladowców z łoża rytu egipskiego, pojawiali się na nowo, absolutnie nieprzewidywalnie. Za każdym razem, gdy uznawałem, że zdołałem osiągnąć w życiu pewną stabilizację, stawałem przed koniecznością wyruszenia na kolejną wyprawę. Otaczały mnie piekielne niebezpieczeństwa i współczułem przyjaciołom, którzy ginęli u mojego boku, ale też takie życie miało nieodparcie kusicielski urok, jak poszukiwanie ukrytego skarbu. Zaczynałem się stawać mistrzem nie w używaniu elektryczności, na co liczył mój mentor Franklin, nie w handlu, jak się spodziewał mój ojciec, i nawet nie w prowadzeniu wojen, czego mógłbym się uczyć od Napoleona, ale w odkrywaniu zawitych tropów wiodących ku naszym źródłom i początkom. Wszystkie kierowały się ku mgłom osnuwającym narodziny historii ludzkości. Smith i Cuvier szukali odpowiedzi w skamielinach i skałach, a ja nauczyłem się tropić mity i badać nieprzeniknione. Los utkał mi życie jak z baśni.

Dragut oczywiście był ogromnie ciekaw, dlaczego czterej europejscy naukowcy (mnie też zaliczył do ich grona) mieliby płynąć wokół Peloponezu i czego szukali na skalistej wysepce na rubieżach Morza Egejskiego. Na Terze nie było żadnych miast, nikt tam nie prowadził handlu, nikt niczego nie wytwarzał i nikt nie widział żadnych tajemniczych ruin.

- Tameczni ludkowie są biedni i bogobojni, a mieszkają na wyspie, którą przeklął sam diabeł - mówił. - To jedno z tych miejsc na Morzu Śródziemnym, gdzie po prostu niczego nie ma.

- Ale my badamy historię Ziemi - odpowiadał mu Smith. - Tera była miejscem dramatycznych wydarzeń.

Przyznaję, że ma strome, urwiste brzegi. - Dragut wzruszył ramionami. - Ale co to ma wspólnego z historią?

- Ludzie uczą się z lekcji przeszłości.

- Ludzie są niewolnikami przeszłości, zawsze usiłują naprawić stare błędy. Zaufaj Allahowi, mój przyjacielu.

- Ufam, że doprowadzisz statek bezpiecznie tam, gdzie chcemy się udać.

- Tak będzie! Zaufaj też Hamidowi. Zaskoczę cię jeszcze. Gnały nas podmuchy północno - zachodniego mistralu znad kontynentu; płynęliśmy po Adriatyku, mijając austriackie posiadłości w Dalmacji, a potem, gdy wiatr się zmienił, przemknęliśmy wzdłuż brzegów Chorwacji, minęliśmy maleńką Czarnogórę i okrążyliśmy zachodnie brzegi rządzonej przez osmańskich Turków Grecji. Wiatr zelżał, a powierzchnia morza iskrzyła się niczym srebrna patelnia. Na skalistych przylądkach wznosiły się zamki, akwamarynowe brzegi hołubiły pastelowe wioski, a żeglując pomiędzy wysepkami i rafami, kierowaliśmy się punktami orientacyjnymi, jakimi były pękate kopułki cerkwi i meczetów. Błękit morza i nieba, po którym przepływały białe jak cukier chmurki, pogłębiał się, w miarę jak docieraliśmy coraz dalej na południe.

Porozumienie rosyjsko - tureckie, w którego wyniku wyparto Francuzów z Adriatyku, utworzyło Republikę Siedmiu Wysp, składającą się z Korfu, Kefalonii, Itaki i czterech pomniejszych. Jednym z liderów tego ruchu był charyzmatyczny Ioannis Kapodistrias, z którym mieliśmy się

potajemnie spotkać na Terze. Gdy przepływaliśmy obok Kefalonii, szczyt góry Ainos okrywały chmury i czułem dolatujący z tamtej strony powiew przynoszącej zapach żywicy i sosen bryzy. Wabiła nas niczym raj, ale nie mieliśmy czasu na zwłokę. Podążaliśmy ku wyspie suchej, skalistej i podobnej do Ziemi w dniu Stworzenia.

ROZDZIAŁ 11

Tera, grecka wysepka nazywana przez weneccjan Santorynem, wznosi się stromo z fal Morza Egejskiego niczym ściana skalistej czekolady, na której szczycie jak śniegowa piana bielą się wieśniacze domy. Właściwie jest zbiorowiskiem kilku wysepek będących pozostałością po starym wulkanicznym kraterze. Wpłynęliśmy do niego oszołomieni i upojeni wiatrem i oślepiającym słońcem. Wydawało się nam, że wszystkie kolory są żywsze, rysują się ostrzej, nasi żeglarze mówią obcym, barwnym językiem, a cel naszej misji jest mglisty i tajemniczy; naukowcy niecierpliwili się jak uczniacy na wakacjach. Byliśmy w legendarnej Grecji, kolebce demokracji, na rubieżach imperium osmańskiego w miejscu wyglądającym, jakby zostało stworzone wczoraj i jakby jutro miał je zmieść kolejny kataklizm. Wysepka, do której zmierzaliśmy, była półksiężycem otaczającym ogromną i pozornie bezdenną zatokę, o szerokości czterech i długości sześciu mil. Naprzeciwko niej leżała mniejsza Thirassia, będąca, jak powiedział Smith, przeciwległą ścianą dawnego krateru. W samym środku portu tkwiła mała, niska i kompletnie opustoszała wysepka wyglądająca jak powierzchnia Księżyca, z której unosiły się smugi dymu.

- Tak właśnie wygląda świat u swoich początków - stwierdził Cuvier. - Były tylko skały i woda.

- Spójrzcie na warstwy tamtego urwiska. Po erupcji zostały ślady jak na ceglanym murze! Można je czytać niczym księgę! - wypalił entuzjastycznie Smith.

- Byłaby tu doskonała baza dla okrętów wojennych - dodał Fulton. - Pod tymi skałami znalazłyby pewną osłonę.

- Albo przeciwnie, fatalną - odpowiedział Dragut. - Są tu takie dni, że nie chciałbyś się znaleźć w objęciach wichury meltemi. To bardzo złe miejsce.

- Złe? Widzę stąd kopuły kilku cerkwi.

- Chrześcijańskie świątynie nie zapewniają schronienia, gdy budzi się szejtan.

- A muzułmańskie nie dają osłony przed trzęsieniami ziemi. Dragucie, nieszczęścia spotykają najbardziej nawet bogobojnych ludzi. Rozwiązanie znajdziemy w nauce, która będzie nas ostrzegała przed nadejściem kataklizmów.

- Nie, gorsze rzeczy zdarzają się niewiernym i francuskim rewolucjonistom. I nikt niczego nie wskóra wbrew woli Boga. Ja pokładam moją wiarę w Allahu.

- Cuvier - przerwałem dyskusję światopoglądową - co właściwie miałeś na myśli, gdy opisywałeś to miejsce jako jedno z najstarszych na świecie?

- Najstarsze i najmłodsze - uściślił uczony. - Stare, bo przypomina naszą planetę w dniu Stworzenia, jest jałowe i niemal całkowicie pozbawione drzew. Nowe, bo ta mała wysepka pośrodku krateru wciąż rzyga skałami i kamieniami. To miejsce niszczy się nieustannie i samo siebie odtwarza.

- Wygląda na dziwną kryjówkę dla czegoś, co chciałbyś zachować.

- I doskonale odstraszącą poszukiwaczy skarbów.

Zakotwiczyliśmy u podstawy klifu w maleńkim porcie, pograżonym w porannym cieniu kilkusetmetrowego urwiska. W zatoczce podskakiwały na falach małe rybackie łodzie o barwnych, żywych kolorach w przeciwieństwie do sepii, szarości i brązu górujących nad nimi skał. Brzegi były tak strome, że Dragut z łatwością podprowadził szebekę do króciutkiego molo. Ruszyliśmy w górę na wynajętych, powoli, ale pewnie kroczących osiołkach ścieżką wyrąbaną w skale ponurego klifu. Zwierzęta strzygły uszami i kołysały się na boki, a my razem z nimi. Dróżka nie miała barierki i była śliska od łajna, a osiołki łypały ślepiami na krążące nad nim muchy. Smith nieustannie żądał, byśmy się zatrzymywali, bo chciał się przyjrzeć jakiemuś fragmentowi skały i błagał ją

niemal wzrokiem, by przemówiła. Dla mnie była niema, niepokoił mnie za to widok z drugiej strony i rozciągająca się tuż obok przepaść. Spieszno mi było do końca tego niebezpiecznego szlaku.

I oto wreszcie dotarliśmy na szczyt, skąd mieliśmy lepszy widok na położenie i wygląd tej szczególnej wyspy. Zachodnie zbocze tworzył półksiężyc stromych klifów ze skupionymi niczym ptasie gniazda przy krawędzi domkami. Wschodnia strona wysepki opadała ku morzu bardziej łagodnie, tworząc szeroki wachlarz. Teren był podzielony kamiennymi płotkami na zbrązowiałe w promieniach południowego słońca pastwiska, winnice i działki uprawne. Wyglądało to tak, jakby od czasów Odyseusza niewiele się tu zmieniło. Wokół rozciągało się opisywane przez Homera pokryte białymi grzywaczami morze o barwie wina i w przeciwieństwie do martwej ciszy podnóża klifu odczuwaliśmy chłodne i rześkie podmuchy wiatru.

- Wyobraźcie sobie tu górę wznoszącą się z morza aż po szczyt znajdujący się w sercu dzisiejszego krateru - powiedział Smith, ilustrując wizję szerokim gestem ręki. - Byłaby niezwykle wysoka i widoczna z odległości setek mil. Stożkowa jak Etna. A potem następuje kataklizm gorszy nawet od tego, który unicestwił Pompeje, i szczyt znika! To miejsce jest zalany przez morze, głębokim wulkanicznym kraterem. Przepłynęliśmy nad wulkanem.

- Ależ ta zatoka ma przynajmniej ligę (Jednostka długości równa ok. 5 km.) średnicy - zdumiał się Fulton. - Jaka siła potrafiłaby unicestwić taką górę i zostawić po niej krater?

- Istotnie, jaka? - powtórzył geolog. - Podczas gdy Gage będzie szukał starożytnej broni, ja i Cuvier będziemy badali to, co naprawdę rządzi naszym światem.

- Znaczy, co?

- Siły samej natury. Pomyśl, co może się stać, jeżeli zdołamy je okiełznać...

Nasze przybycie na tak małą wysepkę nie pozostało oczywiście niezauważone, ale turecki policjant okazywał raczej zdumienie niż podejrzliwość, szczególnie po propozycji Draguta, który stwierdził, że zapłacimy wszelkie nakładane na przybyszów podatki, jakie mógłby wymyślić otyły Turczyn. Mielśmy barwnie opieczętowane francuskie dokumenty, których nie umiał odczytać, i instrumenty naukowe, których przeznaczenia nie rozumiał. Jedne i drugie jednocześnie techniczne i niezrozumiałe, przydawały naszej misji oficjalnego charakteru, a przynajmniej ważności. Oznajmiliśmy, że dokonujemy pomiarów dla Francuskiego Instytutu - co mogło ostatecznie być prawdą - i że nasze znaleziska zostaną zaprezentowane przedstawicielom Wysokiej Porty w Stambule, co oczywiście było bezczelnym łągarstwem. Tłusty urzędnik wziął nasze złoto i odszedł, żeby spisać raport, który miał wysłać leniwą pocztą na kontynent. Spodziewaliśmy się, że zanim ktokolwiek podejmie w naszej sprawie jakieś decyzje, my dawno już stąd odpłyniemy.

Dragut ruszył na swój stateczek, mówiąc, że wypływa na krótki rejs handlowy wokół sąsiednich wysepek.

- Obiecuję, że po was wrócę! Zaufajcie Hamidowi!

My tymczasem znaleźliśmy kwatery w domku właściciela winnicy w wiosce Megalochori, co przygotowali nam agenci Fouchego. Mielśmy się tu potajemnie spotkać z młodym lekarzem, który według Napoleona któregoś dnia mógł się stać przywódcą greckiego, skierowanego przeciwko Turcji ruchu niepodległościowego: urodziwym i charyzmatycznym hrabią Ioannisem Kapodistriąsem. Podczas gdy Rosja i Turcja proklamowały powstanie Republiki Siedmiu Wysp na wyspach zamieszkałych głównie przez zawziętych chrześcijan, elokwentny Kapodistrias został jednym z dwu

najważniejszych ministrów rządu maleńkiej wyspiarskiej republiki. Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, ale promieniował tą samą charyzmą, jaką mieli Napoleon czy Nelson. Wyłącznie dzięki sile swej osobowości zdołał nakłonić buntowników z Kefalonii, żeby się przyłączyli do jego maleńkiego ludu i powiadano, że pracuje nad konstytucją opartą na liberalnych zasadach.

Teraz miał nadzieję doprowadzić do rewolty na większą skalę i poszukiwał źródeł tych samych pogłosek co my.

Gdyśmy czekali na jego wysłanników, Cuvier i Smith zajęli się badaniem krawędzi starożytnego krateru, usiłując oszacować siłę kataklizmu potrzebnego do powstania wyspy. Fulton zniknął gdzieś ze swoimi dudami, tłumacząc, że musi poeksperymentować z potrzebną do napełniania instrumentu mieszanką zapalającą i zbadać funkcjonowanie miejscowych wiatraków. Ja ćwiczylem szermierkę z nieobecnymi przeciwnikami, wytracałem nadmiar energii na wycieczki po winnicach jedynie dla - jak sobie tłumaczyłem - smaku i trzymałem się skromnie z dala od miejscowych piękności, które - jak moja będąca na poły Greczynką Astiza - miały krucze włosy i oliwkową cerę. Czyżbym na tej wysepce miał znaleźć jej tropy?

Była to leniwa idylla pod oślepiającym śródziemnomorskim słońcem.

Pod wieczór drugiego dnia, gdy winszując sobie samodyscypliny, wędrowałem ścieżką nad krawędzią urwiska, zobaczyłem wpływające do zatoki w promieniach zachodzącego słońca dwa korsarskie okręciki o żaglach koloru zaschniętej krwi. Szły bezgłośnie, nie wywiesiwszy żadnej flagi, ale miały pokłady pełne ludzi. Czy był to Kapodistrias, który przywiódł ze sobą swoją maleńką armię? A może Turcy, którzy chcieli schwytać nas albo jego? Albo zupełnie inne zagrożenie?

Ich widok obudził we mnie resztki instynktu samozachowawczego.

Pognałem do naszej kwatery, by oznajmić towarzyszom, że być może nie mamy już czasu na wyczekiwanie umówionego spotkania czy Draguta. Może powinniśmy się ukryć.

Na szczęście grecki patriota trafił na nas wcześniej.

Skądkolwiek przyszedł, pojawił się dyskretnie owinięty opończą, kryjąc twarz pod skrzydłami kapelusza, bo na tym tureckim terytorium zostałby natychmiast aresztowany. Jego orszak stanowili dwaj ochroniarze, sam jednak przybył bez broni. Gdy zamaszystym ruchem odrzucił opończę, natychmiast zrobił na mnie wrażenie. Doktor i minister był szczupłym, urodziwym mężczyzną o ostro modelowanej twarzy przypominającej ateńskie rzeźby. Miał też głos, jakiego nie powstydzilby się zwycięzca spod Salaminy Temistokles. Jak wielu najbardziej utalentowanych ludzi był zaskakująco skromny.

- Obawiam się, że nie mogę przyprowadzić ze sobą floty - powiedział, marszcząc brwi, gdy powiadomiłem go o przybyszach. - Nie mam dział, armii, dyplomatycznego paszportu ani czasu. Jesteś pewien, panie, że to nie zwykli, kursujący pomiędzy wysepkami kupcy?

- Wyglądali mi na nieźle uzbrojonych. Czy Turcy nie mogli jakoś dostać wiadomości o pańskim pobycie tutaj?

- Niewykluczone. Ale mogą to też być piraci. Tak czy owak, nasze spotkanie nie może potrwać długo.

- To mogą być ci ludzie z gondoli - stwierdził Smith. - Wygląda na to, że gdziekolwiek się udamy, przyciągamy nieprzyjaciół.

- Jacy ludzie?

- W Wenecji zaatakowała nas mała flota gondoli. Piękna kobieta rzuciła w nas granatem, a mahometański kapitan za

dwieście franków w złocie pomógł nam w ucieczce i przywiózł tutaj. Gage utrzymuje, że to jacyś wyznawcy rytu egipskiego, którzy poszukują źródeł tych samych legend o my.

- Na wszystkich świętych, jak na czwórkę naukowców umiecie ściągać sobie na głowę niebezpieczeństwa!

- Tylko Ethan. On znajduje wrogów i kłopoty, gdziekolwiek się uda.

Kapodistrias łypnął na mnie czujnie, jakby się bał, że zarazę go swoim pechem.

- Bardzo ważne jest, żeby nikt się nie dowiedział, iż jestem na tej wyspie. Zdajecie sobie, panowie, sprawę, że gdyby nie to, iż mój naród może kiedyś potrzebować pomocy Francji, w ogóle bym tu nie przybył.

- To pomóż nam, panie, zbadać naszą tajemnicę, a my przeprowadzimy badania pod twoją nieobecność - zaproponował Cuvier. - I powiemy Napoleonowi, jak nam pomogłeś. On może się stać potężnym sprzymierzeńcem.

- Rozsądna propozycja ze strony sławnego przyrodnika - odpowiedział Kapodistrias. - Jestem zaszczycony, mogąc poznać Georges'a Cuviera. Czytałem pańską pracę systematyzującą przyrodę. Powinniście jednak wiedzieć, panowie, że w równej mierze boję się Francji, jak ją podziwiam.

Cuvier niechętnie skinął głową.

- Podczas okupacji naszych wysp francuscy żołnierze nie zachowywali się najlepiej.

- To byli młodzi ludzie daleko od domów.

- Ale niezbyt zdyscyplinowani. Z drugiej strony przyniesione przez nich rewolucyjne idee były jak światło błyskawic. Po raz pierwszy wszyscy Grecy ośmielili się pomyśleć o zrzuceniu tureckiego jarzma, o stawieniu oporu jak pod Salaminą czy Termopilami. Nie wiemy, czy wolność

nadejście ze strony Francji, Rosji czy Brytanii, ale mała republika Wysp Jońskich to początek naszych nadziei. Każdy Grek zasługuje na wolność.

- Bądźmy więc przyjaciółmi - stwierdził Cuvier. - Bonaparte chce, żeby niepodległa Grecja była przeciwwagą dla Rosji, Turcji czy Anglii. Ale Brytyjczycy wyparli nas z Egiptu, a Rosjanie z waszych wysp, angielscy admirałowie zaś marzą o tym, by z Morza Śródziemnego uczynić ich własne bajorko. Napoleon poprosił nas, żebyśmy twoimi ustami wyrazili nasze poparcie dla sprawy greckiej niepodległości. Z drugiej strony twoja pomoc w zbadaniu tajemnic Tery może nam wszystkim wyjść na dobre.

W spojrzeniu Greka nadal była ostrożność.

- Chodzi wam o te zakopane miasta i starożytne bronie?

- Czy te historie w ogóle są prawdziwe?

- To tylko legendy. Rad jestem, że ten wasz Anglik zainteresował się skałami, bo na tej wyspie prawdopodobnie nie znajdziecie niczego innego. To dawny, obecnie zniszczony eksplozją wulkan, zamieszkały przez nielicznych rybaków i wieśniaków. Ale uporczywie opowiada się legendy, jak to zwykle bywa. Niektóre z nich głoszą, że na tej wyspie jest wejście do Hadesu.

- Do Hadesu!

- Podejrzewam, że źródłem tej legendy jest dosłowność. Na tej wysepce pośrodku portu biją strumienie pary, w których możesz sobie, panie, oparzyć dłoń. Ta wyspa była stara i gorąca, gdy Perykles wznosił gmachy w Atenach. Są tu weneckie zamki, doryckie świątynie, prehistoryczne groby i opowieści o ludziach, którzy mieszkali tu w czasach, gdy magia i religia były jednym. Zbierz razem trzy tysiące lat historii, dodaj sieć legend, proroctw i przesądów, a otrzymasz kłamstwa równie mocne jak tkaniny mitycznej Arachne. Któż

w miejscu takim jak to może powiedzieć, co jest prawdą, a co nie? Bogami tych ludzi były idole, a baśnie ich nauką.

- Niekiedy jedne i drugie się spotykają - odpowiedział spokojnie Cuvier. - Widziałem rysunki w Bawarii przedstawiające pradawne gady ze skrzydłami nietoperzy. Mam nadzieję, że te istoty już wyginęły, ale wyglądały, jakby wyleciały z za wrót piekieł. Może starożytni rysownicy tworzyli z natury?

- A czy wśród Greków istotnie krążą opowieści o tym, że starożytni mieli jakiś potężny oręż? - przerwał Fulton, by wrócić do interesującego go tematu. - Jeżeli to prawda, mogłyby zainspirować jakiegoś współczesnego wynalazcę. A ten tu imć Ethan Gage jest naszym ekspertem od starożytnych tajemnic i ukrytych mocy.

- Naprawdę? Starożytne moce? Chciałbym je posiadać - odpowiedział Grek z błyskiem w oku.

- Panie hrabio - odezwałem się - Francuzi pomogli mojemu narodowi odzyskać niepodległość. Grekom też pewnie taka pomoc się przyda. Napoleon może być dobrym przyjacielem albo śmiertelnie groźnym wrogiem. Jeżeli wrócimy z wiadomościami, że jesteście zwolennikami ideałów rewolucji, otworzy to drogę do możliwego partnerstwa... nie podboju... w przyszłości. Ale coś za coś. Czy jest na Terze ktoś, kto mógłby nam pomóc przy badaniu tych starożytnych legend i tajemnic? Wieści o nich dotarły do Paryża, a naszym zadaniem jest ustalić ich prawdziwość, zanim zabiorą się do tego ludzie bardziej od nas żądni władzy i tacy, którym w ogóle nie zależy na rozwoju wiedzy.

Grek obdarzył mnie bystrym spojrzeniem.

- Stanowicie, panowie, bardzo interesującą grupę. Ty, panie, wyglądasz na oportunistę i gracza, twój przyjaciel jest mechanikiem, mamy tu też naukowców od skał i kości. Jeden

Francuz, dwaj Amerykanie i Anglik. Dlaczego Napoleon wysłał akurat was?

- Liczył na to, że Turcy uznają nas za nieszkodliwych dziwaków.

- A dlaczego wy zgodziliście się tu przyjechać? Pomińmy wasze zainteresowanie skałami.

- W Paryżu popadliśmy w mały konflikt z prawem, spowodowany działaniami pana Gage'a - odparł Cuvier. - Ta misja dla Bonapartego oczyści nasze nazwiska, robimy więc to, co musimy... tak toczy się ten świątek. Czy ty sam, panie, nie masz zobowiązań wobec Rosjan i admirała Uszakowa? - To właśnie Uszakow wyparł Francuzów z Korfu.

- Owszem. - Kapodistrias kiwnął głową. - Każdy mężczyzna ma jakieś zobowiązania. Więc dobrze. Z wiadomości od waszego agenta organizującego to spotkanie wynika, że macie pewną wskazówkę dla mnie, która pomoże nam w odkryciu tej tajemnicy.

Pokazałem mu pierścień z kopułą i wizerunkiem człowieka wyłazającego z sarkofagu.

- Rozpoznajesz tę budowlę, hrabio?

- To jakiś kościół. Ale na tej tylko wyspie jest ich ze dwa tuziny.

- Zechciej zerknąć na kopułę. Jest na poły zburzona albo niedokończona.

- Aaa. - Grek spojrział uważnie. - Ależ oczywiście. Hagia Theodosia. Kompromis Działa.

- Niby że co?

- Kościół ten i wenecki fort zbudowano w wiosce Akrotiri w sojuszu wiary i interesów państwowych. Ale wraz z rozwojem artylerii i rozmieszczeniem dział stało się jasne, że kopuła świątyni blokuje pole ostrzału. Weneccy oficerowie upierali się, że trzeba przenieść kościół, a prawosławni kapłani utrzymywali, że fort powinien ustąpić miejsca Bogu.

Zaproponowano obniżenie świątynnej kopuły, ale mnisi nawet na to nie poszli... wiara w Grecji miała swoją wagę. Ostatecznie jakiś nerwowy wenecki katolik wypalił z działa prosto w kopułę i zagroził, że zniszczy ją całkowicie. Ojczulkowie niechętnie zgodzili się na szczelinę w kopule, przez którą można było mierzyć w nieprzyjaciół, choć ci nigdy nie podeszli pod mury fortu. Potem odbudowano kopułę, ale historia jej „wyszczerbienia” jest dobrze znana. Na Terze nie ma innego kościoła, który miałby jakikolwiek związek z tym pierścieniem.

Wyobraziłem sobie kopułę, otwartą w niej szczelinę i przez chwilę podziwiałem mądrość kompromisu. Myślę, że zawsze można się jakoś dogadać.

- Gdzie jest ten kościół?

- Niezbyt daleko, może dwa kilometry stąd. Ale lepiej się pospieszmy. Jeżeli imć Gage ma rację w kwestii tych okrętów, to może trzeba się będzie ścigać do wrót Hadesu. I w tym wypadku będziecie musieli uporać się z tym sami.

- Co to ma znaczyć, hrabio?

- To mało prawdopodobne, żebyśmy zupełnie przypadkiem wszyscy przybyli tu jednocześnie. Odprowadzę was do kościoła i będę wam życzył szczęścia, ale nie mogę zostać z wami schwytany. Macie jakiś własny statek?

- Odpłynął na rejs po sąsiednich wysepkach, ale kapitan obiecał nam, że wróci.

- To zaufajcie broni, sprytowi i liczcie na ten powrót.

ROZDZIAŁ 12

Leżąca na południowo - zachodnim ramieniu półksiężyca Tery wioska Akrotiri wyglądała jak zbiorowisko kilkunastu bezładnie porozrzucanych kredowych kostek na trawiastym zboczu. W jej najwyższym punkcie wznosiły się niezbyt okazałe pozostałości niewielkiej fortecy weneccjan, rozebranej częściowo przez Turków przed ponad stu laty. Niegdyś pańska siedziba, teraz ruina na samotnej wyspie leżącej na obrzeżach podupadającego imperium. Do fortu przylegał grecki prawosławny kościółek i tam zaprowadził nas Kapodistrias w blasku sierpa księżyca. Wioska spała snem, którego nie zakłócało szczekanie jednego czy dwu psów, i w srebrnej poświacie wyglądała na opuszczoną i zagubioną poza czasem. Łuszczące się brązowo - białe domki wyrastały wprost z gruntu niczym skały. Najwięcej hałasu narobiliśmy my sami, zbliżając się do zabudowań. Dzwoniła nasza broń. Skrzypiały nasze buty. Przebywając ostatnie sto metrów, narobiliśmy większego hałasu niż całe plemię Dakotów przejeżdżające galopem przez Bazylikę Świętego Piotra. Fulton się uparł, by zabrać swoje dudy, które co chwila wydawały gwizd, ponure chrapnięcia lub osobliwe mlaskanie.

- Nie graj, proszę - nalegałem.

- Mam inną piosenkę, zainspirowała ją noc w Palais Royal. Jeżeli uda mi się coś podpalić, może kupi ją francuska marynarka wojenna.

Zastanawiałem się, czy w ogóle trafiliśmy we właściwe miejsce. Tera, jak cała Grecja, pełna jest kościołów pokrytych białym tynkiem i zwieńczonych niebieskimi kopułami, równie powszechnych jak stajnie i rzadko mających bardziej od nich zdobne wnętrza. Okna tych budyneczków są maleńkie, drzwi zbijane z prostych, wyblakłych i zwietrzałych już desek, a w środku zwykle nie ma ławek - przed obliczem Pana Grecy

stoją. W tym niczym się od innych nieróżniącym kościółku mieliśmy szukać drzwi do broni o baśniowej mocy?

Świątynię zamknięto na noc, więc Kapodistrias - który czerpał chyba skrytą uciechę z sekretnej wyprawy - wyłuskał kapłana z sąsiedniej chatki i przekonał go, że grecki patriota powinien otworzyć przed nami jej drzwi.

- Ale po co?

- Nikko, szukamy wejścia do Hadesu.

- A dlaczego szukacie czegoś takiego? Jesteście diabłami?

- Nie, jesteśmy przyjaciółmi Grecji.

- Ale czego szukacie w Hagia Theodosia?

- Kierujemy się wskazówkami znalezionymi na starym sygnecie. Ci ludzie będą tu tylko przez chwilę. To naukowcy, strażnicy przeszłości, którzy starają się ją zrozumieć.

- Przeszłość lepiej zostawić przeszłości. Od tego jest przeszłością.

- Nie, Grecja powinna czerpać z niej naukę. Kapłan niechętnie otworzył drzwi.

- Zaczekajcie tutaj. - Zapalił świece w środku i wrócił. - Sami zobaczcie. To biedny kościółek w biednej wiosce. Niczego tu nie ma.

Greki wciągnął go z powrotem.

- Przekonajmy się.

Przeszedłszy przez przedsionek, narteks, weszliśmy do nawy głównej i w wysokich świecznikach zapaliliśmy kolejne świece. Budynek był znacznie mniejszy od świątyń katolickich czy protestanckich, miał też skromniejsze umeblowanie, ale znacznie bogatsze dekoracje. Zbyt pochopnie porównałem go do stajni. Na rozpiętej nad naszymi głowami kopule był dość prymitywny, ale wspaniały wizerunek Chrystusa gotowego zbawić lub stracić w czeluście piekieł ludzkie dusze. Pod nim wisiał piękny spiżowy kandelabr zwany horosem, a dalej znajdowała się najbardziej

ozdobna część kościoła - gładko polerowana ścianka działowa ze spiżu w kształcie kraty udekorowanej panelami przedstawiającymi aniołów i świętych. Według zwyczaju mogli ją przekraczać tylko kapłani, którzy po schodach wchodzili do znajdującego się na podwyższeniu ołtarza sanktuarium. Przestrzenne proporcje pomieszczeń przypomniały mi to, co widziałem w Egipcie: drogę do świętości.

- Kościół wydaje mi się raczej niewielki - stwierdził Cuvier. - Czego niby tu szukamy?

- Sarkofagu. Ale żadnego nie widzę.

- Może znajdziemy go w sanktuarium? - podsunął Fulton.

Smith podszedł do kraty i spróbował ją rozewrzeć, ale była zamknięta.

- Widzę tylko ołtarz.

- Gdzie jest kapłan? Rozejrzeliśmy się dookoła.

- Kapodistrias też gdzieś zniknął - skonstatował Cuvier.

W tejże chwili istotnie zdaliśmy sobie sprawę z tego, że Grecy nie weszli za nami do kościoła, tylko pozostali na zewnątrz i zamknęli za nami drzwi wejściowe. Wyglądało na to, że wrót do Hadesu musimy poszukać sami.

- Gage, czy to nie pułapka? Spróbowałem otworzyć kościelne drzwi. - Zamknięto je albo nawet zaryglowano z zewnątrz.

Może Grecy chcą nam stworzyć warunki do spokojnych, przez nikogo niezakłóconych poszukiwań?

- A może Kapodistrias w ogóle nie ufa Francuzom? - mruknął Cuvier.

- Myślę, że on nie zrezygnuje z szansy powiększenia swojej republiki. Ale lepiej bym się czuł, gdyby Hamid na nas już czekał. Nie przyjrzałem się dokładnie tym stateczkom ze zbrojnymi na pokładach.

- A co, jeżeli tropią nas Turcy? Powinniśmy uciekać - stwierdził Fulton. - To miejsce w ogóle nie przypomina mi niczego z pierścienia Fouche'go.

- Żeby tu dotrzeć, przebyliśmy ponad tysiąc mil. Przekonajmy się przynajmniej, czy coś tu jest. O, mamy belkę... zamknijmy te drzwi i od środka.

Niestety, poza bizantyjskimi ozdobami charakterystycznymi dla greckich kościołów nawa była pusta. Przeszukanie jej zajęło nam mniej więcej tyle czasu, ile przetrząśnięcie mojej pustej sakiewki.

- Tu nic nie ma - rzekł Cuvier, stwierdzając oczywistą prawdę. - Ethanie, zgadzam się z Robertem. Musimy stąd wiać.

- To nie ulega wątpliwości. Przeszukam jeszcze tylko sanktuarium.

- Ale jest zamknięte...

- Mamy więc jeszcze jeden powód więcej do zbadania jego wnętrza. Mam w tym względzie pewne doświadczenie i wiem, że im trudniej gdziekolwiek się dostać, tym bardziej jest to warte zachodu. Ludzie zawsze ukrywają wartościowe rzeczy w piwnicach, na pozamykanych strychach lub w zamkniętych na solidne drzwi skarbczykach i liczą na to, że pozostali nie zechcą tracić energii na przeszukanie tych miejsc. Po co trudzić się nad zamknięciem, skoro wewnątrz nie ma niczego cennego?

- Bo to święte miejsce - odpowiedział Smith.

- Cóż, to drugi z powodów - zgodziłem się. Podszedłem do kratowanej ścianki działowej dzielącej nawę od sanktuarium. Prowadziły do niego trzystopniowe schody, po obu zaś stronach były malowane ikony. Z jednej strony krytycznym spojrzeniem obrzucał mnie Jezus, z drugiej Maria patrząca na mnie podejrzliwie, jak niektóre z kobiet, z jakimi miewałem do czynienia. Na straży przejścia stali też święci i

aniołowie, którzy wcale nie mieli przyjaznych twarzy. Spojrzałem na dziurkę od klucza.

- Cuvier, podaj mi jeden z twoich pistoletów.

- Na miłość boską - odezwał się Fulton odpowiednio do okoliczności. Odłożył swoje dudy, czemu towarzyszyła chwila niskiego buczenia, i podszedłszy do mnie po schodach, wyjął zza pazuchy zestaw cienkich, mocnych stalowych narzędzi. - Nie trzeba strzelać, bo to tylko zablokuje zamek. Jeszcze jako chłopiec przestudiowałem zagadnienie i odkryłem, że cierpliwość jest kluczem niemal do wszystkiego. - Zaczął wsuwać dziwacznie powyginane stalowe druty w zamek. - Nie lubię tego używać, ale zdołam jakoś poruszyć wewnętrzny mechanizm zapadkowy. Oczywiście w środku niczego nie znajdziemy... co widać zresztą i z tego miejsca... a jak nas tu przyłapią wieśniacy, to zostaniemy ukamienowani jako świętokradcy albo spotka nas coś jeszcze gorszego.

- Ja tylko chcę się upewnić, że sanktuarium nie jest przedsionkiem Hadesu.

- Wyczuwasz siarkę?

- Uznajmy to za dobry znak.

- Nie widzę też w przejściu żadnych błyskawic - dodał Smith.

Wynalazca otworzył bramę jak wprawny złodziej i pospiesznie weszliśmy. Czuliśmy, że gwałcimy świętość. Pod jedną ze ścian zobaczyliśmy szafkę z kielichem i innymi niezbędnymi do nabożeństw przedmiotami. Nieopodal wisiało kadzidło, z którego leniwie wiły się smużki dymu. Pośrodku sanktuarium stał ołtarz przykryty kobiercem. Na jego blacie znajdowały się cylindryczny pojemnik, Ewangelia, a także złożony krzyż do prowadzenia procesji i wachlarze za nim.

- Czym jest ten pojemnik na kawę? - zapytał Smith tonem niewiniątka.

- To tabernakulum, ty pogański barbarzyńco - stwierdził Cuvier. - Trzymają w nim sakramenty.

- A, więc mogą w nim być wskazówki?

- Wiodące do nieba, nie do Hadesu.

Pochyliłem się i zbadałem posadzkę, szukając szczelin lub uchwyty do podniesienia płyt. Niczego nie znalazłem. Odcisk na pierścieniu i rada Kapodistriasa zaprowadziły nas w ślepy zaułek.

Na zewnątrz zaczęły szczekać psy. Ktoś nadchodził.

Wstałem i zacząłem rozważać sytuację. Przypomniał mi się egipską świątynię, postanowiłem zbadać dokładniej ołtarz, podnosząc róg okrywającego go obrusa.

- Czy to dozwolone? - zapytał Smith.

- Przecież nawet nie powinniśmy przebywać na tej wyspie - odpowiedział Fulton.

Zobaczyłem, że ołtarz nie wykonano z drewna, tylko wykuto z kamiennego bloku. Cofnąłem się. Całość była dość długa, by wewnątrz dało się położyć człowieka.

- Oto nasz sarkofag - stwierdziłem.

- Gdzie? - zapytał Cuvier.

- Sarkofagiem jest sam ołtarz. Ukryto go pod tym materiałem. Uwierz mi, że ten ołtarz jest grobem. Zdejmij tabernakulum i odstaw je gdzieś na bok.

- Nie zrobię tego. Spłonąłbym w piekle. - Sądziłem, że wy, francuscy rewolucjoniści, jesteście niewierzący.

- Też tak myślałem. Ale byłem na mszy w katedrze Notre Dame.

- No to ja sam to zrobię. I tak pójdę do piekła, mimo chęci poprawy obyczajów.

Czując się dość nieswojo, zniosłem święte przedmioty i umieściłem je na ustawionym pod ścianą stole. Bóg z pewnością może się wstrzymać z karą na chwilę lub dwie. Smith pomógł mi złożyć okrycie ołtarza - postaraliśmy się

zrobić to starannie i ostrożnie - i odsłoniliśmy kamienny sarkofag podobny do tego z rytu na pierścieniu. Na skrzyni leżała pokrywa. Kiedy spróbowałem ją przesunąć, odniosłem wrażenie, że ktoś użył cementu, by ją unieruchomić.

- Myślę, że musimy to podważyć - stwierdziłem. - Nie mówisz chyba tego poważnie! - Cuvier nigdy wcześniej nie brał udziału w zmuszających uczestników do grzebania się w kurzu poszukiwaniach ukrytych skarbów, których częścią w dużej mierze były czyny bluźniercze, niszczycielskie i złodziejskie.

- Na tym pierścieniu widzimy człowieka, który włązi do tego sarkofagu lub zeń wyłązi. Wiem, że to czyn niesłychany i bezduszny, ale jeżeli trafiliśmy do właściwego kościoła, trzeba tam zajrzeć. Jeżeli się pospieszymy, zdążymy to zrobić, a potem przesuniemy pokrywę na miejsce i ustawimy wszystko, jak było przygotowane do mszy.

- Dobrze by było. Tam na zewnątrz zbiera się spory tłumek. - Słyszeliśmy szczekanie psów, donośne, gniewne głosy i łoskot ciężkich uderzeń w drzwi kościoła.

- Ale niby jak podniesiemy tę pokrywę? - zapytał Smith.

Spojrzałem na Fultona.

- Czy nie ty zwałeś balustradę mostu w Wenecji? Wynalazca przełknął ślinę.

- Miałem wiosło.

- Te podstawki świeczników wydają mi się dość mocne. - Ujawszy tomahawk, zacząłem rąbać złącze pokrywy i ścian sarkofagu, nie przejmując się, że zniszczę ostrze głównej toporka. - Weźcie jedną i wciśnijcie ją w tę szczelinę. - Moi towarzysze się zawahali. - Chłopcy, pospieszcie się, i tak zabrnęliśmy już za daleko! Prawdopodobnie nie zobaczymy niczego prócz kości, ale co w tym złego? I tak wszyscy skończymy jako skamieliny, prawda?

Wbiliśmy ostrze klina w złącze pomiędzy pokrywą a ścianą sarkofagu, słupek podstawy świecznika wykorzystaliśmy jako dźwignię, jedno z rzeźbionych krzeseł zaś uczyniliśmy punktem podparcia. Spociłem się na samą myśl o tym, co miejscowi wieśniacy zrobią z nami, jak nas tu złapią, ale w zasadzie wszystko jedno, czy zadyndasz za kradzież siodła czy konia. Ktoś zaczął walić czymś ciężkim w drzwi kościoła.

- Smith, weź swój garłacz do narteksu i zobacz, czy nie zdołasz ich zniechęcić.

- Nie wiem nawet, do kogo mam strzelać!

- Lepiej nie pytać. Jak zaczną strzelać do ciebie, to już niczego więcej nie musisz wiedzieć.

- Czuję się jak cmentarny rabuś - mruknął Cuvier.

- Gdybyście, panowie, jeszcze tego nie odkryli, to właśnie tym się zajmujemy.

We trzech napaarliśmy na drąg, usłyszeliśmy lekki trzask i pokrywa sarkofagu nieznacznie się podniosła.

- Tak! - stęknął Fulton.

- Jeszcze raz, żeby choć zajrzeć do środka! - Nie bez hałasu udało nam się podnieść pokrywę sarkofagu na tyle, by zobaczyć jego wnętrze. Wewnątrz było oczywiście ciemno jak w grobowcu. - Przynieście świecę! - Wbrew swej woli zawsze się ekscytuję, gdy docieram do celu poszukiwań. Wciąż jeszcze kłamię w duchu stratę skarbu spod piramid i liczyłem skrycie, że tu znajdę kolejny.

Z zewnątrz doleciał nas głośny łoskot i trzask, gdy coś ciężko uderzyło w drzwi kościoła.

Pochyliłem się i wsunąłem do środka świecę, oświetlając wnętrze sarkofagu.

Było równie puste jak trumna wampira po zmroku.

W tejże chwili usłyszałem huk garłacza Smitha.

ROZDZIAŁ 13

- Zrobili dziurę w drzwiach i mogłem wyrzeć na zewnątrz! - krzyknął Anglik. - Tam jest cały tłum z bułatami i muszkietami! - Cofnął się w głąb nawy, by ponownie nabić broń. Jakiś człowiek odrąbał od drzwi solidną szczapę i Smith strzelił przez powstały w ten sposób otwór.

Rąbanina ustała. Usłyszeliśmy wrzaski, jęki i przez otwór z zewnątrz wetknięto kilka luf i dano na oślep ognia. Na szczęście kule bez szkody dla nas grzęzły w kamieniach. Drzwi były zbyt solidne, by łatwo ustąpić, a kościelne okna zbyt wąskie i umieszczono je zbyt wysoko, by można się było przez nie dostać do środka. No, oczywiście my też mielibyśmy trudności, gdybyśmy chcieli z nich skorzystać podczas ucieczki.

- Ilu ich tam jest? - zapytałem.

- Więcej niż w Paryżu lub Wenecji.

- Co to za jedni?

- A skąd, u diabła, miałbym wiedzieć? Widziałem kaptury, hełmy, turbany i szarfy. Wygląda na to, Ethanie, że ściągnąłeś nam na karki opryszków z połowy świata. Jest ich zbyt wielu, byśmy mogli długo stawiać opór. Cóż więc jest w sarkofagu?

- Nic, psiakrew - stwierdził Fulton.

- Aha. Znaczący, absolutnie bez powodu daliśmy się uwięzić w greckim kościółku zapyziałej wysepki na obrzeżach tureckiego imperium?

- Wygląda na to, że tak - odparł mój pomysłowy przyjaciel.

- Może rozbiliśmy nie ten sarkofag? - spróbowałem.

- Wolałbym zostać w Londynie. Moja matka ostrzegła mnie przed Paryżem.

W pustej nawie zagrzmiały echa, gdy napastnicy, najwyraźniej znalazłszy jakiś taran, walili teraz w drzwi

kościółka. Drewno wyginało się z każdym uderzeniem, a belka ryglująca zaczęła trzeszczeć.

- Może są tu jakieś tylne drzwi - podsunąłem kolejny pomysł.

Przez wysokie, otwarte okna do nawy wpadało światło pochodni.

- Nawet jeżeli przez nie wyjdziemy, to ci na zewnątrz porąbią nas w kawałki.

- A jak sądzisz, co się stanie, jak tu wpadną? - Smith spojrział w górę. - Do sklepienia też się nie dostaniemy, to nie Palais Royal. - Kupuła wisiała nad naszymi głowami na wysokości niemal dziesięciu metrów. - Myślę, że Gage w końcu zapędził nas w śmiertelną pułapkę.

- Możemy się bronić. - W moim głosie było więcej pewności siebie, niż czułem w istocie. - Jeżeli to tylko wieśniacy, to się cofną.

- Widziałem mundury. I dość broni siecznej, by wyposażyc kuchnię sporego pałacu.

- Ethanie, jeżeli mi pomożesz, zatrzymam ich na chwilę, gdy przejdą przez te drzwi. - Fulton podniósł dudy i ponownie usłyszałem ten osobliwy, chlupoczący dźwięk. - To ten smok, nad którym pracowałem. Pluje ogniem.

- Diabelska zupa, Robercie?

- To pewna odmiana ognia greckiego, bizantyjskiej broni. Jak zadziała, może ich zatrzymać.

Przez chwilę gorączkowo zastanawiałem się nad sytuacją.

- Dobrze. Rozniecimy pożar, a potem się ukryjemy.

- Gdzie?

- Cuvier, otwórz tylne drzwi albo przywiąż ten ornat z ołtarza do okna tak, żeby wyglądało, iż przez nie uciekliśmy. Potem schowamy się w sarkofagu, a gdy oni wybiegną, uciekniemy inną drogą. To doskonały pomysł!

- Chcesz wejść do tego grobu i zasunąć pokrywę?!

- Tylko na chwilę, żeby ich zbić z tropu. Macie jakieś lepsze pomysły?

Przy wejściu do kościoła rozległ się potężny trzask, belka rygła pękła i obie, najeżone drzazgami części wygięły się do środka. Na zewnątrz zobaczyliśmy gromadę kotłujących się dziko ludzi w turbanach i bez, błyski stali i ognie pochodni.

- Nie mamy czasu!

- Ależ nie! Mamy! - krzyknął Fulton. - Ethanie, weź tę świecę i stań tam! - Spokojnie jak strażak wymierzył jedną z rur w stronę rozpadających się drzwi. Zauważyłem, że przykręcił do niej przedłużenie dodające całości około metra. - Nawet wilka można przyuczyć, żeby nie dotykał gorącego piecyka.

W jego postawie dostrzegłem ponurą zawziętość oraz chęć wypróbowania nowego diabelstwa w praktyce i dla dobrej sprawy - albo żeby ratować własną skórę.

Belka rygła w końcu rozpadła się na dwoje. Do kościelnego przedsionka wpadli ludzie w kapturach i opończach podobni do tych, na jakich natknęliśmy się w Wenecji.

- Teraz! - krzyknął Fulton. - Przytrzymaj świecę przy wylocie tej rury!

Nacisnął miechy i zamiast dźwięków z wylotu rury trysnął strumień cieczy. Podniosłem świecę i wetknąłem ją w strumień, który zajął się nagle ogniem jak smoczy oddech. Płomień strzelił naprzód, liznął rozbite drzwi i smagnął po opończach wbiegających do kościółka napastników, okultystów z rytu egipskiego.

Nawę wypełniły wrzaski ogarniętych ogniem ludzi.

Fulton trzymał rurę swojej ognistej polewaczki. Tak chyba powinienem ją nazwać, ponieważ ze szprycy zamiast wody leciał strumień ognia. Miechy wydmuchały dziesięciometrową strugę, podpalając natychmiast drzwi, futrynę i kilku

napastników. Thuszcza cofnęła się ze zgrozą, tworząc dzikie kłębowisko ludzi rozpaczliwie usiłujących stłumić ogień. Nauczka dla drani, pomyślałem ponuro. Płonące drzwi dały nam tymczasową osłonę ognia i dymu. Zaraz jednak zagrzmiały wystrzały i w naszą stronę poleciały kule.

- Z powrotem do nawy! - krzyknął wynalazca, porywając ze sobą dudy.

Cofnęliśmy się do nawy głównej i zatrzasnąwszy wiodące do niej drzwi, spiętrzyliśmy pod nimi stos kłęczników. Potem kopnęliśmy się do sanktuarium. Cuvier uchylił już boczne drzwi, jakbyśmy przez nie wybiegli pospiesznie, i odsunął szerzej pokrywę sarkofagu, a potem wlaźł do środka, zabierając ze sobą naszą broń.

- A co z powietrzem? - zapytał mnie.

- Z moich doświadczeń w łodzi podwodnej wynika, że mamy przynajmniej pół godziny - odpowiedział Fulton. - Jak sobie nie pójdą, będziemy musieli wyjść i się poddać. Ale ten idiotyczny plan Ethana jest naszą jedyną szansą.

Wewnątrz stłoczyliśmy się jak ogórki w beczce, grób był jednak większy od tego, jaki znalazłem w Mieście Duchów w Ziemi Świętej - przypominał raczej leżącą poziomo szafę niż trumnę. Z trudem przesunęliśmy na miejsce ciężką pokrywę, umieściliśmy ją jakoś na środku i pogrążyliśmy się w kompletnym mroku. A potem zaczęliśmy czekać... aż napastnicy zrezygnują.

Przez kamienną pokrywę dobiegały nas jakieś głuchoe dźwięki.

Łoskot - otwarto drzwi nawy. Nikłe okrzyki wściekłości. Bliższy szczeł otwieranych drzwi sanktuarium, tupot butów o kamienne płyty posadzki, a potem zgrzyt otwieranych szerzej drzwi bocznych. I cisza.

Leżeliśmy stłoczeni jedni na drugich, spoceni, trzymaliśmy broń w zaciśniętych pięściach i ciężko, gorąco

dyszeliśmy. Gotów już byłem zerknąć na zewnątrz, gdy znów doleciały nas kolejne dźwięki. Znieruchomieliśmy. Potem usłyszeliśmy odgłosy jakiejś rozmowy, co odebraliśmy jako głucho pomruki - i osobliwe zgrzyty.

- Łańcuchy? - szepnął Cuvier.

Potem łoskot, jakby coś wpierano w drzwi lub ściany. Ponownie zgrzyty i szcęk, jakby coś ciasno dociągano.

- Co, u licha? - zapytał Smith.

W końcu ponownie zapadła cisza. Odczekałem długą chwilę, nasłuchując najśłabszych choćby dźwięków świadczących o tym, że nasi wrogowie się czają, by nas pojmać. Nie usłyszałem niczego. Odeszli. Zbliżał się już koniec połowy godziny Fultona i nie chciałem, byśmy wyleźli na zewnątrz oszołomieni brakiem powietrza.

- No to wyłaźmy - szepnąłem. - Na dobre czy złe. Leżąc na plecach, podnieśliśmy nogi, ręce i wparliśmy je w pokrywę, by ją odrzucić. Nie drgnęła.

- Mocniej! - syknąłem.

Stęknęliśmy i napaarliśmy ze wszystkich sił. Usłyszeliśmy jedynie zgrzyt ogniów łańcucha o kamienie.

- No, ostatni raz.

Pokrywa ani drgnęła, jakby przyrosła do ściany.

- Skurczybyki... Oni chyba przymocowali pokrywę łańcuchami - stęknął Smith. - Zamknęli nas w pułapce i zatrzasnęli pokrywę. A teraz poczekają tylko, aż się podusimy.

- Nie mogli być aż tak sprytni. Pchnąłem jeszcze raz. Bez rezultatu.

- No to już po nas.

Mój plan wpędził nas za życia do grobu.

- Najwidoczniej ich nie oszukaliśmy - stwierdziłem odkrywczco. Mówiłem już głośno, bo i tak nas schwyтали niczym muchy do słoja.

- Najwidoczniej to najgłupsza rzecz, jaką mogliśmy zrobić - poprawił mnie Cuvier. - Myślałem, że ścigamy się w odkryciu jakiegoś sekretu! A oni po prostu chcą nas unicestwić!

- Może wiedzieli, że krypta jest pusta - mruknął Fulton z nutką całkowicie zrozumiałej wściekłości w głosie. Przyszło mi na myśl, że mój rodak zaczyna wątpić w moją reputację obdarzonego łaskami Fortuny awanturnika. - Na początek podpalasz nas w paryskim burdelu! Potem przez ciebie, Gage, nas aresztują, jakaś twoja luba rzuca w nas granatem, a na koniec każesz nam się zamknąć w tym grobie, żebyśmy się tu podusili! Czy ktoś mi może powiedzieć, dlaczego akurat tego człowieka wybraliśmy na przewodnika po Paryżu?

- Ona nie była moją lubą. - Było to powiedziane nawet bardzo obronnym tonem.

- On miał być też ekspertem od dziwek - stwierdził Cuvier.

- Może ci ludzie chcieli nas tylko usunąć z linii ostrzału - odezwał się Smith. - Hola tam! - Walnął w pokrywę lufą garłacza. - Poddajemy się!

Żadnej odpowiedzi.

Wydzieraliśmy się i waliliśmy w pokrywę czym kto miał, ale niczego nie wskóraliśmy. Wyglądało na to, że pogrzebali nas żywcem i skoczyli sobie na kolację. Odpłacali nam okrutnie za ogień Fultona. Nie wiadomo, co gorsze - spłonąć czy się udusić.

- Może zdołalibyśmy jakoś utorować sobie drogę wyjścia wystrzałami? - zaproponował Smith.

- Jak wypalisz tu z garłacza, kule odbiją się od ścian i podziurawią nas jak sita - odpowiedział Fulton.

- No, zresztą i tak teraz nie jest nabity. I strasznie trudno byłoby nabić go ponownie w takim ścisku.

- Spróbujcie też nie dusić tych dud Fultona - poradził Cuvier. - Wolałbym się tu nie upiec. I zaczynają mnie łąpać skurcze.

- Tak... Ethanie, czy mógłbyś zmienić pozycję? - zapytał Smith. - Możemy umrzeć w wygodniejszych pozach. - A przy okazji, Georges, jak się umiera z braku powietrza? W końcu to ty jesteś zoologiem.

- Zapewniam cię, że tego nie próbowałem.

- Myślę, że to bardziej ukradkowe niż bolesne - zaczął teoretyzować Fulton. - Gdy brakuje tchu, nasze umysły ogarnia jakby mgła. Tak tego doświadczałem podczas prób w łodzi podwodnej. W końcu tracimy przytomność i umieramy. Nie za bardzo się to różni od zapadania w sen.

- Nie jest to najgorszy sposób przejścia do wieczności - powiedziałem najbardziej rześkim tonem, na jaki mogłem się zdobyć.

- To pierwszy wstrzymaj oddech, bałwanie, żeby reszta pożyła chwilę dłużej - warknął Cuvier.

Nie miałem pojęcia, czy chciał mnie po prostu zbyć, czy może rozjuszył go pomysł wspólnego leżenia ze mną przez resztę wieczności.

- Naprawdę uważacie, że oni wiedzieli, iż ten sarkofag nie zawiera absolutnie żadnych sekretów? - zapytał Smith.

- Podejrzewam, że zamierzają nas po prostu pozabijać, a potem sami tu zajrzą i poszukają - odpowiedziałem. - Skuteczny sposób, ponieważ przy okazji nas grzebią. W ogóle nie będą musieli się wysilać.

- Jestem pod wrażeniem.

- Lepiej przestańmy rozmawiać i oszczędzajmy powietrze, podczas gdy ja będę myślał - zaproponowałem.

- I cóż niby osiągniemy dzięki temu fenomenowi? - zapytał Cuvier. Zaraz potem zaczął kopać kamienną pokrywę i wydawać wrzaski w rodzaju: „Ratunkuuu!” i „Poddaję się!”

Nie trwało to zresztą długo i wyczerpany jak reszta z nas popadł w milczenie. Leżeliśmy w ciemnościach ślepi, bezradni i skazani na śmierć. Chciałbym móc powiedzieć, że pochowanie za życia dało mi nagłe olśnienie, szczerze mówiąc jednak nie przychodziła mi do głowy żadna myśl natury filozoficznej poza tą może, iż jestem, jak odgadli to już inni, cholernym durniem. I cieszyłem się z tego, że moim towarzyszom nie przyszło do głowy, żeby mnie udusić. Czekaliście więc. I czekaliśmy. I czekaliśmy.

Cisza.

Czułem się samotny.

- Panowie, czy jesteście już martwi? - zapytałem wreszcie.

- Na miłość boską, Gage! - stęknął Smith.

- Ale ja też nie jestem. Cuvier, czy to nie zdumiewające?

- Może jesteśmy martwi - odezwał się Fulton. - Może to właśnie jest śmierć, zwłaszcza po tym, jak bezwzględnie zabijałeś ludzi. Może jesteśmy w piekle.

- Nie, dochodzi tu powietrze - stwierdziłem. - Musi dochodzić. Światło nie, ale powietrze tak.

- Co chcesz nam powiedzieć? - zapytał Smith.

- Że w tym pudle jest jakaś szczelina. Pomacajcie dookoła dłońmi, może ją znajdziemy. Może w tym sarkofagu jest coś, czego do tej pory nie znaleźliśmy?

Wodząc palcami po powierzchni kamieni, niczego nie wyczuliśmy. Na próżno szukałem szczeliny lub pęknięcia, ale skoro po bokach niczego nie było, powietrze musiało dochodzić skądś dołem.

- To chyba jest pod spodem - upierałem się. - Nosy w dół i wachajmy.

- Gage, ty...

- Czekajcie! - odezwał się Cuvier. - Z tej strony jest chyba bardziej czyste.

- Może powinniśmy kopać? - podsunął pomysł Smith. - Gage, masz ten swój głupi miecz?

- To raczej elegancki rapier.

- Spróbuj coś podważyć jego klingą...

Wydobycie klingi z pochwy nie było łatwe, bo leżeliśmy mocno stłoczeni. Potem musieliśmy jeszcze odwrócić ją sztychem w stronę, którą wskazywał nos Cuviera.

- Auć!

- Przepraszam. Jeżeli odchyliš się w tę stronę...

- W którą? Niczego, psiakrew, nie widzę!

- Nie dźgaj w moje dudy!

- Przez chwilę leżcie bez ruchu. No tak, spokojnie... Auć!

Ostrożnie, Georges, tu jest sztych.

Zacząłem drapać sztychem w miejscu połączenia płyt bocznych z posadzką, macając tuż nad nim palcami. Wyczułem wyryty w kamieniu romb, maleńki i płytki, ale wyraźny. Romb, niczym strzałka kompasu, starożytny symbol wolnomularstwa? No, no, to bractwo było wszechobecne! Nacisnąłem znajdujący się pod nim kamień, szukając jakiegoś otworu. I nagle coś szczęknięło metalicznie.

A potem nagle, zanim zdążyłem wydać ostrzegawczy okrzyk, poleciliśmy w mroczną otchłań.

ROZDZIAŁ 14

Tylko cudem żaden z nas nie nadział się na sztych mojego rapiera. Ze szczękiem broni uderzyliśmy w jakieś zbocze i ześlizgnęliśmy się po nim, nie bardzo wiedząc, gdzie dół, a gdzie góra. Teoria Fultona, że spadamy do piekła, nagle wydała mi się przerażająco bliska prawdy. W końcu jednak wszyscy razem z moim rapierem, rusznicą, garłaczem i dudami stoczyliśmy się na jakieś dno leżące na niewiadomej głębokości.

Było tu powietrze, pełne dymu, ale dało się nim oddychać. I było gorąco jak w przedsionku do Hadesu.

- Georges? Williamie, Robercie?

- Robi się coraz gorzej - stęknął któryś z nich.

- Wszyscy żyją?

- A skąd mamy wiedzieć?

- No, przecież tu jesteśmy, jak myślę. Pierścień jednak dawał jakąś wskazówkę. Sarkofag nie był skarbem, jego dno stanowiło klapę wejściową. Musimy jedynie zachować przytomność umysłu, zbadać to miejsce, odkryć jego tajemnice i znaleźć drogę wyjścia.

- Przytomność umysłu! Ciemno tu jak w dupie! - To był chyba Cuvier.

- Ethanie, zanim trafiliśmy na to dno, spadaliśmy przez kilka sekund - stwierdził Fulton. - Wątpię, żebyśmy zdołali się tam wspiąć, a zresztą cóż by nam z tego przyszło?

- Kiedy nasi nieprzyjaciele otworzą sarkofag, zobaczą, któredy uciekliśmy - dodał Smith.

- Może... A może sztych mojego rapiera przesunął jakąś zapadkę albo sprężynę - fantazjowałem. - Dno się otwiera, ale sprężyna wraca na miejsce. Mogą otworzyć sarkofag i stwierdzić, że jest pusty. Pomyślą, że to cud, albo dojdą do wniosku, iż wcale nas tam nie było, bo wymknęliśmy im się wcześniej. Uznają nas za diabło pomysłowych.

- A czemu niby mieliby się tym przejmować? - zapytał Fulton. - I tak jesteśmy zgubieni. Po prostu wpadliśmy z mniejszego grobu do większego.

- Nie. Od dawna właściwie nic innego nie robiłem, tylko myszkowałem po podziemiach - stwierdziłem, nadrabiając miną. - Tu coś musi być, może coś takiego, co zachowało się nietknięte od średniowiecza. Zanim uruchomiłem tę zapadnię, wyczułem chyba znak wolnomularzy. Przyjaciele, to może być jakiś tunel z czasów templariuszy.

- Templariusze! - stęknął Smith. - O czym ty mówisz?

- O grupie krzyżowców, którzy poszukiwali starożytnych artefaktów i swego czasu niektóre z nich udało im się odnaleźć. Jeden odkryłem na Bliskim Wschodzie, w zagubionym Mieście Duchów, inny w amerykańskiej dżicy. Wygląda na to, że templariusze systematycznie badali przeszłość. Po tym, jak Saraceni wyparli ich z Bliskiego Wschodu, pobudowali zamki na Cyprze i Malcie. Może przybyli i na tę wysepkę, gdzie zbudowali skrytkę dla następców, którzy nigdy się tu nie zjawili? Może nic nam nie grozi, przeciwnie, może mieliśmy szczęście? Może lada moment odkryjemy to, co kazali nam znaleźć Napoleon i Fouche, jakąś pradawną broń zaginionych cywilizacji? Może zyskamy nagrodę?

Nastąpiła długa chwila milczenia. Potem odezwał się Francuz. Mówił wolniej i ostrożniej.

- Zdajecie sobie sprawę z tego, że jesteśmy kompletnymi wariatami?

- Jeżeli tak, to Napoleon też jest wariatem. Zastanów się. Słyszał plotki o ukrytej broni łączonej z Atlantydą, Og, a potem wysyła nas tutaj. Sam nie bardzo wierzyłem w tę legendę, gdy zobaczyłem mizериę tej wysepki, ale ten grób z ukrytą klapą w posadzce i rytym masonów każe mi myśleć inaczej. Spadliśmy do jakiejś jamy, to prawda, ale może ona tu

jest nie bez powodu? Wiem, że otacza nas mrok, jesteśmy poobijani, broczymy krwią, nie mamy żarcia, wody ani najmniejszego pojęcia, dokąd iść... ale to wszystko może się okazać uśmiechem Fortuny. - Mimo ciemności wyszczerzyłem zęby. - Właściwie bardzo mnie to podnieca.

Moi towarzysze dalej uparcie milczeli. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie odeszli.

- Zanim znajdziemy ten skarb - kontynuowałem rześkim głosem - musimy podjąć decyzję, dokąd iść. Mam nadzieję, że zbrocze, po którym się zsunęliśmy, prowadzi dalej do jakiegoś tunelu bez żadnych rozwidleń, jaskiń czy spadków. Możemy się trzymać za ręce i wędrować w mroku, macając ściany.

Odpowiedziały mi stęknienia.

- Nie trzymam cię za rękę - odezwał się Fulton. - Zapalmy świecę.

- Jaką świecę?

- Zatrzymałem jedną, gdy podpalałem mój miotacz ognia.

- Miałeś świecę? - zapytał Cuvier. - To czemu jej nie zapaliłeś w tym cholernym sarkofagu?

- Bo nic by to nie dało. I tak nie mieliśmy dokąd uciec, a płomień zużyłby tylko tlen.

- Wszyscy Amerykanie to wariaci - mruknął zoolog. - Nie tylko Gage.

- A ja mogę zapalić panewkę mojej rusznicy - odezwałem się radośnie. - Zbierzmy jakieś kłaki, by zrobić coś w rodzaju lontu czy knota.

Tak też uczyniliśmy, a potem dzięki odrobinie prochu z mojego rogu i naciśnięciu spustu otrzymaliśmy błysk, od którego zajęły się kłaki, i wkrótce potem płonąła już świeca Fultona. Nie mając lichtarza, wetknęliśmy ją w wylot lufy garłacza Smitha. Następnie obejrzelśmy się nawzajem, sprawdzając obrażenia. Wszyscy byliśmy brudni, obszarpani i poobijani po upadku, ale w zasadzie - ku naszemu

zaskoczeniu - nikt poważniej nie ucierpiał. Sztych mojego rapiera był lekko wygięty, broń obtłukło solidnie, ale nic - włącznie z naszymi kośćmi - nie uległo złamaniu. W blasku świecy zobaczyliśmy też brudne, strome zbocze, z którego się stoczyliśmy. Dno sarkofagu zginęło gdzieś w mroku nad naszymi głowami. Naprzeciwko zbocza otwierał się wąski, kręty i ginący w głębi bazaltowej skały tunel. Wlot był dość niski, ale dało się przejść - choć trzeba się było pochylić.

Tunel wiódł w dół, do Hadesu.

ROZDZIAŁ 15

Podziemny szlak wił się kręto, jakby wrył go gigantyczny robak. W niektórych miejscach sklepienie lochu było dość wysoko i mogliśmy iść bez przeszkód, w innych musieliśmy się czołgać, bojąc się, że natrafimy na ślepy zaułek. Ściany też były dość nieregularne, a ich widok budził zwątpienie, by zostawili je średniowieczni rycerze.

- Najwyraźniej skorzystali z dzieł natury - stwierdził Cuvier. - To prawdopodobnie korytarz, którym przedostawała się lava. W niektórych wulkanach są przewody, którymi płynie roztopiona skała. Gdy ta wyspa była wulkanem, ten korytarz był może kanałem, którym dało się zejść ze szczytu do morza.

- Ta wyspa nadal jest wulkanem - poprawił Smith.

- Czy lava nie może znów tędy popłynąć? - zapytał zaniepokojony Fulton.

- Tylko podczas erupcji - odpowiedział Smith. - Ale w takim wypadku udusilibyśmy się albo ugotowaliśmy znacznie wcześniej, niż zjawiłaby się tu lava.

- Albo tunel byłby się zwałił pod wpływem podziemnych wstrząsów - dodał Cuvier.

- Wrząca woda ugotowałaby nas żywcem - stwierdził Smith.

- Para mogłaby nas śmiertelnie poparzyć - zgodził się Cuvier.

- Na Etnie niekiedy gapiów zabijają wylatujące z krateru kamienie.

- A pod Wezuwiuszem znajdowano ciała skamieniałe w popiele.

Obaj uczeni świetnie się bawili.

- Kocham naukę, a ty? - zapytałem Fultona.

- Znacznie mądrzej jest pracować nad rzeczami, które możesz kontrolować, takimi jak maszyny.

Badaliśmy korytarz skuleni wokół naszej niewielkiej świecy. Dawała nie tylko światło, ale pewność, że dopóki płonie, mamy czym oddychać.

- Jeżeli nadal żyjemy, znaczy, że musi być tu jakieś inne wyjście, przez które dociera powietrze, prawda? - zwróciłem się do moich towarzyszy.

- Owszem - odpowiedział Cuvier. - Może tak duże jak drzwi. A może nie większe od twojego palca.

- No... tak.

Dwukrotnie zjechaliśmy w dół po jakichś rumowiskach, za każdym razem jakby zbliżając się do samego piekła. Było gorąco, ale ile z tego powinienem był przypisać wyobraźni? Ocierając dłonią czoło, stwierdziłem, że diablo zaszło mi w gardle. Potem przeleźliśmy po jakimś parapecie i pozioma część drogi się skończyła. Natrafiliśmy na pionową studnię o gładkich, okrągłych ścianach, ciągnącą się w górę i w dół. Zerknąłem w górę, ale nie zobaczyłem niczego prócz ciemności; ta droga prawdopodobnie była zamknięta. Niełatwo byłoby zresztą tam się wspiąć. Oderwałem skrawek koszuli, podpaliłem go od świecy i zrzuciłem w głąb szybu. Mniej więcej sześć metrów niżej widać było pokryte kurzem dno i wylot jakiegoś tunelu.

- Tu jest dość ciasno - stwierdziłem. - Jak oprzemy nogi i plecy o ściany, będziemy mogli ostrożnie zsunąć się w dół. Pójdę pierwszy, a gdy będę na dole, podacie mi garłacz i świecę. - Połowa już się wypaliła.

Nie bez obaw zleźliśmy na dół, gdzie dokonaliśmy zaskakującego odkrycia. Idący dalej tunel był wzmocniony belkami. Teraz wyglądał jak chodnik kopalniany, a nie jak naturalnie utworzony skalny kanał. Drewno było stare, zwiertzałe i popękane; nie zgniło dzięki ciepłemu i suchemu powietrzu korytarza. Znaleźliśmy tu też stos piasku i dość prymitywne, zardzewiałe narzędzia.

- Ktoś tu był przed nami - stwierdziłem. - I nie tysiące lat temu. Myślę, że ta sztolnia to alternatywne wyjście na powierzchnię. - Spojrzałem w górę. - Szkoda, że nie ma tu drabin.

- Może to szaleństwo nie jest tak do końca pozbawione sensu - przyznał Cuvier.

- Te belki nie wyglądają na dość mocne, by utrzymać płótno namiotu, a co dopiero mówić o skałach - ostrzegł nas Fulton. - To prymitywna konstrukcja, bardzo stara i słaba.

- Zaryzykowałbym twierdzenie, że pochodzi z czasów średniowiecza - odezwałem się. - Czemu niby miałyby wytrzymać setki lat i zwalić się nam na łby akurat teraz?

- Bo nasza obecność wywołuje drgania i hałasy - powiedział Cuvier.

- To mówmy szeptem i niczego nie dotykajmy. Ruszyliśmy ostrożnie przed siebie i natknęliśmy się na ulicę.

Oczywiście nie była to normalna ulica - w końcu znajdowaliśmy się pod powierzchnią Tery. Jacyś górnicy - mógłbym uwierzyć, że byli nimi średniowieczni templariusze - wykopali tu płaskie dno wyłożone starymi kamiennymi płytami. Sklepienie było wysoko, a my mieliśmy żałośnie nikłe światło, dopóki Cuvier nie wziął suchego jak pieprz drzewca średniowiecznej łopaty, nie owinał go naszymi chusteczkami do nosa, a potem nie podpalił ich od świecy, co dało nam prowizoryczną pochodnię. W jej świetle zobaczyliśmy zbocze z wulkanicznego popiołu i rumowisko pod ścianą ulicy miasta, które zostało pogrzebane pod tufem przed tysiącami lat, podczas eksplozji wulkanu. Z drugiej strony ulicy widać było jednak ścianę jakiegoś starożytnego budynku z drzwiami i jakimś pomieszczeniem za nimi. Prosto przed nami wykładana kamiennymi płytami uliczka kończyła się rumowiskiem skał i kamieni niemal całkowicie

blokujących tunel z wyjątkiem niewielkiej szczeliny pod sklepieniem. Dał od niej powiew czystego powietrza.

- Odkrywcy prawdopodobnie używali studni do wynoszenia wykopanej ziemi na zewnątrz - odezwał się Smith. - Potem ją nakryli jakąś pokrywą, by ukryć wszelkie ślady, i użyli tego kanału po lawie, by zrobić przejście do odległego kościółka. Może zresztą nie było tam wtedy kościoła, a ten sarkofag i resztę zbudowano wokół, żeby ukryć i tamto przejście. Wygląda to tak, jakby zamierzali tu wrócić, ale nic z tego nie wyszło.

- Może uciekli przed kolejną erupcją - podsunął Cuvier. - Może zostali napadnięci podczas jakiejś wojny?

- Templariuszy złamano i rozpedzono w roku tysiąc trzysta siódmym - powiedziałem. - W piątek trzynastego.

- A o tym miejscu... prawdopodobnie była to część pogrzebanego pod popiołami miasta... zapomniano - skostatował Smith.

- Aż do wyścigu pomiędzy tobą, Gage, a masonami odszczepieńcami z loży rytu egipskiego: kto pierwszy odkryje tajemnice starożytnych - stwierdził Fulton.

Nie ja zapoczątkowałem ten wyścig. Popadłem w całą tę kabałę przed dobrymi czterema laty, wygrywając w Paryżu przy karcianym stoliku pewien medalion. Od tamtej pory moje życie stało się nieprzyjemnie burzliwe i irytująco niedochodowe. Czuję też, że zostałem wmieszany w jakąś awanturę historyczną. Templariusze zostali unicestwieni przez króla Francji i papieża, desperacko pragnących położyć łapy na sekrecie ich władzy oraz potęgi, a ich odkrycia przepadły w mroku dziejów. Lecz teraz ożyło zainteresowanie przeszłością. Nadszedł wiek rewolucji i rozumu, a jednak legendy i okultyzm pozwalały nam na chwilę wytchnienia od szaleńczego rozwoju nauk. Współczesny świat zmieniał się tak szybko! Czy tu, na dole, istotnie znajdowało się coś, co

mogło zachwiać równowagą polityczną i militarną na Morzu Śródziemnym?

- Opierając się na doświadczeniu, powiedziałbym, że teraz powinniśmy tu poszperać - oznajmiłem. - W ten sposób znajduje się skarby.

Weszliśmy do jednej z odkopanych komnat i natknęliśmy się na coś absolutnie niespodziewanego.

Nie było tu żadnych machin ani mebli. Ale zamiast surowej białości ścian, jakiej można się było spodziewać po greckiej architekturze, zobaczyliśmy ogród pełen niesłychanie żywych barw. Ściany pokrywały malowidła o nierzeczywistym pięknie wydającym się wspomnieniem dawno utraconego raj. Ku niewidocznemu słońcu pięły się pędy winorośli i kwiaty o ognistej żółci, czerwonych i purpurowych płatkach. Falistymi liniami nakreślono sylwetki ptaków i antylop w ruchu wdzięcznym i płynnym jak leniwie wijąca się rzeka; pasły się i polatywały na ochrowej barwy łąkach. Z płataniny gałęzi zwieszały się małpy. Po rzekach sunęły obwieszane girlandami kwiatów, smukłe łodzie wyścigowe. Nagi młodzieniec wychodził z wody z wiązką niedawno złowionych w kryształowo czystym morzu ryb. Delikatnym gestem wzywała go ku sobie piękna, spokojna niczym gołębica, odziana w przejrzyste szaty dziewczyna o rysach jak z kamei, z grzywą faliście spadających jej na ramiona czarnych włosów.

Jakże inne to było od surowych, posępnych malowideł w egipskich świątyniach! Albo od majestatycznej bieli ruin ateńskiego Akropolu! Egipcjanie malowali maszerujących wojowników, którzy deptali nieprzyjaciół. Ci tutaj ludzie nie byli po prostu spokojni - emanowała od nich łagodność istot, które nie znały pojęcia wojny. Przypomniało mi to marzenia Magnusa Bloodhammera o Edenie przed upadkiem Adama, niezatrutym jeszcze przez Węża.

- Jeżeli szukamy machin wojennych, to myślę, że dano nam zły adres - mruknąłem. - To wygląda jak pacyfistyczna Arkadia.

- Wspaniali są, prawda? - odezwał się Cuvier. - Ile życia jest w tych malowidłach! Ilu współczesnych malarzy mogłoby stworzyć coś takiego?

- Nasze portrety są bardziej mroczne - zgodził się Smith. - Mieszkający na północy Europy ludzie wdziwiają na siebie zbyt wiele odzieży, obżerają się, przedstawiani są pod pochmurnym niebem albo na okiełznanych koniach. Ci ludzie tutaj żyli jak w raju, zanim ten wulkan wyleciał w powietrze.

- Czy to Atlantyda? - zapytał Fulton.

- To coś bardzo starożytnego i zupełnie innego od Grecji czy Egiptu - stwierdziłem. - Nie mam pojęcia co. Oni nie wyglądają na zwyczajnie szczęśliwych, oni są absolutnie spokojni i pewni siebie. Ale wcale nie wyglądają na ludzi wojowniczych. Czemu okultyści z rytu egipskiego sądzą, że znajdują tu jakąś broń?

- Wciąż nie wiemy, czy trafiliśmy na właściwe miejsce.

- Przypomnijcie sobie ten grób, klapę w posadzce i ten tunel. Wszystko to bardzo zmyślnie urządzone.

- Może to, co chcieliśmy tu znaleźć, zostało już przeniesione gdzie indziej?

- Nie sądzę. Nie jestem pewien, czy ktoś tu zaglądał od średniowiecza.

- Są tu jeszcze inne drzwi. Rozejrzyjmy się.

Budynek okazał się labiryntem, na planie równie nielogicznym, jak był pięknie zdobiony. Komnaty łączyły się ze sobą bez przedsionków czy korytarzy ani organizującego przestrzeń atrium. Nagromadzono je jak komórki plastra miodowego. Mijaliśmy malunki okrętów, z których burt wyrastały owadzie nogi wiosł, łany lśniących i falujących papirusów, walczących ze sobą atletów lub ścigające się

dziewczęta. Oświetleni wąskim stożkiem światła migotliwych pochodni przechodziliśmy z komnaty do komnaty, gdy nagle Fulton okrzykiem wezwał nas do zatrzymania się.

- Czekajcie! Przystanęliśmy.

- W ostatniej komnacie zobaczyłem chyba coś interesującego.

Cofnęliśmy się. Wynalazca pokazał nam fresk pod sufitem, przedstawiający flotyllę okrętów, niezbyt nawet różniących się od tych, jakie widzieliśmy wcześniej. Wyciągnęliśmy z tego wniosek, że budowniczości tego teraz zasypanego ziemią i popiołami miejsca byli żeglarzami, bo kimże innym mieliby być mieszkańcy wyspy? Czy nauczyli się sztuki żeglowania przed wybuchem wulkanu? Czy znaleźli gdzieś inne miejsce do odbudowania cywilizacji? Może w Ameryce?

- Tu jest coś dziwnego - stwierdził Fulton, wskazując interesujący go fragment fresku.

Na jednym boku pomykających po wodzie okrętów był namalowany półksiężyc emitujący jakby smugę światła, która oświetlała drogę niewielkiej flotyli.

- To księżyc, nie sądzisz? - podsunąłem mu. Wynalazca potrząsnął głową.

- Popatrz, to jest przymocowane do burt tych pięknych okrętów jakąś ramą, równie ładną jak tamte malowidła. Ale kręcą się przy tym maleńkie figurki. Panowie, to nie jest obiekt niebiański. To jakaś maszyna. - Przesunął palcem po emitowanym z półksiężyca promieniu i podążył za nim do jednego ze statków, nad którym zakwitał kolorowy kwiat. Uznałem go za pomalowany sepią żagiel, Fulton jednak, wciąż myślący o swoich ognistych dudach, stwierdził coś innego. - Oni chyba podpalają te okręciki...

Poczułem dreszcz, jakbym ujrzał węża pod rajsłkimi kwiatami Edenu. Ludzie, owszem, żyli tu w pokoju. Może

jednak ten pokój był osłonięty jakąś tarczą o tak straszliwej mocy, że mogła podpalić nieprzyjacielski okręt, który podpłynął za blisko.

- Ale ten pomysł przypisuje się wielkiemu Archimedesowi - stwierdził Fulton. - Ci ludzie nie mogli odkryć ognistych zwierciadeł, było jeszcze na to za wcześnie!

- Ogniste zwierciadła? Robercie, o czym ty mówisz?

- Istnieją zapisy w starożytnych księgach, przypisywane żyjącemu dwa wieki po Chrystusie Lukianowi i później przekazywane nam przez kopistów. Lukian napisał, że podczas oblężenia Syrakuz w dwieście dwunastym roku przed Chrystusem grecki matematyk Archimedes skonstruował zwierciadła czy soczewki, które podpalały rzymskie triremy. Ten Grek był geniuszem mechaniki i skonstruował też gigantyczne kleszcze, które niszczyły rzymskie okręty niczym zabawki. Ostatecznie jednak Rzymianie zwyciężyli, wdarli się do miasta i Archimedes został zabity przez jakiegoś głupiego żołdaka, gdy rysował na piasku jakieś koła. Geniusz Archimedes'a zginął razem z nim, ale pozostały legendy o promieniach śmierci. Niektórzy nazywali je włócznią Posejdon'a lub trójzębem Neptuna.

Spojrzałem na wynalazcę ze zdumieniem w oczach. Takie słowa odczytałem na złotej folii, którą znalazłem w Ameryce Północnej.

- Wielu uznało to za bajkę - ciągnął Fulton. - Nikt też nie przypisywał tych urządzeń czasom przed Archimedesem. Ale czy ten genialny Grek nie mógłby zaczerpnąć pomysłu w miejscu takim jak to tutaj?

- Z Atlantydy?

- Niewykluczone.

- A mogłoby działać? - zapytał Smith.

- Kto wie? Ale gdyby działało i gdybyś mógł odtworzyć je dzisiaj, mogłoby podpalać współczesne okręty jeszcze

łatwiej niż dawne galery, ze względu na łatwopalny takielunek i proch zamknięty w prochowniach. Płonęłyby jak pochodnie i wylatywałyby w powietrze jak magazyny amunicyjne. Tej broni nigdy nie trzeba by było ładować, byłaby niezniszczalna jak słońce.

- Z najwyższym trudem udało mi się uciec z francuskiego okrętu flagowego L'Orient, gdy ten wyleciał w powietrze podczas bitwy na Nilu - wspomniałem. - Wybuch był tak potężny, że na kwadrans wstrzymał działania wojenne. To najstraszniejsze z moich doświadczeń życiowych. No, przynajmniej jedno z tych najgorszych. - Podczas minionych kilku lat trochę się ich nagromadziło.

- A więc gdyby taka broń istniała, mogłaby zakłócić kruchą równowagę militarną i polityczną na Morzu Śródziemnym - zakonkludował Fulton. - Ale do spalenia okrętu potrzeba by iście ogromnego zwierciadła. W tej dziurze nie masz niczego takiego, komnata nie jest dość wielka i nie dałoby się tego wynieść na zewnątrz.

- Cóż więc tu mamy? - zapytał Smith. Rozglądaliśmy się dalej. Naliczyliśmy osiem komnat, dwie na każdym krańcu pełne popiołu i gruzu, co wskazywało na to, że starożytne miasto odkopano tylko częściowo. Każda z komnat była pusta jak więzienna cela. Podłogę stanowiło udeptane klepisko i choć usilnie szukaliśmy, w żadnej nie znaleźliśmy ukrytych klap czy tuneli. Sklepienia komnat były wzmocnione drewnianymi belkami, ale gdy je dziobaliśmy drągami, sypał się z nich tylko kurz. Ulica kończyła się kupą pyłu i tufu. Żeby się tędy wydostać, musielibyśmy się czołgać jak robaki, a nikomu nie podobała się perspektywa utknięcia w jakimś węższym miejscu. Z drugiej strony nie mieliśmy innego wyjścia, chyba że nauczylibyśmy się lewitacji w szybie studni. Moi kompani zaczęli narzekać, że udało nam się uciec z jednej klatki do drugiej, nieco tylko większej od sarkofagu.

- To miejsce zostało już okradzione - stwierdził Cuvier. - Przypuszczam, żeśmy się spóźnili o kilka stuleci. Ci rycerze, kimkolwiek byli, na tę kryptę natknęli się pierwsi.

- To dlaczego nie ma żadnych wzmianek o użyciu tej broni? - zapytał Fulton. - I dlaczego tak wielu ludzi nas ściga? Czyżbyśmy szli tropami mitu? Co niby mamy myśleć o tym kościele, sarkofagu, uchylnej posadzce, tunelu, tych tutaj wykopaliskach i ścigających nas ludziach, jeżeli tu niczego nie znajdziemy?

I wtedy mnie olśniło.

- Czwarta komnata!

Zaprowadziłem ich do zbadanej już komnaty i oświetliliśmy fresk światłem naszej kończącej się już świecy. Na pierwszy rzut oka malowidło niczym się nie różniło od innych - ptaki, kwiaty, jaskrawe kolory - tylko że uznałem, iż kolory są zbyt jaskrawe. Linie fresku były jakby mniej płynne i nakreślone mniej pewną dłonią, jakby kopiujący je artysta nie podzielał radości poprzedników, towarzyszącej życiu w miejscu hołubionym przez słońce i chronionym przez śmiertelnie niebezpieczne promienie. Być może pocił się tu jakiś utalentowany templariusz, któremu powierzono zadanie ukrycia ważnego śladu na widoku. Przypomniała mi się kamienna tablica i rozpadająca się tarcza na terenach zamieszkałych przez Dakotów w Ameryce Północnej, na których też były te enigmatyczne odniesienia do Og. Albo błędny trop, który zawiódł mnie do Miasta Duchów. Lub wzgarda, z jaką Monge uznał za fałszywy mój medalion na Wielkiej Piramidzie. Zawsze i wszędzie są błędne, zwodnicze tropy.

Podniósłszy tomahawk, rąbnąłem ścianę. Pojawiła się szczelina.

- Gage, nie! - krzyknął Cuvier. - To malowidło jest bezcenne.

- Przeciwnie, Georges! Ten malunek w ogóle nie ma wartości. To średniowieczna podróbka. - Uderzając tomahawkiem, powodowałem powstanie pajęczyny szczelin, a potem zacząłem rąbać po brzegach, by oderwać warstwę tynku. - Fałszerstwo!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Z pewnością nie namalowali tego ludzie, którzy zamieszkiwali to miejsce w zamierzchłej przeszłości. Jacyś średniowieczni rycerze albo ktoś inny umieścił to tutaj, żeby coś ukryć. - Miałem nadzieję, że się nie mylę, bo na razie odsłaniałem wyłącznie kamień.

I wtedy spostrzegłem skrawek skóry. Pomiedzy tynkiem i kamieniem znajdował się jakiś pergamin. Ostrożnie pociągnąłem za krawędź i bardzo ostrożnie wyłuskałem dokument.

Zaraz potem usłyszeliśmy dalekie łaskoty, pomruki i szczęknięcia. Fulton wybiegł na zewnątrz i przez chwilę nasłuchiwał dźwięków dobiegających z głębi na poły zasypanej ulicy.

- Ktoś się tu zbliża!

Na pergaminie zobaczyłem jakiś łaciński napis.

ROZDZIAŁ 16

- Smith, wstrzymaj ich jakoś, żebym miał czas na wydobywanie tego pergaminu!

Anglik porwał swój garłacz i wybiegł na zewnątrz.

Stary dokument był zaskakująco miękki, ale owcza skóra przylegała do ściany jak przyklejona. Musiałem ją odrywać bardzo ostrożnie i kawałkami. Tymczasem Cuvier moim rapierem odłupywał z drugiej strony tynk fałszywego malowidła.

Usłyszałem ryk garłacza Smitha, wrzaski i kilka strzałów w odpowiedzi.

- Pospiesz się! - syknął Francuz. Jakby trzeba mnie było poganiać!

Potem usłyszeliśmy trzaski i odgłosy pożaru. Coś znów się zapaliło.

Do komnaty wpadł Smith.

- Gage, Fulton jest jeszcze bardziej szalony niż ty! Podpalił kopalniane wsporniki z tej swojej ognistej polewaczki. Tam jest tyle dymu, że niczego nie zobaczymy. Nasi wrogowie też chyba oślepną.

Cuvier jak brzytwą podciął sztychem rapiera końcówkę dokumentu i osiemnastocalowy mniej więcej kwadrat oderwał się wreszcie od ściany. Nie miałem pojęcia, co zawiera pismo; wiedziałem tylko, że dokument spisano po łacinie i nie mamy czasu na przekład. Wsunąłem pergamin za pazuchę i kiwnąłem głową.

- Co się stanie, jak te belki się spalą?

- Ziemia się obsunie i pogrzebie to piękne miejsce - odpowiedział Cuvier.

- Nas też - dodał Smith.

Wybiegłszy na ulicę, zobaczyliśmy cofającego się i kaszlącego Fultona. Płomienie tańczyły po sieci suchych wsporników, jakby zmoczono je w oliwie, i zewsząd

dobiegały nas wesołe trzaski i postękiwania ognia. Paliło się sklepienie nad naszymi głowami, a zza ognistej zasłony słyszałem wściekle wrzaski.

- Kto tu za nami przylazł? - zapytałem.

- Nie mieliśmy czasu, żeby im się dobrze przyjrzeć - stwierdził wynalazca. - William dał im do wiwatu z garłacza, a ja zużyłem resztki oleju. Sądziłem, że sklepienie będzie się zapadać odcinkami, ale wygląda na to, iż zajęło się ogniem całe i od razu. Myślę, Ethanie, że zwałem nam na głowy całą pieczarę, ale nie mamy szulerni, przez którą moglibyśmy uciec.

- Nie tylko ja jestem idiotą w naszym towarzystwie - palnąłem serdecznie.

- Dopóki to drewno pali się żwawo, znaczy, że jest dość powietrza - przerwał nam Cuvier, zasłaniając nos i usta chusteczką. - Wciąż jeszcze nie znaleźliśmy wlotu powietrza, które uchroniło nas przed uduszeniem w sarkofagu, więc może jest nadzieja.

Cofnęliśmy się od ognia na przeciwległy koniec starożytnej ulicy, tam, gdzie wcześniej dostrzegliśmy niewielką szczelinę na szczycie rumowiska skał i piasku. Gdy przytknąłem do niej twarz, wyczułem powiew wiatru zasysanego przez ogień. Wiatr porywał też kłęby dymu i ciskał je w twarze naszym prześladowcom.

- Pomóżcie mi kopać! Może jest jeszcze jakieś wyjście!

Zaczęliśmy ryć w ziemi jak teriery. Szczelina się poszerzyła, wpadło przez nią więcej powietrza, bo za nami pożar pochłaniał belki, które od siedmiu stuleci nie widziały kropli deszczu. Zobaczyłem, że nowy otwór wygląda jak kolejny kanał lawy i jest być może dalszą częścią tego, przez który przeszliśmy, z tym że ten był tak wąski, iż musieliśmy się czołgać. Mieliśmy przez sobą absolutną czerń i nie było sposobu stwierdzić, czy rura ciągnie się dalej, czy może

zamyka tak ciasno, że ugrzęźniemy bez wyjścia. Zastanowiłem się. Nasz ogarek już się wypalił, a pochodnie były zbyt długie, by można się z nimi czołgać. Jedyne światłem był blask rozpalonego przez Fultona pożaru.

- Nie mam pojęcia, czy uda nam się tędy przeleźć. Nagle usłyszeliśmy za sobą jakiś łoskot i sklepienie nad naszymi prześladowcami zawało się z hukiem, czemu towarzyszyła nagła eksplozja kurzu i pyłu. Ogień pod tysiącami ton tufu zgasł, grzebiąc komnaty, w których niedawno byliśmy. Nasi prześladowcy przepadli na zawsze - chyba że któryś z nich znalazłby sposób na przekopanie się z góry. Tunel i wiodąca na powierzchnię studnia zostały zamknięte, uniemożliwiając jakkolwiek pościg za nami. Czy skały pogrzebały i naszych wrogów?

- Nie, żebyśmy mieli jakiś wybór - mruknął Cuvier. - Dalejże, Ethanie, prowadź nas w mrok.

- Co ze świecą?

- Będę ją trzymał w zębach, dopóki nie dotrzemy do miejsca, w którym bez światła się nie obejdzie.

- Nie porzucajcie broni. Mam dziwne przeczucie, że jeszcze nam się przyda.

- Biorąc pod uwagę nasze dotychczasowe szczęście, nie byłbym zdziwiony.

Popęzliśmy przed siebie. Bazaltowy tunel był tak ciasny, że z trudem przeciskaliśmy przez niego ramiona. Pełzałem na czele, pozostali podążali za mną, radząc sobie jak tam każdy mógł. Przesunąłem rapier i pergamin na plecy, by chronić jedno i drugie, lufą rusznicy wymacywałem zaś przeszkody przed sobą. Nie bardzo mi się podobało nieustanne zgrzytanie i szcęknięcie świadczące o kolejnych zadrapaniach oręza. Niestety, nie zaimponuję już tą bronią żadnej wytwornej damie.

Jedyną rzeczą, która dodawała nam otuchy, był owiewający nas, dmący nam w twarze i ku szalejącemu nad nami pożarowi podmuch powietrza. Niestety, przygnębiała świadomość, że z drugiej strony otaczające nas skały stają się coraz cieplejsze.

Z tyłu dobiegały coraz głośniejsze trzaski pękających belek, a gdy tunel za nami się wreszcie zawalił, znikło i ostatnie światło. Otaczały nas ciemności równie głębokie jak ciemności grobu. Słyszałem przekleństwa kompanów, gdy czołgali się za mną, i szczęk ich zawzięcie ciągnionej broni. Fulton przynajmniej porzucił swoje puste już dudy.

Nie cierpię podziemi. Nie brałem udziału w żadnej podziemnej wędrówce, której nieodłącznymi elementami nie byłyby brud, wilgoć, pot, ciasnota i gdzie w niektórych miejscach nie trzeba by było pływać. Gdybym kiedykolwiek zechciał zbudować sobie normalny dom, postawiłbym go na palach, żeby oddalić się od ziemi, jak tylko się da. Albo zamieszkałbym na łodzi w niewielkim stawiku, zbyt małym, żeby powstawały na nim fale.

Nawet w ciemnościach wydawało mi się, że skały nas gniotą - zwłaszcza gdy myślałem o zapadlisku za nami. Nagle podłoże gdzieś znikło i sięgnąłem ostrożnie w dół ramionami, spinając się wewnętrznie na wypadek, gdybym dotknął czegoś żywego, co mogłoby dotknąć mnie. Wyczułem jednak tylko powietrze. Sięgnąwszy przed siebie, przekonałem się, że szczelina w dnie tunelu nie jest szersza niż dwie stopy. Na chwilę zaróżowiło mi się pod powiekami i zamrugałem. Uświadomiłem sobie nagle, że daleko w dole widać nikłą czerwonawą poświatę i dobiegają stamtąd zwykłe piekielne odgłosy. Dęło też stamtąd ciepłem.

Krzyknąłem do pozostałych członków wyprawy, że mam zamiar przeczołgać się nad rozpadliną, i ostrzegłem, żeby uważali. Potem przelazłem, czując skurcz w brzuchu, i

popęzłem dalej; tunel zwięzał się jednak tak, że musiałem coraz niżej pochyłać głowę. Kilka razy drapnąłem głową o sklepienie i poczułem spływający mi po skroni strumyczek krwi. Oddechy przychodziły mi z coraz większym trudem, powietrze zrobiło się stęchłe, aż w końcu utknąłem, nie mogąc poruszać ramionami. Było diablo ciemno, żadnej nadziei na wędrówkę naprzód i klepiąc dłońmi przed sobą, czułem tylko skałę. Wysunąłem przed siebie rusznicę, ale ta próba potwierdziła tylko moje przypuszczenia - tunel ciągnął się w głąb, był jednak zbyt wąski, żeby dało się nim przeczołgać. Cuvier dotknął głową podeszew moich butów.

- Ethanie, co się stało?

- Utknąłem! - Tunel był zbyt wąski, żeby się odwrócić. - Tędy nie przejdziemy, nie ma tu zresztą powietrza. Musimy zawrócić do tej rozpadliny i spuścić się w dół.

- W dół? Merde, wołałbym do góry!

- Nie mamy wyboru! Z tyłu zawałisko, przed nami zbyt ciasne przejście. Myślę, że jedyna droga wiedzie w dół.

Pozostali skwitowali moją propozycję głośnymi jękami, ale cóż innego mogliśmy zrobić?

Cuvier odciągnął mnie za kostki, bym mógł uwolnić ramiona na tyle, by samemu czołgać się do tyłu i wszyscy, powoli, pocąc się, sapiąc i klnąc, gdy nasza broń zaczepiała o skalne występy, wróciliśmy nad rozpadlinę. Tym razem prowadził Fulton.

- Złazę do tej diabelnej dziury! - oznajmił wreszcie wynalazca. - Czuję ciąg powietrza. Gorący jak z miechów.

Ruszyliśmy w dół jeden za drugim; najpierw spuściłem w dziurę nogi, a za nimi podążyła reszta ciała. Wparłem ponownie plecy w jedną ścianę szybu, a stopy w drugą, i mogłem zsuwać się ostrożnie w dół.

- Teraz czuję siarkę! - oznajmił Fulton.

- Tchnienie Hadesu.

- Może jednak się podusiliśmy w tym sarkofagu?

- Nie, myślę, że to coś gorszego od prawdziwego piekła. Diabeł nas tu doprowadził.

Zsuwając się, szukałem uchwytów przepelniony obawą, że się poślizgnę i spadnę na głowy przyjaciółom. Rapiery i rusznica bardzo mi przeszkadzały, ale nie chciałem ich porzucić. Potem szybko zaczął się odchylać od pionu i po pewnym czasie znaleźliśmy się na opadającej stromo podłodze. Zjeżdżaliśmy na oślep, zapierając się stopami - tym razem to ja zamykałem szyk.

- Robi się gorąco! - oznajmił Fulton.

- Patrzcie! - odezwał się podniecony Smith. - Światło!

Zobaczyliśmy przed sobą nikłą poświatę. Była tak mizerna, że w zwykłym nocnym oświetleniu nawet byśmy jej nie zauważyli, ale tu, w tych diabelskich ciemnościach, lśniła niczym czerwona latarnia. A jednak, gdy dotarliśmy do jej źródła, wszyscy upadliśmy na duchu.

Była to głęboka szczelina, a na jej dnie coś świeciło czerwono. Dęło od niej naprawdę gorące powietrze i uświadomiliśmy sobie, że trafiliśmy do skomplikowanego systemu kanałów lawy tego starego wulkanu.

- PrzedSIONEK piekła - mruknął Cuvier. - Zaglądamy we wnętrzości Ziemi.

- Widzimy to, co dane było oglądać bardzo nielicznym - dodał Smith.

- Módl się, żeby dane nam było tylko to oglądać, a nie poczuć.

- Trzeba zapalić świecę, żeby się rozejrzeć - stwierdził mój rodak. - Musi być więcej niż jedna droga na dół.

Zwinęliśmy więc kolejną kulkę wyszarpanych z ubrań nici i kłaków, strzał z kurka - a był to potężny błysk dla naszych zgłodniałych światła oczu - i od płonących nici zażegliśmy knot naszego ogarka. Nawet tak nikłe światelko nappełniło

nasze serca nadzieją. Odkryliśmy, że jesteśmy na rozwidleniu korytarzy - jakaś rozpadlina wiodła w dół, ku źródłu tej czerwonej poświaty, a dwa tunele ciągnęły się dalej, jeden na tym samym poziomie i drugi wiodący w górę.

- Na miłość boską, do góry - stwierdził znużony Smith.

Cuvier węszył przez chwilę.

- Nie. Powietrze dmie z tego środkowego. Musimy wleźć w ten właśnie.

Zgasił nasz cenny ogarek, wziął go w usta i tym razem on popełnił pierwszy.

Nie mam pojęcia, ile czasu spędziliśmy w tym podziemnym labiryncie. Wydawało mi się, że całą wieczność, choć trwało to prawdopodobnie tylko kilka godzin. Krwawiły mi dłonie, w ustach miałem kłęb bawełny, a moja odzież była w strzępach. Pełzaliśmy przed siebie ślepi niby krety, a przy życiu utrzymywała nas jedynie nadzieja zrodzona z nikłego powiewu powietrza.

Tunel jednak niemal niepostrzeżenie zaczął znów się wznosić. W niektórych miejscach przeciskaliśmy się niczym korki przez szyjki butelek, w innych, macając wokół ramionami, wyczuwaliśmy wokół siebie pustkę o nieznanych i niemożliwych do określenia rozmiarach. Wszyscy żywiliśmy obawę, że leziemy ku kolejnej przepaści, ale na żadną nie natrafiliśmy. W końcu usłyszeliśmy przed sobą szum, jakby wiatru dmącego pośród drzew.

- Czy to jakaś machina? - zapytał Fulton.

- Morze - odpowiedział Cuvier. - Zbliżamy się chyba do jakiejś podmorskiej jaskini. I jeśli nie zwariowałem, wydaje mi się, że widzę jakiś blask.

- Nie jestem dobrym pływakiem - zastrzegł się Smith.

- W tej chwili perspektywa utonięcia wygląda bardzo atrakcyjnie.

Pełznąć przez ostatnie dwieście metrów, słyszeliśmy szum kotłujących się fal i widzieliśmy nikłą poświatę jakby turkusowego brzasku. W końcu tunel nagle się rozszerzył i trafiliśmy do wysoko sklepionej jaskini rozjaśnionej blaskiem wody od dołu i światłem wpadającym przez szczelinę w sklepieniu. Stąd prawdopodobnie pochodziło powietrze, którym oddychaliśmy w sarkofagu. Przez szczelinę sączyło się słabe światło. Niestety, była dla nas nieosiągalna, bo przecinała sklepienie na wysokości dziewięciu metrów nad naszymi głowami i nie mogliśmy się do niej wspiąć. Pod nami mieliśmy podmorski staw, który falował niczym oddech śpiącego olbrzyma. Przez chwilę pluskaliśmy się w chłodnej, słonej wodzie, ale przyniosło nam to tylko chwilową ulgę. Byliśmy wszyscy okropnie spragnieni.

- Jak możemy się tam dostać? - zapytałem. - Powinniśmy krzykiem wezwać pomoc - stwierdził Smith.

- Krzykiem? Zastrzelą nas prędzej, niż nam tu zrzucą linę.

- To co, pokonaliśmy tę drogę, by w końcu utknąć w jakiejś zasranej jaskini?

- Tu jest zbyt jasno, jak na światło tylko z tej szczeliny - skonstatowałem. - Popatrzcie, z tamtej strony sadzawki jest jaśniej. Chłopcy, tuż za murami tej groty jest otwarte morze, musimy tylko przepłynąć podwodnym tunelem i wypłynąć z drugiej strony.

- Jak to będzie daleko? - zapytał Smith.

- Hmm... trudno powiedzieć.

- Może jednak powinniśmy krzyczeć o pomoc? - Nie. Posłuchajcie, nadchodzi świt i robi się jaśniej.

Musimy się stąd wydostać, zanim dostrzegą nas nasi prześladowcy. Popłynę pierwszy. Jeżeli nie wrócę, to będzie znaczyło, że albo przepłynąłem, albo się utopiłem.

- No, to istotnie pocieszające.

- Co za różnica, utopić się albo zdechnąć tu z głodu i pragnienia. - Wzruszyłem ramionami. Stawałem już wcześniej przed takim dylematem. - Ruszajmy dopóki mamy jeszcze tyle sił, by w razie czego umrzeć szybką śmiercią. - Po tych słowach dałem nura w wodę.

Podejrzewałem, że mam do przepłynięcia piętnaście lub dwadzieścia metrów, ale nieświadomość dystansu potrafi go pozornie wydłużyć. Rusznica ciągnęła mnie w dół, morze było czarne, a napór fal odrzucał mnie wstecz. Wstrzymywałem jednak oddech, płynąłem tak szybko, jak tylko mogłem, i w końcu zobaczyłem nad sobą srebrną powierzchnię. Wynurzyłem się w kipieli fal obmywających niewielką skalistą wysepkę z zastygłej czerwonej lawy. Powietrze! Wczepiłem się w skałę i przez chwilę tylko charczałem, unosząc się bezwładnie na wodzie. Zaraz potem obok mnie wynurzyli się Cuvier i Fulton.

- Smith się waha. Jak na Angolę, bardzo nie lubi wody.

- Macie tu moją rusznicę. Ja już odpocząłem. - Przepłynąłem ponownie przez tunel do groty. Odległość wydała mi się tylko częścią pokonanej poprzednio. Wziąłem od Smitha garłacz. - To tak, jakbyś się na nowo urodził - kusiłem Anglika. - Po drugiej stronie jest cały świat. - Podprowadziłem bojaźliwego geologa do lustra wody, nauczyłem nabierać głęboko tchu, a potem zanurzyliśmy się i popłynęliśmy. Prowadziłem go, ciągnąc za ramię, a potem obaj popłynęliśmy ku różowiejącej na lewo od nas - to musiał być wschód - tafli powierzchni. Smith parsknął jak wieloryb i kaszłał. Rozejrzałem się dookoła. Sądząc z kierunku, gdzie wstawało słońce, wynurzyliśmy się u południowego brzegu Tery.

- I co teraz? - zapytał Fulton. - Nie damy rady wspiąć się na skały.

- Wracamy do domu - odpowiedział Cuvier. - Popatrzcie tam. Czy to nie nasz stateczek?

ROZDZIAŁ 17

Szebeka Draguta kotwiczyła w najmniej spodziewanym miejscu, to znaczy pod niechronionym południowym, stromym brzegiem Tery. Czyżby Fortuna wreszcie spojrzała na nas łaskawszym okiem? Na statku panował spokój, słońce właśnie wyłaniało się z morza i nikt nas nie zauważył, gdy przepływaliśmy ostatnie sto metrów dzielące nas od kołyszącej się na falach szebeki. Fulton otworzył usta, by okrzykiem oznajmić nasze przybycie, ale instynktownie zatkałem mu je dłonią. Najpierw chciałem dostać się na pokład - z bronią w ręku.

Chwyciłem linę kotwiczną i owinąwszy wokół niej ręce i nogi, wspiałem się na dziób. Załoga spała stłoczona na śródokręciu, a jedyny czuwający, sternik, zajęty był wyłuskiwaniem ziaren z owocu granatu. Na mój sygnał towarzysze wspięli się za mną. Podąłem Fultonowi moją moką rusznicę, wyjąłem mój poobijany rapier i szeptem nakazałem Smithowi i Cuvierowi wziąć broń do ręki. Nikomu już nie ufałem. Potem cicho podbiegliśmy do koła sterowego, gdzie sternik odwrócił się tylko po to, żeby poczuć sztych mojego rapiera pod okiem. Pozostali mahometanie obudzili się, gdy stanęliśmy nad nimi. Dragut odruchowo sięgnął po pistolet. Sztych mojego rapiera powstrzymał jego dłoń, on zaś popatrzył na nas ze zdumieniem i mocno zbity z tropu. Staliśmy wokół nich jak stadko na poły potopionych szczurów, ociekaliśmy wodą, byliśmy brudni, zmęczeni i patrzyliśmy na niego oczami desperatów. Fulton mierzył w niego z mojej rusznicy Smith miał swój garłacz, a Cuvier dwa pistolety. Naszemu kapitanowi umknęło jakoś, że niewiele moglibyśmy zdziałać z mokrym prochem na panewkach.

- Wyleźliście z wody? - zdumiał się.

- Owszem - potwierdziłem. - To była długa noc. I trochę nam się spieszyło.

- Niczego nie rozumiem. Czy nie miałem was zabrać z molo po drugiej stronie wyspy? Skąd się wzięliście tutaj i czemu macie broń w ręku?

Rozejrzałem się dookoła.

- Mam lepsze pytanie: dlaczego kotwiczysz tutaj, na morzu, zamiast w porcie pod osłoną brzegu?

Dragut spojrział na brzeg, jakby tam spodziewał się znaleźć odpowiedź.

- Pogoda była spokojna i zatrzymaliśmy się tu na noc, żeby poczekać na poranną bryzę - stwierdził po chwili. - Gdybyś był żeglarzem, tobyś zrozumiał. - Zmrużył oczy. - Ale skąd wy się tu wzięliście?

- Rozglądaliśmy się tu i tam. Musimy jak najszybciej wrócić do Wenecji. Możesz nas tam zabrać?

- A znaleźliście to, czego szukacie? - Usiadłszy nagle, powiódł po nas wzrokiem, szukając śladów znalezionego skarbu. Ten człowiek był najemnikiem, jak ja.

- Miejmy nadzieję.

Teraz spoglądał już nieco pewniej.

- W takim wypadku, oczywiście, tak! Abdul! Konstantyn! Wstawać, wstawać, leniwe psy, podnieście kotwicę dla naszych pasażerów! - Ponownie zerknął ku brzegowi. - Nie ma czasu do stracenia! - Spojrział na mnie. - Ale czemu trzymasz swojego przyjaciela Hamida pod sztychem rapiera?

- Grecja źle wpływa na stan moich nerwów.

- Teraz jesteście pod ochroną Draguta! No, no, uspokójmy się, zjedzmy trochę daktyli i napijmy się wina.

Zdejmijcie mokre ubrania. Wyglądacie na zmęczonych, Prześpijcie się na słońcu.

- Po drugiej stronie wyspy są jakieś okręty, których, jak myślę, powinniśmy unikać.

- Na tych wodach nie masz nikogo, kto byłby szybszy, lub potrafiłby wymykać się prześladowcom zreźniej niż

Hamid! No, odłóżcie broń, odpocznijcie, a potem opowiedzcie mi o swoich przygodach. Wypływamy! Ha!

Zdjąłem mokrą koszulę, zanim przypomniałem sobie o mokrym pergaminie, który morska woda przylepiła do mojego grzbietu. Nie bardzo miałem ochotę go pokazywać, ale na pokładzie nie dało się niczego ukryć, a jeżeli miałem cokolwiek odkryć, musiałem pierwszej osuszyć dokument. Cuvier oderwał pergamin od moich pleców

i zaczęliśmy go oglądać. Był pognieciony, ale dawał się odczytać. Dragut patrzył ciekawie, gdy rozkładaliśmy dokument, ale nie poczynił żadnych komentarzy. Kotwica poszła w górę, żagle napełniły się wiatrem i ruszyliśmy w rejs.

Nasz kapitan odwrócił się, by obserwować nabrzeżne skały.

- Czego tam szukasz? - zapytałem.

- Pasterzy, którzy za miedziaka zdradzą, dokąd popłynęliśmy. - Rzucił jakiś rozkaz i na maszt wciągnięto długą czerwono - zieloną banderę, która natychmiast radośnie zatrzepotała na wietrze.

- Co to za flaga?

- To bandera berberyjskich piratów. Zmyli wszystkich na brzegu, którzy zechcą odgadnąć, dokąd płyniemy. - I rzeczywiście, teraz zobaczyłem na skałach ludzi, którzy zobaczywszy, jak odpływamy, machali rękami albo potrząsali pięściami. - Zmyli ich moja przebiegłość. Na tych wodach nie masz bardziej szczwanego kapitana niż Hamid Dragut. I nie masz szybszego okrętu. Nie masz też bardziej miłującego pokój. O tak, macie szczęście, że jestem na wasze usługi.

Obserwowałem brzeg dość niespokojnym okiem.

- Czy oni będą nas ścigać?

- Któż to wie? Teraz może zameldują o wszystkim swoim hersztom. Ale to byłoby niedobrze, prawda?

Nie ufałem Dragutowi, nie ufałem zresztą nikomu, ale perspektywa ucieczki z Tery wydała mi się kusząca. Tę opinię podzielała chyba jego załoga.

Rozpięliśmy więc znaleźisko na pokładzie, żeby dokument mógł wyschnąć, choć nie spuszczaaliśmy go z oczu. Mając trochę jedzenia dość wymoczonego, ale nadającego się do przeżucia, postanowiłem czuwać, podczas gdy moi towarzysze położyli się spać.

Gdy się obudziłem, była noc. Przespałem cały dzień.

Na niebie wisiał księżyc, srebrząc morze i grzywacze. Było dość ciepło, z przyjemnością wsłuchiwałem się w trzeszczenie takielunku tnącej szybko fale szebeki. Rozejrzałem się dookoła, nigdzie jednak nie dostrzegłem lądu. Poszukałem pergaminu - ku mojej uldze znalazłem go tam, gdzie powinien być, zwinąłem go więc i ukryłem pod rozdartą już w kilku miejscach kurtkę. Potem się napiłem, żeby ugasić pragnienie, i pełznąc na czworakach, odszukałem Draguta.

Nasz kapitan stał przy bukszprycie i patrzył w gwiazdy. Kiepski ze mnie gwiazdny nawigator i podziwiam ludzi, którzy potrafią się rozeznąć wśród ich mrowia.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałem spokojnie. Odwrócił się ku mnie. Białka jego oczu były jedynymi wyróżnikami jego twarzy.

- W drodze do domu - stwierdził. - Spójrz, panie. Dziś w nocy morze jest łagodne jak matka. Żagiel wydyma się jak jej pierś, a księżyc lśni mleczną bielą. Myślę, że to dobry znak.

- Niby czego?

- Tego, że wszyscy znajdziemy to, czego szukamy. Jesteś człowiekiem, który zawsze czegoś szuka, prawda?

- Na to wygląda. Ale też inni zawsze szukają mnie.

- Owszem, w Wenecji i na tej wyspie. Czemu tak się dzieje? Potrząsnąłem głową.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem niczego, co byłoby coś warte.

Teraz ujrzałem błysk jego zębów.

- A może masz coś, co jest warte poznania? Tak, widziałem twój pergamin i spostrzegłem, jak wam spieszo uciec. Co w nim jest takiego ważnego?

- Nie wiem. Jeszcze go nie odczytałem. Nie wiem nawet, czy będę umiał go odczytać.

- I dlatego podpłynęliście chyłkiem do mojego okrętu i wdarliście się niepostrzeżenie na pokład z obnażonym mieczem i bronią gotową do strzału? Cóż, jestem prostym żeglarzem wdzięcznym losowi za spokojną noc. Odpocznij, Amerykaninie, a jeżeli któregoś dnia uznasz, że warto, opowiesz mi o swoich przygodach.

Następnego dnia Cuvier pomógł mi odczytać zawartość pergaminu. Napisano go w średniowiecznej łacinie, jak zresztą należało się tego spodziewać po dokumencie templariuszy, był zresztą bardzo stary i spisany mocno już zatartym piśmem. Hamid dał nam pióro i papier, byśmy mogli zapisać nasz przekład. Obawiałem się, że morska woda wszystko zniszczy, ale zdołaliśmy odczytać dość, by dojść do rozczarowującej konkluzji.

- To nie ma niczego wspólnego z Atlantydą, starożytnymi broniąmi czy Archimedesem - mruknął Francuz.

Istotnie, dokument okazał się relacją z pielgrzymki rzymskokatolickiego mnicha do Ziemi Świętej i zapisem zwykłych kościelnych modlitw. Nie było w nim niczego tajemniczego, nie zawierał żadnych wzmianek o templariuszach czy podziemnych tunelach.

- Może to jakiś szyfr - podsunąłem. - Nieustannie się na nie natykam.

- Zwykła zdrowaśka miałaby być szyfrem? - zdziwił się Cuvier. - Obawiam się, Gage, że zaciągnąłeś nas do wrót

Hadesu po zwykły modlitewnik. - Oddał mi pergamin. - Może zaciekawiliby historyka albo teologa, ale to tylko brewiarz.

Odwracałem pergamin na boki i do góry nogami, zbadałem odwrotną stronę i podnosiłem ku słońcu. Nic.

- Ale niby czemu mieliby ukrywać go pod tynkiem? - zapytałem zbity z tropu. - Ta część ściany była nowsza, dałbym za to głowę!

- Może chcieli wzmocnić konstrukcję. Może pod spodem mieli coś naprawdę wartościowego, co wyjęli, a potem zakryli otwór? Była ciekawa plotka, zbadaliśmy ją i niczego nie znaleźliśmy. Finis. Tak właśnie działa nauka... eksperymenty z wynikiem ujemnym bywają niekiedy równie cenne jak te, które się powiodły. Dopełniliśmy zobowiązań wobec Napoleona i uszliśmy z życiem, co samo w sobie jest cudem. A teraz wróćmy do domu.

I oto znów zostałem z niczym! Na brodę krasnoluda, nienawidzę podziemi! Ludzie nieustannie je ryją, by coś ukryć, ale rzadko wyłaziłem z nich z czymś wartościowym. Nic też z tego, co znalazłem na Terze, nie podsuwało mi żadnych wskazówek o miejscu pobytu Astizy, na co liczyłem, pamiętając o paryskim zakładzie z Ozyrysem. Cała ekspedycja okazała się bezcelowa. Wszyscy czterej byliśmy rozczarowani.

Gdy Cuvier przekładał apostolskie Credo, Fulton znudzony stał na dziobie i patrzył na morze, po czym zaczął ciekawie zerkać na słońce.

- Jak sądzisz, jaką mamy porę dnia? - zapytał mnie wreszcie.

- Przedpołudnie.

- A słońce wstaje na wschodzie, prawda?

- Rzadko bywam czegoś pewien, ale owszem, zaryzykowałbym takie stwierdzenie - odpowiedziałem.

- Więc skoro płyniemy na północ, słońce powinno być po naszej sterburcie. Znaczy, z prawej strony, czy nie tak?

- Oczywiście.

- Więc powiem wam, że płyniemy na południe, czyli oddalamy się od Wenecji, zamiast się do niej zbliżać.

Wszyscy raptownie zerwaliśmy się na nogi.

- Co takiego?

- Sądzę, że nasz dzielny kapitan płynie w absolutnie złym kierunku.

- Hamidzie! - zawołałem ku dziobowi. - Dokąd my płyniemy?

- Do domu, mówiłem ci! - odpowiedział dziarsko.

- Do czyjego domu? Kierujesz statek na południe, idioto! Nie masz kompasu?

Dragut spojrział ze zdumieniem na niebo, a potem krzyknął coś do jednego ze swoich żeglarzy. Wybuchła sprzeczka. W końcu popchnięty bosonogi marynarz zmuszony został do wspięcia się niczym małpa po linach takielunku na maszt, skąd rozejrzał się po horyzoncie, jakby szukał drugiego słońca. Nie ustalono żadnego nowego kursu. Marynarz pociągnął za jakiś sznurek i nad falami załopotała wąska biała bandera. Czemu to miało służyć? W końcu podniecony marynarz zaczął pokazywać coś na horyzoncie i wołać coś po arabsku. Zaraz potem wszyscy się rozwrzeszczeli i przechyleni nad relingiem zaczęli wytrzeszczać oczy.

- Co się dzieje? - zapytał Smith.

Dragut wskazał coś przed naszym dziobem.

- Piraci. - Istotnie, na horyzoncie dostrzegliśmy ciemne żagle. - Wielu bardzo niebezpiecznych ludzi.

- Co takiego? Gdzieś ty nas, do diabła, zawiózł?

- Czekaaj, rozejrzę się. - Wykrzyknął jakiś rozkaz i sternik się odwrócił, ale zaraz potem wrzasnął coś inny członek załogi i koło sterowe wróciło do poprzedniego położenia. Wybuchła

jakaś sprzeczka. Dziób znów skierował się pod bryzę, żagle wpadły w łopot i w końcu szebeka niemal stanęła w miejscu, kołysząc się na falach. Członkowie załogi zaczęli wrzeszczeć na siebie nawzajem, wymachując jataganami, pistoletami i włóczniami. Okręt stanął w dryfie; słychać było trzeszczenie takielunku i łopot zwisających martwo żagli.

Moi towarzysze i ja spojrzeliśmy po sobie bezradnie; nadzieja na szczęśliwy powrót rozplynęła się jak poranna rosa w promieniach słońca.

- Nabijcie broń - stwierdziłem z rezygnacją w głosie. Wrogie żagle zbliżały się coraz szybciej, niczym staczające się po zboczu kamienie.

Tego ranka wysuszyliśmy już i oczyściliśmy broń, nabiliśmy więc wszystko ponownie, podczas gdy członkowie załogi z niezwykłą jak na nich niezdarnością i zwykłym brakiem pośpiechu zabrali się do takielunku, by wydostać nas spod zasięgu wrogich dział. Wtedy, gdy najbardziej potrzebowaliśmy ich umiejętności, ze strachu zgłupieli tak, że można ich było posądzić o brak kompetencji!

- Myślałem, że mam do czynienia z najlepszym żeglarzem na Morzu Śródziemnym!

- Wygląda na to, że los mnie przeklął głupią i leniwą załogą - mruknął Dragut.

- Sądziłem, że ich nabrałeś twoją berberyjską flagą! Spojrzał w górę.

- To może jeszcze nam się udać.

- Myślicie, że te dranie chciały nas dopaść na Terze? - zapytał Fulton.

- Skąd niby wiedzieli, że tu nas znajdą? - odparł Smith.

- Przyjaciele, sądzę, że najmądrzej będzie się poddać - stwierdził nieoczekiwanie Dragut. - Zbliżają się na odległość zasięgu strzału z dział, a my nie mamy odpowiednich luf, żeby

im odpowiedzieć tym samym. Moja szebeka jest zwrotna i szybka, ale nie dość odporna, by wytrzymać taki łomot.

- Myślałem, że potrafisz wymanewrować każdy okręt na tych wodach!

- Nie berberyjskich korsarzy. Jesteśmy muzułmanami. Może okażą litość.

- Ale my nie jesteśmy muzułmanami, tylko chrześcijanami! Zakują nas w kajdany i pójdziemy w niewolę!

- To prawda. Ale zostanieie przy życiu. Tak oto Hamid chroni swoich pasażerów!

Przy burcie jednego z napastników wykwitł obłoczek dymu i mniej więcej pięćdziesiąt metrów od naszej rufy trysnęła w górę fontanna wody. Skoczyło mi tętno. Kłopot z morskimi bitwami polega na tym, że nie ma się gdzie ukryć.

- Nie - odpowiedział Cuvier, który w tej chwili wyglądał raczej na zdeterminowanego grenadiera niż naukowca. - Będziemy się bić. Drapieżniki szukają łatwych ofiar. Tak samo rozmaite łotry. Zadaj lwu choćby lekką ranę i odejdzie poszukać łatwiejszej ofiary. Ukryjmy się za nadburciem, poczekajmy, aż podpłyną bliżej, i dajmy salwę z działek i pistoletów. To ich zaskoczy. Jeżeli uszkodzimy ich takielunek, może damy radę uciec.

- Chcecie ryzykować życie? - zapytał Dragut.

- Wolę je stracić tutaj, niż zostać sprzedany jako niewolnik.

- Wy, chrześcijanie, jesteście szaleni. Ale też bardzo dzielni. Dobrze, niech będzie po waszemu. - Rzucił jakieś rozkazy swoim żeglarzom. - Europejczycy, skulcie się za nadburciem, tu jest najlepsza osłona. My ukryjemy się za wami z lontami do dział. Odczekam do właściwej chwili, a potem wszyscy wstaniemy i damy ognia! Każdy strzał musi być celny, a wywołamy wśród nich zamieszanie! Potem

musicie nam pomóc, gdy będziemy ciągnęli za liny, żeby uciec.

Zauważyliście kiedyś, jak chętnie dowódcy kryją się na tyłach i wysuwają innych naprzód? Ale nie było czasu na zmianę choreografii. Pirackie okręty szybko się zbliżały; ich opatrzone w łańskie żagle kadłuby były większe i cięższe od naszej szebeki, ale też zbudowano je tak, żeby były szybkie, a na ich pokładach mrowili się ludzie. Kucnąwszy za nadburciem, zerknąłem przez otwór na linę cumowniczą i zobaczyłem dziką bandę rozebranych do pasa ludzi, którzy poobwieszali się złotymi kolczykami, a przedramiona ozdobili złotymi bransoletami. Niektórzy byli brodaci i mieli na łbach turbany. Inni zgolili łby na łyso, mieli za to potężne wąsiska i pokryte tatuażami umięśnione korpusy. Wszyscy wydawali dzikie wrzaski i wymachiwali bronią, żeby zasiać w nas przerażenie. Czy to te akurat okręty widziałem na Terze? Powiewy wiatru niosły ku nam charakterystyczne dla Afryki zapachy tłustego potu, oliwy i korzeni.

- Wstrzymajcie ogień do ostatniej chwili - poradził nam Dragut. - Pamiętajcie, mamy tylko jedną salwę! Musimy zaczekać, aż podpłyną jak najbliżej!

- Niech to szlag! - zaklął Smith. - Mogłem zostać w angielskich kanałach.

- Twój garłacz da im do wiwatu! - usiłowałem podnieść go na duchu. - Georges, pal z obu pistoletów naraz! Fulton, straciłeś swoje dudy. Chcesz coś do strzelania?

- Mam topór do cięcia lin abordażowych - stwierdził wynalazca. - I może zdołamy obrócić bomem, żeby strącić paru do wody. Taka rozpędzona belka ma ogromną siłę!

- To samo byłby rzekł Archimedes. - Odwróciłem się do Hamida. - Będziemy gotowi na twój znak!

Kiwnął dziarsko głową i klepnął się w otwartą dłoń płazem kordelasa.

Bliższy piracki okręt zasłaniał już nam niemal całe morze, jego żagle były niemal czarne, a na burtach roili się dziko wrzeszczący piraci.

- Zachowaj spokój - mruknąłem do siebie. Wybrałem już swój cel; był to rosły, brutalnie wyglądający drab, zachowujący się jak ich kapitan. Potem, ponieważ nie będzie czasu na ponowne nabicie broni, zamierzałem kosić wdzierających się ponad burtą rapierem. Będziemy żądlić jak skorpiony. - Powiedz tylko słowo, Dragucie! - Przygotowałem się, by wstać i strzelić.

I wtedy właśnie poczułem zaskakująco i irytująco znajomy chłód wylotu lufy na karku.

- Tym słowem jest: Poddaj się, Ethanie Gage - powiedział radośnie. W tejże chwili uświadomiłem sobie, że nigdy nie zdradziłem mu mojego imienia, a ten podstępny, zdradziecki sukinsyn skądś je znał. - Zdejmij, proszę, palec ze spustu i połóż rusznicę na pokładzie, żebym nie musiał rozwalić ci karku.

Zerknąłem ostrożnie na boki. Moi towarzysze też mieli lufy na karkach. Zdradzono nas od początku do końca! Czyżby weneccy gondolierzy zagnali nas jak bydło w pułapkę na pokład zdradzieckiego okrętu? Usłyszałem łoskot broni rzuconej na deski pokładu.

Zaraz potem nasze okręty zderzyły się z trzaskiem i usłyszeliśmy wrzask, gdy fala obnażonych do pasa, brudnych piratów przelała się przez nasze nadburcie, migając tylko gołymi piętami. Po kilku sekundach zostaliśmy odciągnięci i związani jak barany.

Dragut spojrział na mnie nie bez zdziwienia w oczach.

- Ani razu nawet nie strzeliłeś. Po bohaterze spod Akry i Mortefontaine spodziewałem się czegoś więcej.

- Kiedy wreszcie wystrzelę, to wezmę ciebie na cel!

- Niestety, straciłeś okazję!

- Co to za cholerna zdrada?! - wrzał gniewem Smith.

- Wygląda na to, panowie, że nasz szanowny przewodnik, imię Gage, po raz kolejny wpakował nas w tarapaty - stwierdził Cuvier.

- Ale dlaczego nie pojмалиście nas pod Terą? - zapytałem naszego kapitana.

- To ty przystawiłeś mi sztych rapiera do oka, a nie odwrotnie. Zresztą nie sądziliśmy, że uda wam się uciec z tej wysepki.

- A ja zarezerwowałam sobie przyjemność pojmania cię osobiście! - rozległ się okrzyk kogoś nowego. Z pokładu pirackiego okrętu na linie przefrunął do nas smukły rabuś. Ten nie miał brody i wdział się w morskie trzewiki, ciężki wojskowy płaszcz i błękitne spodnie z poprzedniego stulecia, ozdobione krzykliwymi guzikami w stylu karaibskich bukanierów. Przybysz miał wspaniałą szerokoskrzydłą kapelusz, a w pięknej dłoni o smukłych palcach trzymał wysadzaną klejnotami szpadę. Za szeroki skórzany pas zatknął sobie drugi pałasz o złamanej klindze i dwa bliźniacze pistolety. Gdy bukanier wylądował na pokładzie naszej szebeki, inni piraci szybko się cofnęli, robiąc mu miejsce, my zaś szybko zrozumieliśmy powód tej rezerwy. Dzielącą oba statki przestrzeń jednym skokiem pokonał czarny pies, który ciężko wylądował i z poślizgiem stanął obok swego pana. Muskularne zwierzę było krótkowłosym mastyfem o krótkim pysku i oślinionych, obwisłych faflach. Bydlę zjeżyło się na nasz widok i wydobyło z siebie niskie, złowrogie warknięcie godne piekielnego Cerbera. Pies miał żółte ślepia, poznaczone bliznami boki, obcięty ogon i był brzydszy od pcheł, które musiały się roić w jego sierści.

Jego właściciel zdjął z głowy kapelusz ze strusim piórem i skłonił się zamasyście.

Z ramion naszego prześladowcy spłynęła kaskada złotych loków. Nowo przybyła - kobieta! - uśmiechnęła się uwodzicielsko uśmiechem, który pamiętałem aż za dobrze, i moje serce opadło niżej żołądka.

- Powiedziała ci, Ethanie, że jeszcze ze sobą nie skończyliśmy...

Patrzyłem sparaliżowany zdumieniem, odrazą i strachem na wciąż piękną twarzyczkę, wdzięczną, giętką figurkę i długie białe palce trzymające lśniąca srebrzyście głównię. Doskonale pamiętałem rapier, który zatknęła sobie za pas i który jej brat złamał na kolbie mojej rusznicy! Była tak samo zwodniczo piękna, jak ją pamiętałem, miała wyraziste kości policzkowe, kocie spojrzenie i podstępne błyski w oczach. Aurora Somerset, angielska arystokratka, która dręczyła mnie i torturowała na rubieżach Ameryki Północnej.

- Aurora? - Kompletnie ogłupiony nie zdołałem wydusić z siebie niczego więcej.

Moi towarzysze patrzyli na nas zaskoczeni i zainteresowani.

- Przyłączyłam się do berberyjskich piratów - wyjaśniła, jakby nie było to dość oczywiste. - Pomyślałam, że ułatwi nam to ponowne spotkanie.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 18

Aurora Somerset była jedną z najpiękniejszych kobiet, z jakimi miałem do czynienia. Była też jedną z najbardziej niebezpiecznych, przewrotnych i szalonych morderczyń. Zabiła moją indiańską kochankę Namidę, usiłowała zabić mojego młodego przyjaciela Pierre'a, a mnie zostawiła przy życiu w amerykańskiej dziczy tylko dlatego, że miała nadzieję pójść moim tropem i odkryć kolejne tajemnice.

I tak, jak wtedy przepowiedziała, zjawiła się w pełni uleczona jako właścicielka wściekłego psa i przywódczyni kilkudziesięciu diabło niebezpiecznych piratów, z których większość wyznawała religię nakazującą krycie kobiet po haremach. Ha, nikt nie jest konsekwentny.

Moi towarzysze zwyczajnie zgłupieli. Ja znałem ją dostatecznie dobrze, by zatrzęść się ze strachu.

Spotkałem Aurorę podczas mojej podróży po Ameryce Północnej w towarzystwie nieodżałowanej pamięci Magnusa Bloodhammera. Na początku oszołomiła mnie jej uroda i zrobiłem z siebie durnia, jak to się często mężczyznom przydarza. W rezultacie zostałem pojmany, niewiele brakło, a poddano by mnie torturom, potem uciekłem z głuszy i ostatecznie zastrzeliłem mężczyznę, który był jej przyrodnim bratem i kochankiem, lorda Cecila Somerset. Aurora i ja bardzo się staraliśmy pozabijać nawzajem, ostatecznie jednak ja zostałem ranny, a ona popadła w szaleństwo; jedynym pocieszeniem dla mnie było duże prawdopodobieństwo, że w tej dziczy porwą ją diabli i nigdy jej już nie zobaczę.

Oddzielony od niej czasem i odległością zaczynałem już w to wierzyć.

Teraz jednak wróciła równie natarczywa jak sam ryt egipski.

Można by się spodziewać, że przeciwności losu odebrały jej część uroku i wyostrzyły rysy. A jednak fizycznie

wyglądała powabnie jak zawsze: miała grzywę złotych, układających się faliście loków, zielone oczy, zaciśnięte usta i w tym brudnym otoczeniu wyróżniała się niezwykłą wręcz schludnością, niczym wyłaniająca się z morza Wenus. Czyżby specjalnie się wystroiła przed przeskoczeniem na nasz pokład? W jej ponadczasowej urodzie, delikatności skóry i wdzięku, z jakim poruszała się po pokładzie oraz szaleńczym błysku oczu było coś niesamowitego, jakby zawarła pakt z diabłem. Zacząłem żywić obawy, że jak Anteusz jest nieśmiertelna i z każdego upadku wstaje jeszcze silniejsza.

Aurora Somerset była powodem mojej chęci poprawy obyczajów.

- Sądziłem, że już się znudziłaś podążaniem moim śladem - wybąkałem. Ta kobieta miała niemal rok, by wymyślić dla mnie nowe tortury, i Bóg jeden wie, że dysponowała znacznie bujniejszą wyobraźnią niż ja. Zrobiło mi się słabo na samą myśl o tym, co może mi zrobić.

Podeszła do mnie, unosząc kordelas niczym srebrny język węża, który kołysząc się w takt kołysania okrętu, zawisł tuż pod moim podbródkiem. Na jej wargach igrał wyraz lekkiego niesmaku i mierzyła mnie spojrzeniem jaguara, podczas gdy pies oceniał moją przydatność śniadaniową.

- Ethan Gage to człowiek, o którym niełatwo zapomnieć. Jakże jesteś wytrzymała, bezwzględny, nieuważny i głupi. Śledziłam cię, przewidywałam twoje ruchy, rozmyślałam o tobie i znalazłam ten sygnet dla Francuzów i Fouchego, spodziewając się, że poproszą niesforne Amerykanina, by odkrył jego wartość i znaczenie. Zawsze jesteś tak przewidywalny! Cóż, możesz mi oddać ten pierścień. Na dodatek znalazłeś sobie towarzystwo! - Popatrzyła na moich przyjaciół z chłodnym wyrachowaniem i nie potrafiłbym określić, czy myśli o przespaniu się z nimi, czy zamierza poddać ich torturom. Prawdopodobnie zamierzała zrobić jedno

i drugie. - W Ameryce Północnej znalazłeś skarb, który cię skierował na Terę, a teraz idę o zakład, że i tutaj odkryłeś coś, czego szukają moi sprzymierzeńcy.

- Sprzymierzeńcy? Czy ty masz jakichś przyjaciół? Udało mi się ją zirytować.

- Są liczniejsi, niż myślisz.

- Masz na myśli tych wariatów skupionych w loży rytu egipskiego?

- Owszem... i naszych najnowszych sojuszników, piratów z Trypolisu. Ich basza dawno przed Foucheem i Napoleonem postanowił odkryć sekrety starożytnych. - Skinieniem głowy wskazała gromadę piratów, którzy byli najgorszą zbieraniną złodziei, łajdaków i rzezimieszków, jaką moglibyście znaleźć poza parlamentem. Wyglądali równie schludnie jak rynsztokowy szczur, zachowywali się spokojnie niczym ranny byk, ale ostatecznie przywykłem do towarzystwa rozmaitych ludzi. - Co oni znaleźli? - zwróciła się do Draguta.

- Manuskrypt, pani.

Nasz kapitan był więc na jej żoździe od samego początku: gotów do przejęcia nas z rąk weneckich prześladowców i z jaskiń Tery. Całe to spotkanie zaplanowano wiele miesięcy temu. Po co się brudzić, gdy Ethan Gage mógł wykonać całą robotę i przeczołgać się przez jaskinię za ciebie.

- Manuskrypt? I co w nim jest?

- Nie ośmieliłbym się przeczytać go przed tobą, pani. Ma go Amerykanin.

- Gdzie to jest? Dawaj! - zażądała, zwracając się do mnie.

- Od naszego ostatniego spotkania manieri ci się raczej nie poprawiły.

- Twoja bezczelność też! No dalej, dawaj. Pierścień też. Jej piekielny pies ujadał tak, że mógłby przerazić wilcze stado, i mimo woli zmrużyłem oczy. Czemu ludzie wszędzie zabierają ze sobą swoich ulubieńców. Przez chwilę miałem

ochotę cisnąć pergamin w morze, ale ze względu na jego treść pomyślałem, że wydanie go tej szalonej kobiecie niczego nie zmieni.

- Masz to, po co ściagałaś mnie tysiące mil. Może po przeczytaniu staniesz się lepszym człowiekiem.

Nie da się zaprzeczyć, że wychowanie w arystokratycznych rodzinach ma swoje dobre strony. Wyglądało na to, że łacina nie jest jej obca. Młode angielskie szlachcianki z pewnością uczyły się czegoś więcej niż tylko strzelania i sadyzmu. Podczas gdy Aurora czytała dokument, jej piraci przestępowali z nogi na nogę jak banda niespokojnych uczniów. Po chwili spojrzała na mnie z niedowierzaniem w oczach.

- Uważasz mnie za idiotkę?

- Auroro, to wszystko, co znaleźliśmy. Jak mi nie wierzysz, to przekop się sama, ale podziemne pomieszczenia pod Akrotiri były puste jak żołądek żebraka. Nie znaleźliśmy niczego innego. Ja też liczyłem na to, że znajdę jakiś skarb, z pewnością nie to, ale oszczędziłbym sobie kłopotów, gdybym po prostu kupił jakiś modlitewnik pod Palais Royal. Jeżeli było tam coś wartego zabrania, to z pewnością zabrali to kilkaset lat temu templariusze. Oboje ścigamy widma.

Przez chwilę zastanawiała się, czy mi uwierzyć. W końcu rzuciła mi pergamin pod nogi. Podniosłem go - uznałem, że to pamiątka z Tery. Ona zatrzymała pierścień.

- Bardzo dobrze. Owszem, to nieudana wycieczka dla ciebie i twoich przyjaciół, ale niekoniecznie dla mnie. - Odwróciła się do kompanów. - Sprzedamy ich na targu niewolników!

Ryknęli radośnie, co oznaczało, że spodziewają się udziałów w zyskach. Każdy je lubi.

- Gdzie jest jego rusznica? - Wśród ludzi Draguta wszczął się niespokojny ruch, gdy podano do przodu moją strzelbę, z

której zabiłem Cecila Somerseta. - Ta broń należy do mnie! - warknęła. - Wy możecie sobie zabrać wszystko inne.

- Jest pokieraszowana i poobijana, ale to wciąż piękna sztuka - sprzeciwił się jeden z piratów. - Prawo Berberów powiada, że należy do nas, nie do ciebie.

- Zabito z niej mojego brata. Oddajcie ją mnie.

Poznaczony licznymi bliznami z dawniejszych walk pirat nie zamierzał ustąpić tak łatwo przed kaprysem kobiety. Odwrócił się do swego kapitana.

- Hamidzie, to myśmy ich pojмали! Ona nie ma prawa...

Dragut potrząsnął tylko głową.

Rozsierdzony pechowy żeglarz odwrócił się ku nam, zastanawiając się, ustąpić czy nie, i w tejże chwili skoczył na niego czarny potwór Aurory. Usłyszeliśmy tylko lwie warknięcie, bryła czerni śmignęła do przodu i nieszczęśnik runął na pokład, przygnieciony ciężarem bestii, która gryzła mu twarz i ręce. Moja rusznica frunęła w bok, ale nikt nie ośmielił się jej podnieść - piraci odskoczyli. Nieszczęśnik wił się na deskach i usiłował jedną dłonią chwycić nóż, a drugą odpychał psią paszczę, ale potwór bez wysiłku przedarł się przez zaporę i wbił mu kły w gardło. Potrząsnął łbem, jakby się bawił szmacianą lalką, i w powietrze trysnęła wysoko struga krwi z rozerwanej arterii. Ludzie skwitowali to wrzaskami, śmiechami, prośbami i szybko czynionymi zakładami. Byli ostatecznie bandą podłych łotrów.

Pirat targnął się jeszcze raz, znieruchomiał i skonał. Po pokładzie zaczęła się rozlewać krwawa plama.

- Sokar, do nogi!

Mastyf cofnął się, łypiąc na mnie żółtymi ślepiami. Miał krew na kłach i zaślinionej paszczy.

Trochę roztrzęsiony Dragut podniósł moją rusznicę i podał ją szalonej kobiecie.

- Proszę, o pani.

Wzięła broń i ignorując wrogie spojrzenia przyjaciół zagryzionego, zważyła ją w dłoni z tą samą zaborczością, jaką pamiętałem z Ameryki.

- Ruszamy do Trypolisu - poleciała Dragutowi, po czym ponownie zwróciła się do mnie. - Porozmawiamy jeszcze, gdy zamknięty w ładowni zastanowisz się nad swoją sytuacją. Jeżeli nie odnowisz naszej współpracy, nadzorca lochów Omar upewni się, że tym razem, gdy jesteś zdany na moją łaskę, niczego nie ukrywasz.

- Jaki znowu Omar?

- Jego imienia lepiej głośno nie wymawiać - odpowiedział Dragut, popychając mnie w stronę płytkiej ładowni szebeki. - I lepiej go nie poznawać. - Potem zwrócił się do kompanów. - Garłacz i pistolety są moje.

Współ z moimi trzema towarzyszami z wygodnej rufy zostaliśmy przeniesieni i wrzuceni do pomieszczenia na śródkręciu, w którym przechowywano żagle i beczki z wodą. Mogliśmy się położyć na pogniecionych żaglach mając za umebłowanie powleczone po wierzchu tłuszczem baryłki. Jedynym światłem, jakie tu docierało, były promienie słońca wpadające przez kratę w pułapie. Nasza chwilowo unieruchomiona szebeka szybko odzyskała sterowność i szum rozcinanej dziobem wody powiedział nam, że płyniemy do Trypolisu. Popołudniowe słońce zamieniło naszą ładownię we wnętrze pieca, a my z triumfatorów staliśmy się skazańcami.

Piractwo i niewolnictwo to kiepska baza dla ekonomii, ale w rzeczy samej tak dobrze służyły Berberom (nazywanym tak od barbarzyńców, którzy zajęli północną Afrykę po upadku imperium rzymskiego), że nie chciało im się wymyślać niczego nowego. Po co pracować, skoro możesz bezkarnie kraść? Napadając na najslabiej bronione wybrzeża Morza Śródziemnego, berberyjscy korsarze zaopatrywali miasta takie jak Trypolis w siłę roboczą i piękne kobiety do haremów.

Bogatsi jeńcy mogli się wykupić, dostarczając pieniędzy, za które Berberowie kupowali to, czego nie dało się ukraść. Statki i miasta większych europejskich potęg, takich jak Brytania, Francja czy Hiszpania, zostawiano w spokoju z obawy przed zemstą: w roku 1675 angielski admirał Turner spalił całą piracką flotę kotwiczącą w Trypolisie. Pomniejsze państwa uznawały, że bardziej niż próby schwytania szybkich pirackich okrętów albo obleganie silnie bronionych afrykańskich miast opłaca się pieniężny trybut. Składano go nie tylko w pieniądzech, ale i w okrętach, działach i prochu, które zamieniały północnoafrykańskie porty w wyzywające fortece. Cuvier mógł liczyć na okup, ponieważ był cenny dla władz Francji, ale Smith, Fulton i ja nie mieliśmy bogatych rodzin. Oznaczało to, że prawie na pewno umrzemy w kajdanach z niedożywienia, przepracowania i chorób.

Wyjaśniłem to wszystko moim towarzyszom tak łagodnie, jak tylko się dało.

- A co będzie, jak okażemy nieposłuszeństwo? - zapytał chcący wyjaśnić wszystko do końca Fulton.

- Ich ulubionym środkiem dyscyplinarnym jest bastinado, czyli chłosta. Wiążą ci nogi w kostkach, unoszą stopy do góry i walą w nie do dwustu razy kijem. Niektórzy z niewolników zostają kalekami do końca życia. Jeżeli uszkodzenia ciała są na tyle poważne, że człowiek staje się niezdolny do pracy, wywieszają go na hakach z miejskich murów jako nauczkę dla innych i wisi, dopóki nie umrze.

- I nie ma zmiłuj?

- Niekiedy bywasz lepiej traktowany, gdy przejdziesz na islam. Nazywają to „wdzianiem turbanu”.

- To dajcie mi Koran! Już składam przysięgę!

- Niestety, pierwszej trzeba się poddać obrzezaniu. Spojrzał na mnie, jakby chciał sprawdzić, czy nie kpię,
Nie kpiłem.

- Za każdym razem, kiedy myślę, że nie zdołasz nas już wpędzić w gorsze tarapaty, okazuje się, iż nie doceniałem waszej wodzowskiej mości.

- Nie wszystko jeszcze stracone. - Podejrzewałem, że powinienem podnieść morale oddziałku.

- Co niby chcesz powiedzieć?

- Mamy poparcie amerykańskiej marynarki wojennej.

Podczołgałem się do kraty i wstałem na tyle, na ile pozwalało mi niskie sklepienie. Promienie słońca niemal mnie oślepiły.

- Hamid! Muszę cię ostrzec! - zawołałem.

Kapitan podszedł i stanąwszy nad kratą, ocienił mi twarz.

- Milcz, niewolniku, bo każę ci wyciąć język i kilka jeszcze rzeczy! - Nie był już wesołym szyprem, z którym żeglowaliśmy po Adriatyku, i po raz kolejny przyszło mi na myśl, że zbyt optymistycznie oceniam ludzi. Zauważyłem, że wetknął sobie za pas pistolety Cuviera i niewątpliwie pucował garłacz Smitha.

- W odpowiedzi na deklarację wojny Jussufa Karamanlisa Stany Zjednoczone wysłały na te wody eskadrę wojenną - ostrzegłem go. - Robert i ja jesteśmy obywatelami amerykańskimi. Jeżeli zostaniesz schwytany z nami na pokładzie, zadyndasz na stryku albo spotka cię los jeszcze gorszy. Ja tylko cię ostrzegam.

Parsknął śmiechem.

- Więc myślisz, że powinienem was puścić?

- To mogłoby być najlepsze dla nas i dla was. W razie czego wstawimy się za tobą.

Udał, że się namyśla.

- Nie. Jeżeli amerykańskie fregaty nas dopadną, czego raczej się nie spodziewam, rzucę was na pożarcie rekinom, wytnę języki dwu pozostałym i będę się zaklinał, że tylko ich wzięłem do niewoli. To chyba lepsze rozwiązanie, jak myślę.

- Hamidzie, zaufaliśmy ci!

- I bardzo dobrze zrobiliście. Lepiej ufać mnie niż waszej marynarce. Wasze okręty mają zbyt duże zanurzenie, żeby zbliżyć się do Trypolisu, a my podpłyniemy i przemkniemy przez waszą blokadę jak szydło przez koronki. Zresztą według ostatnich wiadomości nowy dowódca, komandor Morris, dał sobie spokój i kryje się za sukniami Anglików na Malcie. Ta wasza eskadra, Gage, niczego nie wskórała i wszyscy Berberowie drwią sobie ze Stanów, a wkrótce będą drwili i z ciebie. Allah, jak widzisz, nagradza wiernych i karze tchórzów. Nie trać czasu na groźby. Wymyśl coś, co mogłoby cię uratować przed torturami Omara Władcy Lochów! - Treść naszej rozmowy przekazał załodze, gestykułując dostatecznie zamasyście, żeby zrobić z tego komedię.

Nie mogłem nigdy zrozumieć, dlaczego perspektywa tortur budzi zawsze taki entuzjazm wśród moich nieprzyjaciół, ale ta reakcja jest chyba uniwersalna. Jestem, jak już zaznaczyłem, człowiekiem, który da się lubić - poza chwilami, w których muszę od czasu do czasu zastrzelić jakiegoś natręta - i uważam, że nie zasługuję na wybuchy radości, które mi zawsze towarzyszą, gdy dostaję się do niewoli.

- Wygląda na to, że się tym nie przejęli - przekazałem moim towarzyszom, niepotrzebnie zresztą, bo wszystko słyszeli.

- Za bardzo na ciebie nie liczyliśmy - zapewnił mnie Smith.

Wyjąłem pergamin, który ukryłem za pazuchą, gdy Aurora nim wzgardziła.

- Ten modlitewnik wcale nie zmienił zapatrywań muzułmanów. - Podniosłem pergamin ku słońcu wciąż zaintrygowany powodem, dla którego ktoś chciał ukryć ten łaciński dokument w ścianie budynku miasta zakopanego głęboko pod skałami i popiołem wulkanicznym. Czyżby

zawierał jakiś szyfr podobny temu, jaki odkryliśmy z Magnusem na kamieniu wśród Indian Dakotów w Ameryce?

Mrok ładowni i plamki światła zmusiły mnie do uważniejszego przyjrzenia się temu, co wyglądało na bezwartościowy skrawek wyprawionej zwierzęcej skóry. I wtedy spostrzegłem pod łacińskim tekstem ślady jakby innego pisma. Podsunąwszy całość pod kratę, zacząłem widzieć też inne linie, niemal niewidoczne i znikające, jeśli człowiek mrugnął powiekami.

- Cuvier, mógłbyś na to zerknąć? Myślę, że na tym pergaminie jest coś jeszcze.

Francuski uczone westchnął, wstał z miejsca, gdzie jakoś ułożył się pomiędzy baryłkami, i skulony przyczłapał do mnie pod kratę. Powiódłszy wzrokiem za moim palcem, spojrzął najpierw bez entuzjazmu, ale potem popatrzył z większą uwagą. Wreszcie wziął ode mnie dokument i podniósł go ku światłu.

Po chwili odciągnął mnie od kraty w bok.

- Myślę, że to palimpsest - stwierdził szeptem.

- Co takiego?

- W średniowieczu niewiele było materiałów, na których dawało się pisać, a pergamin jest dość wytrzymały i odporny. Często więc zdrapywano stare teksty i zapisywano karty od nowa. Może templariusze wcale nie chcieli ukryć zbioru modlitw, może chodziło im o to, co na tej skórze wypisano pierwiej.

Zamigotało mi nikle światełko nadziei. Wiedza to potęga, a potrzebowaliśmy czegokolwiek, czego moglibyśmy użyć przeciwko Aurorze i jej piratom. Zacząłem drapać pergamin paznokciami, usiłując pozbyć się inkaustu.

- To jak moglibyśmy wydobyć na wierzch dawne pismo?

Cuvier zatrzymał moją dłoń.

- Pozwól, że pomyślę. - Przybrał minę, która nadawała mu wygląd człowieka ogromnie szczwanego. Potem zwrócił się do pozostałych. - Panowie, biologia uczy, że powinniśmy odbić pokrywę jednej z baryłek, by wypić tyle wody, ile zdołamy.

- Po co? - zapytał Smith.

- Bo trzeba obficie podlać moczem odkrycie Ethana.

Handlarze niewolnikami i piraci nie mają zwyczaju dawania ofiarom napoju do woli, musieliśmy wziąć sprawę w swoje dłonie albo na stopy. Nie mogliśmy odszpuntować żadnej baryłki, bo nie mieliśmy narzędzi, Fulton jednak wymacał po ciemku, że jedna z nich lekko przeciekała. Chyłkiem poprzesuwaliliśmy inne, aż zdołaliśmy podciągnąć ją bliżej.

- Jeżeli we trzech staniemy na niej i wparłszy plecy w sklepienie, naciśniemy stopami wierzch baryłki, może zdołamy rozsunać klepki na tyle, by zwiększyć przeciek, i wtedy czwarty zdoła złapać strużkę do jakiegoś... pojemnika.

- Niby do czego? - zapytałem.

- Do trzewika - stwierdził Smith. - Kiedyś musiałem opróżniać do kanału przeciekającą łódź i odkryłem, że trzewik świetnie się do tego nadaje.

- Nie bardzo mam ochotę wstawiać stopę do trzewika, ale żeby zeń pić...

- To darujmy sobie eksperymenty i tę niewielką pozostałą nam część życia spędźmy w niewoli i na mękach.

- Trafiłeś w sedno. Tylko w górę.

Wleźliśmy na baryłkę, nacisnęliśmy na wieko, wydusiliśmy strużkę wody, każdy napełnił swój but - uwierzcie lub nie, ale nie byliśmy aż tak zaprzyjaźnieni, by pomieszać „naczynia” - i opiliśmy się jak baki. Warto było okraść Draguta, choćby przedmiotem kradzieży miała być tylko woda. Z nabrzmiętymi brzuchami mogliśmy sami

postarać się o własną ciecz, choć w tym skwarze trochę to trwało.

- Do czyjego buta nałapiemy tych szczyn? - zapytał Fulton.

- Do trzewika Ethana, rzecz jasna - odparł Smith.

- Czekaście! - sprzeciwiłem się. - Czemu nie do twojego?

- Bo nie ja wymyśliłem tę ekspedycję. A zresztą to ty znalazłeś palimpsest.

Namówiłem ich, żeby rzecz głosować, ale i tak wynik był przeciwko mnie, więc wyprodukowaną takim trudem urynę zlano do mojego buta, przy czym towarzysze wykazali się niemałym entuzjazmem. Potem zaczęliśmy skrapiać moczem pergamin i powoli ścierać inkaust, by odsłonić to, co było pod nim.

I oto zobaczyliśmy mapę krzyżujących się linii i symboli nakreślonych na czymś, co wyglądało na zarys jakiegoś wybrzeża. Była tam zatoka o wąskim wejściu i łukowata linia wyglądająca jak ogrodzenie lub granica dzieląca ją od reszty kraju. Templariusze albo ci, co ukryli pergamin pod tynkiem, nie zostawili modlitewnika, ale przewodnik, który wskazywał jakiś przedmiot lub miejsce. Mogło to mieć coś wspólnego ze starożytnym orężem - promieniem Archimedesesa - który widzieliśmy na malowidle. Niestety, na mapie nie było żadnego opisu ani wskazówki dotyczącej miejsca. Z pomocą uryny udało mi się odtworzyć mokrą mapę miejsca, którego nie umieliśmy zidentyfikować.

- Dlaczego tu nie ma żadnego opisu? - zapytał Fulton.

- Bo nakreślono ją dla ludzi, którzy i bez tego wiedzieli, dokąd mają się udać - domyślił się Cuvier.

Smith przez chwilę przyglądał się mapie w nikłym świetle.

- Ale to mi wygląda znajomo.

- Smith, ty jesteś naszym znawcą map.

- Sądząc z zarysu brzegu, to jakiś teren wulkaniczny, ale taka zatoka może być wszędzie.

- Nie na Terze - stwierdził Cuvier. - Tam nie ma takiej zatoczki.

- Myślę, że jednak coś znalazłeś, Gage - odezwał się Fulton. - Odcyfruj to, człowieku!

- Jestem prawie pewien, że te linie i liczby coś znaczą. - Tak?

- Niestety, kiepski ze mnie zgadywacz. Może w ogóle nie powinienem się brać do poszukiwania skarbów.

W tejże chwili na kratę padł czyjś cień.

- Gage! Aurora chce cię natychmiast widzieć!

ROZDZIAŁ 19

Znany jestem z tego, że lubię się spotykać z przychylnie nastawionymi damami, opuszczając jednak naszą wilgotną ładownię, czułem strach na myśl o rozmowie z lady Somerset. Mogła sobie być piękna, ale ja wciąż miałem bliznę na łydce w miejscu, gdzie pchnęła mnie indiańska włócznią. Jej pieszczoszek wyglądał tak, jakby był gotów mnie capnąć za drugą łydkę, a ja nie miałem ochoty na wymianę ciętych uwag dotyczących naszej przeszłości. Z drugiej strony jej flagowy okręt podpływał, żeby mnie odebrać, i powinienem był dziarsko przeskoczyć na jego pokład. Dragut jednak raz tylko odetchnął moim zapaszkiem i szarpnął mnie, nakazując się umyć.

- Na Allaha! Nie zauważyłeś tam wiadra, czy zeszczesałeś się ze strachu!

- Hamidzie, po prostu pachnę jak pirat.

Rozebrano mnie i chluśnięto mi w gębę kilkoma wiadrami zimnej morskiej wody. Potem wdziałem mokre ubranie, przyczesalem włosy palcami jak tylko się dało ustawiłem się na relingu, gdy oba okręciki wyrównały kurs, a potem chwyciłem linę, którą mi rzucono z pokładu statku Aurory. Poczulem się jak pirat, stwierdzając, że ten fach miewa swoje uroki. Potem jednak spojrzałem na okręt mojej prześladowczym.

Izis, flagowy okręt Aurory Somerset, był większy od szebeki Draguta, miał cięższe działa i liczniejszą załogę, ale panował na nim porządek jak na płaskodence z Ohio,

Wszędzie pałętały się niezwinione liny, spiżowe okucia pokrywała zieleń, skrzynie i bele płótna leżały gdzie popadło, a po kątach walały się kęsy żarcia i puste butelki. Obok dział chrapali wolni od służby piraci, a pod umocowaną byle jak szalupą dziobały rozsypane ziarno chude kuraki.

Pomyślałem, że amerykańska fregata w jednej chwili zamieniłaby ten cyrk w kupę szczap. Szkoda, że żadnej gdzieś tu nie było.

- Wiem, że nie jadacie wieprzowiny, ale czy nie pomyśleliście o hodowli kilku świń? - zwróciłem się do moich oprawców. - Chlew już macie.

- Milcz, niewolniku! - Moją bystrą uwagę skwitowano chłaśnięciem bata po plecach, a potem bosman o ospowatej gębie pchnął mnie ku drzwiom kabiny na rufie, strzeżonym przez dwu zbudowanych jak bawoły Murzynów. Wartownicy byli dumni niby mamelukowie i patrzyli na mnie z pogardą graniczącą z niedowierzaniem. Uznali widać, że ich pani mogła wybrać kogoś lepszego.

- Nie miałem czasu na zmianę ubrania. Zmarszczywszy nosy, sprawdzili, czy nie mam broni, i wepchnęli mnie do środka.

- Powiem wam, jak było - zwróciłem się do jej orków. W kabinie pirackiego statku, dość wysokiej, żeby w niej stać swobodnie, panował przyjemny chłód. Oszklone okno rufowe było otwarte i przez drewnianą kratę wlatywały powiewy bryzy. Podłogę pokrywał perski dywan, a pod ścianami leżały poduszki i kobierce, nadając całości wygląd orientalnego zbytku. Sama Aurora niczym Kleopatra spoczywała w hamaku kołyszącym się w miarę przechyłów okrętu. Zmieniła strój abordażowy na lnianą koszulę, która niewiele ukrywała z jej wdzięków. Szyję ozdobiła pysznym hiszpańskim naszyjnikiem z szafirów, dobrała też odpowiednie do koloru oczu kolczyki. Na palcach miała liczne pierścienie, a bransolety, jakimi ozdobiła nadgarstki, przedramiona i kostki, dałyby jej dostateczny ciężar, żeby w razie konieczności mogła nam posłużyć za kotwicę. Mimo iż wiedziałem, że jest okropną wiedźmą i dziwką, zachowała swój uwodzicielski wdzięk i - do diabła! - podnieciłem się, gdy wydeła wargi, by

łyknąć ze złotego pucharka. Miała też jednak pistolet i różniła się od Astizy jak kobra od słowika.

Na domiar wszystkiego jej leżący w rogu kabiny mastyf łypał na mnie podejrzliwie, a w jego gardle przetaczał się niski warkot.

- Spokój, Sokar! - poleciała psu.

Sokar, jeżeli to było jego prawdziwe imię, był kolejnym bogiem egipskiego świata podziemnego. Wysoki po pas potwór stanowił niewątpliwie odpowiednie towarzystwo dla tej piekielnicy.

- Ładownia, do której kazałam cię wrzucić, jest tylko przedsmakiem jednej z dróg, którą się mogą potoczyć nasze wzajemne stosunki - zaczęła bez wstępów, jak zawsze przejmując rozmowę, gdy tylko opadały zasłony. - Mogę cię zapewnić, że lochy Trypolisu są znacznie gorsze, a życie niewolnika Karamanli jest krótsze niż życie majtka na okręcie opanowanym przez żółtą febrę. Jako niewolnik nigdy nie masz dość wody czy strawy, nie możesz utrzymać ciała w czystości, co owocuje wrzodami i gnijącymi ranami. Po bacie i kiju dostaniesz czerwonych pręg, z których będzie się sączyć obrzydliwa żółtawa ciecz, a włosy będą ci wypadać całymi kępami. Bolać cię stawy, gniją dziąsła i wypadają zęby, nabrzmiewa język i ślepniesz.

- Po spędzonej z tobą nocy perspektywa jest pociągająca.

Puchar drgnął w jej dłoni, zbieleły knykcie palców, w których go trzymała, a ja stwierdziłem, że nie jest przyzwyczajona do szczerości. Każdy pirat, który jej się sprzeciwił, spoczywał pewnie teraz na dnie morza, i podejrzewam, że i ja ryzykowałem to samo. Z drugiej strony w osobliwy sposób ją fascynowałem. Nie miałem pojęcia dlaczego.

- Albo... we dwójkę możemy zawładnąć światem - stwierdziła po chwili milczenia.

- Auroro, od czasu naszego ostatniego spotkania bynajmniej ci się nie poprawiło. Uznałem, że kompletnie oszalałaś i zmarłaś gdzieś w amerykańskiej dżicy, a jednak oto jesteś tu jako piracki admirał... ale nie sądzę, żebyś miała przed sobą perspektywy władzy nad światem. Pojmanie mnie nie jest tym samym co pokonanie armii Napoleona czy floty Nelsona.

- Ale pojmanie ciebie jest krokiem do znalezienia zwierciadła Archimedesesa.

- Więc o to ci chodzi? O tę mityczną zabawkę starego zdziwaczałego Greka?

- Ten zdziwaczały Grek wymyślił prosty kalkulator dwa tysiące lat przed Newtonem! Obliczył wartość liczby pi dokładniej od matematyków egipskich! Gdy odkrył zasadę wyporności w wannie, podniecony krzyknął „Eureka!” i wybiegł nago na ulicę.

- Większość sławnych ludzi dba o swój publiczny wizerunek. Ja jestem zbyt skromny, żeby kiedykolwiek odnieść sukces na tym polu.

- Jego zwierciadło, jeżeli je odnajdziemy, może unicestwić każdą flotę, jaka przeciwko nam zostanie wysłana. Będzie bez końca wysyłało promień i nigdy nie będzie trzeba go nabijać! Możemy łupić wszystkie kupieckie okręty dowolnych państw, one zaś staną się wobec nas bezsilne! Baterie dział wybuchną. Jaszczce z amunicją powylatują w powietrze. Ogarnięci płomieniami żołnierze i marynarze z wrzaskiem rzucają się w morze.

- Cóż za wyobraźnia, Auroro. Ale niestety, to było dwa tysiąclecia temu. Dość dawno, prawda?

- A jeżeli zwierciadło zostało zachowane, odnalezione i ewentualnie ukryte przez kogoś takiego jak na przykład templariusze?

- Nie zostało. Sprawdziłem.

- Może nie miałeś czasu na dokładniejsze przeszukanie miejsca. Albo wiesz więcej, niż chcesz się przyznać. Chodź, połóż się obok mnie, Ethanie. - Poruszyła się kusząco. - Ten hamak jest dostatecznie szeroki.

- Właściwie to przyrzekłem sobie, iż będę się trzymał z dala od kobiet. Myślę, że ty akurat lepiej niż ktokolwiek inny powinnaś mnie zrozumieć.

- Kiedyś o to błagałeś!

- To było, zanim pozabijałaś wszystkich moich przyjaciół. A ja zastrzeliłem twojego kuzyna. Znaczący, brata. Albo przyrodniego brata... ostatecznie w wypadku Cecila nie można było mieć żadnej pewności. Wziąwszy jedno z drugim, jakoś nam się nie układało.

- Wszyscy ci ludzie pozostaliby przy życiu, gdybyś od początku przystał na moją propozycję przyłączenia się do nas, jak o to prosiłam. Zostalibyśmy partnerami czyniącymi świat lepszym dzięki mądrości Egipskiego Rytu. Czyś ty zauważył, Ethanie, że za każdym razem, gdy usiłujesz zrobić coś dobrego, to wychodzi ci na złe? Nie masz miłości, domu, pieniędzy. A ja mogę ci ofiarować to wszystko i znacznie więcej! Podziel się ze mną swoją wiedzą i przyłącz do sprawy większej od ciebie. Zrób coś ze swoim życiem!

Sokar ponownie warknął, po to tylko, żeby mi przypomnieć, jaki naprawdę mam wybór. Potem ponownie zajął się kością, prawdopodobnie pozostałością po ostatnim piracie, który zawiódł Aurorę. Podszedłem do niewielkiego pulpitu, na którym zgromadzono stos książek dotyczących alchemii, historii starożytnej i magii. O członkach Łoży Egipskiego Rytu możecie mówić, co zechcecie, ale na pewno lubili czytać.

- Auroro, nie przydam ci się na nic, jak zawsze. Widziałaś, co znalazłem na Terze: średniowieczny modlitewnik. Znaleźliśmy starożytne ruiny puste jak Wersal i

udało nam się wygrzebać spod nich przy sklepieniu. Masz absolutną rację, jestem człowiekiem, któremu nic się nie udaje, i mogłabyś sobie oszczędzić kłopotów i czasu, poszukawszy kogoś bardziej przydatnego niż ja.

- A jednak nieustannie wyprzedzasz nas o krok: w piramidach, w Jerozolimie, na amerykańskim pograniczu i teraz na Terze. Ethanie, jest w tobie żądza wiedzy, równie silna jak w nas!

- O kim mówisz „my”? Jak się zostaje członkiem takiego bractwa szaleńców i łajdaków? Trzeba się zgłosić? Czy to kwestia genealogii?

- Jesteśmy grupą poważnych badaczy przeszłości, którzy posiadli starożytną wiedzę i zasługują na to, by rządzić światem. Odrzucamy konwenanse i podążamy ścieżką okultystycznej wiedzy, dokąd ona nas prowadzi. Rezygnujemy z konformizmu na rzecz wiedzy. Jej posiadanie zapewni idealną harmonię, w której każdy będzie odpowiedzialny przed nami! Przed tobą i mną, Ethanie.

W tym wszystkim było coś dziwnego. Czemu Aurora Somerset, angielska arystokratka i poszukiwaczka przygód, chciała czegoś więcej niż wznowienia tortur, gdy ponownie uzyskała okazję? Jeżeli istotnie posiadałam jakąś przydatną dla jej celów wiedzę, mogła po prostu udać chwilowe zainteresowanie, dopóki nie dowiedziałyby się tego, czego chciała, a potem spokojnie poderżnęłyby mi gardło. Czemu niby miałyby ofiarować mi szansę na partnerstwo? Nie cierpiałem jej i z pewnością nie żywiłem dla niej żadnych cieplejszych uczuć. Widziała już mój pergamin z modlitwami i nie miała pojęcia, że może zawierać coś więcej. Nie, chodziło o coś innego, coś bardziej przewrotnego, czego na razie nie umiałem odgadnąć.

- Jeżeli jest coś, w czym mam kiepskie wyniki, to w osiągnięciu harmonii.

Zaczynała się niecierpliwić, zmieniała pozę w hamaku na mniej uwodzicielską, a w jej oczach pojawiły się, zamiast kuszących, niebezpieczne błyski.

- Wolisz zgnić jako niewolnik?

- Wypuść moich przyjaciół. Może wtedy zechcę ci pomóc z tym twoim zwierciadłem.

- Ethanie, moja załoga musi dostać łup. Twoi przyjaciele są ludźmi, za których można wziąć okup. Ty jednak możesz się uratować. Myśl o sobie. Uciekaj sam.

Denerwujące było to, iż ceni mnie wystarczająco nisko, by uznać, iż może mnie tym skusić - a jeszcze bardziej irytowało mnie, że w dużej mierze ma rację. Byłem schwytanym w sieć intryg dawnej kochanki samotnikiem, pozbawionym korzeni, który opuścił swój kraj, by pracować na rzecz innego, i który niedawno sikał na stary pergamin w nadziei, że ostatnie poszukiwania w podziemiach nie pozostały bezowocne. Czy kiedykolwiek kierowałem się innymi pobudkami niż korzyść osobista? A jednak w ustach Aurory Somerset brzmiało to pusto i bezbarwnie: pełne tchórzostwa dbanie o samego siebie charakterystyczne dla ludzi, którzy jeszcze w pełni nie dorośli. W rzadkich wypadkach, w których okazywałem charakter i stanowczość, czułem się lepiej i może trzeba było przekształcić to w nawyk. Nie zająć się powierzchowną poprawą, ale spróbować rekonstrukcji duszy! Bóg jeden wie, że potrafię podejmować dobre decyzje, choć nie zawsze doprowadzam do końca ich wykonanie.

- Nie jestem sam, nieprawdaż? Mam trzech dobrych przyjaciół uwięzionych na okręcie Draguta, narażonych na poważne niebezpieczeństwo wyłącznie z powodu niefortunnej historii naszej znajomości. Nie, Auroro. Myślę, że wybiorę ich towarzystwo w śmierdzącej ładowni niż twoje w tym hamaku, i da mi to większą satysfakcję. Istotne jest to, że zamiast

bogatych kupców schwytałicie biednych naukowców, i nie jesteśmy warci kłopotów z wysyłaniem żądań okupu.

- To pozdychacie jako niewolnicy! - Wywinęła się z pozłotnego tronu i stanęła, drżąc z wściekłości. Jej zielone oczy lśniły ogniem, a godne Wenus kształty wyraźnie rysujące się pod lnianą koszulą skusiłyby papieża. Nie mam pojęcia, jak oni sobie radzą z celibatem. Przejrzysty materiał obnażał ją bardziej, niż gdyby stanęła nago, i pragnąłem jej wbrew samemu sobie. Była jednak diabelską pokusą, ogniem, którego nie ośmieliłem się dotknąć.

- Nigdy nie znajdziesz zwierciadła Archimedes! W twoich rękach byłoby jak baryłka prochu w dłoniach piromaniaka. Nie dostaniesz swojej broni, nie będą z tobą współpracować i nie osiągniesz swego przewrotnego, przeciwnego naturze celu. Masz tę kabinę, muzułmańską załogę rzezimieszków, suchary, głupie gadki i samotne życie w poszukiwaniu spokoju, który już odrzuciłaś.

- Nic nie wiesz! - Jej pies poderwał się na nogi i szczeknął, aż podskoczyłem i zateęskniłem za tomahawkiem, za pomocą którego mógłbym się rozprawić z tą bestią.

- Właśnie tak! - potwierdziłem. - Sprzedaj mnie więc, utop albo zamknij w lochu, ale proszę, daj mi spokój!

Jak się później okazało, tego życzenia żadne z nas nie miało spełnić.

ROZDZIAŁ 20

Widziany z morza Trypolis wyglądał zachęcająco jak paszcza lwa. Dragut wyciągnął nas na pokład, z którego mogliśmy obserwować podejście; chodziło mu o to, żebyśmy się pozbyli wszelkiej nadziei na ratunek. Gdy zbliżaliśmy się do lądu, miękką łapą przygniatał nas północnoafrykański upał lejący się z żółtego nieba nad pustynią, a bladoniebieskiego nad ogrodami i otaczającymi miejskie mury gajami palm daktylowych. Forty i wieże najpotężniejszego pirackiego legowiska na Morzu Śródziemnym drżały w upale jak zły sen. Szczękami lwa były otaczające miasto rafy, połyskujące szmaragdem i złotem wśród ciemniejszych wód morza, a jego zębami były działa wystające z ambrazur; wydawało się, że są ich setki. Pod ich osłoną niczym lwie szczenięta kołysały się szebeki i feluki piratów.

Spodziewałem się, że zobaczę teraz dumne czarne fregaty mojej marynarki wojennej, ponieważ do Europy mogłem wrócić z potężną amerykańską flotyllą. Ale okrętów blokujących pirackie gniazdo nigdzie nie było widać, a kpiny Draguta dotyczące ukrywania się tej flotylli na Malcie mogły się okazać prawdą. Jeżeli Trypolis istotnie prowadził wojnę z moim młodym narodem, to niełatwo było dostrzec jej oznaki.

- Widzisz? - zapytał Dragut, jakby odczytując moje myśli.
- Wasze okręty mają zbyt głębokie zanurzenie, żeby tu podpłynąć.

Upał i słońce oślepiały, do czego należało jeszcze dodać mylący efekt, jaki napoleońscy uczeni nazywali „mirażem”. Wiatr niósł ku nam znad lądu zapachy piasku i korzeni, ekskrementów i pomarańczy, wełny z pozwijanych dywanów i gnijących ryb. Trypolis jest zieloną równiną pośród piasków pustyni, a w migotliwym świetle dnia dachy jego białych domów wyglądają jak powleczone śniegiem powierzchnia lodowca, poprzecinanego płataniną tak krętych uliczek, że

łatwiej uwierzyć, iż powstały jako naturalne kanały niż według jakiegokolwiek planu. Płaskość miasta podkreślają kopuły meczetów i strzelające w niebo, zwieńczone zielenią niczym kapelusze czarownic wieżyczki minaretów. Na południowo - wschodnim krańcu miasta, nieopodal portu, widać było blanki murów przysadzistego, masywnego pałacu baszy Jussufa Karamanliego. Za nim jest skaliste urwisko, na którego szczycie zbudowano panujący nad miastem i morzem fort - piękne miejsce na umieszczenie w nim zwierciadła.

Dragut oświadczył nam nie bez dumy w głosie, że Karamanli jest władcą równie bezwzględny jak Attyła.

- Władzę zdobył przed siedmiu laty, gdy pokonał pirata Aliego Bourghala. Przedtem w pałacowym haremie zabił swego brata Hassana i odstrzelił palce matce, gdy podniosła dłoń, by ocalić starszego syna. Brzemienną żonę Hassan odciągnął za włosy od ciała konającego męża, a potem odciął mu genitalia i rzucił je psom.

- Nic dziwnego, że się doń przyłączyłeś.

- Jest też zarazem człowiekiem bogobożnym... w turbanie nosi zapisane na pasmach płótna wersety Koranu.

- No tak, to jest wzorem pobożności.

- Gdy Jussuf odebrał piratowi Bourghalowi władzę nad miastem, jego drugi brat Hamet zgodził się pójść na wygnanie do Aleksandrii. Ale żona i dzieci Hameta zostały w Trypolisie jako zakładnicy. Sam Jussuf ma dwie żony, jedna jest jasnoskórą Turczynką, a druga to czarna Nubijka.

Madonny, biała i czarna. Przypomniałem sobie swoje przygody pod Jerozolimą z Miriam i to, czego mnie nauczyla Astiza.

- Jest oczywiście właścicielem haremu nałożnic. Niezły z niego ogier. Ma oswojonego lamparta, włoski zespół muzyczny, który gra mu serenady, i klejnoty wielkości ptasich jaj.

- Wciąż nie widzę dla niego szans w wyborach. - Nie musi w nich brać udziału. Ludzie go kochają i się boją, ponieważ rządzi z woli Allaha. My, muzułmanie, radzi jesteśmy swojemu losowi, ponieważ, jak mówi Prorok: „Tak zostało zapisane”. Chrześcijanie są udręczeni, ponieważ nie wierzą w przeznaczenie i zawsze próbują wszystko zmienić. My, wierni, jesteśmy zadowoleni, wiedząc, że wszelkie przeciwności są wolą Allaha. Trypolis jest spokojną tyranią.

- Więc godzicie się z rządami szaleńca, który zamordował brata, okaleczył matkę i szarpał za włosy brzemienną bratową?

- Cały świat płaci trybut Jussufowi Karamanliemu.

- Na Boga! Anglia i Francja nie płacą! - wtrącił Smith. - I tak być powinno. Anglicy i Francuzi pilnują, żeby floty innych krajów były słabe. Czy Nelson nie zniszczył duńskiej floty pod Kopenhagą? My nie możemy pokonać ich okrętów, a one nie mogą się zbliżyć do naszych przybrzeżnych płycizn. Nie ruszamy okrętów pływających pod ich flagami, a one zostawiają w spokoju nas, pozwalając nam łupić kupieckie okręty innych flot. Kupcy i armatorzy zrozumieli, że opłaca się pływać pod flagami Brytanii i Francji. Widzimy tu mądrość Boga, który każdemu narodowi wyznaczył jego miejsce. Jedynymi ludźmi, którzy tego nie pojmują, są Amerykanie, ale spójrzcie dookoła... widzicie ich fregaty? Chełpią się tylko i ukrywają na Malcie.

- To Jussuf wypowiedział nam wojnę.

- Bo wasz młody naród nie pojmuje, jak ten świat jest urządzony, i nie chce mu płacić należnego trybutu! Stany Zjednoczone powinny nam dać to, czego się domagamy. Będzie to znacznie tańsze niż bezmyślne opieranie się woli Allaha. Sam zobaczysz.

- Niełatwo nam uwierzyć w twoje rady, Dragucie, po tym, jak nas okłamałeś, zdradziłeś i zniewoliłeś.

- Ha! Macie szczęście, że tym, który was pojmał, jest Hamid Dragut, a nie człek prawdziwie twardy, taki jak Murad Reis.

- Ten szkocki renegat? - zapytał Smith.

- Wdział turban, ale jest posepny i nieprzyjemny jak jego ojczyzna. Wstawię się za wami, ale on nie jest tak miłosierny jak Hamid. Wybrał dzielność Półksiężycy nad niewolnictwo pod Krzyżem. Teraz jest kapitanem naszych korsarzy, znanym z odwagi, przebiegłości i okrucieństwa. Każdy niewolnik ma okazję wykazać swoją wartość! W waszych narodach niewolnictwo to życie pełne udręki, przeznaczone dla pogardzanych Negrów. W naszym oświeconym narodzie to wstęp do bogactw i nawet do wolności dla tych, co przejdą na islam. Nasi chrześcijańscy niewolnicy żyją jak przeklęci i skazańcy, ale muzułmańscy mogą wznieść się równie wysoko jak ich panowie. Taka jest mądrość Allaha.

- Żaden z nas nigdy nie zostanie muzułmaninem - przysiągł Cuvier. - Nawet uczeni, którzy odrzucają Pismo.

- To będziecie się musieli wykupić, co zrujnuje wasze rodziny, albo zostaniecie zesłani do kamieniołomów lub oddani Omarowi Władcy Lochów. Czy wy, ludzie uczeni, nie kierujecie się rozumem? Posłuchajcie mnie uważnie: tylko rozum może was teraz ocalić.

Nasze wejście do portu skwitowano salutem z dział. Okręty flotyli Aurory odpowiedziały podobnie, na każdy pióropusz dymu z fortu odpowiadał w sekundę lub dwie później takiż sam z naszych pirackich dział; nad pięknymi turkusowymi wodami niósł się huk armat. Gdyśmy lawirowali pomiędzy rafami, na nabrzeżu zebrał się tłum niewolników, żołnierzy, tragarzy i kryjących twarze za czarczafami żon. Na miejskich murach rozbeczały się rogi i rozhuczały bębny. Nasz okręt przycumowano, a gromada zagłodzonych niewolników wniosła na pokład wielkie łańcuchy, każdy o

ciężarze dwu wiader wody, po czym zawiązano je wokół naszych bioder i kostek; ciężar nie pozwalał nam na unoszenie rąk i musieliśmy trzymać dłonie tak, jakbyśmy usiłowali chronić genitalia. Ta wymuszona poza nie była do końca niewłaściwa, bo po przejściach w jaskiniach Tery mieliśmy mocno poszarpaną odzież. Brudni, wychudzeni i nieogoleni wyglądaliśmy na nędznych niewolników, jakimi się staliśmy. Moi towarzysze patrzyli ponuro na tłum, który miał nas odprowadzić na targ niewolników. Rozum! Mieliśmy do rozegrania jeszcze jedną kartę, ale woleliśmy jej nie tykać. Podejrzewaliśmy, że wiemy, do jakiego miejsca odnosiła się mapa na palimpseście.

Domyślił się tego geograf z zamiłowania, Smith. Powiedział mi o tym, gdy po rozmowie z Aurorą wróciłem do ładowni na okręcie Draguta.

- Ethanie, przejrzelśmy to jeszcze raz - poinformował mnie szeptem, gdy płynęliśmy ku afrykańskim wybrzeżom. - Ta tu wysepka nie jest zatoką, lecz półwyspem, jeżeli przyjąć, że to, co uznaliśmy za ląd, jest morzem i odwrotnie. Gdy zdałem sobie z tego sprawę, wszystko inne stało się jasne. W tej części świata jest port z tak ukształtowanym występem... to sycylijskie Syrakuzy, gdzie Archimedes robił swoje obliczenia i władał swoim zwierciadłem. Ta krzywa linia nie jest zaznaczona na lądzie, ale na morzu. Fulton podsunął pomysł, co może oznaczać.

- Myślę, że to granica skuteczności zwierciadła - stwierdził wynalazca. - Wewnątrz tej linii promienie były dostatecznie mocne, żeby podpalać rzymskie galery.

- Symbole na lądzie mogą się odnosić do miejsc, które chcieli zaznaczyć twórcy tej mapy - ciągnął Smith. - Może to miejsce ukrycia Archimedesowego zwierciadła. Jaskinie, jakiś fort lub świątynia.

Spojrzałem na mapę. Na półwyspie w sporej odległości od morza był krzyż i jakiś symbol, jakby zamku. Prowadząca stamtąd linia zmieniała się w podkowę. Na jej krzywiznie znajdowało się coś falistego, niczym symbol rzeki. Nieopodal widać było jakieś niewielkie garbiki, które mogły oznaczać chatki albo jaskinie i strzałki z dziwnymi symbolami i nic niemówiącymi liczbami.

- Myślę, że narysowali to templariusze, gdy odnaleźli zaginione zwierciadło - szepnął Smith. - I ukryli to na Terze w miejscu sobie tylko wiadomym. Być może w jakichś podziemnych katakumbach.

- To mamy coś, czym da się handlować! - ucieszyłem się.

- Absolutnie nie! - uciał Cuvier. - Zamierzasz pomóc w odnalezieniu tej broni tym pirackim fanatykom?

- Nie zamierzam im w niczym pomagać. Ale możemy użyć naszej wiedzy, żeby jakoś się wyrwać z tej opresji.

- Raczej zgniję w kajdanach, niż dam tym barbarzyńcom coś, co pomoże im zniszczyć francuską flotę wojenną! - zarzekł się mój przyjaciel.

- Ja też, ze względu na flotę brytyjską - poparł go Smith. - Ethanie, dajże spokój, przecież twój własny kraj toczy wojnę z tymi opryszkami! Nie możemy im powiedzieć, gdzie znajdują te promienie śmierci!

- Niby gdzie? - Spojrzałem na mapę.

- Dokładnie nie wiemy, ale prędzej czy później oni się tego domyślą. Samo wskazanie miasta ułatwi im odkrycie. Wasze fregaty ogarnie piekielny ogień, a ludzie będą płonęli żywcem. Nie możemy tym okupić wolności. Honor ponad życie, nieprawdaż?

- Oczywiście. - Przełknąłem ślinę. - Ale lekka podpowiedź z pewnością mogłaby ułatwić naszą sytuację.

Fulton potrząsnął głową.

- Każdy współczesny wynalazca mógłby ulepszyć urządzenie tego Greka. Lepiej ich nie kusić.

Na bokobrody Zeusa, to mi się trafili szlachetni ludzie! Ale to zawsze jest ryzykowne, że nie wspomnę o nowości.

- Ale oni i tak odbiorą nam ten palimpsest i mogą wyciągnąć takie same wnioski - próbowałem ich przekonać. Nie lubię krakać, po prostu jestem człowiekiem praktycznym.

- Więc jedyne, co możemy zrobić - stwierdził Cuvier - to nauczyć się na pamięć wszystkiego, a potem zniszczyć pergamin. Klucz zawrzemy w naszych umysłach i nie będzie ukryty w podziemiach lub na starym dokumencie.

- Jak niby mamy go zniszczyć? Z tej ładowni nie damy rady wrzucić go w morze.

- Nie, nie zdołamy też przywrócić jego poprzedniego wyglądu. Przyjaciele, jedyna myśl, która przychodzi mi do głowy, to ta, że musimy go zjeść.

- Po tym, jak obmyśliśmy go w szczynach, by odsłonić pierwotną treść?

- Ethanie, odrobina uryny nikomu nie zaszkodziła! - zapewnił mnie naukowiec. - Jest mniej toksyczna niż woda z kiepskiej studni. Młode panienki myją w niej włosy. A zresztą palimpsest dawno już wysechł. Powiedziałybyś, że jest wyrezonowany.

- Zjeść palimpsest? - zapytałem. - Niby jak? - Myślę, że trzeba to zrobić kawałkami. Niestety, nie mamy soli ani pieprzu.

Tak też zrobiliśmy. Pod koniec bolały mnie szczęki od żucia i buntował mi się żołądek on nadmiaru połkniętego bez warzyw pergaminu. Kiedyż w końcu znajdę jakiś normalny skarb, jak skrzynię dublonów albo królewską koronę?

Ponure żucie wprawiło nas w filozoficzny nastrój, a gdy mężczyzna zastanawia się nad zagadkami wszechświata, pierwszą, jaka przychodzi mu na myśl, jest kobieta.

Opowiedziałem o pechowym sojuszu z Aurorą Somerset i napomknąłem o nieszczęśliwym zakończeniu, które nikogo nie zdziwiło. Zgodziliśmy się co do tego, że kobiety są bardziej pociągające niż mapa skarbu i wybuchowe Jak beczka prochu.

- Dziwne, jak potrafią być niebezpieczne, jeżeli weźmie się pod uwagę naturalną wyższość mężczyzn - stwierdził Smith ze szczerym zaskoczeniem w głosie. - Pod względem siły, odwagi i inteligencji przewaga naszej płci jest bezdyskusyjna.

- Niezupełnie - odpowiedział Fulton. - Znam wielu mężczyzn, których przeraziłaby perspektywa porodu.

- No, kobiety oczywiście mają swoje zalety - ustąpił Anglik. - Na przykład urodę, by przytoczyć najbardziej oczywistą. Chodzi mi o to, że pomimo naszych własnych zalet i męskiej doskonałości kury kładą dłoń na pawiach. Doprawdy, rzecz to zastanawiająca.

- Skrzydło - poprawiłem. - Gdy chodzi o pawie.

- To w istocie produkt historii naturalnej - zaopiniował Cuvier. - Prawdą jest, że samce mają skłonność do niewierności. Monogamia jest lepsza, jeżeli chodzi o przetrwanie czy dzieci, w kwestii prokreacji w interesie kozła jest osiąść jak największą liczbę sarenek.

- No proszę... - powiedziałem.

- I to powinno zapewnić mężczyznom przewagę - stwierdził Smith. - Jeżeli czyjeś serce zostanie złamane przez towarzyszkę, przenosi po prostu uczucia na następną. Spójrzcie na Ethana: doskonały przykład kolejnych zapałów, niewierności i kiepskich ocen...

Otworzyłem usta do sprzeciwu, ale Fulton nie dał mi dojść do słowa.

- Walczące kozły ryzykują śmierć w walce, ale zwycięzca dziedziczy harem - zgodził się wynalazca. - Byk rządzi na

pastwisku, a cap w zagrodzie. Przewaga samca panowie, jest zasadą w oborze i powinna być zasadą na salonach.

- Ale tak nie jest - ostrzegł Cuvier. - Ethan, na przykład ma nieustanne problemy z kobietami, biorąc pod uwagę jego pchłą aktywność, niezdolność do planowania przyszłości, przesadny oportunizm i notoryczną niewierność. W jego wypadku przewagę ma słaba płeć. Kiedy sarna upoluje jelenia? W porze godowej, gdy mózg zwierzęcia zajmuje wyłącznie żądza i nie może jasno myśleć.

- Cały Ethan - przytaknął Fulton.

- Kobieta zaś, z drugiej strony, ma znacznie trudniejsze zadanie niż uczestniczenie w kopulacji - ciągnął Cuvier. - Podczas gdy wolny byk, taki jak Gage, może sobie hulać po pastwisku, zabiegając o względy tej albo tamtej spódniczki, samica ma tylko jedną szansę na powodzenie, Zapłodnić ją może jeden tylko mężczyzna, więc wybór partnera jest kluczową sprawą, jeżeli idzie o dobrobyt jej i dziecka. W rezultacie wybiera związki z mężczyznami mającymi bystrość Aleksandra albo zdolności strategiczne Fryderyka Wielkiego. Zręczność w tym tańcu szlifuje od dzieciństwa i postawieni wobec tej bezwzględnej strategii i rozumnej oceny my, mężczyźni, jesteśmy bezradnymi pionkami. To ona kontroluje nasze sukcesy czy niepowodzenia, ona manewruje, żeby sprowadzić do buduaru właściwego partnera, ona bierze pod uwagę nie tylko fizyczną atrakcyjność, ale także zamożność, inteligencję pozycję społeczną i uruchamia zaskakująco bogaty asortyment manewrów oskrzydlających i zasadzek, które sprowadzają bezradnego samca do roli oszołomionej zdobyczy. I zarazem przekonuje samca, że cała sprawa to jego pomysł.

- Nie potrafimy temu sprostać - zgodził się z westchnieniem Smith. - Jesteśmy jak króliki wobec lisów.

- Albo jesteśmy bezradnymi romantykami, takimi jak Ethan Gage - stwierdził Cuvier.

- One biorą pod uwagę nasze pochodzenie i majątek, reputację, widoki na przyszłość i higienę - potwierdził Fulton.

- Nic dziwnego, że Ethan miał kłopoty z Astizą i tą panną Somerset, by zacząć od najbliższych. To gra bez możliwości wygranej.

- Panowie, wcale się nie uważam za ofiarę - zachnąłem się z urazą w głosie.

- Może i nie - odpowiedział Cuvier. - Ale im dalej będziesz się trzymał od kobiet, tym lepiej będzie dla nas wszystkich.

ROZDZIAŁ 21

Obarczony pętami ciężkimi niczym kotwiczny łańcuch, zaskoczony myślą o wznowieniu romansu z Aurorą albo stawieniu czoła losowi, o którym szeptano niespokojnie we wszystkich śródziemnomorskich tawernach, stałem na kamieniach afrykańskiego wybrzeża i piekłem się w promieniach południowego słońca. Nasze pojmanie miało być muzułmańską odpłatą za wygnanie Arabów z Sycylii, krew rozlewana przez krzyżowców i wyparcie ich spod Lepanto oraz klęskę zadaną im ponad sto lat temu pod Wiedniem. Każda wojna staje się zarzewiem następnej. Biorąc pod uwagę nasze liberalne poglądy na religię i Pismo, wszyscy czterej przyprawilibyśmy o ból głowy każdego proboszcza, dla muzułmanów byliśmy jednak chrześcijańskimi psami, przeznaczonymi piekłu, na które sobie uczciwie zasłużyliśmy, odmawiając przejścia na islam.

Któregoś dnia zamierzałem spróbować nauczyć się odmawiać Napoleonowi.

- Więc jaki mamy plan? - zapytał szeptem Fulton.

- Cóż, zamierzałem jakoś nas wykupić, handlując naszą wiedzą, ale wasz nagły wybuch prawości zniweczył tę możliwość. Widzę tylko dwa sposoby wydostania się z tarapatów. Pierwszym jest skorzystanie z możliwości ucieczki, gdy tylko nadarzy się okazja.

Fulton spojrzał na swoje kajdany.

- Myślę, że oni to przewidzieli.

- Drugim sposobem będzie odwołanie się do rozumu. Panowie, nie ufam tej naszej królowej piratów, musimy więc zobaczyć się z królem tej dziury, niejakim Jussufem Karamanlim, i przekonać go, że jesteśmy naprawdę ważnymi osobami.

- Czy to nie on, sięgając po tron, zastrzelił jednego z braci i skazał na wygnanie drugiego? Ten sam, który wypowiedział

wojnę naszym Stanom Zjednoczonym? Ten, którego dziadek kazał podusić po jednym swoich strażników janczarów, gdy wchodzili przez drzwi na wydaną dla nich ucztę?

- Nie jest on Jerzym Waszyngtonem - zgodziłem się. - Ale ostatecznie piraci to zawsze ludzie interesu. Wy, uczeni panowie, jesteście przedstawicielami najświetniejszych umysłów Europy. Wymyślimy coś nieszkodliwego, by zrobić na nim wrażenie, zdobędziemy jego wdzięczność, stanie się naszym dłużnikiem i odeśle nas do domów. Może nawet z jakimiś darami.

- Twój optymizm jest porażający - stwierdził Smith.

- Jeżeli uzna, że jesteśmy naprawdę przydatni, to nigdy nas nie wypuści - dodał Cuvier.

- No to może nas uratuje Napoleon.

- Napoleon nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy.

- To poszukamy jakiejś szansy na ucieczkę.

- Próba ucieczki jest karana okrutną śmiercią - ostrzegł Smith. - Tak jak ja to widzę, nie mamy szans.

- No cóż... - mruknąłem zawzięcie. - Coś wymyślę. Skwitowali to westchnieniem.

Na tym stanęło i ruszyliśmy naprzód popędzani trzaskami bata. Dołączyliśmy do grupy więźniów zepchniętych z innego statku. Były wśród nich łkające cicho kobiety. Nasze łańcuchy skuto razem i popychani, potykając się co chwila, przeszliśmy obok beczek cukru, dzbanów wina i skrzynek z gwoździami do centrum miasta. Z zalanych oślepiającymi promieniami słońca otwartych placyków portu trafiliśmy pod markizy ocieniające podobne do wawozów afrykańskie uliczki. Smagani batami mijaliśmy przepychających się żołnierzy, rozwrzeszczanych kupców, zakwefione kobiety, ryczące przeraźliwie osły i parszczące wielbłądy. Przy akompaniamencie ryku rogów i łoskotu bębnow bosymi nogami deptaliśmy pełen gówien piasek. Wysoko nad naszymi

głowami łopotały czerwone, zielone i białe flagi Trypolisu, których widok miał pozbawić więźniów marzeń o wolności. Najnędzniejsi muzułmańscy żebracy pluli na nas ze swoich dziur, by nas upewnić, że na drabinie społecznej znajdujemy się niżej od nich. Drwiono z nas, aż w końcu uświadomiliśmy sobie, jakimi jesteśmy nieszczęśnikami. Odebrano nam broń, obuwie - postarałem się tylko, żeby moje zaszczane trzewiki dostały się Dragutowi - i powyrywano więcej niż połowę naszych guzików. Spragnieni, wygłodzeni, zgrzani i chłostani batami wyglądaliśmy nędznie jak gromadka więźniów kanibali. Szukałem okazji, ale żadnej nie mogłem dostrzec.

Trypolis obudził we mnie wspomnienia Aleksandrii i Kairu. Człapaliśmy obok kawiarenek, przed którymi siedzieli w kucki starzy ludzie pykający z niemal dwumetrowych fajek hookah, napełniając powietrze woniami haszyszu i korzeni. Były też tawerny prowadzone przez wyzwolonych chrześcijan, gdzie w mrocznych alkowach gromadzili się muzułmanie, żeby popijać zabronione alkohole.

Mijały nas zawoalowane Turczynki i Arabki w luźnych i niekształtnych szatach, tak że jedynie piękne, migdałowego kształtu oczy pozwalały się domyślać ukrytych uroków.

W Trypolisie żyła też liczna grupa Żydów wygnanych z Hiszpanii jeszcze w czasach Kolumba. Zgodnie z dekretem musieli odziewać się na czarno i przed meczetami przechodzić na bosaka. Większość żebraków pozbawiona była ramion lub dłoni, które im odrąbano i zanurzono kikuty w smole; był to wynik wyroków za dopuszczenie się jakiegoś przestępstwa. Przebiegali też obok ulicznicy obrzucający nas wyzwiskami i drwiący z naszych kajdan oraz mizerii. Z zakratowanych okien haremów i mieszkań ciekawie zerkały ku nam kobiety.

Bardziej mi się podobało w Filadelfii.

- W Trypolisie obowiązuje pewna hierarchia i dobrze będzie, jeżeli ją sobie zapamiętacie - orzekł Hamid, gdy jego

marynarze popychali nas z tyłu. - Rządzący tu żołnierze to tureccy janczarzy, którzy odpowiadają wyłącznie przed Wysoką Portą w Stambule. Wolno im nosić czerwone fezy owinięte jedwabnymi szarfami. Niżej umieściłbym arabskich kupców, potomków pustynnych wojowników, którzy dobry tysiąc lat temu podbili całą Afrykę Północną. Pod nimi są Maurowie, muzułmanie wygnani z Hiszpanii przez chrześcijańskie rycerstwo. Potem idą Lewantyńscy, wykonujący pospolite prace Grecy i Libańczycy. Wygnani z Hiszpanii Żydzi udzielający nam pożyczek. Na samym dole jesteście wy, niewolnicy stanowiący około jednej piątej populacji. Oficjalnymi językami są turecki i arabski, a na ulicach króluje śródziemnomorska lingua franca, mieszanina języków wszystkich narodów mieszkających w basenie tego morza.

Z brzękiem kajdan mineliśmy bazar. Były tu szeregi kramów ze srebrzystymi rybami, górami ostrych przypraw, dywanów, opończy, skór, jedwabiu, fig, rodzynek, oliwek, zboża i oliwy. Widzieliśmy naczynia kuchenne ze spiżu i żelaza, pięknie wykonane siodła, zakrzywione sztylety, pomarańcze, granaty, winogrona, cebule, sardynki i daktyle. Sprzedawano tu wszystko, włącznie ze mną.

- Ile jestem wart? - zapytałem. - Znaczy, jako niewolnik?

Hamid zastanawiał się przez chwilę.

- Twoja cena to połowa wartości urodziwej kobiety.

- Ale nie możesz zacząć aukcji, jakbyśmy byli zwykłymi marynarzami - stwierdziłem, usiłując podnieść naszą wartość.

- Jesteśmy ludźmi uczonymi.

- Jesteście chrześcijańskimi psami, dopóki się nie na wrócicie.

Targ niewolników w Trypolisie odbywał się na kamiennej platformie wzniesionej pod ścianą centralnej cytadeli Jussufa i być może był źródłem jego przyjemności, kiedy słuchał

lamentów ludzi, którzy stracili wszelką nadzieję, Począpaliśmy kolejno ku wiodącym na nią schodom pod baczynymi spojrzeniami chętnych do kupna, ponieważ każdy z nas mógł się stać korzystną inwestycją. Cenę wywoławczą wyznaczali piraci, zawsze jednak istniała szansa, że nabywca nieźle zarobi nie dzięki pracy niewolnika, ale odbierając zań okup opłacony przez zamożnych krewnych lub innych chrześcijan. Byli też reprezentanci baszy łatwo rozpoznawalni dzięki klejnotom na turbanach i pantoflach o wywiniętych w górę końcach. Mieli wybrać najbardziej urodziwe dziewczki do jego haremu i najbardziej odpowiednich ludzi do służby domowej, której szeregi trzeba było stale uzupełniać, gdyż przerzedzało je przepracowanie i choroby. Grupką innych potencjalnych nabywców byli smagli wodzowie Berberów z głębi kraju, przedstawiciele nadzorców z wojska potrzebującego stale siły roboczej do prac obozowych, właściciele galer pragnący uzupełniać miejsca przy wiosłach, wytwórcy dywanów potrzebujący ludzi o bystrym wzroku i zręcznych palcach oraz farbiarze, nosiciele wody, garbarze, rolnicy, poganiacze wołów i kamieniarze, z których każdy przewidująco przyniósł bat i własnego wyrobu kajdany. Cały system był oparty na przymusie zamiast swobodnej rywalizacji i przedsiębiorczości; powiedziałem przyjaciółom, że w innych warunkach byłby się zawalił, gdyby nie to, że berberyjskie państewka od trzystu lat rzucały wyzwanie flotom europejskim. Południowe stany mojego własnego kraju korzystały na niewolniczej pracy sprowadzanych z Afryki Negrów i z tego, co wiedziałem, ich najbardziej obrotni przedsiębiorcy byli bardzo zamożni.

Poprzedzających nas więźniów sprzedawano niczym bydło na aukcji. Kazano im napinać mięśnie, by potencjalni nabywcy mogli ocenić ich krzepę, drewnianymi klinami otwierano usta, szturchano w brzuch, podnoszono i oglądano

im stopy, a także brutalnie obdzierano ich ze szmat, żeby sprawdzać, czy nie mają jakichś wrzodów, czyraków albo innych oznak chorób. Kazano nam też tańczyć i podskakiwać, żeby udowodnić, że nie cierpimy na artretyzm. Kilku osobnikom ściągnięto gatki, żeby nabywca mógł ocenić rozmiar genitaliów, jakby kupował rozplodowego ogiera.

Jakiś sardyński marynarz był tym wszystkim tak wstrząśnięty, że odepchnął prowadzącego aukcję i brzęcząc łańcuchami, wymierzył kopniaka jednemu z żołnierzy. Tłum zareagował na ten wybuch gniewu wrzeniem i okrzykami, jak tknięte kijem gniazdo szerszeni. Zebrałem się w sobie, oczekując widoku chłosty, i rzeczywiście, kilku żołnierzy obsypało nieszczęśnika gradem ciosów, aż zwinął się na platformie jak dziecko i po włosku zaczął błagać o litość. Wybuch dzikości żołdactwa był przesadny i żywiołowy, a jednak był to jedynie wstęp do kary właściwej.

Za nami wszczął się jakiś ruch i odwróciwszy się, zobaczyłem nadjeżdżającego na pięknym siwku mężczyznę otoczonego grupą janczarów. Miał mniej więcej trzydzieści lat, był dobrze zbudowany, urodziwy i zakurzony - wracał widać z porannych łowów. Członkowie jego orszaku trzymali na drążkach zakapturzone, przyuczone do łowów sokoły i jastrzębie. Gdy jeździec się zatrzymał, natychmiast podbiegł doń czarnoskóry niewolnik z wielkim wachlarzem ze strusich piór na długim drzewcu.

Na drugim koniu jechała za nim Aurora Somerset. Jej rozpuszczone włosy opadały na ramiona kaskadą złotych loków, co niektórzy z muzułmanów mogliby uznać za widok wprost nieprzyzwoity. Z lekko rozchylonymi wargami obserwowała bicie Włocha.

- To Karamanli - szepnął Cuvier. - Spójrzcie na szmaragd w jego turbanie!

- Jest dość duży, żeby właściciela nie pomylić w tłumie z nikim innym - przyznałem. - Sam ciężar klejnotu może przyprawić o ból głowy.

- On lubi porządek na targu - stwierdził Dragut. - Ten Sardyńczyk posłuży za przykład.

Basza rzucił ostry rozkaz jednemu ze swoich oficerów, który natychmiast przekazał wiadomość nadzorcy aukcji. Ten skrzywił się na myśl o stracie zarobku, ale wydał polecenie podwładnym. Nieszczęsnego Włocha natychmiast uwolniono z kajdan i na poły przytomnego powleczono na skraj platformy, gdzie przytrzymano go za ramiona, podczas gdy z góry spuszczone ukryty do tej pory w cieniu wielki żelazny hak. Na swoje szczęście biedak był zbyt oszołomiony, żeby przewidzieć, co z nim zrobią.

Wszyscy stęknęliśmy z przerażenia, co oprzytomniło ofiarę i zaraz potem hak wbito nieszczęśnikowi przez plecy tak, że okropnie zakrwawione ostrze wyszło mu brzuchem na podobieństwo gigantycznego haczyka na ryby.

Nieszczęśnik zawył tak, jakby znalazł się w szponach demona.

Gdy podciągano go w górę, szarpał się jak szalony. Krew spływała mu po obnażonych nogach, a potworny ból wyrócił wprost jego oczy białkami na wierzch.

- Na miłość boską! - Moi towarzysze płakali z bezsilnej wściekłości.

Nieszczęśnik zawisnął na wysokości kilku metrów ponad platformą targową. W końcu jego drgawki ustały i zemdłał. Spostrzegłem wtedy, że nie on jeden wisiał w cieniu nad nami. Obok niego wisiały inne trupy, na poły zgniłe i wyschnięte - było to ostrzeżenie dla nas. Pokazywano nam, co się stanie w razie stawiania oporu.

Ta chwila doszczętnie złamała moją wolę. Ucieczka? Ledwo mogłem oddychać.

Spojrzałem na Aurorę i Jussufa. Angielka oblizywała wargi. Władca Trypolisu skwitował wszystko pełnym ponurej satysfakcji skinieniem głowy i dał koniowi ostrogę, ruszając ku bramie pałacowej. Królowa piratów i reszta orszaku podążyła za nim.

- Zwróćmy na siebie jego uwagę! - stęknąłem zdesperowany.

Moi towarzysze nie byli jednak w odpowiednim nastroju do przyciągania uwagi potwora, byliśmy zresztą zbyt obszarpani i anonimowi, by zechciał się przy nas zatrzymać. Ani spojrzawszy, zniknął w cieniu bramy. Aurora też nas zignorowała. Bezsilnych i upokorzonych zostawiono nas swojemu losowi.

A jednak nasz wstyd, gdy oceniano nas i oglądano jak zwierzęta, okazał się niczym wobec tego, co spotykało kobiety. Stare i brzydkie po powierzchownych oględzinach sprzedano szybko do pralni czy piekarni, młode jednak i ładne porozbierano do naga, czemu towarzyszył ryk entuzjazmu tłumu spoconych mężczyzn. Odwracano je i oglądano ze wszystkich stron jak części zastawy stołowej, zapominając o wszelkiej przyzwoitości. Jeżeli proponowana cena nie znajdowała aprobaty, prowadzący aukcję podnosił piersi kobiety albo wtykał jej łaskę między uda, co widzowie kwitowali rykami podniecenia i podbijaniem ceny. Nikt nie zwracał uwagi na płacze i lamenty biedaczek, jedna nawet zsiusiała się ze śmiertelnego strachu: wszystkie oceniano pożądliwie, a potem nabywca odprowadzał zdobycz do swego haremu, gdzie po kąpieli była gwałcona i stawała się źródłem uciechy właściciela. Paliliśmy się do pomszczenia ich hańby, ale co mogliśmy zrobić? Jeżeli niektóre z kobiet płaczem witały swoją przyszłość, niektórych mężczyzn czekał los jeszcze gorszy: zamiast wypełnionych otepiałą nudą dni w haremie mieli przed sobą monotonię suchego chleba,

bezmyślnie wymierzanych kar cielesnych i ciężkiej harówki do całkowitego wyniszczenia organizmu, od której jedynym wybawieniem była śmierć.

Omdlewałam niemal z upału i wściekłości, chwiałałam się na nogach spragnieni i pozbawieni wszelkiej nadziei; mrużąc oczy, usiłowałam ochronić je przed muchami spijającymi nasz pot. W końcu na schody platformy popędzono nasz uczony kwartet. Nabywcy rykami dezaprobaty skwitowali naszą oczywistą nieprzydatność. Nie wykazywałam nawet połowy krzepy czy wytrzymałości zwyczajnego żeglarza. Komu potrzebny niewolnik naukowiec? Prowadzący aukcję jął wzdychać z rozpaczą, aż w końcu spróbował wzbudzić zainteresowanie nami, wykrzykując coś i nawołując śpiewnym głosem. Widzowie, usiłując zbić cenę, odpowiedzieli okrzykami i drwinami. Zaczęto stawiać zakłady, ile tygodni wytrzymamy w kopalniach.

- Jesteśmy wreszcie w piekle - stwierdził Cuvier, który zamknął oczy, by nie patrzeć na tłum. - Nie na Terze, ale tutaj.

- Nie - odezwał się Fulton. - Piekło dopiero się zbliża.

Spojrzelismy tam, gdzie patrzył. Tłum ucichł nagle i rozstał się przed olbrzymem, który odpychał innych, piersią prac nieodparcie niczym słoń. Miał bary jak odrzwia, ogoloną głowę, tors zaś pokryty tatuażami i bliznami. Był osobliwie blady; rzadko widać wychodził na słońce. W jego pomarszczonej twarzy lśniły małe, zwierzęce oczka, które jednak chwilami błyskały złowrogo i przebiegle. Miał dłonie i nadgarstki świadczące o krzepie, z jaką mógłby zginać stalowe sztaby, złamany nos, wargi ciężkie jak u strzępiela i nabrzmiące mięśnie, twarde niczym bilardowe kule. Tłum szybko się przed nim rozstał z pomrukiem strachu i zrobiło się tak cicho, że można było usłyszeć chrobot łańcucha, na

którym niedawno powieszono ociekającego jeszcze krwią i drgającego w agonii Włocha.

- To Omar! - usłyszałem szepty piratów. - Władca Lochów.

- Ma tak paskudny pysk, że nawet mamusia nie mogła go pokochać - mruknąłem.

- Jest zbyt brzydki, by w ogóle ktoś go urodził - poprawił mnie Cuvier. - Podejrzewam, że jak niektóre larwy wyklął się z gówna.

Olbrzym wskazał nas grubym jak lufa pistoletu paluchem i zrozumieliśmy, że jednak zostaliśmy zauważeni.

- Jussuf Karamanli mówi, że mam zabrać tych maluchów.

ROZDZIAŁ 22

Ładownia szebeki Draguta była ciasna, platforma targu niewolników - wstrętna i odrażająca, ale lochy Omara wyglądały nieporównanie gorzej. Te tunele od kilkunastu stuleci wycinali w skałach Kartagińczycy, Rzymianie, barbarzyńscy wizygoci, prowadzący świętą wojnę Arabowie i tureccy najeźdźcy, tworząc labirynt przepelniony rozpaczą rojących się tu jak termyty przez całe pokolenia więźniów i nadzorców. Każdy kolejny tyran dodawał niższy poziom, by jak najdalej od ludzkich oczu i światła trzymać swe zbrodnie i nieprawości. Do tych lochów pod pałacem Jussufa nie zaprowadzono nas i nie wepchnięto do celi, ale zawleczono i ciśnięto do jamy, jaką była wykuta w skale studnia o ścianach ociekających wilgocią i zbyt śliskich, by marzyć o wspinaczce. Jej dno pokrywała głęboka po kostki warstwa błota i odchodów, której obecność natychmiast odczuliśmy, ale nie mogliśmy zobaczyć, bo jedynym światłem był odbłask pochodni gdzieś wysoko nad naszymi głowami. Powietrze w tej jamie cuchnęło dziwną mieszanką woni padliny i prastarych gadów, być może więc trzymano tu niekiedy jakieś zwierzęta. Teraz jednak nie zastaliśmy w niej żadnego stwora, co miało swoje dobre strony, bo bylibyśmy go zabili gołymi dłońmi i pożarli na surowo. Jedyna woda z grubsza zdatna do picia ściekała po ścianach i musieliśmy ją zlizywać jak psy - a pierwszy posiłek dostaliśmy po dwu dniach. Usłyszeliśmy człapanie jakiegoś troglodyty i zobaczyliśmy coś spadającego w dół. Domyślność kazała nam złapać kawał spleśniałego i pełnego robactwa chleba tak wielki, że każdemu z nas wystarczyło zaledwie na trzy kęsy. Robale w chlebie były bardziej pożywne niż mąka, z jakiej go wypieczono.

Każdy z nas pochłoniął swoją część jak wilk, nie zastanawiając się nad jej smakiem. Pograżeni w rozpacz prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, jedynymi więc dźwiękami,

jakie słyszeliśmy, były wrzaski i błagania innych ofiar Jussufa torturowanych gdzieś wyżej. Sam Omar, niezwykle silny i niesamowicie małomówny, cisnął nas do tego lochu bez słowa wyjaśnienia. Wydawało się, że jest nie tyle okrutny, ile obojętny, jakby cierpienia więźniów w ogóle nie docierały do jego zwierzęcego mózgu.

Wszyscy zdążyliśmy się już pochorować. Każdy lekarz wam powie, że człowiek nie zdoła przeżyć w śmierdzącej wilgotnej dziurze, nie wdychając jej wszelkich szkodliwych wyziewów. Od czasu do czasu okrzykami domagaliśmy się pomocy albo przynajmniej wyjaśnień, ale nasze wybuchy po prostu ignorowano. Gdy przyszłość jest niepewna, a teraźniejszość opłakana, czas wlecze się jak leniwy ślimak. Nawet gdybyśmy zechcieli zdradzić nasze narody, nie mielibyśmy po temu okazji. Tak czy owak dla pokrzepienia ducha wszyscy czterej ponawialiśmy przysięgi, że nie zdradzimy sekretu zwierciadła Archimedesesa.

- Lepiej zgnić w tej jamie, niż okryć się niesławą - mruknął ponuro Cuvier.

- Żaden Anglik nie uczyni niczego, co narazi na niebezpieczeństwo brytyjską flotę - dodał Smith.

- I żaden Amerykanin nie zdradzi swojego narodu - stwierdził Fulton.

- Dobrze powiedziane - orzekłem. - Choć nie zaszkodziłaby nam odrobina negocjacji, gdybyśmy później zdołali wydostać się z tej dziury i odpłacić im pięknym za nadobne.

Nikt nie odpowiedział, bo zabrakło nam pomysłów.

Próbowaliśmy stawać sobie na ramionach i dosięgnąć krawędzi, ale nawet stojąc na szczycie tej chwiejnej piramidy, najlżejszy z nas wszystkich Cuvier nie zdołał tego dokonać. Nie mieliśmy żadnej łopaty do usypania stosu piasku, samego piasku też zresztą nie mieliśmy. Krótko mówiąc, nie mieliśmy

żadnej możliwości ucieczki ani okazji do komunikacji ze światem zewnętrznym. Nie chcieli okupu? Dali za wygraną i zaprzestali prób skłonienia nas do ujawnienia sekretu Archimedesesa?

W końcu złamali moją wolę, ale w sposób, jakiego się absolutnie nie spodziewałem.

Czas przestał dla nas istnieć i trwanie w tej dziurze stało się synonimem wieczności. I oto w pewnej chwili usłyszeliśmy łoskot opuszczanego w dół, grubego i pokrytego rdzą łańcucha.

- Wyłaż, Gage! Tylko ty i nikt więcej! - zagrział z góry niskim basem Omar.

- Co się dzieje? - zapytał Cuvier z obudzoną nagle podejrzliwością w głosie.

- Może chcą rozstrzelać mnie pierwszego. - Mogłem sobie wyobrazić znacznie gorsze rzeczy od takiej śmierci... jak na przykład zostanie w tym dole.

- Słyszałem, że oni ścinają głowy - stwierdził Smith. - Aha.

- To szybka śmierć.

- No tak.

- Może chcą cię poddać torturom? - spekulował Cuvier. - Pamiętaj o naszej przysiędze - ostrzegł mnie Fulton. - Nie możemy im pomagać.

- Wy też pamiętajcie, jak usłyszycie moje wrzaski. - Po tych słowach chwyciłem łańcuch, owinałem wokół niego nogi i krzyknąłem w górę, że jestem gotowy. Omar wyciągnął mnie po śliskich ścianach naszej studni. Obracałem się przy tym i wyjechałem na górę usmarowany jak nieboskie stworzenie. Głód i pragnienie osłabiły mnie tak bardzo, że niewiele brakło, a byłbym się puścił i poleciał w dół. Towarzysze bali się o mnie, ale też obserwowali mnie nie bez zazdrości, jakbym unosił się ku jakiemuś błogosławionemu miejscu, gdzie

istnieje jakaś przyszłość zamiast nieskończonej i beznadziejnej teraźniejszości. Wiedziałem, że się mylą.

Władca Lochów wypełniał swoją osobą ciasną celę z jamą pośrodku. Miał pożółkłe zębiska, śmierdzący oddech i grubą jak podeszwy butów skórę na dłoniach. Capnął mnie za kark, uniósł jak szczeniaka, a ja natychmiast zrozumiałem, że każda próba stawienia oporu skończy się złamaniem karku albo urwaniem głowy. Pchnął mnie w głąb kamiennego korytarza.

- Torturami niczego ze mną nie wskóracie - spróbowałem po arabsku.

Drugą ręką palnął mnie jak niedźwiedź, aż zadzwoniło mi w uszach.

- Milcz, piękniśiu. Jeszcze będzie czas na wrzaski. Nie widziałem powodu, by pójść za jego radą.

- Omarze, mam potężnych przyjaciół, którzy mają dość pieniędzy, żeby opłacić nie tylko ucieczkę uczonych, ale i dać ci tyle, że gdy pomożesz nam w ucieczce, będziesz mógł rozpocząć nowe życie.

Zatrzymał się, odsunął mnie na odległość wyciągniętego ramienia i spojrzał z niedowierzaniem spod przymrużonych powiek.

- Popatrz na mnie. Kim innym mógłbym być? - Potem rąbnął mnie plecami o ścianę, aż znów zadudniło mi w głowie i popchnął naprzód. - Mówiłem, żebyś nie gadał. To tylko pogorszy twoją sytuację.

Omar powlókł mnie obok żelaznych machin splamionych krwią i ciężkich drzwi z zakratowanymi okienkami, zza których słychać było szalone śmiechy i jakieś pozbawione sensu mamrotanie. Jak ludzie mogą tworzyć takie miejsca i kto chciałby nimi zarządzać? Potem skęciliśmy w kolejną szczyrzą dziurę i popchnął mnie w dół, po ciasnej spirali, do kolejnego pomieszczenia oświetlonego przez wąską szczelinę wysoko w górze. Pojedyncza smuga światła podkreślała mrok

tej groty, której sklepienie pokrywała warstwa gromadzącej się tu przez dwa tysiąclecia sadzy z dymu pochodni. Pośrodku zobaczyłem dość prymitywny drewniany stół ze skórzanymi obejmami na ręce i nogi. Z boku płonęło palenisko, a nad nim wisiał kipiący garnek, z którego wydobywał się jakiś gryzący smród. W węgle paleniska powtykano żelazne pręty zakończone jakimiś hakami. Moja odwaga, która i przedtem nie była przesadnie wielka, zaczęła maleć.

Rzucono mnie na stół i sprawnie doń przytwierdzono, odsłaniając gardło, brzuch i genitalia na wszelkiego rodzaju diabelstwa, jakie ten tępy potwór zechciałby wymyślić. Nigdy nie czułem się bardziej bezradny! Małeńkie okienko tylko pogarszało moją sytuację, bo przypominało mi o istnieniu zupełnie innego świata poza tymi lochami. Z belki nad moją głową zwisały rozmaite metalowe przyrządy przeznaczone do cięcia, przebijania, miażdżenia i szarpania. Niczego mi jeszcze nie zrobiono, a już gotów byłem zawyć.

- Wkrótce będziesz bardziej rozmowny, niż mógłbyś się spodziewać - odezwał się bezstronnie Omar, jak doktor podgrzewający żar paleniska za pomocą miechów rozniecających snopy iskier. Wsunąwszy na rękę skórzaną rękawicę, podniósł ciężkie żelastwo podobne do pogrzebacza i podszedł z nim do mnie, leżącego bezradnie na tym okropnym stole.

Przez chwilę trzymał rozżarzone żelastwo przed moimi oczami, bym dobrze mógł mu się przyjrzeć.

- Za każdym razem, gdy to robię, uczę się, jak przedłużać ból. Ofiara może przeżyć całe dni. O tak, Omar nie jest już tak niezdarny jak kiedyś. - Stożące nade mną bydlę skinęło głową.
- Zanim skończę z ostatnim z twoich przyjaciół, będzie to trwało tak długo, że się znudzę...

- Na pewno byśmy tego nie chcieli - wystękałem. Miałem gardło suche jak papier i napięte jak struny mięśnie. - Radzę ci, wykończ nas szybko.

- Masz szczęście, że jesteś pierwszy, kiedy jeszcze się uczę. Wypróbujemy różne sposoby zadawania bólu. Taki urodziwy mężczyzna jak ty lubi się przeglądać w zwierciadle, przyniosę więc jakieś po tym, jak cię poprzypalam, żebyś mógł właściwie ocenić szkody, jakich doznała twoja gęba. Oszpecę cię tak, że staniesz się jeszcze brzydszy ode mnie. Twarz pokryją ci ropiejące oparzeliny, ale ja przyniosę larwy, które wyżrą ci zgniliznę. To pozwoli ci żyć trochę dłużej.

- Piękne dzięki za larwy - pisnąłem.

- Powiedziano mi, że się chełpisz zdolnościami zaspokajania kobiet, mam więc narzędzia, za pomocą których zajmę się twoimi genitaliami. Lędźwie są miejscem szczególnie wrażliwym na ból i takim zabiegom zawsze towarzyszą najbardziej donośne wrzaski.

Byłem bliski omdlenia.

- Nie możesz mnie po prostu zabić? Smith czytał, że lubicie obcinać głowy.

Usłyszałem syk, od którego niemal podskoczyłem. Pogrzebacz zanurzył się w wodzie i wrócił do paleniska, by ponownie się rozgrzać. A po co do tego ktoś miałby potrzebować umiejętności Mistrza Oprawców? Obciąć głowę bułatem potrafi byle kto. Tortury to sztuka. Ból udrezonego ciała. Obdzieranie ze skóry.

- Omarze, proszę, zapłacę, ile zechcesz...

Odszedł, by przez chwilę pobrzęczeć narzędziami tortur. Zacisnąłem oczy z całych sił. Słyszałem trzaski węgla i czułem smród dymu. Coś zasyczało niby kwas. Potem nastąpiła chwila długiej ciszy. Spiałem się wewnętrznie, czekając na pierwsze okrucieństwa.

- Oczywiście - odezwał się nagle Omar, jakby ta myśl wpadła mu do głowy dopiero teraz - istnieje jeszcze inna możliwość.

Otworzyłem oczy.

- Co takiego? Jaka!?

- Może jeszcze raz spróbowałbyś rozmówić się z panią.

- Z jaką panią?

- Z królową piratów, Aurorą Somerset. Nagle się spociłem.

- Tak, tak! Porozmawiam z nią samą i z Jussufem! Jesteśmy ludźmi, za których bierze się okup, a nie poddaje się ich torturom! Omarze, proszę, pozwól mi się z nimi zobaczyć. Wyjaśnię, że to wszystko jest nieporozumieniem! Jesteśmy naprawdę cenni!

- A ja myślę, że oni uznają cię za tak samo irytującego natręta jak ja i odeślą tu do mnie, żebym sobie poigrał z tobą po swojemu. No, chyba że twoje odpowiedzi ich naprawdę zadowolą.

- To właśnie ja! Człowiek, który sprawia, że inni są zadowoleni!

- Podczas gdy ty będziesz z nimi rozmawiał, ja pomyślę jeszcze o kilku sposobach zadania mąk twoim przyjaciołom, ot tak, na wypadek gdybyście tam na górze nie osiągnęli porozumienia. Bardzo chciałbym trochę podręczyć twoich kompanów. - Uśmiechnął się do mnie jak zwariowany maniak.

- Nie, nie! Zostaw moich przyjaciół! Daj mi porozmawiać z Aurorą! - Na grzmoty i błyskawice! Byłem gotów zrąbać tę dziewczkę od dziobu po rufę, choćbym miał przy tym zaciskać zęby, byle tylko oderwać się od tego przeklętego stołu! Nie było potrzeby omawiania kwestii starożytnych zwierciadeł, skoro mogłem się odwołać do swojego uroku osobistego...

Nagle do pomieszczenia weszli janczarzy i z moich rozdygotanych członków zdjęto więzy. Czuję się straszliwie umęczony, choć na moim ciele nie powstało nawet zadrapanie. Omar odszedł zająć się jakimś innym nieszczęśnikiem, a trypolitańscy gwardziści podnieśli mnie z niesmakiem i odrazą. Trząsałem się cały. Żaden z nich nie nazwał mnie pięknišem.

- Zrzuć te swoje szmaty, Amerykaninie - rozkazali mi.

Ręce mi dygotały tak, że musieli zrobić to za mnie. Ponownie oblali mnie kilkoma wiadrami wody, częstując mnie takim samym niedbałym prysznicem, jakim mnie potraktowano na okręcie Draguta. Brud spływał ze mnie, aż w końcu zostałem nagi, wymizerowany, drżący, zawstydzony nagością i przerażony tym, co mogli mi jeszcze zrobić.

- Włóż to.

Odziano mnie w niebieskie szarawary i kurtkę bez rękawów odsłaniającą nagą pierś, a na boscie stopy wsunięto mi sandały. Może w końcu będzie mi trzeba przejść na islam! Następnie czterej żołnierze uformowali maleńki oddziałek, otaczając mnie ze wszystkich stron, i ruszyliśmy schodami w górę. Zrozumiałem, że jesteśmy w zamku, i zacząłem zwracać baczniejszą uwagę na otoczenie.

Członkowie mojej eskorty uparcie milczeli. W miarę jak szliśmy, korytarze stawały się coraz jaśniejsze, światło wpadało przez otwory strzelnic i moje nadzieje zaczęły się budzić na nowo, choć jednocześnie nie rosło moje zaniepokojenie. Po co niby Aurora miałaby mnie chcieć ponownie zobaczyć? Na co miałbym przystać, nie zdradzając moich towarzyszy? Dlaczego z tej jamy wyciągnięto mnie właśnie zamiast kogoś bardziej znanego i szanowanego, na przykład Cuviera? Bo byłem najślabszy? Ale szła przede mną sława bohatera spod Akry! Nie mogłem niczego zrozumieć. Coraz lepsze światło w korytarzu kwitowałem mrużeniem

powiek i zaczynałem rozumieć, w jakiej mrocznej, godnej trolla jamie nas trzymano. Byłem wyczerpany, zbity z tropu i zdesperowany.

Otworzono przed nami jakieś wąskie drzwi, takie zaledwie, żebyśmy mogli się przez nie przecisnąć. Korytarz nie był szerszy niż moje rozłożone ramiona i oświetlały go tylko oliwne kaganki. Czyżbyśmy szli jakimś sekretnym przejściem? Dowódca mojej eskorty otworzył z klucza żelazną kratę na jego końcu, a potem zamknął ją za nami. Następnie ruszyliśmy krętymi schodami w górę. Kolejne drewniane tym razem drzwi nie były zaryglowane i w pierwszej chwili pomyślałem, że za nimi znów rozciąga się ciemność. Ale nie - był to po prostu zakrywający je z drugiej strony kobierzec. Odsunięto go na bok i wepchnięto mnie do jakiegoś przedsionka, tym razem tak jasnego, że musiałem zamknąć powieki, by ochronić oczy przed promieniami słońca wpadającymi przez zamknięte drewnianymi kratami okna. Przez chwilę stałem i czekałem, aż mój wzrok przyzwyczai się do nadmiaru światła. Za oknem było błękitne niebo, morze i ten widok przyspieszył bicie mojego serca, bo spałem się wewnątrz, oczekując strzału lub pchnięcia nożem. Czyżby moi prześladowcy przed wysłaniem mnie w wieczne mroki przewrotnie zechcieli mi ukazać perspektywę wolności i urodę świata?

Nie, na razie nie.

W komnacie nie było Aurory. Zamiast niej stanąłem twarzą w twarz z Hamidem Dragutem, naszym zdradzieckim kapitanem. Rozparł się na kanapie w komnacie będącej, jak szybko zrozumiałem, bogato zdobioną salą tronową i opychał się figami. Zobaczywszy owoce, poczułem nagły skurcz w brzuchu. Podłogę zasłano pięknymi dywanami perskimi, a marmurowe ściany pokrywały wyryte w nich arabskie wersety z Koranu. Znajdowało się tu też tronowe krzesło wyścielone

pokrytymi złotogłowie poduszkami, którego nogi, poręcze i oparcie iskrzyły się klejnotami. W jednym rogu komnaty spał lampart na zimnej posadzce, przykuty złotym łańcuchem do marmurowej kolumny.

Za nim ustawiono spiżową klatkę. Zwierzę wyglądało na potężnie znudzone.

Przeniosłem się z piekła do niewielkiego raj.

Dragut zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- Będzie bardzo rozczarowana. Nie wypiękniałeś w tej jamie.

Postarałem się ukryć drżenie w głosie.

- Aurora Somerset zawsze jest niezadowolona. To leży w jej naturze.

- Amerykaninie, nie pozwól, żeby twój niesforny język odebrał ci ostatnią szansę.

Niekiedy nie umiem się powstrzymać, wracała mi zwykła zgryźliwość. I byłem diabło głodny, a on opychał się figami.

- Jak to jest, być niewolnikiem kobiety, jak ty? Spochmurniał.

- Nie jestem niewolnikiem. Wolałbym umrzeć, niż dać się wziąć w niewolę.

- Trypolis to kraj oparty na niewolnictwie. - Odetchnąłem głęboko. - Widziałem to wszystko po drodze z portu. Wszędzie kasty, każdy mężczyzna chyli czoło przed stojącym wyżej, a kobiety spowijacie w czarczafy i ukrywacie jak trędowate. Dragucie, wy nigdy w życiu nie zaznacie smaku wolności.

- Przeciwnie, Monsieur Gage.

W komnacie rozległ się nowy głos i odwróciłem się na pięcie, żeby zobaczyć przybysza. Po przeciwnej stronie sali tronowej otworzyły się drzwi i wkroczył przez nie człowiek, którego widziałem na białym koniu, gdy przejeżdżał obok targu niewolników. Jussuf Karamanli, basza Trypolisu we

własnej osobie. Jak powiedziałem, był urodziwy, dobrze zbudowany, miał miecz u boku, zatknięty za pas sztylet, a jego zachowanie znamionowały swoboda i pewność siebie człowieka urodzonego do tronu. Obok niego szli przybocznicy - jeden czarny, a drugi jasnoskóry. Pas miał usiany diamentami, a jego turban zdobił rubin wielkości ptasiego jaja, dostatecznie wielki, żebym do końca życia mógł opływać w dostatki, gdyby udało mi się jakoś go ukraść. Miał też bezlitosne spojrzenie człowieka, który sprawuje władzę w miejscu pełnym niebezpieczeństw. Gdy opadał na tron, jego janczarowie podcięli mi z tyłu nogi, co rzuciło mnie na kolana. Natychmiast też przygięto mi łeb do podłogi w kornym pokłonie.

- W tym kraju każdy człowiek cieszy się wolnością, znając swoje miejsce i pozycję w życiu, w przeciwieństwie do chaosu waszej demokracji - ciągnął pouczająco Jussuf. - A nasze kobiety są wolne w takim stopniu, jakiego wasze w ogóle nie potrafią sobie wyobrazić. Owszem, ukrywają twarze i sylwetki, ale to znaczy, że mogą chodzić po mieście, gdzie zechcą, i nikt ich nie rozpozna. Znaczy to też, że nie staną się tematem pomówień i złośliwych plotek. Osłonięte kwefami cieszą się wolnością, jakiej nie zaznają Europejki czy Amerykanki. Są paniami swoich domów i w chłodzie wieczoru wychodzą na osłonięte dachy, by rozmawiać i cieszyć się śpiewem w świecie wolnym od natarczywości mężczyzn. Żadna kobieta nie dochowa sekretu pewniej niż muzułmanka, żadna kobieta nie jest bardziej szczęśliwa i nigdzie nie znajdziesz kobiet lepiej chronionych przez mężów. Sam się o tym przekonasz, gdy przywdziejesz turban. Mamy tu harmonię i spokój nieznane w Europie.

Podniosłem głowę.

- Aurora dała mi znakomity przykład.

- Ach... lady Somerset jest... kimś wyjątkowym. I nie jest mużłanką.

- Teraz zresztą nie ma ci niczego do powiedzenia, przynajmniej na razie - stwierdził Dragut. - Poczekamy z tym, aż w tobie i twoich przyjaciółach zaiskrzy wreszcie coś na kształt rozumu. Nie, sprowadziłem cię tutaj, żebyś mógł porozmawiać z kimś zupełnie innym i zobaczyć, czy jednak nie możemy zostać partnerami.

- Nie mamy niczego, co chcielibyście wiedzieć.

- Mówisz o twoich uczonych? Pozwolę sobie w to wątpić.

- Nawet gdybyśmy coś wiedzieli, raczej umrzemy, niż podzielimy się z wami tą wiedzą. Polegam na honorze. - Bywam skłonny do przesady, zwłaszcza jeśli w pobliżu nie masz nikogo, kto by mnie poprawił.

- Naprawdę? - Dragut oblizał palce z figowej słodyczy i nagle jednym skokiem zerwał się na nogi. Zobaczyłem, że za szeroki sukienny pas ma zatknięte pistolety Cuviera. Strażnicy byli podobnie uzbrojeni i gotowi do akcji. Każdy miał dość oręza, by obrabować dyliżans, co znaczyło, że tak naprawdę mi nie ufano. - Szanuję ludzi honoru - stwierdził. - Stuknął palcami w drzwi, przez które wszedł basza. - Zawsze można liczyć na to, że postąpią właściwie.

Usłyszałem odgłos przesuwanego rygla i ciężkie drzwi stanęły otworem. Do komnaty wkroczył blady, tęgi i kompletnie łysy niewolnik. Domyśliłem się, że to eunuch, bo w haremie przebywali tylko kastraci. Wszedł z miną dumną i godną, jakby rangą przewyższał pirackiego kapitana, nie mówiąc o strażnikach przybocznych. Przed Jussufem padł jednak na twarz, dotykając czołem podłogi. Za nim weszła jeszcze jedna osoba - obok eunucha w smudze oślepiającego światła niczym anioł zatrzymała się kolejna postać.

Poczułem, że tracę zmysły, i w oczach stanęły mi łzy.

Była to Astiza, moja utracona egipska kochanka, piękna jak zawsze.

Obok niej, odziany jak maleńki sultan, stał chłopczyk, na oko starszy nieco od dwulatka. Patrzył na mnie z pełną rezerwy ciekawością.

- Witaj, Ethanie - odezwała się Astiza. - Poznaj swojego syna, Horusa.

ROZDZIAŁ 23

Astiza była uderzająco piękna - tak jak ją zapamiętałem. Pół Greczynka, pół Egipcjanka upięła włosy podtrzymywane złotą szpilką. W jej ciemnych, głębokich oczach można było utonąć; lśniły żywą inteligencją, która mogła odstraszać niektórych mężczyzn, ale mnie ogromnie pociągała. Nie była piękna konwencjonalną urodą Aurory Somerset, miała w sobie jednak tysiącrotnie więcej charakteru; zarys jej warg albo czające się w oczach pytania świadczyły o głębokich uczuciach, o jakich Angielka nie miała pojęcia. Astiza potrafiła być twarda jak hartowana stal, miała jednak w sobie też swoistą bezbronność i choć zawsze była gotowa do ucieczki (ta jej niezależność!), potrzebowała kiedyś i mnie; ją samą zdumiewała słabość, jaką żywiła dla mnie, podobnie jak mnie zadziwiła moja tęsknota za jej bliskością. Przyciągaliśmy się jak dwa ładunki elektryczne. Bez słów rozumieliśmy swoje nadzieje i pragnienia w sposób, jakiego nie doświadczyłem z żadną inną kobietą. Stała oto smukła, we wdzięcznej pozie, spowita w najdelikatniejsze, spięte klejnotami tkaniny Arabii i w srebrnych sandałkach wyglądała jak senne marzenie, szczególnie dla człowieka, który niedawno patrzył na wymyślane przez Omara koszmarności i zgrozę zionącą z każdego zakątka jego lochów.

Z tymi wszystkimi zachwytnymi sprawiłem się jednak dość szybko i oczywiście przeniosłem wzrok na stojącego obok niej małego człowieczka. Chłopczyk był nieco niższy, jak się domyślałem, od Czerwonego Gnoma, o którym mi opowiadał Napoleon. Miał podobną do mojej szopę niesfornych kędziorów; podobieństwo było zarazem niepokojące i czarujące. Mój syn! Nie wiedziałem o jego istnieniu. Miał hipnotyzujące oczy Astizy i jej dumną postawę, po mnie zaś odziedziczył chyba buntowniczość i bezpośredniość. Nie krył się za sukniami mojej byłej kochanki, ale patrzył na mnie z

pełną optymizmu czujnością, jaką dzieci stosują wobec nieznanych, ale obiecujących obcych. Mogłem mieć dla niego prezent - albo w ogóle nie było ze mnie pożytku. I niech mnie diabli - berbecę przypominał mnie z twarzy, co zanotowałem z dumą i przyjemnością.

- To mój syn? - zdołałem jakoś wykrakać.

- W paryskim więzieniu Tempie podejrzewałam już, że jestem brzemienna.

- Nie podzieliłaś się ze mną tą dość istotną informacją. - Nie chciałam ci mącić w głowie, głównym naszym celem było powstrzymanie Alessandra Silano i jego zdradzieckich współników z rytu egipskiego. A później, gdy Napoleon darował nam życie... jesteś człowiekiem, któremu przeznaczono iść własną drogą. Wiedziałam, że jeszcze się spotkamy. Nie sądziłam tylko, iż odbędzie się to w takich warunkach i w takiej sytuacji.

- Co ty robisz w Trypolisie? - W głowie kłębiły mi się pytania, miałem zamęt w myślach i zapomniałem już, po co mnie tu przywiedziono. Ja ojcem? Czy, na grzmoty Thora, miałem poślubić tę dziewczynę? Powinienem się cieszyć czy być zakłopotany? Nie mogłem sobie przypomnieć żadnego powiedzonka starego Bena dotyczącego podobnej sytuacji.

- Pojmano mnie, jak ciebie.

- Horus... Co to za imię? - Z tym też nie zapytała mnie o zdanie.

- To imię bardzo szlachetnego egipskiego boga. Wiesz zresztą o tym.

- Myślałem, że nadam synkowi imię Tom, Jack czy coś w tym guście. - Usiłując ogarnąć sytuację, skupiłem się na głupstwach.

- Nie było cię przy mnie i nie mogłam zasięgnąć rady! - Powiedziała to zimnym tonem, jakby w ogóle nie czuła się winna całej tej sytuacji. Ale ja tego nie zaplanowałem,

wszystko stało się wbrew mojej woli! Pragnąłem jej, nadal jej pragnąłem... czy nie tak? Oczywiście, że tak, chciałem przeskoczyć dzielącą nas przepaść, ale dziecko nadało wszystkiemu nowe znaczenie. Każde jej słowo i spojrzenie miały inną wartość i cel.

Dragut i Karamanli obserwowali to wszystko nie bez rozbawienia.

- Jak zostałeś pojmana?

- Porwano mnie w Egipcie. Wróciłam do Dendery, żeby prowadzić tam dalsze badania, i napadli nas beduińscy rabusie. Ethanie, to wszystko, od samego początku, od medalionu Silana, księgi Totha i twojej misji w Ameryce Północnej, to próby odtworzenia przez naszych nieprzyjaciół dawnej potęgi, którą w średniowieczu odkryli templariusze. Oni chcą odzyskać moce bardzo dawnego świata, który poprzedzał to, co znamy, i zapoczątkował naszą własną cywilizację. Sekrety utracone przed tysiącami lat zostaną użyte w złej sprawie.

- To nieprawda - odezwał się Dragut.

- Im dłużej prowadziłam badania w Egipcie, tym dobitniej przekonywałam się o rozległości ich planów i liczyłam na to, że hieroglify w Denderze odsłonią tajemnicę zaginionej historii. Zanim jednak mogłam rozpocząć prace, Horus i ja zostaliśmy porwani. Uprawdzili nas pustynni Beduini i sądziłam, że zostaniemy wykupieni, zamiast tego jednak sprzedano nas na targu niewolników ludziom mającym medaliony z piramidą, wokół której owijał się wąż. Znow ten Apofis! Zabrali nas na wybrzeże, grożąc, że zrobią Horusowi krzywdę, jeżeli spróbuję użyć jakichś czarów. Potem skuto nas łańcuchami, zaprowadzono na pokład korsarskiego okrętu i przywieziono tutaj, gdzie trafiłam do haremu Karamanliego.

- Mój Boże! Czy jesteś nałożnicą? Potrząsnęła głową.

- Nie porwano mnie dla niego. Porwano mnie dla ciebie.

- Dla mnie? - Teraz to już wszystko stało się niezrozumiałe.

- Mam ci przemówić do rozumu, jeżeli nie zechcesz współpracować. Wszystko to zaplanowano wiele miesięcy temu, Ethanie. To dzieło jakiegoś pirackiego kapitana, który uknuł niezrozumiały dla mnie plan. Diabeł w sojuszu z tym tu Hamidem Dragutem.

- Diablica - poprawiłem z ciężkim westchnieniem. - Ten pirat to kobieta.

- Kobieta!

- Mieliśmy... Już się z nią spotkałem. Teraz patrzyła już mniej przychylnie.

- Rozumiem. - W tym momencie niektóre przynajmniej sprawy nagle stały się dla niej jasne; na przykład, dlaczego wciągnięto ją w tę awanturę.

- Zapewniam cię, że to potworna kobieta. - Przełknąłem ślinę. - Zaraza, Inkwizycja i rządy Terroru to w porównaniu z Aurorą Somerset niedzielne szkółki. Rozpytywałem w Paryżu o ciebie, Astizo... naprawdę! Napisałem nawet do Aszrafa... i w ten sposób ja i moi przyjaciele wpakowaliśmy się w tę kabałę. Przybyłem tu, żeby cię odszukać, Astizo. A teraz spotkanie ciebie w tym miejscu... Horus. - Mrugnąłem do chłopczyka. - Powiedzieć, że jestem zaskoczony, to mało.

- Kto to jest? - pisnął chłopak.

- To twój tatuś, mówiłam ci.

- Zostanie już z nami? - Podnosił głos pod koniec każdego pytania i wyglądało na to, że ma spory zasób słów jak na swój wiek, który jak szybko obliczyłem, musi nieco przekraczać dwa latka.

Nie mogłem nie czuć pewnej satysfakcji na widok potomka, ale zaniepokoiło mnie postawione przezeń pytanie. Kochałem Astizę, tak, na pewno, ale założenie rodziny jakoś

się nie mieściło w moich planach. Wszystko działo się za szybko.

- Nie, mój maleńki. On nas uratuje, odchodząc od nas.

- Dokąd?

- Tam, gdzie każą mu iść inni ludzie.

- O czym ty mówisz? - przerwałem jej.

- Jak już powiedziałem, potrzebujemy twojej współpracy, Ethanie Gage - odezwał się Dragut. - Moglibyśmy polecić Omarowi, żeby wyciągnął z ciebie, co wiesz, ale nikt nie może mieć pewności, że informacja wydobyta z kogoś torturami jest prawdziwa. Uważamy, że lepiej będzie, jeżeli dobrowolnie się zgodzisz osiągnąć z nami wspólny cel.

- Wspólny cel?

- Ethanie, to nie jest mój pomysł - zastrzegła się Astiza. - Jestem tak samo bezradna jak ty. A ci fanatycy są równie bezwzględni jak piraci, których zaangażowali.

- Monsieur Gage, masz dwa wyjścia - wyjaśnił Dragut. - Możesz wrócić do lochów, gdzie Omar zajmie się tobą najlepiej jak umie. Sprawi mu to przynajmniej sporą uciechę. Może dowiemy się czegoś użytecznego, a ty pod koniec będziesz kompletnie złamany i popadniesz w szaleństwo. Aurora i ja podążymy za wskazówkami, jakie z ciebie wydobędziemy. Jeżeli zechcesz zakończyć życie w tak bolesny sposób, Astiza stanie się nałożnicą tego, kto zechce zapłacić za nią najwięcej, a twój synek zostanie sprzedany do jakiegoś innego haremu. Są bejowie, którzy lubią małych chłopców i zawsze szukają nowych zdobyczy. Postaramy się, żeby Horus trafił w ich ręce.

- Niby gdzie, mamó?

- Nic nie mów, maleńki.

- Matka i syn zostaną w łóżach nabywców, dopóki jej pan nie znudzi się i nie odeśle Astizy do codziennych posług. Myślę, że Aurora Somerset wymyśli jakiś rodzaj najbardziej

poniżającej pracy. I twoja małeńka rodzina przestanie istnieć... ty skończysz w izbie tortur, Astiza jako pomywaczka, a Horus zostanie eunuchem, kiedy znudzi się jakiemuś pederastie. Twoja odwaga, jeżeli tak zechcesz ją nazwać, zniszczy wszystkich bliskich ci ludzi.

- A co z moimi towarzyszami tam, w dole? - zapytałem zdrewniałymi wargami.

- Nigdy nie opuszczą swojej jamy. Ponieważ wysłał ich Bonaparte, nie będziemy ryzykowali jego gniewu, usiłując ich wykupić. Staramy się nie brać więźniów spośród narodów posiadających potężne floty. Lepiej, żeby twoi towarzysze po prostu zniknęli, niech wszyscy pomyślą, że przepadli na morzu podczas pechowego poszukiwania skarbu pod przewodnictwem Ethana Gage'a, o którym wszyscy wiedzą, że nie można na nim polegać. Ostatnio widziano ich, jak uciekali z Wenecji i... trach!... zniknęli!

- Ty cholerny draniu! Spłoniesz w piekle!

Usłyszawszy to, jeden ze strażników chlasnął mnie batem, co zabolalo jak liźnięcie diablego ogona. Co gorsza, trzask bata przestraszył małego Horusa, który pochlipując cicho, schował twarzyczkę w sukni matki. Moje własne oczy napełniły się łzami, ale pomyślałem, że lepiej niechby mnie diabli wzięli, niżby synek miał usłyszeć moje jęki. Posiadanie rodziny nieoczekiwanie dodaje mężczyźnie sił.

- Drugą możliwością - ciągnął Dragut tak spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło - jest zrobienie tego, czego nasza federacja chciała od samego początku. Na owczej skórze, którą znaleźliście, było coś ważnego, bo przepadła gdzieś, gdyśmy was wyciągnęli z mojej ładowni. Znaleźliście jakieś wskazówki, Gage, a potem je zniszczyliście. Nie próbuj zaprzeczać.

- Nic więcej niż nazwę miasta, którą i tak mogliście odgadnąć.

- Syrakuzy?

Kiwnąłem głową, jakby rzecz nie miała znaczenia.

- Miasto, w którym żył Archimedes.

- Ale potem zniszczyliście dokument? Jak to zrobiliście?

- Zjedliśmy go. Uśmiechnął się.

- Co oznacza, że było na nim coś więcej niż tylko nazwa miasta. Zaprowadź nas do zwierciadła Archimedesesa, Ethanie Gage, a uratujesz siebie i swoją rodzinę. Astiza i jej synek, jeżeli zechcą, wrócą do Egiptu i nigdy już nikt ich nie będzie nękał.

- A moi towarzysze?

- Jeszcze dziś przed wieczorem zostaną uwolnieni i wsadzeni na statek płynący do Francji. Nie będziesz się musiał z nimi spotykać i nie dowiedzą się, jaki zawarłeś z nami pakt. Ich koszmar stanie się przygodą, którą się będą chełpili do końca życia. Napoleon prawdopodobnie nagrodzi ich za dzielność i podziękuje Jussufowi Karamanliemu za okazaną wspaniałomyślność.

- A co będzie ze mną?

- Dokonasz wyboru i będzie to prawdziwy wybór, nie taki, do którego ktokolwiek będzie cię zmuszał czy kusił. Jeżeli zwierciadło okaże swą moc i będzie działało, będziesz miał sposobność przyłączyć się do sojuszu, który dąży do odtworzenia potęgi i magii, jakich szukali templariusze, i rządzenia światem dla jego dobra. Zapewniam cię, że loża rytu egipskiego potrafi lepiej pokierować losami tej planety niż zachłanni książęta i wodzowie armii, którzy rządzą nią teraz. Zapamiętaj, co mówię: ludzie tacy jak Bonaparte tworzą wyłącznie chaos! Zwierciadło uczyni Trypolis niedostępnym dla wszystkich flot i armii największych nawet państw i pod jego osłoną zbudujemy nową utopię.

- Taką, jaką widziałem na malowidłach pod Akrotiri - mruknąłem.

- Co mówisz?

- Nic. Wspominam coś, co kiedyś widziałem.

- Albo możesz odrzucić okazję do przetworzenia świata, wracając do dawnego i zepsutego, gdzie zostaniesz uznany za zdrajcę ojczyzny i wszystkich cywilizowanych krajów. Staniesz się przedmiotem pogardy i stracisz wszystkich przyjaciół. Najlepsze, na co możesz liczyć, to nędza wygnania z Astizą w Egipcie. Gdy znajdziemy zwierciadło, nie będę już dbał o to, co wybierzesz.

Na brodę Salomona, co za sytuacja! Skazać nieznanego mi dotąd synka na niewolnictwo i gwałt, zniszczyć życie nie tylko moje, ale i Astizy oraz trzech przyjaciół, albo zdradzić mój kraj toczący wojnę z Trypolisem. Nie mogłem sobie przypomnieć, żeby stary Ben miał jakąś radę dotyczącą podobnych tarapatów, poza uwagą, że patrioci wiszą oddzielnie, jeżeli nie wieszają się ich razem.

Jussuf jakby czytał w moich myślach.

- Nie pochlebiaj sobie, sądząc, Monsieur Gage, że w twoich dłoniach spoczywają klucze zwycięstwa albo klęski - odezwał się basza. - To, czego szukamy, znajdziemy tak czy inaczej, zapewnili mnie o tym przedstawiciele loży egipskiej. Przyspieszysz tylko bieg wydarzeń i uratujesz swoją rodzinę. Jeżeli twój naród istotnie widziałby możliwość zwycięstwa w wojnie ze mną, to dlaczego wasze okręty miałyby się ukrywać na Malcie?

Istotnie, dlaczego? Gdzież, u diabła, podziewał się ten niekompetentny komandor, Richard Valentine Morris?

- Pogodzenie się z losem i zaakceptowanie ideałów rytu egipskiego nie jest zdradą - dodał Dragut.

Teraz zrozumiałem, dlaczego Aurora potraktowała mnie na morzu z tą dziwną cierpliwością. Wszystko to zostało zaplanowane od początku, żebym ratując synka, zdradził Stany Zjednoczone. Targ niewolników, piekielna jama, izba

tortur - wszystko miało mnie zmiękczyć i przygotować na przyjęcie tej obrzydliwej propozycji. Wyczuli, że wiem więcej, niż im powiedziałem, i dali mi wybór, którego nie mogłem odrzucić.

Na domiar wszystkiego czułem się winny; naraziłem na niebezpieczeństwo kobietę, którą kochałem, i jej (nasze) dziecko. Gdybym nie był wierny jak pchła i gdybym nie związał się w Ameryce z Aurorą Somerset, nie nękałaby nas teraz. Nie porwano by Astizy i nikt nie proponowałby mi tego diabelskiego układu. „Uroda i głupota to starzy towarzysze” - powiedział kiedyś Ben Franklin.

Cóż, piraci na razie byli jednak dalecy od zawładnięcia promieniem śmierci i jedyną możliwością była gra na zwłokę. Jeżeli się nie zgodzę, będziemy wszyscy zgubieni, ale co się stanie, jeżeli przyjmę ich propozycję? Może szczęście ponownie się do mnie uśmiechnie? Ostatecznie jestem hazardzistą i graczem. Zacząłem fantazjować o zwróceniu promienia śmierci przeciwko wrogom.

- Mam jedynie niejasne wskazówki. Nie jestem dobry w rozwiązywaniu zagadek.

- Ale możesz nam pomóc, nieprawdaż?

- Owszem. Co miałbym zrobić?

- Znajdź dla nas zwierciadło.

- A co z Astizą i Horusem?

- Zostaną uwolnieni, jak ci obiecaliśmy. Ale nie wcześniej, nim broń znajdzie się w Trypolisie. Do tego czasu Astiza pozostanie uwięziona w haremie.

- A skąd mam wziąć pewność, że dotrzymacie słowa, jeśli wam pomogę?

- Z pałacowych okien zobaczysz, jak twoi uczeni przyjaciele jeszcze dziś przed wieczorem zostaną odprowadzeni na jakiś obcy, płynący do Francji statek. Spełnimy pierwszą część obietnicy, zanim ty będziesz musiał

dotrzymać swojej. My, członkowie loży egipskiej, jesteśmy ludźmi honoru, choć ty w to nie chcesz uwierzyć.

- A Horus będzie bezpieczny?

- Mam nadzieję, że tak, choć to zależy od ciebie. Twój syn pojedzie na poszukiwania skarbu wraz z tobą, żebyśmy mieli pewność, że będziesz lojalny.

- Horus ze mną? Ależ ja nie mam pojęcia o wychowywaniu i pielęgnacji dzieci! Astizo?

Spuściła wzrok.

- Ethanie, to wszystko nie podoba mi się bardziej niż tobie. Nie chcę, by odebrano mi synka, i nie ufam jego ojcu. Jeszcze nie. Nie po tym, jak się dowiedziałam, że wszystko zapoczątkował twój romans z tą kobietą. Ale nie mam wyboru. My nie mamy wyboru.

Nie podchodziła do sprawy z entuzjazmem, ale czyż mogłem ją winić?

I oto do komnaty weszła Aurora Somerset w swoich marynarskich trzewikach i kurtce z kordelasem u pasa.

- Nie musicie się trapić, bo ja będę matką temu chłopcu.

Obok niej, łyskając żółtymi ślepiami i śliniąc się obficie, szedł jej czarny pies, Sokar. Na widok tej bestii lampart gniewnie syknął.

Aurora zaś uśmiechnęła się do Astizy, pragnąc ją rozjuszyc.

Dziwna rzecz, ale poruszyła mnie nie drwina Aurory. Po prostu jej arogancja przypomniła mi, co jest moją powinnością i wobec której kobiety mam zobowiązania. Pojąłem, jak rozpaczliwa jest sytuacja Astizy zmuszonej do zaufania mężczyźnie, który wcale na to nie zasłużył. Na Izydę, kochałem przecież matkę mojego syna, kochałem ją z pasją, która obudziła dawne uczucia, i zrozumiałem, że albo Astizę uratuję, albo zginę, próbując tego.

- Pierwej zjesz diabła - powiedziałem Aurorze Somerset. - Tu jest jego matka, a ja jestem jego ojcem. Obiecuję, że sam się zaopiekuję moim synkiem.

Astiza kiwnęła głową, tak samo bojaźliwie jak zawsze. Podniosła chłopczyka i podeszła do mnie. Maleńki Horus obejmował ją jak wiewiórka. Patrzył na nas niespokojnie i podejrzliwie, co było kolejnym dowodem jego niezwyklej inteligencji. Gdy moja dawna kochanka nachyliła się ku mnie, owionęły mnie jej zapachy - akacji i lotosu. Poczulem ukłucia iskier z jej włosów i wyciągnąłem ręce, by wziąć synka.

Włożyła Horusa w moje ramiona.

- Ethanie, wszystko jest przeznaczeniem - szepnęła. - Przeznaczeniem i determinacją - poprawiłem ją.

Chłopiec odsunął się ode mnie ku matce. Bał się mnie tak samo jak ja jego. - Jednak niełatwo mi będzie nazywać go Horusem. Mogę mu mówić „Mały Harry”? Nie sprzeciwisz się, prawda?

- Kochaj go tak jak mnie.

Gdy eunuch odprowadził Astizę w głąb haremu, mój synek się rozpłakał.

ROZDZIAŁ 24

Wielokrotnie w życiu bywałem przerażony. Uwięziono mnie w pułapce labiryntu pod Wielką Piramidą, wisiałem do góry nogami nad pełną węży jamą pod Jaffą, przywiązano mnie do pala pośrodku baterii fajerwerków w Mortefontaine i zmuszono do ścigania się z Indianami na brzegu Jeziora Górnego. Niewiele jednak doświadczeń wpędziło mnie w taki rozstrój nerwowy jak zadanie roztoczenia opieki nad dwuletnim synem, o którego istnieniu dotąd nawet nie wiedziałem.

Absolutnie wbrew mojej woli nagle spadły na mnie obowiązki ojcowskie! Oczywiście byłem świadom takiej możliwości, gdy brałem jakąś dziewczkę do łóżka, ale zawsze jakoś uciekało to mojej uwadze w takim właśnie momencie. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co robić z dzieckiem. Co gorsza, miałem świadomość, że spłodziłem bastarda i jeżeli nie znajdę sposobu na poprawienie kondycji dziecka, będzie musiał spędzić życie z piętnem nieprawego pochodzenia - oczywiście, jeśli uda mu się uniknąć gwałtu i zniewolenia. W istocie z mojego powodu chłopak wpadł w łapy bandy na poły szalonych berberyjskich piratów, którzy chcieli pobić flotę mojego kraju za pomocą urządzenia sprzed dwu tysięcy lat. Jedyną dobrą stroną tego wszystkiego było to, że istotnie mogłem popatrzeć na uwolnienie Cuviera, Smitha i Fultona, którzy niewątpliwie musieli się zastanawiać, jaki to feralny układ zawarłem, żeby mogli opuścić tę jamę. Odpłynęli tej samej nocy, podczas której spotkałem Astizę. Następnego ranka Dragut, Aurora, maleńki Horus i ja wyruszyliśmy na morze. Astiza i mój synek gorzko płakali.

Liczyłem na to, że będzie mi dane spędzić chwilkę czasu z moją egipską kochanką, ale gdy tylko zawarłem ten diabelski układ, nasza audiencja się skończyła. Po tym, jak nas rozdzielono, dotarło do mnie, że mogłem powiedzieć coś

więcej, niż tylko zadać kilka głupich pytań, ale pojawienie się Astizy z synkiem wprawiło mnie w taką kontuzję, że zdołałem zaledwie wybąkać kilka słów. Nawet zwykłe „Kocham cię!” byłoby lepsze, ale jakże często wypowiadamy słowa bez znaczenia w sytuacjach, które wymagałyby większej elokwencji! Widziałem, że ponieważ nie mam żadnych życiowych doświadczeń w roli ojca, Astizie nie podoba się nasz układ, wiedziała jednak, iż alternatywa była jeszcze gorsza. Ja przynajmniej nie zamierzałem krzywdzić chłopca.

Nie można było tego powiedzieć o nikim innym. Gdy wchodziliśmy na pokład okrętu Aurory, niektórzy z członków załogi zaczęli mrużyć, że wzięcie chłopczyka w taki rejs przyniesie nam pecha. Ogromne czarne bydlę, mastyf Aurory, powarkiwał basem, jakby badał naszą przydatność jako posiłku, a gdy Horus przyłgnął ze strachem do mojej nogi, Sokar szczeknął głośno, wywołując okrzyk przestachu u dziecka.

- Przekleństwo! Czy musimy brać w rejs twojego psa? Chłopczyk będzie miał koszmarne sny!

- Sokar zabija tylko na mój rozkaz. Twojemu szczeniakowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

O tak, wiedziałem, że Aurorę Somerset przepelniają macierzyńskie instynkty. Zrozumiałem, że ona jest tylko brutalną kobietą uwielbiającą straszyć ludzi kłami swojego czarnego potwora czy bandą piratów; nieobce jej są też najrozmaitsze wynaturzone seksualne skłonności do upokarzania i dominacji. Jak wszyscy brutale szukała ofiar słabych, bezbronnych jak dwuletni chłopczyk albo jego - tak, przyznaję - chwilowo bezsilny ojciec. Byłem ofiarą jej seksualnego uroku i dawałem jej posmak dominacji, którą płaciłem za wszystko poprzednie. Ponownie chciała mną rządzić. Pod wpływem nauk arystokratycznego ojca i zepsutego, przewrotnego brata bardzo wcześnie straciła

zdolność do miłości lub nawiązywania normalnych stosunków międzyludzkich i zalecała swoje rany, sycąc się słabościami innych. Ta świadomość zresztą wcale nie skłaniała mnie do jakiegokolwiek litowania się nad wiedźmą.

- Sprowadziłam też strażnika dla Horusa na czas, gdy będziemy zajęci - oświadczyła tonem, jakiego wytworne damy używają podczas konnej przejażdżki po Hyde Parku.

Usłyszałem stukanie i odwróciwszy się, zobaczyłem wychodzącego z jej kabiny jednonogiego człowieka, którego w pierwszej chwili wziąłem za zwykłego śródziemnomorskiego rzezimieszka: był ogolony na łyso, policzek i wargę przecinała mu blizna, patrzył też na mnie z morderczym błyskiem w oku, charakterystycznym dla oberżystów, oszukanych wierzyteli i porzuconych kochanek. Ale było coś znajomego w jego sylwetce i spojrzeniu. Kimże był ten przewrotny sojusznik Aurory?

I nagle mnie olśniło.

- Ozyrys?

Owszem, był to mój miłośnik zagadek z burdelu Madame Marguerite w Palais Royal, opalony bardziej śródziemnomorskim słońcem i nieokazujący żadnej satysfakcji z tego powodu. Spojrzałem na jego nogę. Stukot pochodził od protezy; drab stracił stopę, po której przejechało koło paryskiego beczkowitzu. Okaleczenie nadawało dodatkowy koloryt jego postaci, choć wątpię, by go cieszyło.

- Powiedziałem ci, Gage, że czeka nas wspólna podróż. Ale tobie się spieszyło.

- Myślę, że to raczej ty zwlekałeś... Zaraz, czy ty przypadkiem nie wpadłeś pod beczkowóz?

- Przypadki mogą się zdarzyć każdemu - warknął. Uzupełnił ubytek przednich zębów czymś, co przekształciło je w ostre kły.

Przed wejściem na pokład powinienem był sprawdzić listę pasażerów.

- Nie zamierzam cię zniechęcić, Ozyrysie, ale nie wiem, czy będziemy jakoś mogli współpracować. Spójrz tylko na swoją twarz i nogę.

- Ethanie Gage, nikt nie może liczyć na to, że los zawsze będzie mu sprzyjał. Teraz jesteś nasz i będziesz robił, co ci każemy. Tak samo jak twój szczeniak.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy przetrzymywanymi wbrew ich woli zakładnikami.

- Podejrzewam, że jesteś skłonny poddać się z entuzjazmem objawieniom mojego bractwa.

- Rytu egipskiego? Masz na myśli degenerację i zepsucie?

- Wielokrotnie już mogliśmy cię zabić, ale powstrzymywało nas miłosierdzie. Teraz twoje życie może się zasadniczo zmienić. Odrzucasz tę możliwość? Niech i tak będzie. - Uśmiechnął się tak, jak mógłby się uśmiechać nietoperz krwiopijca. - Jeżeli ojciec odmawia ponownych narodzin, zawsze można doprowadzić do inicjacji chłopca.

- Mam dość kłopotów z obecnym życiem. Nie wiem, czy jestem gotów do ponownych narodzin. To niełatwa decyzja, nie sądzisz?

- Nie pozwól, byśmy się ponownie rozczarowali w stosunku do ciebie. Gdy piłowano mi moją okaleczoną stopę, miewałem rozmaite wizje tego, co mógłbym ci zrobić. Lepiej mnie nie kuś.

- A ty się trzymaj z dala od Horusa, bo inaczej piła polize twoją drugą kostkę.

- Śmiało gadasz, jak na człowieka bezbronnego i pozbawionego przyjaciół.

- Moi przyjaciele mogą być bliżej, niż sądzisz. - Było to oczywiście bzdurą, ponieważ moi trzej towarzysze byli już w połowie drogi do Francji, amerykańska flota równie dobrze

mogła się znajdować w Chinach, ale zawsze instynktownie na bezczelność i arogancję reagowałem chełpliwością. Najczęściej popełniałem błąd.

- Jakoś ich nie widzę. A któregoś dnia, gdy nie będziesz już nikomu potrzebny, porozmawiamy i o naszych sprawach. - Prychnął gniewnie i odszedł, utykając, co nieszczególnie wzmocniło jego groźbę. Pomyślałem jednak, iż dobrze byłoby mieć rapier albo moją rusznicę; przyszło mi do głowy, że może znajdują się w kabinie Aurory.

Nie było dziwne, że Horus mówił po arabsku z dodatkiem niezbyt licznych angielskich słów, których nauczyła go Astiza. Pracując nad poszerzeniem słownictwa dzieciaka, zastanawiałem się, czy Astiza mówiła chłopcu cokolwiek o dalekim tatusiu.

- Gdzie jest mama? - zapytał, gdy lawirowaliśmy wśród otaczających Trypolis raf i braliśmy kurs na sycylijskie Syrakuzy.

- Cóż, Harry, powiedziała, że powinienem cię zabrać na morską wycieczkę. Poznamy się lepiej i wrócimy razem do Egiptu.

- Chcę do mamy!

- Niedługo ją zobaczysz. Ale wiesz co? Bycie piratem może się okazać zabawne.

- Mama!

I tak zaczęliśmy się poznawać. Kiedy malec się rozplakał, Dragut zagroził, że wrzuci nas do ładowni, jak szkraba nie ucieszę, wziąłem więc chłopczyka na dziób i uspokoiłem, pokazując mu lekkie liny, którymi mógł się bawić. Wkrótce zajął się zakładaniem pętli na moje ręce i nogi. Dość szybko związał mnie jak barana i ogromnie go ucieszyła ta sztuczka. Gdy tak się bawiliśmy na pokładzie tnącego fale żaglowca, spostrzegłem, że Aurora bacznie nas obserwuje przez uchylone drzwi swojej kabiny, i po czułem zimny, znany mi

dreszcz. Nawet jeżeli starożytna broń wciąż jeszcze istniała, jeśli w ogóle istniała, w co mocno wątpiłem, podejrzewałem, że nasza umowa nie wygląda tak prosto, jak to przedstawił Dragut. Aurora mogła wprowadzić do niej swoje poprawki. Im bardziej usiłowałem zniknąć z pola widzenia łotrów z rytu egipskiego, tym głębiej pakowałem się w ich sprawy. Im usilniej unikałem Aurory Somerset, tym bardziej była zdecydowana uczynić ze mnie swego współnika. Zostaliśmy - co zauważyłem już w Ameryce po tym, jak zraniłem jej brata - poślubieni sobie w nienawiści.

Choć oszołomiony i zaniepokojony perspektywami opiekowania się dzieckiem, odkryłem, że Harry ma godną podziwu praktyczność i trzeźwość sądów. Bywał w dość łatwej do przewidzenia kolejności głodny, śpiący i znudzony. Zajmowanie się tymi potrzebami stało się pierwszą z moich powinności. Miał zwyczaj ucinania sobie drzemki podczas dnia, ale bywał też skłonny do budzenia się w nocy; włąził wtedy do mojego hamaka, szukając pocieszenia. Na początku to mnie irytowało, ale potem odkryłem, że znajduję w tym osobliwą przyjemność i zadowolenie. Sypiał lepiej ode mnie, przyjmując zmianę otoczenia z dziecięcą obojętnością, choć zachował nawyk pytania o matkę. W kwestii pożywienia dość jasno określił swoje upodobania. Chętnie jadał chleb, daktyle i owoce, jakie mu przynosiłem, nie lubił jednak oliwek, ciecierzycy i marynowanych ryb. Na szczęście Astiza dawno już odstawiła go od piersi i nauczyła korzystać z toalety, choć niełatwo mi było skłonić go do korzystania z okrętowego wiadra jako małego nocniczka. Z pełną entuzjazmu ciekawością chodził za piratami na dziób, do wyciętego w desce otworu, i z ciekawością naukowca patrzył, jak robią swoje ponad kołyszącymi się falami. Czynności związane z cielesnością człowieka ogromnie go fascynowały i musiałem poświęcić sporo czasu na lekcje dotyczące ubikacji, latryn,

publicznych toalet, klopotów, wiader, nocników i ścian oberży. Z ogromną dumą opanował siadanie na swoim wiadrze, a ja gotów jestem przyznać, iż jest to czynność bardzo użyteczna, choć większość ludzi nie byłaby skłonna się z tym zgodzić.

Opiekowanie się nim i strzeżenie przed nieszczęśliwymi wypadkami było najtrudniejszym zadaniem, bo musiałem trzymać go z daleka od nadburcia, wyblinek, dział i przelatujących nad pokładem bomów, a także od fałów mających skłonności do miażdżenia palców.

Psa unikał sam z własnego wyboru.

Na szczęście niektórzy z piratów, po okresie początkowej rezerwy, uznali go za coś w rodzaju pokładowej maskotki. Zabawiali się, ucząc go prostych gier zręcznościowych. Odkryłem, że potrafi na przykład przez godzinę lub dwie bawić się kulami do muszkietu, uderzając w nie nagłą. Nauczyłem go też prostej gry w kości, której celem było przeskoczenie tylu desek na pokładzie, ile oczek wskazywała wyrzucona kość - i zawsze pozwalałem mu wygrywać. Byłem dziwnie dumny i zarazem strapiony, widząc, że odziedziczył po mnie skłonności do hazardu.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał mnie pewnego dnia.

- Właściwie to w wielu miejscach.

- Tam gdzie mama? - To było jego ulubione pytanie. - Spotkałem twoją mamę w Egipcie - powiedziałem mu. - Pomagała pewnemu człowiekowi, który miał mnie zastrzelić, ale potem jakby wziąłem ją do niewoli i w końcu się pogodziliśmy. Ona jest bardzo mądra.

- Mówi, że ty jesteś dzielny.

- Naprawdę? - Choć Harry nie mógł znać za dobrze znaczenia słowa „dzielny”, ta pochwała wydeła mi pierś większą dumą, niż gdyby przypięto do niej ustanowiony niedawno przez Napoleona order Legii Honorowej. - Ja bym raczej powiedział, że jestem pomysłowy i niekiedy bywam

zdeteminowany. O wiele trudniej jest być mamą, Harry. Bycie mamą to prawdziwe poświęcenie.

- Tata też!

- No tak. Sądzę, że powinienem być z wami i pewnie byłbym, gdybym wiedział o twoim istnieniu. Ale mój prawdziwy dom jest za morzem, w Ameryce, pojechałem więc tam z wizytą. Wiesz, szukałem kudłatych słoni. Widziałeś kiedyś słonia? - Spróbowałem pokazać chłopcu, jak wygląda to zwierzę, wykorzystując ramię zamiast trąby.

- Z zamku! Stratował człowieka!

- Mój Boże! To był wypadek?

- Mama nie pozwoliła mi się przyglądać.

- No cóż, to nas uczy, że powinniśmy zachować ostrożność, prawda? Jeżeli popadniemy w jakieś tarapaty, zniosę cię do ładowni i ukryję między zapasowymi żaglami. I masz tam bezwarunkowo zostać, słyszysz? Przyjdę po ciebie dopiero, gdy będzie to już bezpieczne.

- Jakie tarapaty?

- No, jakieś nieprzyjemności. Choć nie sądzą, żeby do tego doszło.

- Jestem piratem?

- Myślę, że tak, Harry. Jesteś małym piratem, bo znajdujemy się na pokładzie pirackiego okrętu.

- Kim jest ta ładna pani? - Wskazał rączką Aurorę.

- Ona też należy do piratów i to takich, od jakich lepiej trzymać się z daleka. Nie jest miłą panią, jak twoja mama.

- Dała mi cukierek.

- Naprawdę? - Ten mały przejaw łaskawości trochę mnie zaskoczył. Nie życzyłem sobie, by Aurora zaprzyjaźniła się z moim synkiem. - Jak będziesz głodny, przychodź do tatusia.

- Pies jest niedobry. I ten kulas też jest niedobry.

- Pamiętaj, w razie czego kryj się wśród zapasowych żagli.

ROZDZIAŁ 25

Liczyłem po trosze na to, że ponieważ na kursie mieliśmy Malte, w drodze do Syrakuz natkniemy się na jakąś amerykańską fregatę, ale nigdzie nie zobaczyłem naszej flagi. Jeżeli Morris prowadził wojnę, to w dziwny sposób. Obok zajętej przez Brytyjczyków wyspy przepłynęliśmy jak na regatach i ruszyliśmy do Syrakuz, starego miasta na sycylijskim brzegu, które było oblegane przez Ateńczyków, Rzymian, Wandalów, Gotów, bizantyjczyków, Arabów, Normanów, Germanów, Hiszpanów i wszystkich innych, którzy byli w pobliżu. Założono je ponad siedemset lat przed Chrystusem, mniej więcej w tym samym czasie co Rzym, a obecnie pod osłoną dział floty brytyjskiej rządził nim z Neapolu król Ferdynand z dynastii Burbonów. Krótko mówiąc, Syrakuzy bywały tak często oblegane, łupione, okupowane, podbijane i wyzwalane, że nie bardzo chciało mi się wierzyć, iż zostało tam coś więcej niż kupa gruzów. Przy odrobinie szczęścia mieliśmy tam trochę pomyszkować, przekonać się, że wszystko było mitem, po czym Aurora z własnej inicjatywy raczy nas uwolnić.

Wiedziałem oczywiście, że to mrzonki.

Stare Syrakuzy zbudowano na podłużnej wyspie połączonej ze stałym lądem przez mosty. Nad oddalonym od miasta cyplem góruje stary fort zwany Castello Maniace, którego działa zagrażają każdemu statkowi usiłującemu wejść do portu lub go opuścić. Tę właśnie wyspę, zwaną Ortygią, wzięliśmy za wąską zatokę na palimpseście.

Na jej południowej stronie jest spory port, drugi mniejszy wzniesiono od północy, na stałym zaś lądzie obecnie pobudowano miasto; wille pną się na okoliczne wzgórza, zajmując klinowaty kawał lądu, który kończy się płaskowyżem Epipoli. Jest to idealnie, centralnie położone miejsce na miasto i starożytni Grecy zbudowali niemal

trzydziestokilometrowe mury (dawno już rozebrane przez okolicznych kmiotków i przedsiębiorców), wewnątrz których zamknęli przedmieścia i okoliczne posiadłości.

Obecnie, w roku 1802, budynki na Ortygii to dwu i trzypiętrowe ceglane domki o barwie miodu, pokryte czerwonymi dachówkami, nad starym miastem zaś dominują wieżyczki i kopuły dawnej katedry zwanej Duomo. Syrakuzy są bardziej barwne niż muzułmański Trypolis, bardziej kapryśne i mają więcej uroku. Przy portowych pomostach kołyszą się jasnoniebieskie rybackie łodzie, malowane tynki domów mają odcienie żółci i różu, a drewniane okiennice wabia zielonią, białą, błękitem i fioletem. Żelazne kraty balkonów chronią panny przed upadkiem podczas podlewania kwiatów i pozwalają im przybierać romantyczne pozy nad ulicami pełnymi karet, osłów, napuszonych kawalerów, wiejskich wozów i eleganckich powozów.

Wszystko to oglądałem, udając angielskiego turystę, sir Ethana Gage'a, któremu towarzyszyła kuzynka, lady Aurora Somerset. Oboje na tę okazję wdzialiśmy europejskie kostiumy wybrane ze strojów, z jakich ograbili swoich więźniów berberyjscy piraci. Powiedzieć, że obudziło to we mnie wspomnienia kazirodzkiego związku Aurory z Cecilem Somersetem, to za mało i cała ta przebieranka była mi wstrętą. Aurora świetnie się przy tym bawiła. Udawaliśmy parę, ponieważ nasz korsarski okręcik nie bardzo mógł tak po prostu zjawić się w porcie, przewieziono nas więc szalupą na brzeg pobliskiej zatoczki. Przedtem piraci Draguta spenetrowali stary grecki fort zwany Euryalus i wrócili z meldunkiem, że nie znaleźli zwierciadła, ale ruiny świetnie się nadają do „niezbędnych spotkań”.

- Jakich spotkań? - zapytałem.

- Jeżeli znajdziemy zwierciadło, będziemy musieli poszukać pomocy, by je przewieźć i rozebrać na części -

stwierdził kapitan. - Wpierw jednak trzeba je znaleźć, gdzieś w mieście albo okolicy. Dobrze mówię?

- Zrobię, co będę mógł.

- Ze względu na twojego synka mam nadzieję, że mówisz prawdę.

- Założmy, że je znajdziemy. Jak mamy je zabrać, nie alarmując połowy Sycylii? W razie czego działa z Castello Maniace zdmuchną nasz okręt z powierzchni morza.

- To interesujący problem, który też powinieneś wziąć pod uwagę, jeśli chcesz uratować swojego synka. Pamiętaj, Ethanie, twój los jest naszym losem.

Aurora wynajęła karoce, którą z fasonem zajechaliśmy do Syrakuz, wszyscy udając turystów korzystających z błogosławieństw chwilowego pokoju w Europie. Harry był moim synkiem, a w razie gdyby ktoś zapytał, miałem się przedstawiać jako wdowiec. Ozyrys był naszym „sługą”; kulas beznamiętnie obiecał mi, że skrzywdzi Harry'ego, jeżeli wyrażę złą opinię lub nie dość dobrze odegram swoją rolę w całym szachrajstwie. Dragut przyjął na siebie rolę służącego i ochroniarza Aurory, w razie gdyby przyszła mi chętka ją udusić. Na całe szczęście potrzeba udawania grupki domowników kazała zostawić zaślinioną czarną bestię na pokładzie. Liczyłem na to, że do naszego powrotu Sokar udławi się kością udową któregoś z piratów.

Mieliśmy przeszukać miasto, by znaleźć jakieś wskazówki, a potem się spotkać z pozostałymi piratami w Euryalus, co po grecku znaczy „główka ćwieka”. Rzymianie zdobyli ten forcik, o którym powiadano, że zaprojektował go sam Archimedes, w rekordowo krótkim czasie, co kazało mi zwątpić w istnienie tych legendarnych zwierciadeł. Ale w takim razie jak należałoby objaśnić malowidła na ścianach pod Akrotiri?

Stare greckie Syrakuzy dawno już zniknęły pod nowszymi włoskimi budowlami i niewiele znaleźliśmy śladów Ortygii, po której uliczkach przechadzał się Archimedes. Ale jeden element ciągłości pozostał wbudowany w miejską katedrę na centralnym placu. Duomo miało barokową fasadę wzniesioną po jednym z trzęsień ziemi, które nawiedzały Sycylię, ale w jego boczne ściany wstawiono kolumny starej greckiej świątyni poświęconej Atenie. Było to bardzo praktyczne powiązanie wiary i architektury, które przypomniało mi, że stare wierzenia splatają się z nowymi.

- Mówi się, że złoty posąg Ateny odbijał promienie słońca i lśnił jak latarnia morska, wskazując drogę żeglarzom na morzu - opowiedział nam kelner na placu, gdy starałem się utrzymać Horusa na krzeselku, bo chłopak miał nieodpartą chęć baraszkowania na kamiennym bruku. Nie mam pojęcia, jak matkom udaje się pilnowanie dzieciaków. - Duomo zamykają ściany, a grecka świątynia była otwarta i przewiewna.

- Może właśnie tam Archimedes wpadł na pomysł swojego zwierciadła? - zastanawiałem się głośno.

- Jakiego zwierciadła, tatusiu?

- Najbardziej lśniącego zwierciadła na świecie. I jego właśnie szukamy!

Twarzyczka chłopca rozświetliła się radosnym uśmiechem. Aurora miała znudzoną minę; jej wymuszone wysiłki okazywania macierzyńskiej troski przypominały uśmiechy czarownicy, która usiłuje zwabić dziecko do piecyka.

Udawanie angielskiego arystokraty wobec Aurory, Draguta i Ozyrysa było dość dziwacznym przedsięwzięciem. Jadłem kolację z kobietą, której nie cierpialem i którą gardziłem. Ona traktowała moją wrogość i niechęć z absolutną obojętnością, zachowując się tak, jakbyśmy byli

najzwyklejszą parą na świecie. Wiedziała, że to mnie irytuje, i czerpała z tego niemąłą uciechę. Hamid systematycznie mnie obszukiwał, żeby sprawdzić, czy nie ukrywam jakiejś broni, i raz po raz demonstrował mi zatknięte za pas pistolety Cuviera, co miało zapobiec jakimś gwałtownym czynom z mojej strony. Ozyrys nieustannie kręcił się koło Harry'ego. Doprawdy Kain i Abel byli większymi przyjaciółmi.

Na szczęście przyzwoitość wymagała, żebyśmy z Aurorą wzięli oddzielne pokoje. Gdyby nie to, musiałbym udawać szczęśliwego; nie była to kwestia ucieczki.

- Los twojego syna jest w twoich rękach - spokojnie powiedziała wieczorem Aurora, sącząc porto, gdy mały Harry został ułożony do snu w moim pokoju ze stojącym jak Golem na straży Ozyrysem. - Znajdź zwierciadło albo skążesz na zagładę swoją rodzinę.

- Wszystko, co mamy, to stara mapa wskazująca to miasto. Właściwie to jest nic.

- To zacznij myśleć! Gdzie mogli je ukryć Grecy albo Rzymianie? Gdzie znaleźli je templariusze? Jak to się stało, że pozostało w ukryciu przez dwa tysiące lat?

- No cóż, Archimedes zaczerpnął pomysł od Atlantów albo tych, którzy żyli pod jego ochroną na Terze. - Westchnąłem. - Może Grecy znaleźli to liczące dziesięć tysięcy lat zwierciadło i przywieźli je do Syrakuz. Któż to wie? Rzymianie jednak przyswajali sobie każdy militarny pomysł, na który się natknęli, i skorzystaliby i z tego, gdyby uznali go za przydatny... chyba że Archimedes ukrył zwierciadło.

- Rzymski dowódca utrzymywał, że śmierć uczonego była przypadkowa - stwierdził Dragut. - Archimedesa zabił ponoć jakiś żołnierz, który nie poznał sławnego Greka.

Ale może tak naprawdę matematyk został zabity, bo nie chciał powiedzieć, gdzie ukrył lustro.

- Mogło zostać stopione. Albo rzucone w morze.

- Na pewno go nie zniszczono - obstawała przy swoim Aurora - bo inaczej templariusze nigdy by się nim nie interesowali. Ethanie, myśl jak Archimedes! Wiesz więcej, niż nam mówisz. Rzymianie mieli całą armię do przeszukania okolicy. Dlaczego im się nie udało?

- A niby czemu, u diabła, miałbym wiedzieć?

- Bo zależy od tego życie twojego syna.

- Myślicie, że coś wskóracie, grożąc niewinnemu dziecku?

- To ty się opierasz, nie ja. Ja od samego początku chciałam, żebyśmy zostali partnerami.

- I dopięłaś swego.

Uśmiechnęła się tak, jak mogłaby się uśmiechać góra lodowa.

Właściwie to miałem pewien pomysł. Nad miastem górował stary grecki amfiteatr i rzymska arena, teraz na poły zagrzebane pod ziemią. Pomyślałem sobie, że podobny do końskiej podkowy symbol z pergaminu mógł się odnosić do tego amfiteatru. Była też ta łamana linia nakreślona z greckiego fortu w poprzek wyspy Ortygii. To musiało coś znaczyć dla ludzi, którzy rysowali mapę.

Były także stare kamieniołomy, z których brano materiał do budowy miasta. Zapłaciliśmy za informacje staremu nauczycielowi, który powiedział nam, że uwięziono tam ateńskich najeźdźców; wielu umarło z głodu, pragnienia i upału. Te wapienne skały górujące nad miastem były też pełne jaskiń. Nie należały do miejsc odpowiednich dla dwulatków, niezbyt chętnie więc zgodziłem się, żeby Ozyrys został z moim synkiem, który karmił kaczki w fontannie Aretuzy wzniesionej nad źródłem słodkiej wody na brzegu Ortygii. Ze starożytnej, teraz opuszczonej sadzawki nikt nie korzystał, stała się więc lęgowiskiem ptaków, które Harry za każdym

razem witał radosnymi okrzykami. Kaczki przełamały jakoś jego instynktowną niechęć do Ozyrysa.

Kupiliśmy latarnie i zaszyliśmy się w kamieniołomach, jakby pociągało nas badanie okrucieństw starożytności: w turystyce jest jakaś niezdrowa ciekawość. Groty ofiarowały miły chłód i schronienie przed upałem, jamy ocieniały gaje pomarańczy, wypełnione śpiewem ptaków. Rozglądałem się uważnie za miejscami, w których można by coś ukryć lub zakopać, ale podejrzewałem, że było to pierwsze miejsce, jakie badali kolejni zdobywcy. Rozdzieliliśmy się, by przeszukiwać wszystko szybciej. Draguta usatysfakcjonowała moja chęć ratowania Harry'ego. Przełaziłem z jednej jamy do drugiej; wszystkie były puste jak komnaty na Terze. Nie było tu również żadnych malowideł.

Do południa zdążyłem się zmęczyć i zrobiłem sobie przerwę. Pogryzałem pomarańczę w wysokiej trawie pod urwiskiem i zastanawiałem się, gdzie też może być to zwierciadło, gdy do mojej przygnębionej świadomości zakradł się jakiś dźwięk. Była to melodia wdzięczna jak śpiew ptaków, ale unoszący się nad skałami nierzeczywisty jakby głos należał jednak do człowieka. Śpiewała kobieta, tak anielskim głosem, że słodycz piosenki zbudziła mnie z letargu. Był to sam wdźwięk wcielony w dźwięk, słodycz, która kazała mi zapomnieć o posępnym miejscu i nastroju. Musiałem znaleźć źródło tego uroku!

Przedostałem się do górującej nad urwiskiem jaskini, której ściany tworzyły jakby gigantyczne ucho. Było tu wejście do głębokiej groty o dnie wysłanym miękkim piaskiem i stamtąd właśnie dobiegała nieziemsko piękna aria. Dźwięk wzmacniało odbicie od ścian, nadając mu głębię anielskiego chóru. Pieśń była włoska i pochodziła z jakiejś opery.

Po wejściu odczekałem chwilę, by przystosować wzrok. Cóż za magia w kobiecym głosie i w jakże właściwym miejscu! Tak, stała pod tylną ścianą jaskini pogrążona w ekstazie, jakby składając w ofierze swój głos. Któż to mógł być? Podeszedłem ostrożnie i cicho, kobieta odwróciła się... Aurora.

Zatrzymałem się zbity z tropu. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że ten śpiew wydobywał się z krtani mojej największej nieprzyjaciółki ani nawet że w całym swym pokrętnym życiu kiedykolwiek cokolwiek zaśpiewała. A jednak stała tu lekko zarumieniona, z rozchyłonymi wargami i rozświetlonymi oczami, a mnie nagle się przypomniało, jak oczarowała mnie podczas naszego spotkania w Kanadzie. Miała zjawiskową niemal urodę i promieniowała seksualnością, która oszalała zmysły i zaślepiła umysł. Nienawidziłem, bałem się jej i zarazem wciąż jej pragnąłem - za co teraz obsypywałem się w duchu przekleństwami.

W końcu przerwała niezręczne milczenie.

- Nieczęsto śpiewam, ale akustyka w tym miejscu jest wprost nadzwyczajna.

- Ponownie mnie zadziwiłaś, Auroro.

- Ethanie, tak naprawdę się nie znamy. W Ameryce wszystko poszło tak szybko... i źle. A moglibyśmy...

- Zabiłaś moją kochankę, Namidę.

- A ty zabiłeś mojego brata. Ethanie, ludzie umierają z rozmaitych przyczyn. Ale poszukiwanie wiedzy jest wieczne. I dzielimy tę chęć, ty i ja.

- Czemu chcesz mi to wmówić?

- A czemu ty się opierasz? Żądza wiedzy nie jest tak odmienna od żądy, jaka cię popycha ku Astizie. Pragnąłeś mnie na Jeziorze Górnym, ale wtedy nie mogłeś mnie mieć. Teraz możesz, a jednak mnie odpychasz. Które z nas postępuje bardziej niemądrze?

Jakże była piękna - i jak niebezpieczna! Drżałem i liczyłem na to, że ona tego nie widzi. Nie pragnąłem jej; miałem ochotę ją zabić i byłbym to zrobił, gdyby nie niebezpieczeństwo, w jakim pogrążyłbym Astizę i Horsa. Czemuż przed trzema laty nie uparłem się, żeby pozostać z Astizą. Nie zdarzyłoby się nic z tego, co teraz groziło mojej rodzinie.

Aurora podeszła bliżej. Owionął mnie zapach jej perfum zmieszany z lekką wonią potu, jaki na jej czole zaperlił się od fizycznego wysiłku.

- Mogłabym się też nauczyć, jak być matką. Czy sądzisz, że nigdy nie pragnęłam dziecka? - Chwyciła mnie za ramię. - Ethanie, mogę być jak inne kobiety. Mogę! - Pod stalową powierzchnią jej determinacji ujrzałem krótki błysk desperacji.

Otrząsnąłem się.

- Wiele o tobie można powiedzieć, Auroro, ale nie to, że jesteś jak inne kobiety. Harry instynktownie się ciebie boi.

- Inaczej będzie, gdy uczynię go księciem. - Uporczywość tej tęsknoty była żalosna, ale determinacja Aurory mogła zaniepokoić najmężniejszego. - Żaden z was mnie nie zna. Nic o mnie nie wiecie!

Wiedziałem dość, by odwrócić wzrok. - Powinniśmy poszukać Hamida i zastanowić się, co dalej - powiedziałem z braku lepszej odzywki.

- Zwierciadło gdzieś tu jest, czuję to - stwierdziła. - Wielkie zwierciadło z brązu, jasne jak słońce, jak Prometeusz niosące ogień i zmieniające oblicze świata.

- Gdzieś jest.

- Znajdziemy je, Ethanie, i zawładniemy nim razem.

ROZDZIAŁ 26

Pojawienie się Draguta wybawiło mnie od konieczności kontynuacji tej niezręcznej rozmowy. Opuściliśmy pełną ech jaskinię, której ściany były zbyt gładkie i pozbawione jakichkolwiek charakterystycznych występów, żeby cokolwiek ukrywać. Wspięliśmy się pośród wysokich traw i brzęczenia owadów na szczyt białego urwiska kamieniołomów i spojrzeliśmy stamtąd na leżące w dole miasto. Morze pełne było białych plamek żagli i spróbowałem sobie wyobrazić jakieś zwierciadło, które okiełznawszy moc słońca, podpalałoby te stateczki i okręciki.

- Jeżeli ten wynalazek się sprawdził, to czemu Syrakuzy zostały zdobyte? - zapytałem.

- Każda broń ma swoje słabe strony - odezwał się Dragut.
- Może Rzymianie zaatakowali nocą, a może w jakiś deszczowy dzień.

- Może miasto padło ofiarą zdrady - podsunęła Aurora. - Zawsze znajdzie się jakiś osobnik skory prehandlować miasto za swoje życie. - Gdy to mówiła, w jej oczach pojawił się błysk, który mnie zaskoczył.

- Albo prehandluje miasto za życie swojej bezbronnej rodziny - odparłem. Czyżby nawet moi prześladowcy pogardzali mną za to, że im pomagałem?

- Ale to zwierciadło musiało jakoś przetrwać, żeby mogli się nim zainteresować średniowieczni rycerze - ciągnęła Aurora. - Archimedes musiał przewidzieć upadek miasta i ukrył urządzenie. Nie ma żadnych zapisków o tym, że przejęli je Rzymianie. Ukrył zwierciadło i templariusze albo go nie znaleźli, albo ponownie je ukryli. Ty widziałeś mapę, Ethanie, i jesteś kluczem do rozwiązania zagadki. - Uśmiechnęła się, jakby mogło to zapobiec wszelkim buntom.

Mapa jednak niczego wyraźnie nie wskazywała i nie było na niej nawet rysunku zwierciadła. Piraci gonili za snem

zrodzonym z opiumowego dymu i legend. Spróbowałem sobie przypomnieć rysunek ze zjedzonego przez nas pergaminu, którego smak aż nazbyt dobrze pamiętałem.

- Cóż, tam jest katedra. - Wskazałem w dół, ku Ortygii i wyraźnie widocznym kopułom i wieżyczkom Duomo. - A w tym miejscu na mapie był krzyż.

- Podejrzewam, że to miejsce moglibyśmy znaleźć i bez twojej pomocy - stwierdził Dragut nie bez kpiny w głosie.

- Na tej mapie był też jakiś zameczek czy forteczka, prawdopodobnie ten zaprojektowany przez samego Archimedesza Euryalus. Gdzie to jest?

- Chodźcie za mną. - Dragut poprowadził nas od krawędzi urwiska obok wysokiego młyna ku płaskowyżowi górującemu nad kamieniołomami i wskazał odległy grzbiet pasma wzgórz. - To tam.

Zobaczyłem stosy zwalonych kamiennych ruin i wiejskie zabudowania poniżej. Zobaczyłem też ruiny starego akweduktu, który jakby prowadził ku góróm.

Myślałem przez chwilę, po czym wyciągnąłem przed siebie ręce z uniesionymi w górę kciukami. Jedną skierowałem w stronę fortu, a drugą ku katedrze. Linia łącząca oba punkty powinna być załamana linią ze szkicu na pergaminie. Podszedłem do krawędzi urwiska, spojrzałem w dół i zobaczyłem leżące niżej ruiny starego greckiego, wyciętego w wapiennej skale amfiteatru. To była ta zaznaczona na mapie końska podkowa. Pobliskie jaskinie mogły obrazować na mapie te garbki. Cyfry mogły oznaczać wartości jakichś pomiarów. Ale gdzie był zygzak oznaczający rzekę? Okolica była bezwodna.

- Na co patrzysz? - zapytała Aurora. - Czego szukasz? Zignorowałem ją.

- Słuchaj - zwróciłem się do Draguta. - Słyszysz szum wody?

- Tak, jakby płynęła pod naszymi nogami.

Zeszliśmy ponownie na platformę, która tworzyła krawędź greckiego amfiteatru. Tylną tworzyło może dwunastometrowe wapienne urwisko pełne kolejnych jaskiń. Do największej, naprzeciwko środka amfiteatru, prowadziło wejście w kształcie półksiężyca, z ciemnego tunelu w głębi wypływał strumień. Woda wpadała do kamiennego baseniku. Skałę za małym wodospadem pokrywał zielonkawy śluz.

- Hamidzie, co ty na to?

- To źródło - odpowiedział. - Może dlatego zbudowali tu amfiteatr? Mieszkańcy wspinali się tu w upale, ale na miejscu mieli orzeźwiająca wodę.

- Nie zbudowali teatru przy źródle - odezwała się Aurora.
- Oni sprowadzili tu wodę z akweduktu, który widzieliśmy wyżej. Spójrzcie na tunel, który prowadzi do sadzawki. - Wskazała dłonią. - Woda prawdopodobnie zasilala młyn, a potem spływała do miejskich fontann. Sprytnie.

- Energia wodna bardzo interesowała Archimedesesa.

- Owszem - stwierdził Dragut. - Wynalazł śrubę do czerpania wody z kanałów irygacyjnych.

- Może więc i tu mamy do czynienia z jego konstrukcją? To oznacza, że trzeba będzie się bliżej zapoznać z tym akweduktem i tunelem. - Przez chwilę przyglądałem się uważnie wyjściu z jaskini, przez które przelewała się woda. - Ale nie ma tu dość miejsca, żeby ukryć zwierciadło, za pomocą którego można palić okręty.

Aurora i Dragut przyglądali mi się podejrzliwie, nie

bardzo pewni, czy wpadłem na jakiś trop, czy chcę ich oszukać. Sam nie byłem tego pewien, cieszyła mnie jednak sytuacja, w której musieli mi zaufać tak samo, jak ja nie ufałem im. - No cóż. Na tej mapie była linia, która załamywała się na tym strumieniu. Nie mam pojęcia, co mogłoby to oznaczać, ale uważam, iż sprawę warto zbadać dokładniej. Intryguje mnie sam fakt, że rzymscy legionieści najpewniej nie zajrzeli do wnętrza tej ogromnej rury z wodą.

- Zamierzasz wleźć w tę dziurę?

- Owszem. Jak się tam dostanę, podajcie mi latarnię.

- A skąd mamy mieć pewność, że nie spróbujesz uciec przez ten tunel? - zapytała Aurora.

- Bo twój sługus, moja droga, pilnuje mojego synka. Twoja perfidia, chciwość, okrucieństwo i bezwzględność trzymają mnie w szachu. - Uśmiechnąłem się słodko i przeskoczywszy przez niski murek, dojrzałem przez sięgającą mi ud wodę do małego wodospadu. Jak się tego spodziewałem, było tu diablo ślisko, ale trzymając się blisko ściany, zdołałem się wspiać jakieś trzy metry do wylotu tunelu czarnego jak zakonny habit. Kucnąłem w wodzie opływającej moje trzewiki i zawołałem w dół: - Teraz latarnia! - Nie lubię podziemi, ale mam pewne doświadczenie. Może napawać pewną dumą, że się umie coś więcej, niż grać, pić i chędożyć.

Dragut podał mi latarnię i w kucki ruszyłem w głąb wysokiego na ponad metr korytarza. Woda chlupała na wysokości moich kolan. Tunel nie miał żadnych absolutnie cech szczególnych, wyżłobiono go wyłącznie w celu transportowania cieczy, w której brodziłem. Przeszukiwałem go, bo nic innego mi nie pozostało.

Światło dnia zostawiłem za sobą. Inni krzyczeli coś do mnie, ale nie zwracałem na to uwagi. Kucnąłem i zacząłem się zastanawiać. Dobrze było choć przez chwilę być panem samego siebie. Ale łażenie po tej dziurze wydawało mi się

bezcelowe - dopóki nie zobaczyłem krzyża i serce wywinęło mi kozła.

W kamieniu wyryto solidny, gruby krzyż templariuszy. Nie zrobił tego żaden Archimedes, który żył dwa i pół stulecia przed Chrystusem. W tę norę wlaził też jakiś średniowieczny rycerz.

Po co?

Poszedłem dalej, teraz już ostrożniej. Wapień był śliski, zimny i pozbawiony jakichkolwiek cech szczególnych. W końcu zobaczyłem przed sobą nikłe światło. Czyżby akwedukt już się kończył? Nie, był to szyb, z którego do tunelu wpadały promienie słońca. Na zbolących nogach przeczłapałem dzielącą mnie od niego odległość i spojrzałem w górę. W skale była może trzydziestocentymetrowa szczelina odsłaniająca sklepienie tunelu i rozszerzająca się wraz z wysokością. Niczym pochwa miecza wznosiła się ku powierzchni płaskowyzu nad nami. Na jej szczycie umieszczono kamienie, które zamykały większą część szybu, tak że otwór wylotowy był zbyt wąski, żeby ktoś się przez niego przecisnął. Po cóż więc robić tak wielką niszę? Niczego w niej nie było.

Polazłem dalej i po przejściu jakichś trzydziestu metrów natknąłem się na kolejny szyb, taki sam jak pierwszy wyryty w górę sklepienia. Potem znalazłem kolejne. Ostatecznie naliczyłem ich sześć. Szyby, jak podejrzewałem, służyły do wyrównywania ciśnienia powietrza i ułatwiania przepływu wody w nieznacznie pochylonym kanale. Wpadało też przez nie światło ułatwiające obsługę i konserwację. Każdą jednak bardzo poszerzono, a potem u szczytu ponownie zamknięto. Nie mogłem zrozumieć, po co.

Ale mógł mieć w tym jakiś cel Archimedes.

Cofnąłem się do wyjścia tunelu i zjechałem po śliskiej stromiźnie, wzbijając fontannę wody. Wylazłem z sadzawki mokry, brudny i... zaciekawiony.

- Długo cię nie było.

- Bo to długi tunel. - Wylałem wodę z trzewików. - Są tam wycięte w skale sztolnie, w których mogło być coś ukryte. - Narysowałem na piasku krąg i poprzecinałem go liniami. - Przypuśćmy, że podzieliłaś zwierciadło na części, jak placek. Każdą z tych części możesz podzielić zresztą na dwa albo na trzy.

- Przecinanie nie byłoby konieczne - stwierdziła Aurora. - One miały zawiasy i osie, żeby można było ogniskować promień na morzu.

- W rezultacie miałybyś wąskie wycinki jakby ze skórki pomarańczy. W tym tunelu są sztolnie, w których mogły być poukrywane te części rozebranego zwierciadła.

- Mogły? - zapytał Dragut.

- Teraz są puste. Widziałem wyryty w skale krzyż templariuszy. Wyprzedzili nas ci średniowieczni krzyżowcy, których chcecie naśladować. Mogliśmy się spóźnić.

- Nie - sprzeciwiła się Aurora. - Po cóż by ukrywali mapę w tak tajnym miejscu, jak te pieczary pod Terą, i wykuli sygnet, na którym zaznaczyli ten kościółek? Rycerze znaleźli zwierciadło, ale ukryli je ponownie do zakończenia badań. Może zresztą nie wiedzieli, jak je złożyć z powrotem, albo czekali na zbudowanie twierdzy, w której mogliby je ustawić?

- Może doszli do wniosku, że jest to tak straszny wynalazek, że nigdy nie powinien zostać użyty?

Zignorowała mnie.

- Gdyby zwierciadło złożono w całość i użyto, pozostałyby o tym zapiski w średniowiecznych kronikach. Gdyby je zniszczono, nie trzeba byłoby kreślić i ukrywać

mapy. Gdyby przewieziono je w inne miejsce, nie zaznaczano by i nie rysowano okolic Syrakuz. Ono jest tutaj, czuję to.

- Nie w Euryalus, tej opuszczonej greckiej fortecy. Już ją przeszukaliśmy - stwierdził Dragut.

- Nie, to musiało być jakieś bardziej dostępne miejsce, z którego zwierciadło łatwo dałoby się przenieść na statek. Ale też takie, gdzie mogłoby sobie spokojnie leżeć. Miejsce święte, otoczone czcią i niebudzące podejrzeń. - Podeszła do krawędzi starożytnego amfiteatru i spojrzała na leżące w dole miasto. - To musiało być coś takiego, jak zbudowana w czterysta osiemdziesiątym roku przed Chrystusem po zwycięstwie Greków nad Kartagińczykami pod Himera, świątynia Ateny, greckiej odpowiedniczki egipskiej Izydy. Ciągłość świątyń musiała się spodobać templariuszom. Dlaczego zresztą mieliby zaznaczać to miejsce na mapie krzyżem? - Odwróciła się do mnie. - Ethanie, myślę, że nasze zwierciadło jest ukryte w miejskiej katedrze, w Duomo.

- Gdzie?

- Nie wiem.

- Jak się tam dostaniemy? I jak wydostaniemy się z miasta?

- Powiedziałem ci, żebyś się zastanowił, jak zdołamy się wymknąć pod działami Castello Maniace - odezwał się Dragut. - Jak zdołamy umknąć ze statkiem?

- Oni wezmą na cel każdy korsarski okręt o łacińskim ożaglowaniu. - Wzruszyłem ramionami. - Potrzebny wam wabik, który ściągnie na siebie ogień. Nie, potrzebny wam drugi statek, sycylijski, podczas gdy twój własny będzie fałszywym celem. Musicie pozwolić Sycylijczykom zatopić Izis, żeby umknąć na innym statku.

Pirat zastanawiał się przez chwilę, po czym zadowolony kiwnął głową.

- Sprytne. Widzisz, Ethanie Gage? Stajemy się partnerami.

ROZDZIAŁ 27

Plac przed katedrą w Syrakuzach jest jednym z najpiękniejszych w Europie: elegancki, artystycznie nieregularny, a jego boki naturalnie naśladują kontury Ortygii. Otaczają go piękne dwupiętrowe budyneczki z kamienia licowanego tynkiem, które harmonijnie łączą wspaniałość bram, wysokich okien i kutych z żelaza balkonów. Sama fasada katedry to barokowe nagromadzenie pięknych kolumn, posągów, łuków, spiralnych zakrętasów, aniołów, orłów i dostatecznie wielkiej ilości dodatkowych ozdóbek, by udekorować nimi weselny tort. Boki katedry są znacznie skromniejsze - to czarne ściany poprzedzielane starymi greckimi kolumnami świątyni, która była kolejno pogańskim chramem, chrześcijańską bazyliką, arabskim meczetem i ostatecznie stała się katedrą.

Wewnątrz turyści mogli podziwiać taką samą mieszaninę stylów: greckie kolumny, normańskie łuki i barokowe boczne kapliczki. Kruchtę oświetlało okrągłe okno, z wbudowanym solidnym krzyżem templariuszy, takim samym, jaki widziałem w tunelu akweduktu. Pomyślałem sobie, że w miejscu, gdzie spotykały się duchy najrozmaitszych wierzeń, mógłby się pomodlić wyznawca dowolnej religii.

- Tatusiu, co to za miejsce? - Harry i Ozyrys przyłączyli się już do nas wcześniej.

- Sanktuarium. - Miałem nadzieję, że istotnie tak jest.

- Co to jest... sarium?

- To miejsce, gdzie źli ludzie chodzą, żeby stać się lepszymi, a dobrzy szukają w nim bezpieczeństwa.

- Jesteśmy źli?

- Nie ty, Harry. Ty jesteś dobrym chłopczykiem. Kiwnął poważnie główką.

- I bezpiecznym.

W ławkach siedziało kilka starych kobiet czekających na spowiedź, której słuchał jeden ksiądz. Jakiś staruszek przesuwał dość chaotycznie kurz miotłą z jednego kąta w drugi, a potem zamiatał go ponownie. Gdyby nie ta mieszana architektura, katedra byłaby wspaniała, ale wcale nie wyjątkowa.

- Auroro, zwierciadło dawno już stąd zabrano. -
Odruchowo zacząłem szeptać.

- To już po twojej rodzinie. - Z powrotem w roli angielskiej turystki, krążąc powoli pomiędzy kolumnami, liczyła je oraz łuki, a teraz przeżegnała się święconą wodą, co według mnie było ze strony tej diablicy aktem bluźnierczym i niemal oczekiwałem, że na miejscu zostanie porażona gromem z nieba. Przechadzała się, jakby wewnątrz katedry było jej jak najbardziej naturalnym otoczeniem, i uśmiechała się do mnie drwiąco. Każda próba zbliżenia spotykała się z natychmiastowym odwetem.

Zauważyłem jednak, że i ona odzywa się pełnym szacunku szeptem. Przez niewielkie mozaikowe okna sączyły się do wnętrza promienie słońca, a mrok rozświetlały płomienie świec ustawionych jako wota przed obrazami i posązkami świętych. W powietrzu unosiła się typowa dla kościołów woń będąca mieszanką zapachów starego drewna, wosku, kurzu, kadzidła i wody używanej do moczenia mioteł.

- Pytałam księdza, tu nie ma żadnej krypty - szepnęła, gdy ruszyliśmy dalej. - Sami widzimy belki dachu, co eliminuje strych czy attykę. Ściany są grube i proste, jak forteczne mury. Ale jestem pewna, że to właśnie jest święte miejsce, jakie wybraliby templariusze. Unosi się tu atmosfera wielu religii. Rycerze z pewnością pochwaliliby ciągłość wierzeń. Ale gdzie to może być, Ethanie? To ty masz nosa do znajdowania relikwii przeszłości.

Ten mój „nos” potrafi wyłącznie pakować mnie w fatalne sytuacje, takie jak obecna - ale tego jej nie powiedziałem. Przechadzałem się z Harrym, szukając Bóg wie czego, i podziwiałem kontrast pomiędzy normańską prostotą a białym centralnym ołtarzem ukreślonym jakby z cukru. Trzy inne kapliczki były jak złote i marmurowe szkatułki na klejnoty. Odkrywałem, że zamki i katedry są miejscami, w których ludzie wyładowują swoje upodobania do wojen i życia pozagrobowego.

Nigdzie jednak nie mogłem znaleźć miejsca odpowiedniego do ukrycia zwierciadła. Na sklepieniu widziałem wyłącznie anioły, świętych i cuda: wszyscy unosili się godnie w powiewnych szatach i znacząco wskazywali w górę. Gdybyż tylko prawdziwe życie było tak lekkie i nieważkie! Miałem dość starych legend i w jednej chwili dałbym sobie spokój, gdyby nie Harry. Dreptał u mojego boku, trzymając mnie za palec, przestraszony nieco rozległością i mrokiem wnętrza katedry. Przyglądałem się więc wszystkiemu i liczyłem stare greckie kolumny - dziesięć po jednej stronie i dziewięć po drugiej - podziwiając kunszt artystów, którzy je wyrzeźbili. Jedna z kapliczek miała stopnie z różowego granitu, srebrny, lśniący jak księżyc ołtarz i aksamitne draperie podobne do płaszcza Apolla. Wysokie sklepienie pełne było malowideł cherubinów i brodatych patriarchów wyglądających jak Archimedes. Wszystko było wspaniałe i pozbawione znaczenia, nie potrafiłem znaleźć analogii do żadnej z chrześcijańskich opowieści. Miałem już przenieść spojrzenie gdzie indziej, kiedy zauważyłem wśród innych ozdób centralny owal oświetlony stożkową smugą światła wpadającego przez niewielkie, okrągłe okienko.

Unosiły się nad nim cherubiny, cztery dziecięce główki spoglądały z góry na kolejne trzy aniołki o pełnych już ciałach. Cała trójka wyglądała równie niewinnie jak Harry, ich

ciała w strategicznych miejscach spowite były czerwoną wstążką. Takie same mógłbym zobaczyć w setkach innych kościołów i nie zwróciłbym na nie uwagi, gdyby nie przedmiot, który trzymały w rączkach. Było to słońce, które słało w dół żółte promienie trafiające w coś, co mogło być ręcznym lustrem albo soczewką optyczną.

Zwierciadło promieniujące własnym światłem.

Przypomniałem sobie pierścień, który pokazał nam Fouche z wyrytą wewnątrz drugą kopułą i literą A. Angelus. Anioł. Zmrużywszy oczy, spojrzałem w górę, usiłując uporządkować jakoś w myślach to, co widziałem.

Czy ten szlachetnie wyglądający mąż o białej brodzie wskazywał laską ścianę, czy coś poza nią? I nagle zdałem sobie sprawę, że na rokokowych marmurowych rzeźbach pokrywających ściany jest niezwykle wizerunek: sztylet skrzyżowany z palmowym liściem ukazane za pomocą kamieni o różnym odcieniu. Wyżej było coś, co wyglądało jak puchar, ale miało dwoje oczu greckiego typu - były to poważnie patrzące, migdałowego kształtu oczy, jakie malowali na dziobach swoich okrętów. Patrzyły w tym samym kierunku. Na co? W tej kaplicy nie było niczego odpowiedniego do ukrycia zwierciadła. I wtedy przypomniałem sobie wejście do sąsiedniej kaplicy, na którą wskazywał starzec. Przeszedłem do niej. W przeciwieństwie do pierwszej ta miała kopułę przypominającą od środka odwrócony spodek; na jej sklepieniu nie wymalowano cherubinów, lecz dojrzałe anioły, osmalone dymem palących się tu przez całe stulecia świec. Kopuła jak kopuła - tyle że jej średnica i paraboliczna krzywizna odpowiadały kształtowi, jaki Cuvier domyślnie przypisał zwierciadłu Archimedesesa. Spojrzałem w górę. Kopuła, w której ukryto przerażającą broń? Mogło tak być?

Skinąłem na Aurorę.

- Czy mogłabyś sobie wyobrazić - zapytałem szeptem - że templariusze wbudowali zwierciadło w kopułę, by je ukryć do czasu, aż będą mogli je wydobyć i wykorzystać?

- W sklepienie?

- Jest w nim zamknięte czaszą do góry. Spójrz jeszcze raz na sygnet.

Pokazałem jej cherubiny, łaskę i oczy. Z ożywieniem i radością na twarzy przeszła szybko z jednej kaplicy do drugiej, a potem wróciła do mnie.

- Ethanie, myślę, że trafiłeś w sedno!

- Niestety, templariusze ukryli zwierciadło w miejscu, skąd nie da się go zabrać. Wpasowano je w mury kościoła stojącego w samym środku Syrakuz. Ukryte na widoku. Zrobiono to po trzęsieniu ziemi, kiedy remontowano Duomo. Do ochrony swego odkrycia zaprzęgli całą potęgę Kościoła, Auroro. Doprawdy genialne. Nie da się tego ukraść.

- Wmurowano je w fałszywe sklepienie - mruknęła.

- Nie inaczej. Cóż, zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Jestem pewien, że ta broń jest bardzo interesująca, ale templariusze zawsze wyprzedzali nas o krok, prawda? Ponieważ jest bezpiecznie zamknięta, czy ja i Harry możemy teraz odejść wolno?

- Młody Horus? - Aurora się uśmiechnęła. - On pomoże nam ją stamtąd wydobyć!

Barokowa kapliczka ze srebrnym ołtarzem miała w głębi dwoje wąskich i niskich drzwi. Sprawdziwszy szybkim spojrzeniem, czy w pobliżu nie ma żadnego kapłana, Aurora podbiegła do jednych, ukryła się za grubą tkaniną i spróbowała rygla. Drzwi były zamknięte. Dragut wyłamał je brutalnie; pięknie rzeźbione drzewo pękło tak, że wzbudziłoby łyzy u archanioła Gabriela. Wąski korytarzyk za główną ścianą biegł bokiem na tyły kościoła. Nie sprzyjało to naszemu zadaniu.

- Spróbujmy przez tamte drzwi! Szybko!

Pirat wyłamał i ten rygiel, tym razem odsłaniając spiralne schodki w górę.

Aurora wyciągnęła ręce po Harry'ego, ten jednak przytulił się do mojej nogi. Zmarszczyła brwi, a potem skinęła na mnie. Zawahałem się, licząc w duchu na to, że odkryje nas i uratuje gromada rozwścieczonych mnichów, ale rozmyślnie wybraliśmy senne popołudnie, gdy w katedrze nie planowano żadnych zgromadzeń. Podniósłszy synka, przekroczyłem wyłamane drzwi i podszedłem do schodów.

- Dokąd idziemy, tatku?

- Na górę. Podtrzymam cię.

Zaparł się i wyrwał mi z rąk, zsuwając się na dół.

- Nie, sam pójdę!

Poprowadził nas uradowany jak małpka. Na schody rzucały światła świece wotywnie, które przynieśli Aurora, Ozyrys i Dragut.

Dotarliśmy do niezbyt przestronnego stryszku nad kaplicami. Znaleźliśmy się na krawędzi przyległej kopuły w przestrzeni tak niskiej, że musieliśmy kucać w miejscach, gdzie dach opadał. Był tu dziki labirynt starych belek i podpór, pełen kurzu, pajęczyn i niesamowitości. Zastanawiałem się, ile czasu minie, zanim naszą obecność odkryje jakiś ksiądz lub prałat i podburzy przeciwko nam ludność całych Syrakuz. Było tu dość straszno i Harry podniósł rączki, żeby wziąć go w ramiona.

- Wiedziałam, że przyda nam się twój szczeniak - odezwała się Aurora, zaglądając w ciemną szczelinę pomiędzy kopułą i dachem. Wzięła ode mnie chłopczyka, postawiła go na podłodze i podsunęła mu pod nosek jakiś kawałek cukru. - Hej, Horusie, chcesz cukierka?

Harry poważnie kiwnął główką.

- Myślę, że ci się należy, ale chciałabym, żebyś zrobił coś sprytnego i na niego zasłużył. Tylko ty możesz tam zajrzeć, bo jesteś dość mały, by prześlizgnąć się tam, gdzie dla dorosłego będzie za ciasno. Chcę, żebyś wczołgał się w tę dziurę i zadrapał tym nożykiem to, co tam znajdziesz. - Podała mu nożyk do ostrzenia piór. - A potem przynieś mi ten nożyk z powrotem i dostaniesz swojego cukierka.

- On się zatnie!

- Nie, jeżeli wisus zrobi, co mu się każe. - Łagodząc głos, ponownie zwróciła się do chłopca. - Tylko dużym chłopcom wolno się bawić nożami, ale myślę, że jesteś dostatecznie duży jak na swój wiek. Chcę, żebyś ostrożnie poczołgał się po zboczu na szczyt tej tam kopuły, a gdy już nie będziesz się mógł posuwać dalej, podrap tym nożem to, co ci zablokuje drogę.

- Ciemno tam! - stwierdził Horus zupełnie rozsądnie. Był równie zbity z tropu, jak ja.

- Nie musisz włązić daleko, a ja potrzymam świecę, żeby ci oświetlić drogę. To nie potrwa długo.

- Auroro, czyś ty zwariowała?

- Ethanie, spróbuj pomyśleć. Jeżeli zwierciadło jest ukryte w tej kopule, musi być wciśnięte pomiędzy sklepienie i dach. Ale zanim zacznę rozbierać ten kościół na części, chcę się upewnić, że zwierciadło jest tutaj, tylko że sama nie mogę się tam wcisnąć, by cokolwiek zobaczyć. Horus może. Czy to głupie, choć raz wykorzystać twojego bękarta z pożytkiem dla wszystkich?

- A jak tam utknie?

- To wepchniemy ciebie i go stamtąd wyciągniesz. Przestań szukać dziury w całym i lepiej mi pomóż! Westchnąłem i kucnąłem.

- Harry, ta krawędź noża jest ostra. - Podałem mu nożyk. - Musisz zachować ostrożność. Trzymaj, o tak! - Zacisnąłem

jego paluszki wokół rękojeści. - Podrap ostrzem to, co cię zatrzyma, i wracaj do tatusia. Będiesz dzielny?

- Dostanę cukierka?

- Tak.

- Pies mnie pogryzie?

Westchnąłem.

- Nie.

Uśmiechnął się podniecony chyba ważnością powierzonego mu zadania. Wziął nóż, ujął go za rękojeść, wysunął przed siebie i zręcznie wczołgał się w wąską przestrzeń pomiędzy sklepieniem kopuły i krokwie dachu nad nią. Widziałem jeszcze podeszwy jego trzewiczków, kiedy zawołał:

- Dalej już nie mogę!

- Widzisz coś?

- Tu jest ciemno! - Zabrzmiało to jak płacz.

- Podrap ostrzem i wracaj po cukierka! - zawołała Aurora.

Gdy nic się nie stało, zaklęła.

- To musi tu być - warknął Ozyrys raczej z nadzieją, niż stwierdzając fakt.

- Musimy się upewnić.

- Oczy! - krzyknął Harry i wierzgnął stópką. Wrzasnąłem i wyciągnąłem ręce, by schwycić go za kostki, ale Dragut mnie zatrzymał. Zaraz potem usłyszeliśmy jakiś zwierzęcy pisk i chłopak się uspokoił.

- Harry?

- Pamiętaj, żeby dostać cukierka, musisz podrapać po ciemku to, co cię zatrzymało! - zawołała Aurora.

Po chwili niepewności usłyszeliśmy jakiś metaliczny zgrzyt i zobaczyliśmy, że Harry się cofa. Dragut mnie puścił, chwyciłem chłopaka za kostki i pomogłem mu wypełznąć ze szczeliny.

Harry z dumą wyciągnął ku nam nóż. Jego ostrze załśniło żółcią; były na nim drobniutkie skrawki brązu albo złota.

- Jest tutaj! - syknęła Aurora. W jej oczach płonęła chciwość.

- Czekaj, jest coś jeszcze? - Do ostrza przyłgnęły jakieś kłaki. - Horusie?

Rozpromienił się i sięgnął za koszulę, gdzie wetknął martwe ciało zabitej myszy. Przebił potworka na wylot. Na grzmoty i błyskawice, mój syn okazał się Achillesem!

- A cukierek?

Podąłem mu go drżącą dłonią. Mój synek był urodzonym poszukiwaczem skarbów - co było najgorszym przekleństwem, jakie mógłbym wymyślić.

- Powiadom lożę - poleciła Dragutowi Aurora. - I przygotuj statek, tak jak sugerował Ethan. Dzięki niemu i jego bękartowi wiemy już, że trzeba rozwalić to sklepienie.

ROZDZIAŁ 28

Ruiny greckiej twierdzy Euryalus wieńczyły grzbiet nad płaskowyżem Epipoli w miejscu styku północnego i południowego muru; fortyfikacje wymierzone były na zachód niczym dziób okrętu. Korzystając z wynajętych koni, po zmroku podjechaliśmy do porzuconej warowni. Aurora zmieniła strój z odpowiedniego do przechadzki po mieście na ubiór jeździecki.

- Poczekamy na pomoc, a potem uratujesz swojego syna.

Jakbym mógł uwierzyć w cokolwiek, co mówiła...

Gdy podjeżdżaliśmy bliżej, ruiny wydały mi się puste. Od zachodu dął ciepły wiatr pochylający trawy, a od leżących niżej zabudowań wiejskich dobiegało nas ujadanie psów. Dalej widzieliśmy światła lamp miejskich i zakotwiczonych okrętów, oddalone mniej więcej dziesięć kilometrów. W ostatnich promieniach słońca widzieliśmy śmigające nad ruinami nietoperze. Zastanawiałem się, kto mógłby tu rozbić ukryty obóz, kiedy nagle ujrzałem, że ziemia otwiera się przed nami jak głodna paszcza.

- To stara fosa, jedna z trzech otaczających fort - stwierdził Dragut. - Tam jest rampa.

Pochłonał nas mrok, gdy ostrożnie zjeżdżaliśmy krótkim tunelem na dno fosy. Blask ognisk oświetlał rząd łukowatych przypór po bokach i pojąłem, że współnicy moich prześladowców czekali w podziemiach fortu, niewidocznych dla sycylijskich wieśniaków z wyższych terenów.

Gdy się zatrzymaliśmy i konie zaczęły machać ogonami, z bocznej jaskini wyłonił się zakapturzony mężczyzna, który chwycił za uzdę rumaka Aurory.

- Witam naszą Astarte, Isztar i Freyę! Panią Księżycyca i łona, wschodzącą gwiazdę Wschodu, naszą gołębicę i lwicę w jednym!

No cóż, niektórzy lubią przesadzać.

- Witaj, Dionizosie. Przywiodłam Błazna, jak to przepowiedziano. A jego szczeniak spełnił swoją rolę zgodnie z prorocstwami. Wszystko idzie tak, jak powinno, i wkrótce odziedziczymy prawdziwą moc starożytnych.

Taki sposób prezentacji bardzo mnie zaskoczył, ponieważ pewna cygańska wróżka przyszłości nazwała mnie kiedyś Błaznem szukającym Błazna, prastarej mądrości Enocha i dawno zapomnianego boga Totha. I oto znów przyklepiono mi to miano, jakby wzięte z tej wiekowej karty.

- Oby bogowie obdarzyli nas odwagą do zawładnięcia taką mocą, wolą do jej użycia i bezwzględnością prawdziwych wyznawców.

- Izyda i Ozyrys wysłuchują teraz naszych modlitw, Dionizosie. - Aurora zsunęła się z siodła, a w wylotach fortecznych kazamat pojawiło się kilkunastu zakapturzonych ludzi, którzy podeszli, by nas powitać. Kolejni poganie i jeżeli w tej zwariowanej przygodzie przyjdzie mi spotkać ich jeszcze więcej, będzie to wystarczający powód, by wstąpić do jakiegoś zakonu. Wszyscy co do jednego byli zwariowanymi fanatykami, co wcale nie czyniło z nich ludzi mniej niebezpiecznych.

Dragut poprowadził mnie przez tunel o łukowatym sklepieniu, który ciągnął się pod murem i dawał dostęp do wewnętrznych kazamat. W głąb starej fortecy ciągnęły się kolejne, oświetlone pochodniami tunele. Zgadywałem, że w dawnych czasach obrońcy przemieszczali się nimi, nie narażając się na ostrzał z katapult. Teraz zebrała się w nich przynajmniej setka współników Aurory, wśród których było kilkunastu muzułmańskich piratów, większość jednak stanowili Europejczycy. Przybysze na tradycyjne ubiory swoich krajów ponaciągali czarne, szare i białe opończe.

Harry wczepił się w moją nogę jak pijawka.

- Tatusiu, kim są ci ludzie?

- Miejscowi wariaci.

Grotę oświetlały setki dymiących świec. W niszach umieszczono rzeźby koźlogłowych bóstw, a na piasku wyrysowano pentagramy. W rogach i pod ścianami złożono piki, muszkiety, bułaty i topory, a także trąbki i muzyczne rogi. Obok baryłek z prochem i szpul z lontami leżały zwoje lin. Opończe i kaptury przydawały zgromadzeniu złowrogiej anonimowości, jakby nikt z obecnych nie zamierzał się przyznawać do udziału w tym wariactwie.

- Auroro, skąd tu się wzięli ci ludzie?

- W Paryżu mówiłeś Ozyrysowi, że interesuje cię łoża rytu egipskiego - odpowiedziała. - I oto są, wezwani przeze mnie ze świątyń i łoż całej Europy. Ethanie, patrzysz na odrodzonych templariuszy, spadkobierców mądrości Pitagorasa, babilońskich astrologów i mistyków Kabały! Ci mężczyźni i kobiety to najświetniejsze umysły Europy i w odróżnieniu od innych uczonych jesteśmy otwarci na nowe idee i doświadczenia. Znajdziesz wśród nas diuków i diuszesy, uczonych i teologów, kupców i armatorów, szlachetnie urodzone damy i świetne kurtyzany. Oceniamy ludzi wyłącznie według ich zalet, równie chętnie przyjmujemy kupców, jak i przedstawicieli arystokracji, jeśli tylko wyróżnili się w badaniach wiedzy hermetycznej i są skłonni się poddać rytualnym próbom. Widzisz tu Anglików, Francuzów, Niemców, Włochów i Hiszpanów zjednoczonych w dążeniu do wiedzy i reform.

- Jakich reform?

- Takich, które utrwala naszą władzę. Jesteśmy zakonem przywódców, przewyższających pospolitych ludzi tak, jak człowiek przewyższa małpy. To nasz przywilej i nasze brzemie... przekształcić tę planetę i wytepić tylu nieoświeconych, ilu będzie trzeba.

- Nieoświeconych?

- Czekają nas odkrycia dawnych prawd, niektórzy jednak odwrócą się od nich albo wyrzekną się i sprzeciwią koniecznym zmianom. Oporni zostaną usunięci. Ryt egipski stworzy czystą społeczność, w której każdy pogodzi się i uzna prawdę.

- Wyeliminujecie tych, którzy się z wami nie zgodzą.

- To podstawowa zasada rządzenia. Harmonię osiąga się przez jednomyślność. Nie masz nic bardziej chaotycznego i nieefektywnego niż gromada ludzi sprzeciwiających się władcom. Ludzie, którzy wątpią, z definicji nie staną się członkami rasy panów. Pospółstwo, któremu dane będzie przeżyć, posłuży za niewolników naszemu kapłaństwu.

- Rozumiem. A ja należę do rasy panów?

- To się jeszcze zobaczy.

- A tę powszechną zgodę zamierzacie osiągnąć, spalając wszystkie floty świata?

- Świat będzie lepszy, gdy zostanie tylko jedna flota.

- Piracka.

- Flota przedsiębiorców, mistyków i poszukiwaczy światłości.

- A co ci fanatycy robią tutaj, Auroro?

- Oni nie są fanatykami. To najbardziej święci ze świętych ludzie, którzy są najwierniejszymi agentami naszej sprawy. To patrioci, Ethanie, patrioci, którzy pragną odkryć źródła zapomnianych mocy cywilizacji poprzedzającej naszą i przywrócić na świecie złoty wiek. Chcemy żyć jak bogowie, w ich potędze i zmysłowej wolności. Będziemy robić to, na co nam przyjdzie ochota, z tymi, których zechcemy wybrać, a niewolnicy z radością przyznają, że nasza tyrania jest tysiąc razy bardziej słodka od wolności w dzisiejszym świecie krótkowzrocznych polityków. Kiedy skończymy nasze badania, Loża Rytu Egipskiego nie popełni już żadnych pomyłek i zacznie władztwo doskonałego zrozumienia.

Będziemy mieli wizje dzięki opiatom i iluminacji przez ekstazy. Staniemy się jak bogowie, będziemy istotami idealnymi! A ty możesz się jeszcze do nas przyłączyć! Ty i mały Horus!

- A Astiza? - Musiałem jakoś pohamować fantazje Aurory.

- Jeżeli po ujrzeniu światłości wciąż jeszcze będziesz jej pragnął... - Zaciśnęła usta.

No tak. Znudzeni arystokraci, zawiedzeni naukowcy, wyklęci ze społeczeństwa zboczeńcy, zbankrutowani kupcy, zadłużeni hazardziści, tknięci francą libertyni, ekscentryczni i przewrotni, wszyscy oni znaleźli wreszcie rodzinę w tej potwornej, perwersyjnej parodii wolnomularstwa, jaką zainicjował szarlatan Cagliostro w minionym pokoleniu. Ci gagatkowie chcieli zawładnąć magią i technologią, ale przede wszystkim chcieli dobrać się do skóry wszystkim mężczyznom i kobietom, którzy kiedykolwiek nadepnęli im na odcisk. Jakże łatwo można się dać przekonać przewrotnemu manipulatorowi, że każdy, kto cię uraził, jest od ciebie gorszy! Z jakąż satysfakcją uznamy się za członków rasy wyższej, wybranej, niemających potrzeb czy skrupułów wiążących ludzi mniejszego kalibru! Było to zuchwalstwo śmiechu warte - ale co się stanie, jeżeli istotnie znajdziemy jakiś promień śmierci starego Archimedesesa? Co będzie, jeżeli niezbyt liczna flota mojego własnego narodu spłonie, bo ja, Ethan Gage, pomogę tej bandzie megalomaniaków? Nigdy bym tego nie zrobił, gdyby nie maleńki Harry, który obejmował mnie za szyję i szeroko otwartymi oczkami patrzył na tych opatulonych w opończe konspiratorów. A wśród cieni krążył gdzieś w pobliżu, dysząc głośno, ten czarny potwór Sokar. Jak mógłbym bezpiecznie nas stąd wydostać?

Trzeba udawać, póki nie pojawi się szansa na ucieczkę.

- Wrócimy do Syrakuz - ciągnęła Aurora. - Dionizos poprowadzi orszak pokutników, naszą własną armię rytu egipskiego nam na pomoc. Będą udawać pielgrzymów, którzy przybyli na Święto Wniebowstąpienia, kiedy to Maria została uniesiona do nieba. Hamid będzie miał gotowe nowe okręty i w odpowiedniej chwili wprowadzi je do portu. Wydobędziemy zwierciadło, nawet gdyby trzeba było zwalić całą kopułę.

- Zamierzasz wysadzić w powietrze kościół podczas katolickiego święta?

- Nie cały, tylko kawałek... i postaram się, żeby uszkodzenia były jak najmniejsze.

- Auroro, to wariactwo! Wycofaj się! Nawet jeżeli to zwierciadło tam jest, nie wydobędziesz go albo cię zatopią, jeżeli rzecz ci się uda!

- Wydobędziemy je. Sam zaproponowałeś sposób ominięcia zamkowych dział tak, żeby twoje dziecko nie zostało poranione latającymi wszędzie drzazgami. Możesz omówić szczegóły z Hamidem, gdy my tu będziemy się zajmowali Ceremonią Baala. A potem pomożesz mi ukraść płomień Barbarii. Ustawimy je w Trypolisie - ciągnęła z ogniem w oczach - na murach twierdzy Karamanliego. Gdy rozpali je słońce, świat uczyni pierwszy krok ku ogólnej harmonii!

Ruszyła do przygotowań do prastarej pogańskiej ceremonii. Muzułmańscy piraci z niepokojem patrzyli na ten akt bluźnierstwa.

- Chcę do mamy - szepnął mi Harry do ucha.

- Ja też, synku. Ja też.

ROZDZIAŁ 29

Po raz kolejny włamywałem się do kościoła w nocy; na tej wyprawie popełniłem już tyle grzechów, iż obawiałem się, że trafię w paszczę Hadesu dosłownie i w sposób bardzo nieprzyjemny. Oprócz zwykłego świętokradztwa współdziałałem z piratami i fanatykami, naraziłem syna na największe niebezpieczeństwo, zdradzałem interesy mojego kraju i nie dotrzymałem złożonej przyjaciołom przysięgi zachowania w sekrecie treści pergaminu. Wszystkiego tego dokonałem z mocnym postanowieniem poprawy. Jeżeli kiedykolwiek świadomie zechcę popełnić zdradę, moja dusza tak się poprzeciera, że nawet sztorm jej nie wydmie.

Skorzystawszy z łomu, wdarliśmy się do Duomo przez boczne wejście od via Minerva; tym razem Aurora wzięła swego potwora na łańcuch. Inni przeszli przez ciemne ulice jako procesja pielgrzymów, a potem ukryli się w kruchcie, kucając pod barokowymi kolumnami pokrytymi wyrzeźbionymi w marmurze pędami winorośli.

Katedralna nawa w nocnym mroku wydawała się jeszcze wyższa i surowsza, a srebrny ołtarz świętej Łucji lśnił w świetle gwiazd lodowym światłem. Każdy krok ku niemu był bluźnierstwem, każdy był pogwałceniem świętości. Dyszenie psa przypominało inwazję prastarych bestii z czasów demonów. Przeszliśmy do kaplicy i tych drzwi, za którymi były schody w górę. Zamek był wyłamany, ale zamykała je przybita gwoździami belka.

Dragut wyjął łom i zaczął wyciągać gwoździe, czemu towarzyszył dobrze słyszalny w nocnej ciszy zgrzyt. I nagle usłyszeliśmy krzyk:

- Na miłość boską, przestańcie! - Z cienia pod głównym ołtarzem wybiegł na poły ubrany starszy ksiądz. Uniósł ramię w geście groźby lub może prośby, a jego krzyki odbijały się echem pod wysokim sklepieniem.

- Co robicie, bluźniercy?

Aurora zamarła tylko na chwilę.

- Sokar, bierz!

Puściła łańcuch i bydlę z brzękiem ogniw uderzających o kamienną posadzkę runęło na biegnącego ku nam rozgorączkowanego księdza. Usiłowałem ostrzec nieszczęśnika okrzykiem, ale dłoń Draguta zatkała mi usta. Pies skoczył niby ochłap mroku w ciemności, duchowny krzyknął i upadł, a impet psa popchnął obu ku ołtarzowi. Usłyszeliśmy dzikie warczenie, stłumione jęki i trzask pękających pod naporem potężnych szczęk kości. Ksiądz targnął się w agonii, której odgłosy stłumiło kruszenie czaszki, a potem nieszczęśnik znieruchomiał. Pies wrócił do nas, wydając pełne satysfakcji warknięcie. Jego szczęki ociekały krwią.

Przerażony jak nigdy wcześniej mały Harry objął mnie kurczowo za szyję.

- To nie pies, to potwór! - krzyknąłem drżącym głosem. - Wszyscy po kres wieczności będziecie się smażyć w piekle!

- Sokar chroni starsze i bardziej wyrafinowane religie. A tacy ludzie jak ten zostaną nazwani świętokradcami i usunięci.

- Więc to tak...

Sokar sapnął z satysfakcją, gdy Ozyrys poklepał go po łbie.

- Rezygnuję. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Wycofuję się, zanim wszyscy trafimy do piekła - oświadczyłem.

- Nie możesz zrezygnować, bo poszczuję Sokara na twojego syna. Wiedziałeś, że nie możesz zrezygnować, nie tu i nie teraz. Stałeś się jednym z nas i im szybciej nam pomożesz, tym szybciej opuścimy Syrakuzy i nikt więcej nie będzie musiał umierać.

- Auroro, proszę! - jęknąłem.

- Któregoś dnia ujrysz piękno w tym świętokradztwie.

Usłyszałem metaliczny szczęk, gdy Dragut, wzmacniając groźbę, przystawił mi do głowy lufę jednego z pistoletów Cuviera. Sokar warknął i potrzęsnał potężnym łbem, rozbryzgując ślinę i krew.

- Teraz wszyscy już jedziemy na jednym wózku - powtórzyła piracka piękność.

Jak na bandę sybarytów, zboczeńców, ogłupiałych mistyków i magików amatorów okultyści okazali zaskakującą skuteczność działań, gdy zabrali się do przygotowań zniszczenia świętej kapliczki. Po zabiciu kapłana Dragut otworzył wejście główne i poplecznicy Aurory wpadli milczącą falą do środka, wyciągając spod szat woreczki z prochem, liny i przygotowane wcześniej drągi. Wysoko nad naszymi głowami, tuż pod kopułą, biegła wzdłuż całej kapliczki wąska półka. Nie bacząc na dziesięciometrowy spadek, heretycy śmiało wspięli się na nią i natychmiast opletli kopułę linami i woreczkami z prochem. Następnie pod kopułą poziomo rozciągnięto sieć z solidnych lin, by złapać wszystko, co uwolni wybuch. Nie miała to być precyzyjna operacja, chodziło o szybką kradzież i ucieczkę, zanim dobrzy obywatele Syrakuz się zorientują, że ktoś zbezczeszczył ich najważniejszą świątynię. Dla zapewnienia nikłego światła zapalono rzędy świec wotywnych. Wszystkiego dokonano w milczeniu, sprawnie i efektownie jak w tańcu. Po ostatnich wspinaczkach na posadzce świątyni rozwinięto sieć lontów, przy których, czekając na sygnał, stanęli zakapturzeni ludzie ze świecami.

Aurora podeszła na środek kaplicy, spojrzała w górę, na leżące pod sklepieniem woreczki z prochem, i wykonała pod kopułą z aniołami taneczny obrót, rozkładając ramiona, jakby sama jedna zamierzała chwycić spadające zwierciadło.

- Teraz!

Po zapaleniu skwierczących lontów okultyści wycofali się do nawy głównej. Aurora opuściła kapliczkę ostatnia. Po kopule popęły ogniste punkty, a zebrani zaczęli mamrotać coś cicho, co w efekcie przypominało niski gwar pszczelego ula.

- A jeżeli wybuch zniszczy i samo zwierciadło?

- Zapiski świadczą, że zwierciadło jest mocne jak tarcza. I tak zresztą nie da się inaczej. Nie mamy dość ludzi, żeby zajęli i utrzymali miasto, podczas gdy my moglibyśmy wyjmować to lusterko po kawałku.

- Wy nie tylko obudzicie miasto... takim hukiem poderwiecie na nogi nieboszczyków!

- I będą mogli pomachać na pożegnanie urządzeniu, o którym nawet nie wiedzieli, że je mieli.

Ogniki lontów przygasły... przez chwilę wszyscy czekaliśmy w napięciu na rezultat. Powietrze rozdarła seria huków, gdy wybuchały kolejne ładunki. Nawet Sokar podskoczył. Runęły kamienie i tynk z brudnych aniołów na sklepieniu, a z kaplicy do nawy głównej buchnęła fala śmierdzącego dymu i kurzu, po czym usłyszeliśmy zgrzyt i brzęk, gdy na posadzkę spadło coś metalowego.

Przebiegliśmy przez chmurę dymu i spojrzeliśmy wzwyż. Zobaczyliśmy zarysy wielkiego, metalowego dysku spoczywającego w rozpiętej pod sklepieniem sieci lin. Dysk był z brązu, miał sześć metrów średnicy i połyskiwał metalicznie w miejscach zadrapań spowodowanych upadkiem.

Serce biło mi jak młotem. W dwa tysiące lat po śmierci przebitego rzymskim mieczem Archimedesza jego najbardziej przerażający wynalazek - może to zresztą była kopia jakiegoś wcześniejszego urządzenia - miał oto zostać ponownie ujawniony światu.

- Szybko! Opuśćcie je! - krzyknęła Aurora. - Liczy się każda chwila!

W mieście rozlegały się już jęki dzwonów. Niektórzy powyjmowali spod opończy muszkiety i pistolety i ukrywając się przy wyjściu z nawy, wyglądali niespokojnie na plac przed nią. Inni wspięli się ku zwierciadłu. Poprzecinano liny i prowizoryczny hamak wraz z zawartością opuszczono powoli na marmurową, pokrytą gruzem posadzkę. Wysoko nad nami resztki kopuły sklepienia sterczały w niebo jak potworne kły.

Nasze znalezisko miało może centymetr grubości i ukształtowało się niczym płaski, odwrócony dnem do góry puchar. Wewnątrz umieszczono kolejne brązowe panele przyłączone na zawiasach do krawędzi, tak że całość przypominała odwrócony i złożony kwiat. Okultyści szybko obwiązali zwierciadło liną okrętową wokół krawędzi, tworząc prymitywny amortyzator. Potem przymocowano do niego kolejne liny, by postawić je na krawędzi. Niektórzy aż podskakiwali z podniecenia i coraz głośniejszymi radościami pokrzykiwali. Spiż ważył przynajmniej tonę. Całość była dość chwiejna - ogromne koło i trzymający je w równowadze ludzie. Podtoczono je niczym talerz do drzwi katedry i po stopniach na plac. Kolejni zakapturzeni okultyści musieli utrzymać koło, by się gdzieś nie potoczyło.

Gdy wszyscy skupili uwagę na toczeniu zwierciadła, kucnąłem i na zakurzonej posadzce wydrapałem jedno słowo.

Trypolis.

Wstałem, zanim Ozyrys cokolwiek zauważył, podniosłem Harry'ego i wybiegłem na zewnątrz.

W miejscu, gdzie via Santo Landolina łączyła się z placem, pojawiły się pochodnie i usłyszeliśmy okrzyki wzywające nas do zatrzymania się. Biegli ku nam miejscy strażnicy, co ostatecznie wcale nie było dziwne: czyniliśmy hałas nie mniejszy niż strojąca instrumenty orkiestra. Zbezczęściliśmy miejską katedrę, nasz pies zagryzł jednego z księży i usiłowaliśmy ukraść coś zbyt wielkiego, by wrzucić

to na wóz z sianem. W całych Syrakuzach słycać było trzask otwieranych okiennic. Okultyści zatrzymali się na chwilę, unieśli lufy muszkietów i spojrzeli na Aurorę, czekając na jej rozkaz.

I wtedy zagrzmiął huk wystrzału z działa. Ponad placem przeleciały szrapnele, godząc w nadbiegających syrakuzan. Kilku runęło na ziemię, gasząc pochodnie.

Dragut przyciągnął działko z któregoś okrętu i teraz wystrzelił z niego w głąb Landoliny.

- Jazda! Zamroziło was czy co? - krzyknął do znieruchomiłych towarzyszy. - Toczcie zwierciadło, a żywo!
- Wymachiwał garłaczem Smitha, z którego lufy też unosił się dym.

- Daj mi broń - zwróciłem się do Aurory. - Chcę swoją rusznicę.

- Dostaniesz ją, jak udowodnisz, że jesteś z nami.

Wycofaliśmy się razem z mnichami; okultyści popychali dysk tak, że sam się potoczył ku wschodniemu krańcowi placu. Ta uliczka wiodła do fontanny Aretuzy, naturalnego źródła, gdzie Horus bawił się z kaczkami. Był tu też pomost, do którego przycumowano dwa okręty.

Dragut odwrócił się w moją stronę.

- Teraz zobaczymy, Gage, czy ten twój plan się powiedzie.

Za nami rozległy się kolejne okrzyki i otworzono do nas ogień; kule śmigły obok nas i rykoszetowały z osobliwym brzękiem. Ci, których muskał ich powiew, oddychali z ulgą. Jeden z okultystów wydał stłumiony jęk i runął na ziemię; pozostali rzucili się, by mu pomóc.

- Zostawcie go! - krzyknęła Aurora. - Zwierciadło! Do zwierciadła!

- To Anthony!

Wymierzyła pistolet w rannego współwyznawcę i strzeliła. Trafiony szarpnął się i znieruchomiał.

- Nie zostawimy przy życiu nikogo, kto mógłby zdradzić nasze plany!

Pozostali zaczęli pchać zwierciadło znacznie szybciej niż przedtem.

Trzymając synka w ramionach, kopnąłem się ku pomostowi. Szczekanie Sokara obudziło wszystkie psy w mieście i chłopczyk mocniej objął mnie za szyję, w jednakim stopniu przestraszony i podniecony. Owszem, przy pomocy kołysał się na wodzie nowy statek, tak jak to Dragut obiecał. Wskoczyłem na pokład zdobytego przez Berberów brygu o prostokątnych żaglach, którego załogę spuszczone na wodę w szalupach. Okręt nosił miano Zephyr. Zgodnie z moją propozycją Izis Aurory ciągnięto na holu, by w odpowiednim momencie porzucić ją na pastwę fortecznych dział. Obejrzałem się za siebie i usłyszałem kolejny huk pirackiej armatki trzymającej ścigających w szachu. Wielkie brązowe zwierciadło toczyło się po ulicy jak gigantyczna moneta, a mnisi ścigali je, jakby było dziecięcym kółkiem. Masywny dysk robił mnóstwo okropnego zgrzytu i łoskotu.

Za nami, w forcie Castello Maniace na skraju Syrakuz, zapalano pochodnie i budzono garnizon. Żeby wymknąć się z portu, musieliśmy się prześlizgnąć pod jego działami. Jeżeli chciałem uratować synka przed utonięciem, musiałem się modlić o to, żeby moja sztuczka nie zawiodła.

Stałem na rufie przy relingu, gdy dysk zwierciadła wtoczono na pokład po drewnianym trapie i umieszczono pomiędzy masztem głównym i stermaszem. Kilku ludzi opuściło go łagodnie na pokład - dysk był tak wielki, że jego krawędzie wystawały po obu stronach poza nadburciem. Gdy okultyści i piraci zgromadzili się na pokładzie, Dragut kazał obrócić trap, tak by stworzyć pomost pomiędzy nadbudówką i

pokładem głównym, żeby marynarze mogli się dostać na szczyt zwierciadła. Odrzucono cumy, nad pokładem zakwitły żagle i wiosłami odepchnięto kupiecki statek od pomostu. Na szczęście nocna bryza szybko wydeła żagle, choć karabinierzy, żołnierze i rozjuszeni księża wbiegali już na pomost, przy którym kotwiczyliśmy. Z pokładu holowanego za nami okrętu korsarskiego zagrzmiały dwa działa, rozpraszając prześladowców. Nad naszym statkiem załopotała flaga Królestwa Obojga Sycylii, podczas gdy piraci na swoim podnieśli proporzec Trypolisu. Był to podstęp i mogłem się tylko modlić o to, by Sycylijczycy dali się nabrać na czas dostatecznie długi, żeby mój synek pozostał przy życiu.

- Harry, pamiętasz, jak ci mówiłem, żebyś w razie czego zszedł pod pokład i ukrył się wśród zwiniętych żagli? Teraz nadszedł ten czas.

- Nie! Chcę patrzeć! - Chłopczyk gapił się na wszystko szeroko otwartymi oczami.

- To zbyt niebezpieczne! Bądź dobrym chłopcem i zejźdź pod pokład. Dostaniesz cukierki!

Od fortu, który musieliśmy minąć, dzieliło nas kilkaset kroków wzdłuż morskiego muru Syrakuz i widziałem, że zapala się tam coraz więcej pochodni. Po szczycie muru biegali ludzie, którzy rychtowali działa. Były to dwudziestoczwierofuntówki, zdolne do rozwalenia naszego pękatego okrętu i jego ładunku. Gdy nabieraliśmy szybkości i w tempie marszu przemykaliśmy nad płyciznami, zwróciłem się do Draguta:

- Jeżeli chcecie zrobić z nich durniów, to teraz! Machnął ręką.

Płynący za nami i ciągnięty na niewidocznym holu korsarski okręt Aurory podniósł własny żagiel. Dziobowe działko, nabite ot, starymi szmatami, więc niczym groźnym, wypaliło jakby w nasz okręt, my zaś zareagowaliśmy

podobnie ogniem dwu dział rufowych - z daleka wyglądało to tak, jakby korsarz ścigał Zephyra. W powietrze frunęły płonące strzepy szmat. Mnisi i piraci, którzy zgromadzili się na pokładzie kupieckiego statku, kucnęli za nadburciem, tak by wyglądało na to, że statek ma nieliczną załogę, podczas gdy garść ukrytych na Izis zuchwalców poustawiała na pokładzie strachy na wróble. W ciemnościach można się było dać nabrać - okręt Aurory można było wziąć za drapieżcę pełnego żądnych łupu rabusiów.

Plan był taki, żeby nasz okręt wyglądał jak zrozpaczona ofiara i żeby Sycylijczycy skupili ogień na niemal pustym korsarzu.

Zerknąłem niespokojnie na fort. Pełne podniecenia okrzyki w Castello cichły, w miarę jak oficerowie przywoływali ludzi do porządku. Otwierano jeden po drugim okiennice ambrazur. Słyszeliśmy jęk lin i wielokrażków, gdy wysuwano kolejną kolubrynę; na nasz mizerny okręcik skierowały się wyloty wielu luf. Sprężyliśmy się w oczekiwaniu na grad kul, które rozniosą Zephyra w drzazgi, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Przed paszcze fortecznych dział wpłynął okręt korsarski.

Jego szkieletowa załoga opuściła się do łodzi przy przeciwległej do fortu burcie i cicho odpłynęła o wiosłach.

W końcu usłyszeliśmy okrzyk komendy i lufy fortecznych dział plunęły ogniem. Usłyszeliśmy wycie metalu, który pieczętując zniszczenie, przebijał jak papier drewno kadłuba pirackiego okrętu.

Aurora zamachnęła się kordelasem i przecięła linę holowniczą, choć Dragut krzywym grymasem skwitował grad kul, które spadły na smukły okręt flagowy. Po uwolnieniu steru Izis popłynęła swoim kursem.

- Fuoco! Sparare! - rozległy się podniecone wrzaski z fortecznych murów.

W kadłub pirackiego okrętu uderzyły kolejne pociski działowe, a w powietrze frunęły fontanny drzazg. Poprzecinany na strzępy żagiel nie dawał już dostatecznej siły parcia, a poszarpany takielunek runął, zasyłając pokład kawałkami lin i płótna. Korsarz wpadł w dryf i zakołysał się bezwładnie na falach, co forteczni kanonierzy przyjęli okrzykami tryumfu.

W naszą stronę nie skierowano ani jednej lufy.

Po kolejnej komendzie forteczna artyleria znów plunęła ogniem i żelazem. Na okręcie Aurory eksplodowała baryłka z prochem i wszystko zajęło się ogniem. Płomienie ułatwiły celowanie i w śródkręcie znów ugodziły kule. Na miejskiej plaży zgromadzili się cywilni mieszkańcy, którzy otworzyli ogień z muszkietów, waląc w pusty okręt i manekiny. Rufa korsarza zaczęła się wolno zanurzać w wodzie.

Przemknęliśmy obok krańca fortu i podążając ku otwartym wodom, nabieraliśmy szybkości.

Aurora przeniosła spojrzenie z Izis na zwierciadło.

- Uczciwa wymiana - mruknęła. - Zniszczyłeś mój okręt, Ethanie, i winna ci jestem uznanie. To pozbawiona wszelkich względów mądrość, którą stosujemy do wszystkiego.

Sycylijczycy oczekiwali może, że nasz statek przerwie ucieczkę i zawróci ku zbawcom, którzy ocalili go przed piracką drapieżnością. Może spodziewali się, że zwolnimy, oddamy w stronę fortu salut flagowy, zapalimy latarnię lub ogłosimy radość okrzykami i wiwatami.

Zamiast tego kilkunastu piratów po cichu wspięło się na reje, żeby postawić kolejne żagle. Coraz szybciej znikaliśmy w mroku, zwierciadło Archimedesza kołysało się na podporach. Najjaśniejszym źródłem światła była płonąca Izis, przyciągająca hipnotycznie spojrzenia mieszczuchów i żołnierzy z fortu, podczas gdy my przepadaliliśmy w mroku nocy.

W tym samym czasie, kiedy Sycylijczycy spuścili na wodę łódź i przekonali się, że ostrzelali opuszczony okręt, szkieletowa korsarska załoga podniosła żagiel na szalupie i dobiła do naszej burty. Wciągnęliśmy ich na pokład i przemknęliśmy przez portową gardziel, opuszczając wybrzeża Sycylii z kilkoma tylko kulami w pokładzie. Największy skarb wyspiarzy był nasz - i miał zostać ponownie odtworzony w Trypolisie.

- Gdyby bogowie sobie tego nie życzyli, czy tak by nam ułatwili zadanie? - zapytała kompanów Aurora.

Odpowiedziała jej salwa śmiechu.

Teraz berberyjscy piraci mogli podpalać jakąkolwiek wysłaną przeciwko nim flotę.

ROZDZIAŁ 30

Popłynęliśmy na południe przez cieśninę Noto, zmyliwszy najwyraźniej wszystkich, którzy chcieli nas ścigać. Gdy oddaliliśmy się od Syrakuz, o wschodzie słońca zszedłem do ładowni i odszukałem ukrytego wśród żagli Harry'ego. Obaj owinęliśmy się płótnem, chłopczyk spoczął w moich ramionach, ale mimo wyczerpania nie zdołałem zasnąć. Czy skoro znalazłem zwierciadło i wypełniłem moją część umowy, Astiza, Horus i ja zostaniemy uwolnieni? Czy wolno nam będzie poszukać spokojnego miejsca, podczas gdy okultyści będą składać swoją przeklętą machinę? Jediną nadzieję pokładałem w tym, że zdołam uprzedzić świat, by przygotować go na skutki tego układu. Ale Dragut, Aurora i Ozyrys bardziej niż kiedykolwiek byli przekonani, że stałem się ich współnikiem.

W końcu zasnąłem kamiennym snem. Gdy wstałem, zobaczyłem, że mimo burzliwej nocy „mnisi” zabrali się do badań zwierciadła. Oglądali je uważnie i zastanawiali się, jak mogło działać. W miarę jak słońce unosiło się coraz wyżej, załoga ustawiła płócienne zadaszenie, ponieważ - nawet zakurzone i pokryte zadrapaniami - lustro było oślepiająco jasne. Piraci obawiali się, że może podpalić ich własne ożaglowanie i takielunek.

Tego wieczoru stanęliśmy na kotwicy u południowo - wschodniego przylądka Sycylii, przy małej wysepce zwanej Capo Passero. Gdy słońce zniknęło na zachodzie za sycylijskimi wzgórzami, okultyści, zabezpieczywszy lepiej zwierciadło, przygotowali się do ceremonii w ładowni. Co ciekawe, odkryłem, że dzięki mojemu pomysłowi, by poświęcić korsarski okręt Aurory, żeby ułatwić nam ucieczkę, stałem się bohaterem załogi. Nawet mojego synka, który obudziwszy się, odzyskał siły, traktowano jak dzielnego

przyszłego rabusia i śmiałka. Wszystko to ogromnie ucieszyło Harry'ego, bo piraci dali mu kapelusz.

Z Syrakuz nikt nas nie ściagał. Możliwe, że miejscy oficjele i kapłani nie bardzo nawet wiedzieli, co im zabrano. Gdy więc zabezpieczono zwierciadło, zaryzykowaliśmy i zapaliliśmy latarnie. Cieśle wycięli część nadburcia po obu stronach, żeby ustabilizować pozycję lustra na pokładzie, podczas gdy wyznawcy rytu zaczęli szkicować i mierzyć starożytne urządzenie. Miało bardziej skomplikowaną konstrukcję, niż sądziliśmy. Główna powierzchnia była jakby ogromną płytką czarą, wyklepano ją jednak młotkami, tak że przypominała płytę złożoną z sześciokątów jak pszczeli plaster, i była tysiącem zespolonych małych lusterek. Były też części połączone z czarą zawiasami i przylegające do środkowej jak złożone płatki kwiatu. Rozłożone podwajały promień zwierciadła. Można je też było obracać wzdłuż osi. Na odwrotnej powierzchni wyryto jakieś napisy, o czym powiadomił nas Dragut, kiedy wczołgał się pod spód. Był to dokładny szkic rusztowania, które miało podtrzymywać urządzenie i umożliwiać mu obroty z liniami wskazującymi, jak orientować „płatki” względem słońca.

- To jest proste jak szkło powiększające i skomplikowane niczym zegarek - powiedział. - Uczeni rytu będą mieli nielichą trudność z właściwym ustawieniem zwierciadła. Jest tu więcej lin niż na scenie operowej.

Niełatwo nim manipulować, ale łatwo je uszkodzić, pomyślałem, ale się nie odezwałem.

- Ozyrys wszystko pojmie - stwierdziła przepelniona radością Aurora. W końcu się wyspała i wyszła na pokład rozpromieniona. Jej egipski porucznik okultysta kuśtykał wokół zwierciadła, robiąc pomiary i kreśląc szkice. - Ozyrys i Ethan, dwaj nowi przywódcy myśli nowego wieku! - dodała z entuzjazmem

- Biorąc pod uwagę to, że okaleczyłem twojego inżyniera i że to z mojej winy kuleje, nie zapowiada to najlepszej współpracy - odpowiedziałem.

- Bitewna rana, niewiele tylko różniąca się od tej, jaką ci zadałam w Ameryce - stwierdziła beztrąsko. - Rany się zaleczą, a umysły sobie przebaczą. Prawda, Ozyrysie?

- Zobaczymy, co twój elektryk może dla nas zrobić.

- Tak, mój elektryk!

- Twój pomagier, sykofant, kochanek i niewolnik.

- Nie jestem żadnym z nich - sprzeciwiłem się. - A skoro dopełniłem swojej części układu, moja rodzina jest teraz wolna, prawda? A ty, kim naprawdę jesteś, gdy nie jesteś zrobiony na eunucha w haremie jakiegoś emira? Brudnocnik? Lord Bezgrosik? Księżę Nadymek?

- Nie jesteście jeszcze całkowicie wolni - przerwała mi Aurora.

- Daj spokój. Powiedziałaś, że jeżeli pomogę ci znaleźć zwierciadło, pozwolisz odejść Astizie z Horusem. Tam jest ta spizowa micha, za pomocą której możesz spalić, kogo zechcesz. Dotrzymaj swojej części umowy.

- Och, młody Horus nie zostanie sprzedany w niewolę. A ta twoja egipska dziwka może sobie pójść, dokąd zechce. Ale jest jeszcze jedna sprawa, którą ty i ja musimy załatwić, zanim pozwolimy jej opuścić harem Jussufa. Jak ci powiedziałam w Ameryce, mamy ze sobą pewne porachunki.

- Co takiego? Zrobiłem dokładnie to, czego chciałaś!

- Ethanie, zdecydowałam, że się pobierzemy.

- Pobierzemy się? - Zatkalo mnie tak jak wtedy, gdy mi przedstawiono synka. Pomyślałem, że Aurora zaraz roześmieje się ze swojego żartu, ona jednak miała poważną minę i przemówiła bardzo rzeczowo.

- Małżeństwo da Horusowi odpowiednią matkę i uprawomocni jego pochodzenie. Wychowam go na akolitę

rytu, a gdy dorośnie, będzie księciem gotowym do objęcia władzy nad światem.

- Ale my się nienawidzimy!

- To prymitywny i uproszczony sposób przedstawienia naszych wzajemnych stosunków. - Wskazała palcem na zwierciadło. - Odpychamy się, ale i pociągamy nawzajem. Gardzimy sobą, ale zrobię z ciebie małego, samodzielnego króla, ponieważ wiem, jak nienawidzisz podobnej odpowiedzialności, choć zarazem mnie pożadasz. Nie wypieraj się swoich tęsknot! Widziałam cię w tej pieczarze ech pod Syrakuzami! Widziałam to w kabinie na Izis. Jesteśmy skuci ze sobą łańcuchem przeznaczenia. Zamierzam cię poślubić i przywiązać do siebie na zawsze, a jeżeli będziesz nieszczęśliwy, widząc, jak narzucam swoje idee twojemu synkowi... cóż, tym lepiej! - Jej oczy nagle zapłonęły. - Poślubisz mnie, bo musisz mi służyć! - Jej dobry nastrój nagle gdzieś się ulotnił. - Poślubisz mnie, żebyś nigdy nie mógł przede mną uciec!

Nic dziwnego, że nigdy nie było mi spieszo do ołtarza.

- Nie jestem najlepszym kandydatem na męża. - Jeżeli nie poślubisz mnie tej nocy, tu na tym statku,

Horus i Astiza zostaną sprzedani w najgorszą z możliwych do pomyślenia niewolę, a ciebie ponownie się odda Omarowi, żeby cię złamał. Ale jeśli zwiążesz się ze mną małżeńskim węzłem, jeżeli pomożesz nam ustawić i uruchomić zwierciadło, będziesz rządził u mojego boku, a twój syn odziedziczy władzę, o jakiej nawet Bonapartemu się nie śniło. Król Jerzy i Jefferson staną się jego sługami, a cesarze Rosji i Austrii będą przed nim padać plackiem na twarze.

- To nie ma sensu. Z powodu jednej tylko broni?

- To tylko pierwsza ze starożytnych tajemnic, które zgłębimy, i tylko pierwsze zwierciadło z miliona... jeżeli tyle będzie nam potrzebne! Podpalimy całe narody i nastanie

koniec świata, jak Ragnarok waszej Norwegii. Ty i ja, Ethanie, staniemy ponad wszelkimi prawami, pełnymi hipokryzji zasadami, moralnością i skrupułami. Będziemy robili wszystko, co zechcemy każdemu, komu zechcemy, bo zawładniemy magią bogów, którzy kiedyś stąpali po tej ziemi. Staniemy się istotami doskonałymi, bo to my będziemy wzorcami doskonałości.

Wiedziałem, że jest szurnięta, ale nie spodziewałem się, że aż tak. Była kurtyzaną okultystów w tej osobliwej kupieckiej bandzie pogan i rzezimieszków, a chełpiła się niczym sama królowa Saby. Nie znajdowałem się na pirackim statku, trafiłem do domu wariatów. Zdesperowany zamknąłem oczy.

- Auroro, nie poślubię cię. Nie jesteś matką mojego synka.

- Poślubisz mnie dziś o północy albo natychmiast oddam twojego synka Maurom Draguta, żeby się z nim zabawili po swojemu! Poślubisz mnie albo usłyszysz jego jęki, a potem opowiesz o tym swojej egipskiej dziwce, zanim Jussuf ją sprzeda w najbardziej poniżającą niewolę!

- Nie tak się umawialiśmy!

- Nigdy nie pytałeś dokładnie o warunki naszej umowy. A ja ci nie mówiłam, bo jesteś zbyt głupi, by wykorzystać szansę zostania królem. Więc cię do tego zmuszę, przymusem wciągnę do łóżka, a po pewnym czasie będziesz mnie wielbił tak, jak na to zasługuję.

Nie ulegało wątpliwości, że bardzo wysoko się ceni, co zawsze jest problemem pięknych kobiet. Przyznam, że niekiedy sam popełniam ten grzech. Patrzyłem w morze, a w głowie kotłowały mi się rozmaite wściekłe myśli. Żaden związek zawarty wśród tych rzezimieszków nie będzie nigdzie uznany za uświęcony czy zgodny z prawem. Czy nie powinienem ciągnąć tego oszustwa, aż w końcu zdołam jakoś wydostać Astizę i Horusa z łap tej zdradzieckiej dziwki?

Chciała mnie poślubić, żeby mnie dręczyć, trzymać mnie przy sobie i zmuszać codziennie do pokuty za to, co zrobiłem jej bratu. Ale wejść w małżeńskie łóżko z kobietą, która zabiła moich przyjaciół? Nie mógłbym nawet udawać, że jestem do czegoś takiego zdolny. A jednak jakim miałem wybór, gdy ona wciąż miała w ręku małego Horusa? Otaczała mnie setka nastawionych wrogo fanatyków i marzycieli, a moi niedawni przyjaciele prawdopodobnie wierzyli, że zdradziłem swój kraj.

- Sprawię, że znienawidzisz to małżeństwo tak samo jak ja.

- Och, nie sądzę, Ethanie. Nie, nie uważam, żeby zaistniała choćby najmniejsza szansa na taki obrót wydarzeń. - Odwróciła się do Ozyrysa. - O północy ma się odbyć uroczystość! I przyprowadź chłopca, żeby wszystko mógł zobaczyć! - Uśmiechnęła się do mnie. - Jestem pewna, że zdołam uwieść was obu.

ROZDZIAŁ 31

Nad opuszczoną wysepką wstał pomarańczowy księżyc, równie wielki jak tarcza porwanego zwierciadła, a gdy wspiął się wyżej i pojaśniał, zabarwił statek srebrem. Wyznawcy rytu egipskiego zebrali się w ładowni; spod jej pokrywy też bił pomarańczowy blask. Zaniepokojeni piraci przeszli na dziób, gdzie gniewnymi pomrukami kwitowali konieczność współpracy z Szatanem, poganami i niewiernym chrześcijaninem. Owszem, byli rzezimieszkami, ale Aurora i okultyści napełniali ich przesadnym strachem. Ci samozwańczy entuzjaści dawnych bogów wyglądali na bardziej bezwzględnych od wszelkich bukanierów i Maurowie odczuwali niepokój.

Nie zamierzałem ich pocieszać ani dodawać im ducha.

- Ludzie, którym przewodzi ta kobieta, to wyznawcy piekielnych kultów, Dragucie - zwróciłem się do mojego ciemniźcyela. - Przez sojusz z nimi skazujecie swe dusze na wieczne zatracenie.

- Milcz, Amerykaninie. Nie masz na świecie człowieka, w którym dobro i zło jest bardziej pomieszane niż w tobie.

- Sądzisz, że oni użyją tego zwierciadła wyłącznie przeciwko chrześcijanom? Aurora chce rządzić światem, a osmańscy Turcy są bliżej niż Europejczycy. Dajesz broń diabolicznej wiedźmie, która zacznie od złupienia twoich ziomków.

- Nie mam ziomków. Hamid Dragut polega wyłącznie na samym sobie.

- Bzdura. Zaprzedałeś się grupie ogarniętych szaloną żądzą władzy pogan.

- Tak samo jak ty zaprzedasz się dziś o północy!

- Nie mam wyboru. Mój Boże, jakiej podłości trzeba, by zmuszać mnie do małżeństwa, szantażując życiem synka.

Żeby mogła mnie dręczyć do końca życia? Jakież jest w tym sens?

- Ci ludzie są posłuszni innym prawom. Gdy jesteśmy w ich świecie, nic nie możemy wskórać, a pod tą pokrywą jest ich świat. Jak my wszyscy, zawarłeś umowę, która wiąże ci ręce. Aurora obiecuje, że da Trypolisowi zwycięstwo. Może, jak to mówią, tak zostało napisane.

- Nie sądzę, żeby zapisano, iż banda bluźnierców postawi świat na głowie. Trypolis rozjuszy tylko Anglię i Francję, które wypowiedzą wam wojnę. Kobieta, z którą się sprzymierzyliście, pociągnie was za sobą w przepaść.

- Nie, obiecała nam bogactwa. Nie dostrzegasz przyszłej fortuny, która cię wabi ku sobie.

- Dostrzegam tylko ogień wojny.

W tejże chwili na pokładzie pojawił się Ozyrys; widok, jak kuśtyka, sprawiał mi nieustanną satysfakcję. Może zdołałbym mu odrąbać kilka innych części ciała? Obdarzył mnie wrogim spojrzeniem.

- Już czas, Amerykaninie. Zabieram cię w podróż przez świat podziemny, gdzie zostaniesz osadzony, czy jesteś godzien, jak każe egipska Księga Umarłych.

- Świat podziemny?

- Gdy Brytyjczycy schwytali Czarnobrodego w pułapkę u brzegów obu Karolin, zapędził swoją załogę do ładowni i zapalił powtykane w kapeluszu zapalki, żeby dym i zapach siarki dały im posmak piekła. Chciał, żeby jego piraci bali się życia w zaświatach tak bardzo, by nigdy nie przyszło im do głowy się poddać. Z obawy przed piekłem walczyli jak demony. My, wyznawcy rytu, mamy inny rodzaj podróży, który oczyszcza i daje oświecenie. Przygotuje cię dla Aurory.

- Co takiego? Mam udawać dziewczyną westalkę? Skinieniem dłoni wskazał kłapę ładowni i wabiące światło.

- Podejrzewam, że dziewictwo jest poza twoim zasięgiem.
Będziemy ważyć twoją duszę i twoją odwagę.

- Ważyć moją duszę? Twoja własna jest bryłą węgla!

- Chodzi o ciebie i Aurorę.

Bywa, że jedyną rzeczą, jaką możesz zrobić, to płynąć z prądem i wypatrywać swojej szansy. Ruszyłem ku ładowni, patrząc na mgiełkę dymu kadzideł unoszącą się spod klapy. Postanowiłem ostatecznie przejść się po Hadesie. Wyprzedzając idącego za mną Ozyrysa, zstąpiłem pod pokład, do gorącej i pełnej dymu z setek świec ładowni.

Trafiłem do świata snu pełnego stworów z koszmarów faraona. Członkowie Łoży Rytu Egipskiego - bo uznałem, że z nimi to właśnie mam niehonor - mieli białe, czerwone i czarne długie, powłóczyste szaty i łby szakali, sokołów, węzów, psów i lwów. Zamiast oczu mieli wycięte w maskach niczego nieujawniające szczeliny, a ich odzienie było tak luźne i pozbawione kształtów, że nie mógłbym się nawet domyślić płci noszącej je osoby. W tej piekielnej mgiełce błyskały dzioby, kły, i widziałem palce poprzykrywane sztucznymi pazurami, które z trzaskiem wyciągały się ku mnie, żeby mnie ściągnąć w dół i do środka. Rozkaszałem się, łzawiąc obficie, oni zaś otoczyli mnie kręgiem i zaczęli się poruszać, tak że zrobiło mi się niedobrze. Z fletów i bębenków dobywali dźwięki pogańskiej, prymitywnej muzyki. Podawano mi też puchary z jakimiś trunkami; po ich wypiciu moja dezorientacja i oszołomienie jeszcze wzrosły.

W końcu, popychany i pociągany za rękawy przez te ludzkie bestie, potykając się mocno, znalazłem się w środku zgromadzenia. Stała nade mną jakaś cygańska wiedźma i nie umiałbym powiedzieć, czy jest przebraną szlachetną damą, czy transylwańską czarownicą. Trzymała niewielką spiżową wagę z szalkami.

- Pielgrzymie, czy mamy zważyć twoje grzechy, kładąc je na jedną szalę, podczas gdy na drugiej spocznie piórko? - zapytała ze szklistym błyskiem w oku. - Tych, których dobre czyny nie przeważają szali na ich korzyść, pożre krokodyl.

- Robiłem, co mogłem.

Parsknęła drwiącym, pełnym niedowierzania śmieszkiem.

A potem z tłumu wyłonił się smok wleczony na jasnożółtej smyczy.

Nie był to właściwie smok, ale największy i najbardziej paskudny jaszczur, jakiego zdarzyło mi się widzieć, jakieś przedpotopowe stworzenie długie na dobre dwa i pół metra, z rozdwojonym jęzorem i jasnoróżową paszczą pełną zakrwawionych zębisk. Był równie przerażający jak krokodyl! Z rozdętymi nozdrzami bestia zaczęła węszyć u moich łądźwi, ja zaś się cofnąłem, co zgromadzeni skwitowali pełnymi satysfakcji okrzykami. Było to żywe, prawdziwe zwierzę na łapach zakończonych paskudnymi pazurami, ale nigdy jeszcze takiego nie widziałem i nie mógłbym go sobie wyobrazić. Potwór miał skórę pokrytą lśniącymi, twardymi niczym ogniwa zbroi łuskami i śmierdział zgniłym mięsem. Był to jakiś ożywiony średniowieczny koszmar nerwowo poruszający długim ogonem.

- Mroczne puszcze naszego świata zamieszkują stwory, o jakich ludziom się nawet nie śniło - szepnął mi w ucho Ozyrys. - Tego sprowadziliśmy z dżungli Wysp Korzennych, gdzie granica pomiędzy światami nie jest tak trwała, jak myślimy. Granice niebiańskie też nie są tak absolutne, jak każą nam wierzyć oficjalne religie. Obserwują nas dziwne istoty i niekiedy bywamy powołani.

Pomyślałem o Czerwonym Gnomie Napoleona i mimowolnie się wzdrygnąłem. Zapełniający tę zasnutą mgiełkami ładownię ludzie o zwierzęcych głowach skwitowali

moją konsternację pomrukami, ja zaś postanowiłem nie dać im żadnej satysfakcji.

- To tylko paskudny jaszczur.

- Ethanie, daj nam swoją duszę, a my zatrzymamy granicę pomiędzy niebem i piekłem. Na wieczność całą pogrążysz się w świecie nieskończonej rozległej władzy nad wszystkimi kobietami i mężczyznami, uwielbianej magii i nieprawości. Twoimi niewolnikami staną się piekielne stwory i anioły. Nikt nie zdoła odróżnić zła od dobra, a sprawiedliwe będzie to, co ty za sprawiedliwe uznasz.

- Izyda i Ozyrys! - zawyli zgromadzeni w ładowni wariaci i fanatycy.

- Przejdź ze mną obok smoka ku nowej światłości. Przepchnęliśmy się ku rufie statku. Wielki jaszczur, targając smycz, gapił się na mnie bezlitosnymi ślepiami i wysuwał rozdwojony język, jakby węszył jakieś ścierwo. Bydłę było jakby żywcem wyciągnięte z głębin czasu, które pragnął zbadać Cuvier.

Uważam, że lepiej nie budzić bestii przeszłości.

Oszołomionymi oczami gapiłem się na kostiumy kruków, niedźwiedzi, ropuch, ślepych kretów, wilków o ostrych kłach i byków z rozdętymi nozdrzami. Chwytały mnie jakieś zakończone szponami dłonie. Ludzie śpiewnie powtarzali moje imię. Po torsach innych poprzebieranych za zwierzęta ludzi przesuwwały się szponiaste ręce pokryte łuskami. W wielu paszczach tkwiły fajki, z których wydobywały się cuchnące dymy. Potwory pieściły się wzajemnie i obracały tanecznymi krokami. Mnie zaś, dławiącego się jeszcze i oszołomionego dymami, wepchnięto do położonej na rufie okrętu kabiny, gdzie czekało mnie inne towarzystwo.

Aurora Somerset.

Kabinę ciasną i gorącą oświetlała kolejna setka świec. Na ścianach pozawieszano migotliwe jedwabie, żeby

przekształcić kajutę w perski pawilon, a pokład wyłożono misternie tkanymi w arabski dywanami. W rogach poukładano poduszki i piękne szarfy. Z cienia obserwowały nas posąжки dawno zapomnianych bogów: zobaczyłem więc Anubisa o głowie szakala, podobnego do sokoła Horusa, jakiegoś potwora z rozwartą paszczą, w którym odgadywałem Baala, i oczywiście posąg węża o złotozielonych łuskach, który musiał być moim starym znajomym Apofisem, wężem świata podziemnego i odpowiednikiem Nidhogga Skandynawów. Aurora, której ogniste kędziory płonęły jakby w blasku świec, stała wyprostowana, obleczone w błękitną, obrębianą złotem szatę. Szyję, uszy i palce ozdobiła egipskiej roboty klejnotami, oczy podmalowała cieniem do powiek, a wargi pokryła szkarłatną pomadką. Wyglądała królewsko i niepokojąco egzotycznie, jak kiepska kopia Astizy. Natychmiast też zdałem sobie sprawę z tego, że za mną stanął półokrąg nagich do pasa mężczyzn w pretensjonalnie masońskich fartuchach. Wypchnęli mnie naprzód; Ozyrys stał tuż za mną. W tejże chwili zobaczyłem u boku Aurory małego, obleczonego w ciężkie szaty chłopczyka. Gdy wstąpiłem w krąg światła świec, dzieciak uśmiechnął się do nas na pół radośnie, na pół ze strachem, i pisnął:

- Tatku!

Odziany był niczym miniaturowy wschodni możnowładca: na głowie miał jedwabny turban, bufiaste szarawary i ozdobiony klejnotami pas. Absurdalność całej sytuacji ugodziła mnie niczym przeszywająca serce strzała. Byliśmy statystami w sztuce, zabawkami jakiejś okultystycznej fantazji i wiedziałem, że wszystko to bardzo źle się skończy. Dzięki duchowi Jerzego Waszyngtona, że nie było tu Astizy i że moja egipska kochanka nie widziała tej szopki! Ani starego Bena Franklina, który nie cierpiał głupot i mistycyzmu, choć uwielbiał dobrą zabawę.

- Chodź do mnie, Harry - odezwałem się oszołomiony i zdezorientowany.

- Nie! - odezwała się władczo Aurora. - Zostań, mój synu. Chłopczyk się zawahał.

- Twój ojciec musi przyjść do nas.

Ruszyłem więc przed siebie, podczas gdy Ozyrys przemknął obok mnie, stanął za Aurorą i obleczonymi w klejnoty palcami zsunął jej płaszcz z ramion. Wszyscy obecni w kajucie mężczyźni głośno westchnęli, ponieważ Aurora miała teraz na sobie przejrystą, spiętą w kibici złotym pasem szatkę z cienutkiego lnu, która niczego nie zostawiała wyobraźni. Aurora była piękna jak zawsze, miała cerę koloru dojrzałej brzoskwini, a jakaś osobliwa sztuczka ze światłem sprawiała, że jej ciało lśniło niezwykłą poświatą, jakby była nie z tego świata. Obrzucając mnie zaborczym spojrzeniem, uśmiechnęła się tryumfalnie.

- Pokłońcie się Izydzie i Atenie! - zawołał Ozyrys. - Madonnie czarnej i białej, bogini Ziemi, królowej Niebios i dawczyni światłości! Uznajmy jej boskość, by zastąpiła upadłych, uświęćmy jej nowego małżonka i syna, by mogła zająć swe miejsce jako przywódca Łoży Rytu Egipskiego i twórczyni tyranii ducha! Któregoś dnia pokłonią się jej wszyscy książęta, a rycerstwo rytu będzie wielbione tak jak ona i zawładnie światem w jej imieniu. Jest matką, dziwką, kapłanką, prorokinią, a jej małżonek na zawsze pozostanie jej sługą!

Mogłem się zgodzić z tym, że Aurora jest dziwką, ale niechby mnie diabli wzięli, gdybym pozwolił jej na to, by paradowała bez odpowiedniej bielizny, udając matkę Harry'ego albo moją panią. Odzyskiwałem powoli przytomność umysłu. Cała ceremonia nie tylko była iluzoryczna, ale też mocno mnie śmieszyła. Wcale mnie też nie zdziwiło, że nigdzie wokół nie dostrzegłem berberyjskich

piratów. Potrafili rozpoznać bluźnierstwo, gdy na nie patrzyli, odgadywałem więc, że teraz bojaźliwie tłoczą się przy bukszprycie i czekają na gniew Allaha, który położy kres temu całemu wariactwu. Niestety, z nieba nie gruchnął żaden piorun i nie zwałił żadnego posągu fałszywego bóstwa. Wraz z gromadą wariatów opóźnionych o tysiące lat utknąłem w samym sercu koszmaru i nie widziałem żadnej możliwości przerwania tych idiotyzmów. Kobieta, która mnie odtrąciła i przebiła włócznią, proponowała mi trwały związek małżeński, w którym miałem doznawać samych udręk, dopóki śmierć nas nie rozdzieli.

- Czy połączymy świętą - Ozyrys wskazał na Aurorę - i profana?

Możecie zgadywać, kogo wskazał, i nie będą się upierał przy twierdzeniu, że odczułem to jako pochlebstwo.

- Tak jest przepowiedziane! - ryknęli zgromadzeni w kajucie.

- Czy połączymy Mądrość z Błazeństwem?

- Tak jest przepowiedziane!

- Matko ziemio, czy przyjmiesz jego nasienie? - Łysogłowy sukinkot znów wskazał na mnie.

- Przyjmę.

Czekałem uprzejmie na pytanie skierowane do mnie, bym mógł pogardliwie odrzucić propozycję. Czekałem. Ale widzicie, to nie miało znaczenia - liczyła się opinia Aurory.

- Oznajmiam więc, że związek zostanie zawarty po skonsumowaniu na poniższym ołtarzu Apofisa i w obecności tego tu Dziedzica Zjednoczenia. - Drań wskazał na Harry'ego.

- No nie, do wszystkich diabłów... - zacząłem, wcale nierozbawiony myślą, że mam się oto popisywać z tą wiedźmą na oczach wszystkich zgromadzonych, nie wspominając o moim synku! Czegoś takiego nie wymyśliliby nawet prawnicy! Zanim jednak zdążyłem wygłosić mój sprzeciw w

całości, wetknięto mi w gębę drewniany knebel, który utwierdzono zawiązanymi na moim karku rzemieniami. Gotów byłbym się założyć, iż jest to raczej rzadko spotykany obyczaj ślubny.

Aurora, lśniąca i rozpromieniona niczym księżyc w pełni i powabna jak kły węża, podeszła bliżej i szepnęła mi w ucho szczególnie jadowitą uwagę:

- To dopiero początek twoich nieustających poniżeń, mój drogi. Będziesz ze mną kopulował przed całym zgromadzeniem i naszym smokiem, by przypieczętować nasze małżeństwo na tym bluźnierczym ołtarzu. Jeżeli tego nie zrobisz, skrzywdzę twojego syna.

Niektórzy ludzie potrafią cię podniecić!

- Zobaczysz - ciągnęła. - Sprawię, że będziesz mnie kochał.

Minąwszy mnie, skierowała się ku ładowni, z której mnie tu przywieziono. Pozostali tam ludzie zaczęli zrzucać szaty, by oddać się własnej heretyckiej ceremonii mszy i zaślubin.

Skazano mnie na nowy rodzaj upokarzającego poddaństwa i niewoli, niewiele tylko lepszego od lochu Omara.

I wtedy wszyscy usłyszeliśmy ostrzegawczy okrzyk z pokładu:

- Amerykański okręt wojenny!

ROZDZIAŁ 32

Moja niedoszła małżonka i pozostali członkowie tego zgromadzenia satanistów i pomyleńców zamarli w bezruchu, co dało mi okazję do skoku za orientalne draperie i wyjrzenia przez okno na rufie. W świetle księżycy zobaczyłem mojego wybawiciela: czarny kadłub, białe furty działowe, łagodnie wydęte żagle i wspaniała, większa niż prześcieradło i dumnie łopocząca na wietrze bandera Stanów Zjednoczonych z piętnastoma pasami i piętnastoma gwiazdami. Najwidoczniej wojenny okręt był gdzieś nieopodal Syrakuz, a jego dowódca zrozumiał wypisaną w kurzu wskazówkę dotyczącą tego, że naszym celem był leżący na południu Trypolis. Teraz zbliżał się do nas z działami gotowymi do strzału, a ja nie mogłem się oprzeć milczącej uciechy z tego, że cała ta banda fanatyków zostanie zmieniona w kupkę krwawych ochłapów. I w ten sposób zakończy się moje małżeństwo!

A potem przypomniałem sobie o niewinnym Horusie.

Musieliśmy jakoś uciec z tej pirackiej balii i to jak najszybciej. Zacząłem stękać i mamrotać coś przez drewniany knebel aż wreszcie ktoś, po pełnej irytacji, ostrej komendzie Aurory mnie od niego uwolnił. Przez chwilę, charcząc i kaszląc, łapałem oddech. Nad naszymi głowami berberyjscy piraci, bębniąc bosymi piętami o deski pokładu, luzowali liny, stawiali żagle i podnosili kotwicę. Kanonierzy rychtowali działa, ale wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że w morskim starciu nasza zdobyczna kupiecka łajba nie sprosta nawet temu niewielkiemu amerykańskiemu szkunerowi.

- Musisz pozwolić odejść Harry'emu i mnie - powiedziałem. - Chłopiec nie jest niczemu winien i nie był częścią układu.

W odpowiedzi capnęła mojego synka jak diabeł duszę.

- Tkwi w tym po uszy dzięki twojej krwi w jego żyłach. Pomyśl lepiej, jak mamy umknąć przed tym szkunerem, Ethanie, bo zależy od tego życie naszego syna.

- Mojego syna.

- Powiedziała ci w Ameryce, że daleko nam do zakończenia porachunków. - Uśmiechała się, szczerząc zęby, i przyciskała do siebie Horusa jak dziecko trzymające lalkę. Szarpał się i wyrywał; irytowały go jedwabie, w które go ubrała, ona jednak trzymała go jak kleszczami.

Usłyszeliśmy plusk kuli za burtą i w sekundę później huk amerykańskiej armaty, z której ją wystrzelono. Moi ziomkowie oddawali próbne strzały.

Rzuciłem się na Aurore.

Uderzyłem ją barkiem, jakbym atakował solidne dębowe drzwi, celowo mierząc głową w jej czerep. Mały Harry krzyknął, gdyśmy się zderzyli, i rozdzierając jedwabne draperie, runęliśmy na pokład. Posągi dawno zapomnianych bóstw poprzewracały się razem z nami i potoczyły po deskach. Zaraz potem buchnęły płomienie, gdy jedwab zajął się od obalonych świec, a okultyści z wrzaskiem zaczęli gasić padające na nich iskry. Chwyciłem Harry'ego i spróbowałem go wyrwać z ramion wijącej się pode mną wiedźmy, ona jednak, sycząc na mnie nienawistnie, trzymała go jak gotowa gryźć i drapać kocica.

Rozbiłem i zakrwawiłem jej nos, co nappełniło mnie nieziemską satysfakcją.

W tejże chwili ktoś oderwał mnie od niej i cisnął w drugi kraniec kabiny. Uderzyłem z hukiem o gródź i osunąłem się po niej w dół.

Do szarpaniny wtrącił się morderczo wyglądający Ozyrys. Chciał się na mnie odegrać za utratę stopy i teraz trafiła mu się okazja. Plecami wyczułem ruch naszego statku; piraci mieli nadzieję, że uda im się uciec amerykańskiemu szkunerowi.

W drzwiach zejściówki pojawił się Dragut.

- Zwabimy ich na rafy!

Kolejny plusk i huk wstrzeliwującego się w cel działa, a potem ryk jednej z naszych armatek. Gdzie jest Harry? Aurora zdążyła się już pozbierać i odczołgała się tyłem w kąt. Trzymając go przed sobą jak tarczę, patrzyła na mnie teraz z nienawiścią w oczach. Było to pierwsze szczere spojrzenie, jakie mi rzuciła podczas dzisiejszego wieczoru.

Nagle stwierdziłem, że zdarta ze ściany jedwabna draperia odsłoniła stojak na broń, w którym tkwił mój rapier. Porwałem oręż i uśmiechnąłem się, czując w dłoni jego idealne zrównoważenie. Może moje lekcje szermierki na coś w końcu się zdadzą!

Ozyrys uśmiechnął się złowrogo i cofnął, żeby wyciągnąć z zestawu własną, cięższą szablę abordażową. Była krótsza i w ciasnej kabinie na pewno bardziej poręczna. Dałem mu powód do wyprucia mi flaków i teraz zamierzał w pełni go wykorzystać.

Wymieniliśmy pierwsze cięcie. Ostrza szczęknęły dźwięcznie; pozwoliłem, żeby jego klinga ześlizgnęła się po mojej w obawie, że ostrze delikatniejszego rapiera po prostu się złamie, odstałem w bok, usiłując sobie przypomnieć to, czego nauczono mnie w Paryżu. Tam wszystko było bardziej formalne, odległości dokładnie określone, obowiązywały określone zasady, sufit był znacznie wyżej, oświetlające wszystko latarnie nie kołysały się, tylko tkwiły na swoich miejscach, a w kątach nie paliły się resztki jedwabnych draperii. Przeskoczywszy przez posążek kociogłowej Bastet, spróbowałem dźgnąć Ozyrysa w udo, on jednak zdążył sparować sztych.

Zaraz potem natarł ostro, usiłując zapędzić mnie do rogu, gdzie jego szabla dałaby mu przewagę. Ciął raz za razem, spychając mnie w tył, byłem jednak odeń szybszy i

wymierzyłem pchnięcie w jego oczy, co zmusiło go do odskoku. Wykorzystując chwilową okazję, ja też się cofnąłem i spróbowałem doskoczyć do Aurory, która tymczasem chwyciła jakiś srebrny nóż i przystawiła go do gardła mojego synka.

- Oddaj mi chłopca!

- Zrań go tylko! - poleciła Ozyrysowi. - Chcę, żeby się pomęczył!

- Tatku! - pisał Harry. Niedawno odstawiony od piersi dzieciak wciągnięty w pojedynek i wymianę strzałów artyleryjskich. Cóż za ojciec ze mnie?

Kontynuowaliśmy taniec, w którym Ozyrysowi i jego cięższej szabli mogłem przeciwstawić tylko szybkość. Zaczynał sapać, a na jego czole pojawiły się krople potu. Szermowałem nieustannie, by zmusić go do uników. Wściekłość jednak nie czyniła go wcale mniej niebezpiecznym.

Zatrzymałem się więc i cisnąłem weń posążkiem Baala, który odbił się od ściany kabiny tuż obok Aurory.

Gdy się uchylił, dał mi okazję do zadraśnięcia go w ramię trzymające szablę. Zaklął, splunął i odskoczył w tył na swojej zdrowej stopie; po rękojeści jego szabli spływał strumyczek krwi. Miał zdesperowaną minę, obaj krążyliśmy wokół siebie, podczas gdy piraci na pokładzie nad naszymi głowami usiłowali podnieść z dna kotwicę. Ozyrys szybko się męczył - szable abordażowe to ciężka broń - więc runął na mnie, usiłując zakończyć walkę jednym silnym cięciem. Cięższą klingą jednak macha się trudniej i wolniej, zdążyłem więc ponownie sparować. Nabierałem pewności siebie, ale Aurora zaczęła okrzykami wzywać pomoc. Ostatecznie przyjąłem jego broń na moją klingę, pozwoliłem jej się ześlizgnąć dalej, niż to było mi potrzebne, i mój mistrz zagadek, który tak drwił ze mnie w Paryżu, uniósł swoją szablę do ostatecznego ciosu.

Odsłonił się tak, że mi to wystarczyło. Gdy jego klinga opadała, cofnąłem swoją, przemknąłem dołem i pchnąłem sztychem w serce. Skonał, zanim jeszcze jego szabla przeleciała obok mojego ucha i brzęknęła o deski podłogi.

Przeskoczyłem przez padającego trupa i z zakrwawionym rapierem w dłoni rzuciłem się na Aurorę.

- Natychmiast oddaj mi syna!

W tejże chwili drzwi kabiny otwarły się z trzaskiem i do środka wpadł Dragut trzymający w ręku rurę, w której rozpoznałem broń Smitha. Runąłem w tył i padłem plecami na dywany; w tym momencie garłacz wypalił z hukiem, a pirat pchnięty odrzutem poleciał ku drzwiom kabiny. Jedna czy dwie kule trafiły w klingę mojego rapiera, wyłamując mi rękojeść z dłoni, pozostałe roztrzaskały okno, którego szklane odłamki z pluskiem powpadały do wody. Podmuch przelatujących nade mną kul niemal mnie ogłuszył - i nie miałem już broni.

Aurora podniosła jakiś pistolet i odciągnęła kurek.

Chciała wziąć mnie żywcem. W pierwszej chwili wycelowała w moją głowę, potem jednak opuściła lufę, mierząc w to delikatne miejsce, które mężczyźni pragną chronić, nie bacząc na koszty. Rozmyśliwszy się jednak - w końcu miała już okazję sprawdzenia jakości moich usług w łóżu - opuściła broń jeszcze niżej, by rozwalić jedno z moich kolan i ostatecznie mnie obezwładnić. Jej usta wykrzywiały teraz okrutny uśmiech.

I nagle wrzasnęła dziko, tańcząc na jednej nodze.

Mały Harry przebił jej stopę jej własnym srebrnym sztyłem!

Pistolet wypalił z hukiem, wystrzelona zeń kula utkwiała w grodzi, Aurora, wyjąc wściekle, chwyciła mojego synka za włosy gotowa do Bóg wie czego, ja jednak zdążyłem się już

zerwać z ziemi, trzymając w dłoni szablę Ozyrysa. I rzuciłem się bykiem na wiedźmę.

Przed oczami mignęło mi coś czarnego, usłyszałem złowrogie warknięcie, skok i ten piekielny Sokar rzucił się na mnie. W tejże samej chwili do kabiny wleciała przez bulaj armatnia kula. Śmignęła z wyciem pomiędzy Aurorą a mną i uderzywszy w przeciwległą ścianę, wyrwała z niej fontannę drewnianych drzazg i szczap. Psa zmiotł powiew przelotu pocisku, a mnie cisnęło ku jednemu z roztrzaskanych bulajów na rufie i wyleciałem na zewnątrz. Zanim zdążyłem pojąć, co się stało, wpadłem do wody.

- Harry! - To była tylko myśl, ponieważ pod wodą nie mogłem krzyczeć.

Wypląnąłem, szamocząc się rozpaczliwie, popychany chęcią powrotu na piracki statek i sprawdzenia, co się stało z moim synkiem, Zephyr jednak pchany wydętymi żaglami już odpływał coraz szybciej, a wściekły czarny pies ujadał na mnie dziko z rozbitego bulaju na rufie. Amerykańskie pożegnalne strzały wzbijały fontanny wody w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą kotwiczył pirat. Mój syn, jeśli jeszcze żył, odpływał. Straciłem zwierciadło, rodzinę i prawdopodobnie resztki dobrej reputacji za konszachty z tymi zwariowanymi okultystami i berberyjskimi morskimi rabusiami.

Zaraz potem usłyszałem łoskot i zgrzyt dolatujące z odległości jakichś pięciuset metrów. Odwróciwszy się, ze ściśniętym sercem zobaczyłem, że ścigający piratów szkuner chwieje się jak ranny człowiek na rafie, ku której zwabił moich rodaków Dragut. Zderzenie było tak ostre, że z rej spadło kilku ludzi. Złamała się także górna część fokmasztu i runęła w dół, tworząc dziką płataninę drewna, lin i płótna. Natychmiast też rozległy przekleństwa, okrzyki gniewu i rozczarowania.

Amerykanie utknęli, a Aurora i jej akolici odpływali w noc, zmierzając do Trypolisu. Nie zdołałem ich powstrzymać przed zagarnięciem zwierciadła i nie zdołałem uratować mojego synka.

Przez chwilę kopałem wodę ogarnięty wstydem z powodu bezsilności, a potem z braku lepszego wyboru skierowałem się ku tkwiącemu na rafie szkunerowi. Zajęło mi to ponad godzinę, ale nie miało to większego znaczenia, ponieważ okręt nie mógł się ruszyć z miejsca, dopóki załoga nie zdoła jakoś rankiem wybrnąć z opresji. Wiatr ucichł i łopocząca jeszcze niedawno zwycięsko bandera zwisała teraz luźno, jakby poświadczając przegraną.

W końcu podpłynąłem dość blisko, by okrzykiem wezwać pomoc. Z okrętu spuszczone już szalupy, które miały zbadać rafę, i szybko wciągnięto mnie na pokład kutra.

- Jesteś piratem?

- Nie, właśnie im uciekłem.

Pozwolili mi wspiąć się po trapie na pokład szkunera.

I tam stanąłem twarzą twarz z porucznikiem Andrew Sterettem, którego miałem honor poznać jeszcze podczas rejsu przez Atlantyk. Jako dowódca okrętu Enterprise odniósł jedyne nieznaczne zwycięstwo w tej wojnie, zdobywając korsarską szebekę Tripoli i zabijając lub raniąc sześćdziesięciu łotrzyków z jej załogi. Podczas minionej zimy Enterprise wrócił do Baltimore, by nagłośnić zwycięstwo. Teraz widać znów się pojawił na wodach Morza Śródziemnego.

- Porucznik Sterett - wykrztusiłem. - Ufam, że mnie pan pamięta, spotkaliśmy się w Ameryce i przepłynęliśmy razem Atlantyk, kierując się do Europy pod dowództwem komodora Morrisa. Ethan Gage, w służbie Stanów Zjednoczonych.

Zmierzył mnie baczным spojrzeniem pełnym niesmaku i zaskoczenia. Ociekałem wodą jak podtopiony kocur, a moja

skóra pełna była niewielkich skaleczeń i tkwiących w niej drzazg.

- Skąd, u diabła, pan się tu wziął?

- Podmuch pocisku zrzucił mnie z pokładu pirackiego okrętu. Za wszelką cenę musimy ich złapać.

- A niby jak mam to zrobić, skoro utknąłem na tej przeklętej skale?

Zerknąłem za burzę.

- Niech pan zaczeka na przyływ i wiatr, wkrótce nadejdą.

W tejże chwili z mroku usłyszałem nagle głos, który natychmiast rozpoznałem nie bez zdumienia.

- To on! Ten, o którym wam mówiłem!

Podbiegł do mnie Robert Fulton, wynalazca i niedawny towarzysz niedoli.

- Uratowałeś mnie, Robercie!

- To on! Ethan Gage, zdrajca, który powinien zadyndać na stryku!

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 33

Mój podziw dla sprawności i karności marynarzy niezbyt wielkiej wojennej floty mojego kraju przygasł nieco, gdy zobaczyłem, jak przerzucają przez reję linę z pętlą na końcu. Rozjuszeni utknięciem na skale marynarze z entuzjazmem powitali pomysł powieszenia jedyne go pasażera, który uciekł z pirackiego statku. Przypomniałem sobie, że nazwisko Steretta stało się głośne, gdy w 1799 roku, służąc na fregacie Constellation, podczas bitwy z L'Insurgente przeszył jednego z marynarzy rapierem za tchórzostwo. Był to jeden z epizodów cichej morskiej wojny pomiędzy Stanami i Francją, którą pomogłem zakończyć. Republikańskie gazety grzmiły oburzeniem na surowość kary, Sterett jednak odpowiedział zimno:

- Na tym okręcie skazujemy ludzi na śmierć nawet za samą bladość twarzy w obliczu bitwy. - Odpowiedź ta tak bardzo się spodobała w dowództwie marynarki wojennej, że Steretta awansowano. A teraz miał się stać moim ostatecznym sędzią.

- Fulton, wyjaśnij im, kim jestem!

- Już to zrobiłem. To nędzny Amerykanin, który przystał do tych berberyjskich łotrów jak kolejny Benedict Arnold. Ethanie, nic mnie nie obchodzi tortury, jakim poddał cię Omar... jakżeś ty mógł złamać przysięgę dochowania sekretu zwierciadła? Jesteś tchórzem czy zdrajcą?

- Najpewniej jednym i drugim - odezwał się Sterett, mierząc mnie wrogim spojrzeniem.

- Do diabła! Człowieku, pomyśl! Kto cię wyrwał z tej piekielnej dziury w Trypolisie?

- Zawierając przekłety układ! Czy nie ty pomogłeś tym tam piratom wykraść z Syrakuz piekielną maszynę, podczas gdy wyraźnie zobowiązaliśmy się tego nie czynić?

- Zrobiłem to, żeby uratować wam życie!

- Lepsza śmierć niż niesława, Ethanie! Czy nie taką złożyliśmy przysięgę? Na twoje nieszczęście zgłosiłem się na ochotnika, żeby pomóc tym dzielnym Amerykanom przeszkodzić wam w dokonaniu kradzieży, ale na moje nieszczęście spóźniliśmy się o kilka godzin. - Odwrócił się do Steretta. - Powieszenie to zbyt łagodna kara dla tego człowieka. On w ogóle ma bardzo mało zasad.

- Niechże więc diabeł skończy tę robotę za nas. Szarpnąłem się w ramionach trzymających mnie marynarzy.

- Jestem po uszy pełen zasad! Wiązałem się tylko ze złymi kobietami! I straciłem zbyt wiele czasu na poszukiwania skarbów, ponieważ nie kroczyłem przez życie, jak wy to nazywacie, prostą drogą. Grałem w karty, spiskowałem, ale wiem co nieco o elektryczności i broni palnej. I mam dobre chęci. - Nawet w moich uszach brzmiało to dość mizernie.

- Zaprzeczasz temu, że zdradziłeś Stany Zjednoczone i każdego człowieka na tym okręcie? - Sterett wy dobył pałasz z miną wieśniaka, który właśnie zobaczył robala w garnku łoju. Nie powinno się dawać broni ludziom, którzy łatwo ulegają emocjom.

- Przeciwnie, usiłuję zostać bohaterem!

- Sprzymierzając się z piratami? - krzyknął Fulton. Poczulem szorstki dotyk sznura pętli na szyi.

- Usiłując ratować mojego synka!

Znieruchomieli.

- Mój chłopiec, o którym jeszcze kilka dni wcześniej nic nie wiedziałem, jest na pokładzie tamtego statku w łapach bandy najgorszego rodzaju zwariowanych okultystów, fanatyków, magików, mesmerystów i megalomanów, jakich mógłbyś spotkać poza murami Izby Reprezentantów! Jego matka została uwięziona w haremie Jussufa i gdybym się nie sprzymierzył z tymi wariatami, sprzedano by oboje w najgorszą niewolę. A ty, Cuvier i Smith bylibyście już martwi!

Gdy wy pakowaliście się na tę rafę, ja zdążyłem zabić jednego z najgorszych członków tej szajki, Ozyrysa, którego spotkaliśmy w burdelu Madame Marguerite w Palais Royal. Rozwaliłem nos Aurorze Somerset i kombinowałem, jak pograć spisek, zatapiając tych wszystkich łotrów, gdy podmuch jednej z waszych kul stracił mnie z pokładu. Ty, ja i ten tu zapalczywy porucznik jesteśmy jedynymi, którzy mogą wszystko naprawić, ale pierwej niech mi poluzują tę cholerną pętlę!

- Naprawić? Niby jak?

- Wykorzystując twój geniusz, Robercie i moją zręczność, zakradniemy się na powrót do Trypolisu i raz na zawsze zniszczymy to zwierciadło. - Kiwałem ochoczo głową, jakby powrót do tego legowiska handlarzy niewolników i wymuszaczy okupu był najlepszym pomysłem, na jaki kiedykolwiek wpadłem.

Załoga nie bez oporu zrezygnowała z okazji do natychmiastowej egzekucji, ale w końcu udało mi się ułagodzić Fultona i Steretta na tyle, by zgodzili się mnie wysłuchać. Dopóki nie ześlizgnęliśmy się z rafy, nie było możliwości schwytania Aurory i Draguta i ambitny porucznik gotów był dać ucha każdej propozycji, która pozwalałaby mu usunąć plamę wpakowania się na płyciznę będącą śmiertelnym grzechem każdego dowódcy. Dowództwo marynarki wojennej uważa, iż oceany są tak rozległe wyłącznie dlatego, żeby dało się unikać ich płytszych części.

- Jak zamierzasz się dostać do Trypolisu? - zapytał sceptycznie Sterett. - Komodor Morris nie zaryzykował narażenia swojej eskadry na niebezpieczeństwo na tych usianych rafami wodach z tego samego powodu, jakiego świadkami byliśmy dziś w nocy my sami.

- Nadszedł czas, by skorzystać z naszej dziewiętnastowiecznej pomysłowości - stwierdziłem, czując

się wciąż dość niewygodnie w sztywnej od soli odzieży. - Od dawna myślałem o tym, jak się ustrzec przed tym niebezpieczeństwem, ale tak naprawdę rozwiązanie podsunął mi obecny tu Robert. - Właściwie myślałem o tym od chwili, gdy założyli mi pętlę na szyję, ale perspektywa egzekucji niezwykle wzmacnia pomysłowość.

- Jakie rozwiązanie? - zapytał Fulton.

- Mój uczony, obecny tu kolega - zwróciłem się do Steretta - wymyślił urządzenie tak rewolucyjne, że grozi wszystkim innym okrętom odesłaniem w niebyt.

- Mówiłeś, że nie da się tego sprzedać! Zignorowałem okrzyk Fultona.

- Nazywa się to okręt podwodny albo łódź zanurzalna. Zanurza się w wodzie jak skonstruowany przez Bushnella w czasie naszej amerykańskiej rewolucji Żółw i może dostarczyć załogę zuchwałych sabotażystów wprost do portu w Trypolisie.

- Żółw nie zatopił ani jednego brytyjskiego okrętu - przypomniał mi Sterett.

- Ale Fulton wyprzedził technicznie całe pokolenie. Powiedział mi, że w Breście pozostał pod wodą przez całe trzy godziny!

- I ten podwodny okręt istnieje naprawdę?

- Nazywa się Nautilus i jest tak niezwykły, że któregoś dnia położy kres wojnom!

Sterett miał minę dość sceptyczną, a Fulton był zaskoczony tym, że podbijam cenę jego wynalazku.

- Albo może sprawić, że wojny będą jeszcze bardziej okropne - dodałem.

I nagle Fulton dostrzegł swoją szansę.

- Ethanie, tym sposobem mógłbym udowodnić wartość mojej łodzi Napoleonowi!

- Owszem, pamiętam. Powiedziałeś mi, że Francuzi chcieli rozebrać Nautilusa, ty jednak nie mogłeś znieść myśli o tym i wysłałeś części do Tulonu, by wypróbować łódź na bardziej spokojnych wodach Morza Śródziemnego. I dzięki mojej wyobraźni zyskujemy szansę. - Wciąż czułem zadrapania po linie na gardle, nie żywiłem jednak urazy do nikogo z wyjątkiem prawdziwych łotrów. - Przewieziemy Nautilusa do Trypolisu, przemkniemy do portu pod pałacem Jussufa i uratujemy Astizę z małym Harrym. - Kiwnąłem głową. - Musimy tylko znaleźć grupę śmiałków skłonnych do narażenia życia we wnętrzu tej metalowej kiełbasy i przemknięcia pod bokiem tysiąckrotnie liczniejszej od nich armii.

Teraz Sterett spojrział na mnie nie bez szacunku.

- A to przynajmniej nie jest problemem - stwierdził Fulton.

- Masz jakichś konkretnych ochotników na myśli?

- Oczywiście, Cuviera i Smitha. Składają moją zanurzalną łódź. Postanowili, że zanim stawią się przed Napoleonem, zaczekają w Tulonie na wiadomość o twojej egzekucji.

- Aha. Dobrze jest o tym pamiętać.

- Liczcie też na mnie, panowie - odezwał się Sterett. - Nie popłyniecie pomiędzy piratów bez wsparcia w postaci mojego okrętu. Moi dzielni chłopcy powiedzą to samo.

- Być może trzeba będzie zrobić losowanie - stwierdziłem. - Robercie, ilu ludzi da się wcisnąć do tej twojej łódki?

- Trzech, jeżeli chcesz jeszcze wywieźć swoją żonę i synka. Oczywiście, niektórzy z nas mogą zostać poszatkwani tam na miejscu, więc na początek powinno popłynąć czterech lub nawet pięciu. Ale potrzebne będzie jeszcze miejsce na materiały wybuchowe.

- Materiały wybuchowe? - powtórzyłem, masując obolałe gardło.

- Żeby wysadzić w powietrze zwierciadło i kilka pirackich okrętów. I jeszcze może ten przeklęty loch.

- Pięciu przeciwko janczarom i rzezimieszkom baszy Trypolisu! - odezwał się Sterett. - Doskonały układ! Na Boga, panowie, mam już po uszy kręcenia się wokół Malty z komodorem Morrisem i dam duszę za to, by wreszcie zacząć jakąś akcję. Gage, słyszałem, że jesteś bohaterem, ale dotąd w to nie wierzyłem.

- Sam nie mogę w to uwierzyć. - Zamierzałem przemknąć się niepostrzeżenie, ale Sterett i Fulton chcieli hałaśliwie zademonstrować Berberom amerykańską potęgę. Cóż, jutrzejsza bitwa jest lepsza niż dzisiejsza egzekucja. - Za waszym pozwoleniem, chciałbym pierwiej wydostać spod ognia moją rodzinę.

- Mości Gage, to właśnie ogień uratuje twoją rodzinę - stwierdził porucznik. - Rozpętamy w Trypolisie takie piekło, że jeśli zechcesz, będziesz mógł uprowadzić połowę haremu.

W sumie nie wyglądało to źle. Ale nie, psiaakrew, zależało mi tylko na Astizie i z haremu chciałem wydostać tylko ją jedną. Do diabła, niełatwo jest być ojcem i ponosić odpowiedzialność! To doprawdy najdziwniejsza sprawa na świecie.

Ale nie taka zła, gdy trzeba kogoś ratować.

ROZDZIAŁ 34

Nie bardzo wiedziałem, czego się spodziewać po Nautilusie Fultona, ale miedziana trumna, którą wydobył z magazynu w Tulonie, nie budziła zaufania. Wyglądała tak, jakby ją połatano z zielonych płyt, dziwnych kawałków wodorostów, i miała dziury w miejscach, gdzie tkwiły usunięte teraz do wymiany na nowe nity. Całość sięgała sześciu metrów długości, niespełna dwóch szerokości, a przekrój poprzeczny okręciku ukształtowano jak literę U z krótkim kilem. Z tyłu łodzi była śruba napędowa. Nautilus miał też składany maszt z bomem i podobne do wachlarza żagle złożone teraz na płaskim pokładzie, z którego wystawała okrągła, wysoka prawie na metr wieżyczka z oknami z grubego szkła. Na pokładzie była też kłapa wejściowa. Z wnętrza łodzi dobiegał niesamowity łoskot.

- Robercie, nie mam wątpliwości, że twoja łódź zanurzy się zgodnie z oczekiwaniami - zwróciłem się do Fultona. - Możemy się tylko modlić o to, żeby się wynurzyła.

- Na wybrzeżu La Manche działała doskonale. Moglibyśmy zatopić jedną czy dwie brytyjskie fregaty, gdyby nie uciekły. - Spojrzał na Smitha. - Przepraszam, Williamie.

- Bez urazy - odpowiedział beztrąsko Anglik. - Pomiędzy naszymi narodami obecnie panuje pokój. Teraz mamy sojusz przeciwko tyranii i opresjom. Anglicy zaczną mówić po francusku, zanim nadejdzie dzień, w którym brytyjskie okręty będzie mogło zatopić coś takiego.

Nasza czwórka spotkała się ponownie, gdy Sterett, nie czekając na rozkazy od swojego unikającego starca komodora, popłynął do Tulonu, by wziąć na pokład tajną broń Fultona. Cuvier i Smith potraktowali mnie początkowo równie podejrzliwie jak Robert, ale w końcu przekonałem ich, że nie mam wyboru. Teraz ponownie z konieczności zostaliśmy sojusznikami.

- Być może przeznaczenie sprawiło, że Fultonowi nie powiodło się w Breście, żeby miał szansę wykazania się pod Trypolisem - stwierdził optymistycznie Cuvier. - I być może Bonaparte miał przeczucie, że nasza czwórka stworzy bardzo skuteczny zespół?

Pomyślałem, że znacznie bardziej prawdopodobne jest, iż Napoleon z radością pozbył się czterech dziwaków, wysyłając ich na misję mającą niewielkie szanse powodzenia, ale okoliczności potrafią zmienić wszystko w ciąg wypadków, których nie można uniknąć.

- Twój okręt wygląda mi na trochę poobijany - oceniłem.
- Jesteś pewien, że się nada?

- Znalazłem pewnego zręcznego człowieka, który nad nim pracuje - odparł Fulton. - Mówi, że jest ekspertem w sprawach żeglarskich. Wspomniał nawet, że cię zna, Gage.

- Mnie? - Nie znałem żadnego mechanika podwodniaka i miałem zwyczaj trzymać się z daleka od ludzi parających się uczciwą pracą, bo na sam ich widok czułem się gorszy. - Prawdopodobnie usłyszał od was, że przystałem do piratów, i wyobraził sobie, iż może się na mnie powoływać, bo nigdy już mnie nie zobaczycie. Ciekawe, co powie, jak się tu pokaże i mnie zobaczy.

Cuvier podszedł i walnął dłonią w kadłub łodzi.

- Hej, panie majster! Twój stary znajomy nareszcie się do nas przyłączył!

Dobiegające z wnętrza stukanie ustało i nastąpiła długa chwila ciszy. Potem usłyszeliśmy człapanie, chrobot i nad wieżyczką niczym kret z dziury wychynęła głowa pokryta ciemną, kędzierzawą czupryną.

- Osioł? - Właściciel tych bujnych włosów zmierzył mnie krytycznym spojrzeniem. - Powiedziano mi, że zostałeś piratem albo już nie żyjesz.

Nie „mechanik”, ale ja otworzyłem gębę i stanąłem jak rażony gromem. Byłem tak zdumiony, że cofnąłem się o krok, jakbym zobaczył ducha.

- Pierre? - Najpierw Astiza, potem synek, o którym niczego nie wiedziałem, a teraz to?

- Czemu mnie to dziwi? - Mały Francuz pokręcił głową. - Szykuję cylindryczną śmiertelną pułapkę, absurdalną kpinę z łodzi, i pytam się samego siebie, kto byłby tak szalony, żeby podnieść kotwicę czegoś takiego? I oczywiście zupełnie słusznie pomyślałem o Amerykanach, ponieważ spotykałem ich podczas moich puszczańskich wędrówek i nie natknąłem się na ani jednego, który miałby choć krztynę zdrowego rozsądku. A który ze znanych mi Amerykanów jest bardziej stuknięty od tego tu będącego pośmiewiskiem całego Paryża imię Fultona? Takim imbecylem oczywiście jest mój stary przyjaciel Ethan Gage, siejący zamęt i kłopoty, dokądkolwiek się uda. Metalowa łódź, która zanurza się pod wodę? To brzmi dostatecznie głupio, żeby cała impreza nie obyła się bez osła.

- To nie mechanik! - zdołałem wreszcie wykrztusić.

- Lepszy niż ty!

- To francuski traper i handlarz z montrealskiej Kompanii Północno - Zachodniej. Ostatni raz widziałem go na Missisipi w St Louis. Ten człowiek jest wioślarzem pływającym w kanoe! Nie zna się na niczym, co jest bardziej skomplikowane od brzozy kory czy bobrzego ogona!

- A ty na czym się znasz, poza piorunami, których nie potrafisz kontrolować, i czarami, których nie umiesz robić? Czym się możesz popisać poza upodobaniem do wyjątkowo wrednych kobiet?

Przez chwilę jeszcze gapiliśmy się na siebie, potem zaczęliśmy szczerzyć zęby, aż wreszcie obaj ryknęliśmy śmiechem. Pierre wyskoczył z łodzi i chichocząc z obopólnego zmartwychwstania, porwali się w objęcia i

zademonstrowaliśmy obecnym taniec, jaki szkoccy agenci kanadyjskiej Kompanii Północno - Zachodniej tańczą nad skrzyżowanymi pałaszami. Obaj przeżyliśmy i teraz oto się spotkaliśmy!

Był to dobry omen.

Cuvier chrząknął znacząco.

- Znaczy, mamy rozumieć, że już kiedyś się spotkaliście?

- Na amerykańskim pograniczu. Pierre był moim towarzyszem, gdy szukałem nordyckich artefaktów i badałem Zachód. Jest jedynym znanym mi człowiekiem odpornym na kule.

- To była tylko jedna kula. - Mówił o kuli z pistoletu Aurory Somerset, którą zatrzymał ukradziony przez Pierre'a jej sadystycznemu bratu Cecilowi talizman łoży egipskiego rytu. Wyglądało to tak, jakby zmartwychwstał, potem jednak zniknął z naszego pokoju w St Louis. Sądziłem, że wrócił do dziczy, a jednak stał oto przede mną, choć zostawiłem go tysiące mil stąd. - Chyba wyczerpało mi się szczęście - stwierdził.

- Ale moje nie, skoro się spotkaliśmy. Co robisz w Tulonie? Na trójzab Posejdon, trudno o milszą niespodziankę!

- Zaraziłeś mnie ciekawością świata, ośle. Było już zbyt późno, by się przyłączyć do jakiejś futrzarskiej drużyny, więc postanowiłem powiosłować do domu w Montrealu. I tam trafił mi się statek, na którym potrzebowali członka załogi, choć pływanie o żaglach przystoi kobietom. No i tak znalazłem się w Europie. Pokój pozwolił mi dotrzeć do Paryża, ale zanim się dowiedziałem, gdzie przebywasz, ty zdążyłeś się już stamtąd wynieść. Ale, pomyślałem sobie, mój osioł potrafi ściągać na siebie uwagę. Doszedłem do wniosku, że jeśli pojedę nad Morze Śródziemne, to wkrótce o tobie usłyszę. I rzeczywiście, berberyjski statek wysadził na ląd w Tulonie trzech byłych

niewolników, którzy przeklinali towarzyszącego im do niedawna Amerykanina. To, pomyślałem sobie, wygląda mi na mojego osła. Najałem się więc do pracy u tego czarnoksiężnika - wskazał na Cuviera - i założyłem, że nie trzeba będzie długo czekać, aż cię tu gdzieś przywieje. I oto jesteś.

- Czemu on nazywa cię osłem? - zapytał Cuvier.

- Bo Gage nie umie porządnie wiosłować, choć zaczynał nauki u wielkiego Pierre'a. Wy też jesteście osłami. Wszyscy ludzie, którzy nie potrafią wiosłować, jak się wiosłuje w północnoamerykańskim kanoe, są osłami! A ta łódź! Mon Dieu, tylko czarnoksiężnik mógłby wymyślić coś tak szalonego, jak łódź pływająca pod wodą!

- I wynając francuskiego wojażera i trapera, by złożył ją ponownie w całość - odciąłem się za Fultona. - Jeżeli ta łódź nie była trumną, to teraz jest nią bez wątpienia.

- Nie, zanitowałem wszystkie dziury po rdzy, używając miedzi i spiżu zamiast głupiego żelaza. Lepsze byłoby brzozowe drewno, gdybyśmy tu mieli odpowiednie drzewa. O tak, Pierre i osły zrewolucjonizują wojenne rzemiosło. Wiecie, to jest bardzo sensowne.

Fulton skończył właśnie oględziny łodzi.

- Właściwie to jego robota jest z grubsza do przyjęcia. Resztę możemy zrobić na pokładzie twojego Enterprise, mości Sterett.

- Znaczy, mamy się pospieszyć? - zapytał Pierre.

- Muszę uratować pewną kobietę - stwierdziłem. Podniósł brew.

- Jakżeby inaczej.

- I niespełna trzyletniego synka.

- Mówiłem ci, żebyś uważał, co robisz.

- Musimy też zniszczyć pewną starożytną maszynę, która może dać Aurorze Somerset możliwość zniszczenia każdej floty na świecie.

- Aurora Somerset?! Jest tu i ta wiedźma? Czyżby szykowało się kolejne spotkanie Grand Portage?

- Tak samo jak ty podążała moimi tropami. Jestem dziwnie popularny.

- A ile będziemy mieli czasu na uratowanie twojej kobiety i synka z łap tej wiedźmy?

- Niewiele. Podejrzewam, że gdy tam dotrzemy będziemy się musieli uporać ze wszystkim do świtu. Po wschodzie słońca tamci będą mogli spalić Enterprise.

ROZDZIAŁ 35

Naprawiliśmy Nautilusa, załadowaliśmy go na pokład amerykańskiego szkunera i dopłynęliśmy do Trypolisu miesiąc po ucieczce Aurory z małym Harrym przed porucznikiem Sterettem spod Sycylii. Innymi słowy wiedźma miała dość czasu na zmontowanie, ustawienie i wypróbowanie zwierciadła. Czy coś, co zbudowano przed dwoma tysiącami lat, według starszych o tysiące lat planów Atlantów, mogło naprawdę działać? Nie chcieliśmy, by zaskoczył nas promień, który wymazałby nas z powierzchni mórz.

Potwierdzenie naszych obaw zyskaliśmy w inny sposób. Podpływając do afrykańskich wybrzeży, spostrzegliśmy smugę dymu. Posuwaliśmy się ostrożnie, podejrzewając, że jej źródłem jest jakiś płonący statek. I rzeczywiście; na miejscu zobaczyliśmy niewielki, dryfujący bezwładnie i pozbawiony takielunku bryg, którego maszty były osmalone, jakby trawił je pożar. Z poczerńałego pokładu unosiły się smugi dymu.

- Ogień mógł wybuchnąć z setek powodów - odezwał się niezbyt pewnym głosem Cuvier.

- I mógł się roznieść na setki sposobów - uściślił Sterett - chyba że cały stateczek od razu stanął w ogniu.

Opuściwszy szalupę, podpłynęliśmy bliżej. Nasze podejrzenia się potwierdziły. Wokół statku unosił się okropny smród zgnilizny i spalonego mięsa, a pokład usłany był przysmażonymi ciałami. Nazwa Bianca wskazywała na hiszpańską przynależność, choć flaga spłonęła razem z drzewcem. W sterburcie zionęła okrągła okołometrowa dziura - w tym miejscu ogień przeżarł drewno kadłuba i objął wewnętrzne grodzie i międzypokład. Statek trwał w bezruchu, nic nie poruszało się na zewnątrz ani w środku.

- Więc to prawda - odezwał się wreszcie Cuvier.

- Na Lucyfera, to zwierciadło jest skuteczne jak armatni pocisk - dodał Fulton.

- Zamiast skierować tę swoją piekielną maszynę na porzucony okręt, wymierzili w Boga ducha winny statek kupiecki z załogą na pokładzie - domyśliłem się. - Musiał spłonąć jak pochodnia i podryfował w morze. Spójrzcie na sternika, wciąż trzyma koło. Zginął na miejscu.

- To barbarzyństwo - stwierdził Smith. - Nie masz bardziej bolesnej śmierci, jak spłonąć żywcem.

- Najważniejsze więc będzie zgranie wszystkiego w czasie - odezwał się Fulton. - Musimy wpłynąć moją podwodną łodzią pod osłoną ciemności, zanurzyć się, przedostać do portu, uratować zagrożonych, a potem pod wodą wrócić do zakotwiczonego przy brzegu szkunera Steretta. Jeżeli wzejdzie słońce, a my do tego czasu nie zniszczymy zwierciadła Archimedesza, Enterprise spłonie jak ten statek, a my razem z nim... albo zostaniemy pojmani i wtrąceni do lochu. Panowie, musimy uderzyć na najbardziej niedostępny port Morza Śródziemnego, prześlizgnąć się przez bandę gotowych na wszystko fanatyków, unicestwić ich najpilniej strzeżoną broń, wydostać kobietę i dziecko z najbardziej strzeżonego haremu ich władcy i wymknąć się niczym ryba.

- Cholerna racja! - stwierdził Smith rozpalony tym szalonym brytyjskim entuzjazmem, dzięki któremu stworzyli imperium. - Jak nie odpłacę temu oprawcy z lochów, to nie nazywam się Smith!

- Możemy się też zakraść niepostrzeżenie - poprawiłem. Jestem za odwagą, ale nie za samobójstwem. - Z moich doświadczeń wynika, że wybierając miód, nie należy potrząsać ulem. Poprosiłem marynarzy, żeby nam pomogli poprzebierać się za muzułmanów.

- Szczwany lis z ciebie, Gage! Ale gdy dochodzi do walki, budzi się w tobie Lew Akry, prawda?

- Niewątpliwie. - Pomyślałem o mojej rusznicy.

- Nieliczna grupka dysponuje pewną przewagą - ciągnął Smith. - Ci Berberowie nie spodziewają się ataku ze strony garstki wylaniających się znikąd ludzi. Mały Pierre może się prześlizgnąć i otworzyć furtki w miejscach, gdzie pozostali nie zdołają wejść.

- Kogo nazywasz małym, panie Pożeraczu Wołowiny?

- Mali ludzie mają największe serca. Spójrz na Dawida walczącego z Goliatem. Spójrz na Małego Kaprala, który teraz jest Pierwszym Konsulem Francji. Każdy z nas ma swoje zalety, które teraz musimy wspólnie wykorzystać.

- Dobrze powiedziane - wtrącił Cuvier. - Ethan, ze swoim szczęściem do kobiet, niech ruszy do haremu. Smith, mający doświadczenie z materiałami wybuchowymi, zaopiekuje się zwierciadłem. Fulton zajmie się sterami, a ja spróbuję wywołać chaos w porcie. Zaskoczenie, zamieszanie i ciemności będą naszymi sprzymierzeńcami, a naszym celem są zemsta i zniszczenie!

Nigdy bym się nie spodziewał, że z biologa wyjdzie taki zuchwały i żądny krwi bukanier, ale też Francuzi zawsze są pełni zapału.

- Zatem przyznajecie, że mamy szansę? - uściśliłem. Jeśli miałem moich przyjaciół wciągać w ratowanie mojej dawnej kochanki i nieślubnego synka, chciałem przynajmniej, żeby sukces był możliwy.

- Och, co to, to nie. Ale patriotyzm, Ethanie, miłość i twoje szaleństwo każą nam przynajmniej spróbować.

Podnieśliśmy Nautilusa z pokładu szkunera za pomocą wielokrążka i osadziliśmy na wodzie. Uderzając o kadłub, Enterprise kołysał się na falach niczym długa miedziana belka. Wydawało się, że na morzu wart jest tyleż, ile skonstruowany przez nas na amerykańskim pograniczu ponton z niedźwiedziej skóry, jego pływalność zaś jest trzykrotnie mniejsza. Ale nie zatonął natychmiast, a podniecony jak

króliczek Fulton zajął się organizowaniem naszej ruszającej na wojenną ścieżkę grupy.

- Traper niech się zajmie sterem, bo na rufie jest najbardziej ciasno - stwierdził. - Gage dotrzyma mu towarzystwa i w odpowiednim czasie niech obraca śrubą. Smith i Cuvier dla przeciwwagi zasiądą na dziobie. Ja stanę w wieżyczce, by prowadzić łódź, i będę okrzykami podawał Pierre'owi kierunek. Podpłyniemy do portu o żaglach, zanurzymy się i przekradniemy w głąb. Teraz powiedzcie mi, czy którykolwiek z was ma klaustrofobiczne problemy? W końcu będziemy zamknięci w ciasnym metalowym, kołyszącym się na falach cylindrze.

Wszyscy unieśliśmy ręce.

- No to weź ze sobą jakieś karty, Gage. Za nowy sposób prowadzenia wojen!

Wszyscy łyknęliśmy grogu, co było jedynym sposobem dodania sobie odwagi, by zejść na śliski pokład łodzi. Podnieśliśmy maszt, umocowaliśmy piętę bomu, a potem ustawiliśmy bukszpryt, zamieniając naszą metalową trumnę w niewielką łódź z żaglem. Główny żagiel wyglądał dość osobliwie, jak sztywno rozpięty wachlarz albo płat wiatraka. Pomalowano go na brązowo, tak samo jak bom.

- Ten wąski kształt ułatwi manewrowanie, gdy się zanurzymy - wyjaśnił Fulton.

- Jutro podpłynę blisko, żeby was wziąć na pokład! - zawołał ku nam Sterett, gdy odbijaliśmy od burty Enterprise. - Musicie zniszczyć tę ich broń! Widzieliście, co się stało z tym hiszpańskim statkiem!

- Jeżeli nas nie znajdziecie - odkrzyknął Fulton, machając na pożegnanie ręką - to ratujcie się sami!

Popłynęliśmy więc do Trypolis. Tuż przed zachodem słońca dostrzeżliśmy szary afrykański brzeg. Byłem mile zaskoczony, bo nie tylko nie zatonęliśmy, ale okazało się, że

Nautilus płynie chyżo jak rybacka łódeczka i ma większą pływalność, niż mogłem sądzić. Obły kadłub wykazywał tendencję do kołysania się na boki, miał jednak dziób, który dzielnie stawiał czoło falom, i ster odpowiedni do utrzymywania kierunku. Problemem było to, że siedzieliśmy zamknięci w ciasnej rurze będącej wnętrzem okręciku. Podłoga była wprawdzie płaska, ale wszystko razem przypominało wędrówkę w kanale ściekowym. Jedyne światło docierało przez klapę nad naszymi głowami i okienko w wieżycze, gdzie usadowił się prowadzący nawigację Fulton. Kolebanie Nautilusa na falach wywołało u Smitha torsje; zapach nie poprawił naszych humorów i też zaczęło nas mdlić. Jak na Brytyjczyka nasz geolog wykazywał dziwną awersję do wszystkiego, co łączyło się z wodą i pływaniami.

Pierre rozważył naszą sytuację i jak zwykle nie powstrzymał się od wyrażenia opinii:

- Choć na szczęście jestem z tobą, ponieważ bez wielkiego Pierre'a wykazujesz się kompletnym kretynizmem, wygląda na to, ośle, iż jak zwykle dokonujesz fatalnych wyborów.

- Staram się jak mogę.

- Po pierwsze, wykazałem temu szalonemu Amerykaninowi, że metal nie pływa. Owszem, jakoś się telepiemy, ale mam nadzieję, że ta łajba nie przecieka jak kanoe, ponieważ nie mamy brzożowej smółki do naprawy i w razie czego szybko pójdziemy na dno.

- Może dla naszego morale lepiej będzie nie zastanawiać się nad taką możliwością - stwierdziłem.

- Po drugie, związałeś się z naukowcami, o których jeszcze w Kanadzie ci mówiłem, że nie ma z nich żadnego pożytku. Ci tutaj mają sporo kompletnie bezużytecznych wiadomości o skałach i wymarłych zwierzętach, nie wiedzą jednak prawie nic o atakowaniu umocnionej pirackiej fortecy.

- Ben Franklin mawiał, że uczony dureń jest znacznie większym durniem niż zwykły ignorant. Przyznam ci rację tylko po to, żebyś się zamknął.

- Po trzecie, nie widzę na pokładzie działa ani rakiet, nie masz tu nawet swojego tomahawka ani rusznicy.

- Musiałem się ograniczyć do pożyczania z okrętowej zbrojowni pistoletu i pałasza, czyli zwykłej broni abordażowej. Mamy też kilka min Fultona i to, co on nazywa torpedami.

- Po czwarte, będziesz musiał, jeśli dobrze zrozumiałem twój plan, przekraść się do haremu, by uratować znajomą kobietę, która przypadkiem została matką twojego dziecka, co też nie najlepiej świadczy o twoich zdolnościach przewidywania skutków niektórych czynów. Jak mi powiedziano, haremy są pełne kobiet, a nie ma grupy ludzi, którymi trudniej pokierować. Bydło możesz zamknąć w korralu, bawoły możesz zmusić do panicznego stampede, ale kobiety? To tak, jakbyś usiłował ustawić w szyku bandę kocurów.

Wyliczywszy wszystkie argumenty, wygodnie się rozsiadł.

- Wydaje mi się jednak - stwierdziłem potulnie - że naprawiłem błędy mojego kiepskiego planu, werbując do pomocy mojego starego druha, Pierre'a Radissona. Potrafi on nie tylko wytknąć mi wszystkie słabe punkty, ale jestem pewien, że znajdzie rozwiązanie wszelkich trudności, które wykazał. Nikt lepiej od niego nie zna podłości nieprzyjaciół, przeciwko którym wyruszamy, i nikt bardziej ochoczo niż on nie da się zamknąć w miedzianej trumnie, by wyrzucić zemstę na tej wiedźmie Aurorze Somerset, która strzeliła mu w plecy.

Pierre przez chwilę myślał nad tym, co usłyszał, po czym kiwnął głową.

- Wszystko to jest prawdą. Zajmę się więc teraz obmyśleniem sposobów na wyciągnięcie cię z tarapatów, ośle,

co trzeba zrobić, zanim słońce wzbije się zbyt wysoko. Mam jednak pytanie do Monsieur Fultona.

- Tak, Monsieur Radisson?

- Jak zamierzasz zatopić nieprzyjacielski okręt, skoro jesteśmy zamknięci w ciasnym pomieszczeniu i pozbawieni możliwości wypłynięcia na powierzchnię, gdzie grozi nam zatopienie?

- Muszę się wam pochwalić, że wymyśliłem sprytny sposób. Mamy na pokładzie trzy miedziane bomby, z których każda zawiera ładunek stu funtów strzelniczego prochu i armatni zapalnik do wywołania wybuchu. Z mojej wieżyczki wystaje świdrowata włócznia podobna do rogu narwala, ale jej osada przechodzi, jak widać, przez puszkę ładowniczą w kadłubie. Nasycone tłuszczem pakuły zapobiegają przeciekom. I teraz: podpływamy do dna nieprzyjacielskiego okrętu i ręcznie obracamy świdrem, by wywiercić dziurę w tym dnie. Przy końcu świdra jest jakby igielne oko, przez które przewleczono mocny, cienki, kończący się w tej wieżyczce sznur. Gdy „róg” wwierci się w kadłub okrętu, który jest naszym celem, uwalniamy go, odczepiamy i cofamy się, ciągnąc ten sznur. Na jego drugim końcu jest miedziana bomba. Ponieważ sznur jest przeciągnięty przez oko w tym świdrze, mina albo torpeda jest przyciągana do kadłuba wroga, dopóki mocno do niego nie przylgnie. Szarpnięcie za sznur zapalnika powoduje wybuch. My tymczasem wycofujemy się dostatecznie daleko, by nie zaszkodziła nam eksplozja.

Pierre nie wyglądał na usatysfakcjonowanego wyjaśnieniami.

- A jak ta torpeda wybuchnie przedwcześnie? Albo jak róg nie utkwi dość pewnie? Co będzie, gdy wróg usłyszy jakieś hałasy pod wodą?

- To prawdopodobnie zatopimy swój okręt - stwierdził wynalazca. - Najważniejsze, by wszystko wykonać poprawnie. Jestem jednak pewien, że zdołamy się zmobilizować.

- Z pewnością mamy do tego motywację - zgodził się Francuz.

Fulton odwrócił się i wyjrzał przez okno wieżyczki.

- Widzę wieczorne światła Trypolisu. Nieco na sterburcie, Francuzie.

- Sądysz, że mogą nas zobaczyć? - krzyknął Cuvier w górę.

- Nasze żagle są ciemne, mały, a kadłub prawie nie wystaje nad wodę - odparł Fulton. - Przed zanurzeniem musimy podплыnąć jak najbliżej.

Zbliżyliśmy się do portu. Zatoka leżącego na północnym wybrzeżu Afryki Trypolisu otwiera się na północny wschód i tworzą ją ochronne mierzeje, wysepki i rafy. Północno - zachodnie wejście jest szerokie zaledwie na dwieście metrów. Podплыliśmy na tyle blisko, że usłyszeliśmy szum fal przyboju; Fulton zresztą ocenił odległość z widoku białych grzyw łamiących się fal. Potem polecił Radissonowi ustawić Nautilusa na wiatr i wysunął się przez klapę na zewnątrz, by wprawnie złożyć i umocować linami do pokładu żagielek z masztem. Potem zsunął się w dół, zamknął i zaryglował klapę i obrócił jakąś rączkę. Usłyszeliśmy syk i bulgotanie wody, która wypierała powietrze z pustych dotąd zbiorników balastu.

- Sam Archimedes odkrył zasadę wyporności, która pozwala łodzi na zanurzanie się i wynurzenie - powiedział Fulton.

- Ryby wykorzystują tę samą zasadę, używając pęcherzy pławnych - dodał Cuvier.

- I ludzie śpiący w puchowych łóżach - wtrąciłem. Zrobiło się ciemno, zapaliliśmy więc świecę.

- Panowie, jesteśmy już pod powierzchnią i otwieramy historię podwodnych morskich ataków.

- Nie mogąc zobaczyć, co robimy? - zapytał Pierre.

- Owszem, w pewnym sensie musimy działać na oślep. Mój kompas oświetla bioluminescencyjna poświata. Jest to pomysł Franklina, który zastosował go w spuszczonej na wodę podczas amerykańskiej rewolucji Żółwiu, po raz kolejny więc korzystamy z mądrości twojego mentora, Ethanie. Od tej chwili będziemy płynąć, kierując się kompasem, a potem wynurzymy się na tyle tylko, żeby wyjrzeć przez okno wieżyczki. Ethan, Pierre, zacznijcie obracać śrubą. Cuvier i Smith, zaopiekujcie się naszymi pistoletami i prochem.

Wewnątrz łodzi było wilgotno i gorąco. Wkrótce kręcący korbą napędzającą Pierre i ja spływaliśmy potem.

- Jak długo możemy zostać pod wodą? - zapytał zasapany traper.

- Z tak liczną załogą trzy godziny - odparł Fulton. - Ale z Tulonu zabrałem miedziany pojemnik, w którym zgromadziłem powietrze pod ciśnieniem dwustu atmosfer, co mi zaproponował chemik Berthollet. To nam da dodatkowe trzy godziny. O tym, że trzeba wymienić powietrze, dowiemy się, gdy świeca zacznie przygasać.

Nie czuło się, że płyniemy. Zerkający na swój kompas Fulton od czasu do czasu podawał poprawki do kursu. W pewnej chwili usłyszeliśmy chrobot z prawej burty, gdy otarliśmy się o rafę portową, i odpłynęliśmy w bok. W końcu wynalazca polecił, żebyśmy odpoczęli, i zabrał się do wypompowywania wody ze zbiorników balastowych. Gdy wynurzaliśmy się ku powierzchni, z okien wieżyczki zaczęło się sączyć nagle światło.

Fulton odczekał, aż woda spłynie po szybie, i rozejrzał się dookoła. Potem opuścił się ku nam uśmiechnięty i podniecony jak mały chłopiec.

- Panowie, jesteśmy w samym środku portu Trypolisu i nie wszczęto żadnego alarmu. - Skinieniem głowy wyraził pochwałę dla kunsztu Pierre'a. - Dobra robota, panie sterniku. - Głośno klasnął w dłonie. - Zastanówmy się teraz, co wysadzamy w pierwszej kolejności?

- Zamek, a potem port - stwierdziłem. - Smith może ponieść jedną z twoich torped, a potem aż do świtu możesz przeprowadzać swoje podwodne ataki. Wysadź w powietrze przynajmniej jednego korsarza, żeby wywołać zamieszanie, ale na koniec zachowaj jedną torpedę. Cuvier do korby, a ty, Robercie, zajmij się nawigacją.

- Ale Stany Zjednoczone toczą wojnę z tymi łotrami, a my jesteśmy Amerykanami, nieprawdaż? Ethanie, jakkolwiek beznadziejna to sprawa, będę się upierał przy tym, by ci towarzyszyć. Smith może kręcić korbą, a Cuvier będzie sterował łodzią. Ja przeniosę minę na brzeg, bo ją skonstruowałem i wiem, jak się z nią obchodzić.

- Chcesz oddać komendę nad Nautilusem komuś innemu?
Fulton się uśmiechnął.

- Niech w kapitana zabawi się Francuz, może kupią moja łódź? Wstawisz się za mną u Napoleona, prawda, Cuvier?

- A niby czemu Anglik ma kręcić korbą dla Francuza? - wtrącił Smith.

- Po prostu jesteś bardziej krzepki i wytrzymały od naszego przyrodnika. Wiesz, Williamie, równie dobrze jak ja, że Francuza nie da się zmusić do niczego, czego nie będzie chciał zrobić, podczas gdy Anglik da się namówić do wszystkiego, zwłaszcza gdy rzecz jest zuchwałą i niewdzięczna. Musimy się pogodzić z naszymi cechami narodowymi.

- A jaka jest narodowa cecha Amerykanów? - Pakujemy się w niepotrzebne tarapaty, kierując się idealizmem, dumą i potrzebą ratowania bezbronnych kobiet. Prawda, Ethanie?

- O Astizie można mówić różne rzeczy, ale nie to, że jest bezbronna.

- Tak czy owak, panowie uczeni, obaj najlepiej wiecie, jak zaatakować nieprzyjacielską flotę w tym porcie - dyrygował Fulton. - Pierre już przedtem pracował z Ethanem, a ja jestem Jankesem. Nasz naród wypowiedział wojnę, a teraz my ją skutecznie albo zginiemy. - Stwierdziłem, że lubię tego stukniętego wynalazcę. Zawsze wyżej ceniłem rozsądnych ludzi, którzy potrafią zapanować nad swoim strachem niż zapaleńców wiedzionych idiotyczną odwagą.

- Odszukam was i wezmę na pokład, gdy będziecie już mieli kobietę i chłopca, a wy będziecie mogli wstawić się za mną u Napoleona - obiecał Cuvier. - Nikogo tu nie zostawimy na pastwę tych drani.

- Czy możemy się spodziewać, że Anglik i Francuz będą współpracowali? - zapytał Smitha.

- Niech to będzie nowy wyraz pokoju z Amiens - oznajmił Anglik. - Idę o zakład, że Bonaparte nigdy już nie wypowie wojny mojemu narodowi.

- Może Francja i Anglia zostaną nawet sojusznikami - fantazjował Cuvier.

- Nie snujmy aż tak szalonych spekulacji. Ale możemy przynajmniej razem pokierować tą trumną.

- Jestem za pokojem! - odezwał się Pierre. - Oczywiście nie mówię o naszej małej wojence tutaj.

- Musimy uporać się ze wszystkim do świtu - przypomniałem - bo zwierciadło może wtedy zostać użyte przeciwko nam. Gdy morze się rozjaśni, podpłyńcie cicho ku powierzchni i zaczniecie nasłuchiwać. Gdy zacznie się chaos, spróbujcie uderzyć na port. Jeżeli wszystko dobrze zgramy w czasie, może nam się uda.

- W bitwie nic nie idzie zgodnie z planem. Dobrze o tym wiesz.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy.

- To samo można powiedzieć drugiej stronie -
stwierdziłem. - W hazardzie nie wszystko musi udać ci się
idealnie, musisz tylko być na tyle dobry, żeby wygrać.
Wdziejmy te nasze arabskie szaty.

ROZDZIAŁ 36

Podpłynęliśmy chyłkiem do najbardziej oddalonej od brzegu feluki w całym szeregu przycumowanych do molo. Fulton, ja i Pierre wspięliśmy się na rybacką łódkę, a potem, przełaząc z jednej na drugą, dotarliśmy do kamiennego nabrzeża portowego.

Pałac Jussufa wyglądał przyjaźnie jak katowski pieniek - ku morzu wyglądały zeń czarne wyloty armatnich luf wystających znad blanków. Na północ od zamku, na umocnionej platformie skierowanej w stronę portu, widać było rysującą się czernią na tle gwiazd plamę osłoniętego płótnem dysku. Domyśliłem się, że to właśnie musi być zwierciadło, od którego oddzielało nas najpewniej tysiąc piratów i janczarów.

Pierre spojrzał na strome ściany zamku.

- Mamy się na nie wspiąć? Jesteś może osłem, ale na pewno nie pajakiem.

- Proponuję, żebyśmy udając pijaków, dotarli do lochów, a potem z naszego dawnego domku ruszyli w górę schodami. Robercie, pamiętasz tawerny?

- Owszem, te, które prowadzą chrześcijańscy niewolnicy i więźniowie dla muzułmanów, gdyż im samym nie wolno sprzedawać alkoholu.

- Myślałem, że muzułmanom nie wolno pić - odezwał się Pierre.

- A kardynałowie nie powinni mieć kochanek - stwierdził Fulton - choć co drugi z nich mógłby dawać lekcje Casanovie. Wszyscy ludzie są pobożni, ale potrafią znaleźć sposoby na omijanie zakazów wiary. Czyżby w Kanadzie udało się naprawić ułomności ludzkiej natury?

- My, ludzie puszczy i kniei, mamy ograniczone doświadczenia, ale nie aż tak. Znaczy, będziemy udawać pobożnych pijaczków?

- Żeby przedostać się do drzwi - potwierdziłem. Pierre spojrzał w górę.

- To lepszy pomysł niż wspinaczka na forteczne mury. Jak we wszystkich miastach, niezależnie od kultury czy wyznań, mieszkańcy Trypolisu poszli na kompromis pomiędzy tym, jak ludzie powinni postępować, a tym, jak postępują naprawdę. Islam zabrania lichwy, bankierstwem zajmowali się tu więc Żydzi wygnani z Hiszpanii. Alkohol też był zabroniony, co stwarzało możliwość dodatkowych dyskretnych zarobków dla dostarczających go chrześcijańskich niewolników. Praktyka ta rozciągnęła się i na więzienie, gdzie przedsiębiorczy ludzie umożliwiali pobożniom zabawienie się z prostytutką, kupno lub sprzedaż części łupu poza wzrokiem poborców podatku bądź skorzystanie z literatury znacznie bardziej podniecającej niż Koran. Muzułmańskie miasta były może bardziej ortodoksyjne, utrzymując większy porządek niż miasta chrześcijańskie, ale wśród więziennych nadzorców i janczarów grzech pienił się równie bujnie jak w Palais Royal. Tak więc przekradliśmy się ku dziedzińcowi przylegającemu do pałacu Jussufa i wślizgnęliśmy się do jednej z knajpek na jego obrzeżu. Złożyłem zamówienie po arabsku, szukając możliwości przedostania się za wrota lochów.

Siedzący w rogu dwaj strażnicy byli już prawie spici na umór, sprawdziwszy więc stan ich zamroczenia, podszedłem, żeby ponownie napełnić ich kubki, i zaproponowałem im kupno opium. Wszelkie środki odurzające i więzienia pasują do siebie jak rękawica do dłoni; indywidualna przemyślność więźniów zwraca się głównie ku zdobywaniu narkotyków niezbędnych do ulżenia w beznadziejnej doli. Nieuczciwy strażnik może zarobić znacznie więcej na sprzedaży ich złodziejom, niż ci zdołają ukraść, a pełnienie funkcji dozorca w arabskich więzieniach było synekurą równie dochodową jak

posada rachmistrza w skarbcu. Strażnicy oczywiście mi nie ufali, wyczuli jednak możliwość zarobku, a chciwość skłoniła ich do wskazania mi skinieniami dłoni tylnych drzwi. Przechodząc przez nie, wetknąłem w dziurkę od klucza gwóźdź, żeby zapobiec opadnięciu rygla, a gdy strażnicy się pochylili, by zbadać mój narkotyk - przyniesioną ze szkunera Steretta mąkę zmieszana z herbacianym proszkiem - moi kompani wślizgnęli się do środka i ogłuszyli pijanych durniów skarpetami wypełnionymi ulicznym piaskiem.

Przez chwilę się zastanawialiśmy, co zrobić z dwoma nieprzytomnymi strażnikami, aż w końcu niechętnie wyciągnąłem spod szaty mój marynarski kordelas i załatwiłem obu silnymi pchnięciami, co Fulton skwitował cichym westchnieniem.

- Panowie, toczymy wojnę z fanatykami, którzy trzymają mojego niewinnego synka jako zakładnika i mają nadzieję, że niedługo wypowiedzą wojnę całej naszej cywilizacji - powiedziałem. - Weźcie się w garść. To będzie długa noc.

- Oni zresztą też nie okazaliby nam litości - dodał Pierre.

- I do tej pory też się nią pewnie nie popisywali.

- Zostawmy ich tutaj - powiedział Fulton, przetykając ślinę i patrząc na trupy. Prowadzenie wojny nie było najwidoczniej tym samym co projektowanie machin wojennych i teraz chyba dotarło do niego, jak straszne konsekwencje może mieć jego pomysłowość. Zastanawiałem się, czy nie to samo odkrył Archimedes. Czy stary Grek nie zażądał rozebrania swojego zwierciadła, żeby je ukryć nie tylko przed Rzymianami, ale i przed resztą ludzkości?

Czy nie mogło być tak, że kazał go zabić jego własny rozczarowany władca?

- Przedtem jednak zabierzmy im pistolety - powiedział Pierre. - Ethan jest w takim nastroju, że czuję, iż nam się przydadzą.

- Weźmy też ich klucze - dodałem. - I pomóżcie mi gdzieś ukryć te trupy.

Gdy zakradaliśmy się w głąb labiryntu lochów pod pałacem Jussufa, poczułem ogarniające mnie mdłości. Budząc dawne lęki, uderzyła mnie fala smrodu ścieków, ziemi i gnijących w mroku szczątków, słyszeliśmy też jęki i rozlegające się od czasu do czasu niesamowite wrzaski. Potem jednak przypomniałem sobie o uwięzionych w haremie gdzieś wyżej Astizie i małym Harrym. Postanowiłem raz na zawsze wysadzić w powietrze tę paszczę Hadesu i zwalić na nią fortecę Jussufa. Poszczujmy na nich psy wojny!

Przeszliśmy przez kilka żelaznych krat, zamykając je za sobą, żeby opóźnić pościg. Potem znalazłem schody, którymi zaprowadzono mnie do pałacu Jussufa na spotkanie z Astizą.

- Sądzę, że nasza trzyosobowa armia powinna się tu rozdzielić - stwierdziłem. - Robercie, musimy jakoś przerzucić twoją torpedę czy minę do zwierciadła i wysadzić je w powietrze.

- Archimedes użyłby katapulty - powiedział wynalazca. - Może wymyślę coś podobnego. Skąd będę miał odpowiedni widok?

- Jeżeli zdołamy cię umieścić na dachu spiżarni Jussufa, zobaczysz co i jak. Idź tym tunelem i poszukaj schodów, ale unikaj wartowników.

Fulton wyciągnął swój kordelas.

- Albo zabij, jak się na któregoś natkniesz.

- A ty, co zamierzasz, ośle? - zapytał Pierre.

- Ja ruszam do haremu, gdzie są kobiety.

- Jakżeby inaczej!

- Tam powinna być Astiza i mały Harry. Wślizgnę się, wykradnę ich i sprowadzę na dół, żebyśmy się wycofali tą samą drogą, którą tu dotarliśmy.

- A dzielny Pierre, któremu nigdy się nie trafia zadanie ratowania haremu pełnego młodych, obnażonych i zachwycająco urodziwych kobiet?

- Dzielny Pierre otrzymuje najważniejsze zadanie. Weź te klucze i uwolnij tylu więźniów, ilu się da. Gdy będziemy się wycofywać, ich ucieczka wywoła zamieszanie, które osłoni nasz odwrót do łodzi podwodnej. Ale uważaj, Pierre, bo tych lochów strzeże prawdziwy ogr. To bydlę znane jako Omar Władca Lochów i za wszelką cenę musimy go unikać.

- Pompatyczny tytuł. Czy jest wielki i paskudny jak ty?

- Większy. I powiedziałbym, że znacznie brzydszy. Ma jeszcze bardziej toporny pysk niż nasz olbrzymi przyjaciel, Magnus Bloodhammer.

- Więc stanę się Dawidem dla tego wielkoluda Goliata. Jestem wielki Pierre Radisson, Człowiek Północy, traper i leśny wędrowiec, który potrafi wiosłować przez dwadzieścia godzin dziennie i przed snem przejść sto mil! Nikt nie zdoła przenieść większego ode mnie ładunku, nie wypije więcej ode mnie, nie tańczy bardziej lekko, nie skacze wyżej, nie biega szybciej i prędzej niż ja nie zwabi dziewczki na siano! Z zamkniętymi oczami mogę znaleźć drogę z Montrealu do Athabaski!

Kilkakrotnie przedtem słyszałem już te przechwałki.

- Więc doskonale sobie poradzisz tu, w dole, Pierre. Poruszaj się szybko, cicho, a jak Omar cię zobaczy, gnaj jak ścigany jelen. Potrzebujemy cię w łodzi, byś nam znów zademonstrował swoje męstwo.

- Oczywiście, że będziecie mnie potrzebowali! Ci dwaj uczeni, których tam zostawiliście, choć niewątpliwie wyknocili już osiem zwariowanych teorii dotyczących historii Ziemi, do tej pory stracili orientację i się pogubili, jeśli nie potopili! Cóż, Pierre jak zwykle zrobi główną część zadania i spotka się z wami przy furcie wyjściowej z tej śmierdzącej

dziury. A potem popracujemy nad poprawą twojego charakteru!

Ruszyłem więc schodami wiodącymi do zamku, by ratować mojego synka i moją kobietę. Nie bez pewnego wstrząsu i zaskoczenia uświadomiłem sobie, że tak o nich myślę. Astiza praktycznie stała się moją żoną.

Wspinałem się więc po schodach do sali, w której spotkałem Astizę. Nie bez pewnego niepokoju minąłem boczny tunel, który - jak pamiętałem - prowadził do izby tortur Omara. Potem otworzyłem drewniane drzwi, odsunąłem zasłaniające je kobierce i wkroczyłem do sali tronowej. Odgadywałem, że znajduję się gdzieś w pobliżu haremu. Ocieniony tron z pokrywającymi go poduszkami stał tak, jak go zapamiętałem. Na miejscu był nawet ten afrykański kot, zamknięty na noc w klatce. Gdy go mijałem, zobaczyłem, jak błyska w mroku ślepiami; skwitował moje przejście niskim warkotem. Zastanawiałem się, czy gdzieś tu w pobliżu nie czyha smok Draguta, ten jaszczur z apetytem polarnego niedźwiedzia.

W głębi klatki błysnęło trzecie oko i zobaczyłem, że jest w niej mniejsza klatka, w której spoczywał czujnie strzeżony przez kota ozdobiony szmaragdem turban Jussufa. Nawet lampart musiał zarabiać na swoje utrzymanie.

Dotarłszy do przeciwległego krańca sali, wślizgnąłem się w cichy korytarz o ścianach pokrytych zawieszonymi na nich średniowiecznymi spizowymi tarczami. W całym pałacu panowała złowieszcza cisza, jakby sam budynek wstrzymywał oddech, i zacząłem się zastanawiać, czemu jeszcze nie natknąłem się na żadnych strażników. Owszem, była północ, ale czy naprawdę miałem aż tyle szczęścia?

Podszedłszy po marmurowych schodach - teraz byłem już chyba pod pałacowym dachem - natknąłem się na odźwiernego eunucha, śpiącego o tej porze nocy snem

sprawiedliwego. Nieopodal leżała flaszka i gdyby przyłapano go na tak poważnym zaniedbaniu obowiązków, niewątpliwie dostałby sto kijów w gołe pięty albo powieszono by go na zamkowych murach. Zastanawiałem się przez chwilę, czy go nie zabić, nie mogłem się jednak zdobyć na taki czyn wobec człowieka okrutnie już wykastrowanego. Zdarłem więc ze ściany kobierzec, owinąłem mu go wokół głowy, zakneblowałem go i mocno związałem. Kolejny silny cios w łeb ukoił jego szamotaninę.

Następnie podszedłem do drewnianych, nabijanych spiżowymi ćwiekami drzwi i przez chwilę czujnie nasłuchiwałem. Nie usłyszałem dźwięków kobiecych chichotów, harem pograżony był we śnie. Zamierzałem już rozwalić zamek kulą z pistoletu, ale tymczasem drzwi się otworzyły. Najwyraźniej Jussuf nie spodziewał się bliskiego amerykańskiego ataku albo miał zaufanie do czujności strażników. Ostrożnie wślizgnąłem się do środka; nie zamierzałem wszczynać zamętu, budząc dziewczęta. Gdybym znalazł Astizę i chłopca i zdołalibyśmy się chyłkiem wyślizgnąć, przestałbym myśleć o zwierciadle. Po tak długim czasie nie mogło przecież działać.

Ale działało. Spaliło hiszpański statek i mogło spalić nasz okręt.

Harem też był pusty.

Minąwszy przedpokój, wkroczyłem na piękny placyk, znacznie bardziej zbytkowny niż kupiecka attyka, do której się włamałem w Kairze. Była tu sadzawka i kopulasto zwieńczony dach poprzecinany wstawkami kolorowego szkła. Za dnia musiała się stamtąd sączyć feeria barwnego światła. Pod ścianami komnaty ciągnął się rząd tworzących arkady kolumn wspierających zawieszony tam balkon. Pod nim ciągnęły się rzędem drzwi prowadzące, jak się domyślałem, do oddzielnych sypialni i kuchenek żyjących tu kobiet.

Malowniczo ustawione wazony pełne były kwiatów, a na powierzchni wody w sadzawce unosiły się barwne płatki róż. Dominującą tu wonią była woń kadzideł i pachnidła. Jak tu było, gdy lekko odziane, chichoczące nałożnice kilkunastu narodowości wylegiwały się na otomanach? Zanurzone beztrąsko w sadzawce ręce i nogi, mimowolnie obnażone piersi, plotkujące wesoło kobiety muskające dłońmi włosy, gładkie ramiona, łagodnie wygięta biodra, migdałowego kształtu oczy podkreślone cieniem do powiek, wargi podmalowane... Skup się, Ethanie!

Teraz masz myśleć o jednej tylko kobiecie.

I nagle pojawiło się towarzystwo. Usłyszałem za sobą ciche kroki stóp obutych w miękkie kapcie i miałem już się odwrócić, gdy w tejże samej chwili z przodu doleciał mnie basowy pomruk oślinionej i zakrwawionej paszczy. Sokar! Rękojeść mojego pistoletu nagle pokrył pot, a ja zrozumiałem, czemu w zamku panowała taka cisza. Wszedłem prosto w pułapkę.

- Ethanie, Ethanie, jakże jesteś przewidywalny - rozległ się głos Aurory z podcieni, skąd jej pies patrzył na mnie żółtymi jak szczyzny ślepiami. - Czekaliśmy od tygodni! - Zaraz potem z mroku wyłoniło się jej ogromne, zgarbione, trzymające nisko łeb psisko.

- Pozwolimy, żebyś sam nakierował zwierciadło na okręty waszej floty - odezwał się kolejny głos za mną. Dragut! - Mógłbyś udowodnić nam swoją przydatność. Teraz jednak po prostu wypróbujemy je na tobie. - Jego głos pomógł mi w orientacji tak samo, jak szeroka niczym psi pysk lufa garłacza, która wparła się w moje plecy. - Nie ruszaj się, proszę, bo trzymam broń twojego przyjaciela. Jak palec drgnie mi na spuście, rozerwie cię na dwoje.

- Cholernie zanieczyścisz tę piękną sadzawkę.

- W razie konieczności mamy niewolników, którzy ją do czysta wyliżą.

ROZDZIAŁ 37

Aurora wyszła na lepiej oświetloną przestrzeń, trzymając w jednej ręce smycz Sokara i moją rusznicę. Wokół jej drugiej pięści owinięty był inny rzemień, który krępował dwoje nieszczęśników występujących teraz z mroku. Rzemień przywiązano do skórzanego kołnierza zamkniętego wokół szyi Astizy; błyski jej oczu wskazywały, że czeka tylko na okazję, żeby się odegrać. Potem spoglądała na maleńkiego Horusa, który szedł, utykając; chłopczyk miał splakaną i przerażoną minę.

Ujrzawszy mnie po drugiej stronie sadzawki, nieco się ożywił.

- Tatuś!

Miałem ochotę natychmiast zastrzelić czarne bydlę, gdybym to jednak zrobił, wystrzał z garłacza skończyłby z Harrym i Astizą. Na tę odległość zresztą mój marynarski pistolet był diabło niecelny, a ten, który zabrałem martwym strażnikom, nie był lepszy. Mógłbym strzelić i chybić.

- Masz za swoje, gnojku, który dziabnąłeś mnie w stopę! - syknęła Aurora.

Zobaczywszy bandaż na jej stopie, nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, nieprawdaż? Harry nie skończył trzech lat, a jednak napełnił mi pierś dumą. Najpierw zabił mysz, a potem zwrócił się przeciwko większemu szczurowi!

- Ten pies już cię nie będzie straszył! - zawołałem.

- Nie, nie będzie! - warknęła Aurora - bo skażemy tego twojego bękarta na najgorszą niewolę. Ta dziwka, która go zrodziła, zostanie usmażona w promieniach słońca. Będiesz mógł na to patrzeć, Ethanie, zanim wypróbujemy zwierciadło na tobie. To będzie twoja kara za zabójstwo Ozyrysa! Potem pozwolimy, żeby ta łódka, na której tu przypląnąłeś, zbliżyła

się na ratunek twojemu poczerniałemu trupowi, i też ich spalimy. Spłoną jak polano w ognisku!

- Doprawdy, powinnaś się zajmować pisaniem dramatów.

- Miesiąc temu chciałam ci oddać cały świat i siebie samą. A teraz? Musieliśmy tylko na was poczekać. Omar przysłał wiadomość, że ktoś wtargnął do lochów. Ten eunuch, któremu darowałeś życie, udawał pijanego. Janczarowie pozwolili ci głupio wejść w pułapkę. Twój przyjaciele, którzy byli dość głupi, żeby ci zaufać, powinni już nie żyć. Obracasz w klęskę i nieszczęście wszystko, czego się tkniesz, i pogrążasz w żałobie każdego, z kim się zaprzyjaźnisz. Nie kontrolujesz błyskawicy, ale sam jesteś błyskawicą, gromem nieszczęścia, który uderza we wszystko wokół.

- To wyjaśnia, dlaczego zadziwia mnie twoje przywiązanie. Oczywiście ty sama też nie jesteś Świętym Mikołajem.

- Och, nie miej złudzeń, będę uwielbiana. Potomność zawsze szanuje zwycięzców. Najpotężniejsi zostają bogami lub boginiami. Okazujemy uwielbienie bezwzględny.

- Dzielne słowa jak na kogoś, kto szczuje kundlem dziecko niewiele starsze od niemowlęcia i staje naprzeciwko mnie na czele bandy stukrotnie liczniejszej. Auroro, nie byłaś nigdy nikim lepszym od portowego opryszka. Jesteś dziwką, która nigdy nie zdobędzie prawdziwego mężczyzny, zależnym od braciszka żółtodziobem w dziczy, kobietą z macierzyńskim instynktem Gorgony, strzelasz zaś jak przeciętny angielski fircyk.

Zesztywniała, co czyniła zawsze, gdy ktoś wypalił jej prawdę prosto w oczy.

- Widziałeś, jak strzelam z tej rusznicy w Kanadzie! - Uniosła moją ukochaną strzelbę. Od kuźni w Jerozolimie przewędrowała może z piętnaście tysięcy mil i na jej widok

moje serce zaczęło uderzać szybciej. - Strzelam lepiej niż którykolwiek mężczyzna w tej fortecy!

- Ale nie lepiej ode mnie! Przypomnij sobie, co dwukrotnie zrobiłem twojemu braciszki. Zaczerwieniła się z wściekłości.

- Pierwszy strzał był przypadkowym trafem, a drugi wypaliłeś niemal z przyłożenia.

Podczas tej wymiany zdań Astiza zachowywała absolutny spokój, czekając, aż dokonam cudu. Zobaczyłem przed sobą maleńką, nikłą szansę.

- Wciąż jestem lepszy od ciebie.

- Teraz to moja broń, Ethanie.

- Pozwól, że ci to udowodnię. Nigdy nie zmierzyłaś się ze mną.

- Proponujesz zawody?

- Mówię tylko, że łatwo się chwalić, gdy twój przeciwnik ma garłacz wparty w plecy i stoi naprzeciwko setki żołnierzy. Ale nigdy nie wygrasz, gdy będę miał choć cień szansy. A już na pewno nie w strzelaniu.

Roześmiała się, a jej pies odpowiedział szczeknięciem.

- Wybierz cel!

- Auroro, nie mamy czasu na te bzdury - zaprotestował Dragut.

- Teraz, gdy go pojaliśmy, możemy sobie czekać, ile zechcemy. Wybierz cel!

Rozejrzałem się i spojrzałem w górę.

- Ta szklana płytką w kopule, nie większa od dłoni. Trafie ją pierwszy, a ty... dasz nam minutę, zanim zaczniesz nas ścigać.

- W tej sytuacji byłby to absurd, który skwitowałabym splunięciem, gdybym nie wiedziała, że jestem lepszym strzelcem. Zamiast tego dodajmy tym zawodom smaku. Stawiam głowę twojego syna.

- Nie! Nie mieszaj do tego chłopca! - W duchu wiedziałem jednak, że potworny pomysł, który jej podsunąłem, jest naszą jedyną nadzieją.

- Tak - odpowiedziała, mówiąc jakby do siebie. - Niech twój absurdalny pomysł przyprawi go o przerażenie. Hamidzie, nie spuszczaaj Ethana z muszki, bo ten Amerykanin jest bardzo podstępny! Ethanie, ustawimy szklany kielich na głowie twojego synka i jego nóżkę uznamy za cel. Ja strzelę pierwsza i gwarantuję ci, że nie zranię chłopca i przetnę kulą nóżkę kielicha, jeśli tylko jego matka zdoła utrzymać go dostatecznie spokojnie. Potem ty będziesz miał szansę, a ja cię zapewniam, że jeżeli transz w nóżkę kielicha więcej razy ode mnie i nie rozwalisz przy tym głowy twojego dziecka, dam ci szansę na ucieczkę, zanim spuszczę Sokara ze smyczy. Zabawnie będzie patrzeć, jak gna za tobą po schodach, i słyszeć twoje wrzaski po tym, jak słyszałam krzyk mojego brata.

- Lubię dziewczyny podchodzące do sprawy z zapalem. Obwiązała smycz Astizy wokół kolumny ze zręcznością żeglarza i sprawdziła moc węzła.

- Kucnij, dziwko, i podnieś swoje dziecko jak posąg - zwróciła się do Astizy. - Jeżeli drgnie, jedno z nas może chybić.

Moja ukochana, ze skórzaną pętlą na szyi i dwuletnim synkiem w ramionach, uklękła, drżąc i patrząc na Aurorę wzrokiem pełnym nienawiści.

- Horusie - szepnęła - musisz być teraz bardzo, ale to bardzo spokojny. Mama cię mocno trzyma i nic ci nie grozi.

Chłopczyk, kompletnie zbity z tropu i niewiedzący, co się dzieje, znów zaczął płakać. Aurora ustawiła na jego główce puchar, który zadrżał, gdy Harry się poruszył. Okrążywszy sadzawkę do miejsca, w którym stałem, pocałowała mnie przelotnie w policzek, co było mi równie miłe jak liźnięcie

tego gada w satanicznej ładowni jej statku. Potem wyjęła mi zza pasa pistolety i wrzuciła je do wody. Plusnęły i przepadły. Aurora odwróciła się i podniosła moją rusznicę ze spokojem i pewnością siebie starego strzeleckiego wygi. Gdy mierzyła, lufa strzelby była nieruchoma niczym głaz.

Wstrzymałem oddech ze strachu, że Harry może się znaleźć na drodze kuli. Zobaczyłem blask, usłyszałem huk i jęk pękającej nóżki kielicha. Czara pucharu spadła na ziemię i roztrzaskała się w kawałki, a biedny Harry krzyknął, zalewając się łzami. Astiza objęła go mocniej i zaczęła mu coś szeptać do uszka.

Kobieta, której kiedyś pragnąłem, stuknęła kolbą mojej rusznicy o marmur posadzki, wyjęła ładunek prochu i kule, po czym nabiła rusznicę z wprawą doświadczonego myśliwego. Potem podała mi broń, pierwszej wymierzywszy pistolet w moją głowę.

- Połóż mu na głowie kolejny kielich! - zawołała do Astizy. Potem zwróciła się do mnie. - Ostrzegam cię, że jeśli lufa twojej strzelby odchyli się choćby o centymetr od główki twojego przeklętego berbecia, zabijemy cię natychmiast, a tych dwoje oddamy handlarzom niewolników.

- O co chodzi, Auroro? Obawiasz się, że strzelę równie celnie jak ty, a tobie następnym razem się nie uda?

- Strzelaj. Jak chybisz, błagaj o litość.

Astiza i Harry znieruchomieli jak posągi, matka szeptała synkowi coś do ucha. Kielich lśnił niczym diament.

- Pamiętaj, jeżeli chybisz, to będzie po zawodach - stwierdziła Aurora.

Wymierzyłem tak ostrożnie i starannie, jak nigdy przedtem, zaczerpnąłem tchu, wstrzymałem oddech i powoli wypuściłem powietrze z płuc, ściągając spust. Strzelałem do ledwo widocznego w półmroku celu.

Wystrzeliłem. Marmurową komnatę rozświetlił błysk, rozległ się huk i kakofonia okrzyków kobiet z haremu.

Smycz mojej ukochanej pękła z trzaskiem, przecięta kulą, tak jak tego chciałem! Luźne jej końce zatrzepotały w powietrzu.

W uszach dzwonił nam jeszcze huk wystrzału. Na ułamek sekundy wszyscy zamarli w bezruchu zdumieni rezultatem mojego strzału.

A ja uniosłem kolbę rusznicy ponad ramieniem i pchnąłem w tył, uderzając nią Draguta w gębę. Zachwiał się i machnął bezradnie garłaczem. Odwróciłem się, żeby wyrwać mu broń, i celowo padłem na posadzkę, gdy pistolet Aurory z hukiem posłał kulę, która świsnęła mi nad głową. Zamachnąłem się rusznicą jak kosą, mierząc w jej kostki. Podskoczyła i upadła na plecy. Oboje mieliśmy puste lufy.

Poderwałem się i wyrwałem garłacz ogłuszonemu niemal całkowicie Dragutowi.

- W nogi! - krzyknąłem. Miałem ochotę wypalić w gęby prześladowców, pomyślałem jednak, że bardziej się przyda na dole. Z garłaczem w jednej ręce i rusznicą w drugiej poczekałem na moją kobietę i synka.

Astiza chwyciła oszołomionego, milczącego Horusa pod pachę i minęła nas biegiem, ciągnąc za sobą resztki smyczy.

Ja poderwałem się natychmiast potem, nie czekając, aż Aurora i Dragut się ockną. Powitałem moją rusznicę jak odzyskanie dawno utraconej ręki albo nogi, choć broń była nienabita. W lewej trzymałem gotów do strzału garłacz Smitha. Przemknęliśmy przez drzwi haremu, zatrzasnęliśmy je za sobą i przeskoczyliśmy ponad związanym eunuchem. Czający się w zasadzce janczarzy wypadli z kryjówek przy marmurowych schodach i poczęstowałem ich ładunkiem lufy garłacza. Broń kopnęła potężnie, na wrogów lunął deszcz pocisków i rozstąpili się z wrzaskiem niczym spływające w

dół po schodach fale Morza Czerwonego. Dla dobrej miary zawiąłem kolbę rusznicy i zwałem kilku ostatnich uparciuchów, roztrzając ich jak kęgle. Pognaliśmy ku sali tronowej, podczas gdy za nami rozległy się rozpaczliwe wrzaski wszystkich eunuchów.

- Sokar! Zabij! - doleciał nas z góry ostry okrzyk Aurory. Potem wiedźma zwróciła się do Draguta: - Pędź na swój okręt, idioto, i zniszcz tę łódź, którą przygotowali do ucieczki.

Usłyszałem szczekanie mastyfa i chrobot jego pazurów o marmurową posadzkę, gdy puścił się za nami. Zatrzasnąłem drzwi sali tronowej, opuściłem lekki rygiel i patrzyłem, jak drewno gnie się niczym płótno, gdy bydlę uderza w nie z drugiej strony. Musiałem ponownie nabić broń, ale miałem tylko kilka sekund. - Ratuj chłopca! - krzyknąłem do Astizy. - Za tym kobiercem są drzwi do lochów! Czeka tam mój towarzysz! - Zdążyłem tylko wsypać proch, nie miałem jednak czasu na wrzucenie kuli i utwierdzenie jej przybitką. Potem zagrzmiał wystrzał z pistoletu, drzwi rozleciały się w drzazgi i do sali wpadł rozszalały pies dyszący żądzą krwi.

W połowie skoku natknął się na kolbę mojej rusznicy. Warknąwszy dziko, odleciał pod ścianę; miałem nadzieję, że złamałem mu przynajmniej jedno zebro.

Za pieszczoszką wbiegła Aurora z rozwianymi włosami; wymachując bułatem Draguta i dymiącym pistoletem, wyła jak banshee.

Astiza jednak, zamiast uciekać, pchnęła Horusa w najbliższy kąt, chwyciła kraniec dywanu i ostro szarpnęła ku sobie. Lady Somerset padła na plecy, klnąc jak podpity marynarz, a Astiza skoczyła na nią, usiłując wyrwać jej bułat z ręki. Obie potoczyły się po ziemi; gryząc i drapiąc, utworzyły kłęb splątanych dziko włosów, szarpiących się rąk i wierzgających gwałtownie nóg. Pies skoczył na mnie ponownie w chwili, gdy przybijałem kulę, i tym razem capnął

w zęby lufę rusznicy, warcząc i usiłując przegryźć stal. Odrzuciło mnie w tył, padłem plecami na poduszki, a bestia stanęła nade mną - sto funtów rozdygotanej wściekłości, gorącego oddechu, płatki kapiącej z pyska śliny i warkot przedpotopowej bestii. Spróbowałem odsunąć jego pysk od siebie kolbą, ale kark miał sztywny jak konar dębu.

- Mamo! - to krzyczał biedny Harry, przerażony rozpętanym wokół niego piekłem.

Usłyszałem wściekle warczenie i w lot pojąłem, że to lampart Jussufa tłucze się w swojej klatce, rozjuszony widokiem czarnego mastyfa, który naruszył integralność jego królestwa.

Aurora użyła rękojeści bułata do ogłuszenia Astizy, a potem próbowała się wyrwać z uchwytu jej dłoni na nadgarstkach. Moja ukochana kierowana rozpaczą macierzyńskiego instynktu szarpnęła się w tył, obie kobiety wrzasnęły głośno i uwolniona nagle szabla brzęknęła o marmurowe płyty posadzki.

I dopiero wtedy rozpętał się absolutny chaos, w którym doszły do głosu zwierzęce refleksy.

Cętkowany drapieżnik z wyciem wypadł nagle ze swojej klatki, a pies skoczył mu na spotkanie. Mastyf był równie rostry jak lampart i spodziewał się obalić kocura, ten jednak niespodziewanie okręcił się w powietrzu; obaj spotkali się na szczycie łuku, zderzyli się i wirując, runęli na ziemię. Pies miał krzepę, ale po stronie lamparta była szybkość. Potoczyli się po ziemi, tnąc kłami jeden drugiego. I nagle mastyf zakwilił boleśnie i z przerażeniem, bo lampart wbił kły w jego gardło. Obie bestie zwały się na perskim dywanie; lampart syczał i drapał pazurami. Pies rozpaczliwie wymachiwał łapami, ale jego pazury nie mogły sprostać śmiertelnie niebezpiecznym kocim szponom.

- Sokar! - wrzasnęła Aurora, odtrącając na bok swoją Astizę, tak że uderzyła głową o marmurową kolumnę. Matka Harry'ego ogłuszona osunęła się na ziemię. Aurora popęzła po swój bułat, a potem z oczami płonącymi kompletnym szaleństwem ruszyła na skulonego w kącie małego Horsa. Ostatecznie zdołałem wcisnąć kulę w lufę i zacząłem przybijając ją wyciorem, ale przemieszczenie ołowiu przed długą, ciasną rurą trwa wieczność. Aurora wstała jak rozsiała walkiria i uniosła klingę, by przeszyć nią mojego synka, a ja podnosiłem się, by ją zatrzymać, i rozpaczliwie szukałem czegoś, co odwróciłoby jej uwagę.

- Ratuj psa!

Mój okrzyk sprawił, że zaskoczona wiedźma odwróciła się, nie wiedząc, co jest dla niej ważniejsze. I nagle skoczyła ku walczącym bestiom, prawdopodobnie z zamiarem zabicia kota. Był to jedyny jej niesamolubny czyn, jaki widziałem.

Lampart frunął w powietrze. Jednym skokiem pokonując odległość trzech metrów, obrócił się w locie z drapieżnym wdziękiem, wywinął się spod klingi i uderzył w nią całym ciałem. W ułamek sekundy później w tors Aurory wbiły się szpony, a na jej twarzy zwały się potężne kły.

Nie miała nawet czasu, żeby krzyknąć. Usłyszeliśmy obrzydliwy trzask pękających kości i jej głowa zniknęła w paszczy bestii.

Nieco dalej leżał jej paskudnie poharatany pies. Z rozdartej krtani bestii tryskała krew.

Aurora rozpaczliwie miotała się po posadzce. Pieszczoch Jussufa przygwoździł ją do ziemi. Pięknotka, która tak mnie oczarowała w Ameryce, była dosłownie rozdierana w sztuki, każde szarpnięcie pazurów bestii odrywało wstęgi mięśni i skóry. Piętami uderzała rozpaczliwie o dywan i marmur, z każdym wierzgnięciem zostawiała krwawe smugi. Potem kot dobrał się do jej gardła. Miała teraz poszarpaną, pozbawioną

oczu twarz. Zdążyłem już całkowicie nabić broń, szkoda jednak było tracić ołów na szamoczącego się lamparta i jego ofiarę, której głowa trzepotała się bezwładnie na przegryzionej już niemal łodydze szyi. W końcu zmiękła ostatecznie, wielki kot targał jeszcze jej ciało, a tymczasem wszczął się ruch przy drzwiach, gdzie stłoczeni janczarzy z eunuchami wtykali głowy, żeby zobaczyć, co się stało. Wszystkich zatrzymał w miejscu widok uwolnionego lamparta i trupa Aurory.

Strzeliłem do największego smagłego draba i zaraz potem rozjuszony lampart skoczył ku drzwiom. Przerażeni strażnicy cofnęli się gwałtownie, a kot pognał za nimi. Usłyszeliśmy grzechot wystrzałów i wściekłe warknięcia.

Podniosłem oszołomioną Astizę, by pchnąć ją w kierunku kobierca na scenie z tyłu, za którym była droga ucieczki, ona jednak uchyliła się i kierowana kompletnie dla mnie niezrozumiałym impulsem, chwyciła ze ściany antyczną tarczę. Była to pięknie rytowana, filigranowa rzecz z brązu i prawdopodobnie dość cenna, ale w tej chwili nie potrzebowaliśmy żadnego dodatkowego ciężaru do dźwigania. Czyżby oszołomiło ją uderzenie w głowę? Ale w tejże chwili dostrzegłem coś, co sam chciałbym zabrać stąd na pamiątkę - turban Jussufa w głębi klatki wielkiego kocura. Porwałem, go, podniosłem małego Harry'ego, ponownie pociągnąłem za sobą Astizę i wreszcie przeszliśmy przez ukryte za kobiercem drzwi do lochów. Zasunąłem solidny rygiel, a potem zbiegliśmy w dół po schodach; wciąż jeszcze nie mogłem się otrząsnąć z widoku okropnej śmierci Aurory. Równie wstrząśnięta Astiza oddychała ciężko z wysiłku.

- Tato, to ja wypuściłem lwa - przyznał się Harry.
- Dzielny chłopiec! Uratowałeś mamę. I mnie!
- Czy on nas zje?

- Nie, już go zabili. Aurora też już nie żyje - zwróciłem się do Astizy, która drżąc z podniecenia i wyczerpania, odłożyła wreszcie tarczę.

Z góry dobiegał nas łoskot uderzeń strażników w zaryglowane przeze mnie drzwi. Strzelali też w nie z pistoletów, ale trochę to miało potrwać, chyba że przyniosą baryłki z prochem.

Astiza zamknęła oczy i jeszcze mocniej przytuliła synka. Niech mnie, chłopak był diablo odważny! Był też sprytnym małym urwisem i nieźle mi się poszczęściło. Będę musiał tylko dopilnować, by nie odziedziczył po mnie cech, których wolałbym się pozbyć.

- Usłyszałam, jak jej twarz pęka w szczękach tego lamparta - opowiadała Astiza i odruchowo się wzdrygnęła. - Była najbardziej obrzydliwą, najgorszą i najbardziej zwariowaną, złą kobietą, jaką znam. Ethanie, opętały ją złe demony. Te, o których myślałam, że dawno już zostały z ziemi wygnane. Okultyści egipskiego rytu ponownie wezwali te sukuby, one zaś opanowały jej ciało i umysł.

- Złe zwierzęta, tatusiu.

- W drapieżnych zwierzętach jest dzikość, do której daleko człowiekowi - powiedziałem. - Ale w odróżnieniu od człowieka one zabijają, nie grzesząc.

Astiza objęła mnie mocno i przez chwilę wszyscy troje trwaliśmy razem.

- Ethanie, nie byłam pewna, czy wrócisz. Miałam Horusa, ale bez ciebie...

- Miałbym zostawić rodzinę? - Uśmiechnąłem się szeroko. - Teraz jestem ojcem!

- Przed ostatnim strzałem nie wiedziałam, w co celujesz.

- Nie wiem, co byłbym zrobił, gdybym chybił.

- Nie chciałabym żyć, gdyby Horusowi stała się krzywda.

- Od czasu, gdy mnie poznał, nie miał łatwego życia, prawda? Dlatego chciałbym się trochę odegrać, zanim stąd uciekniemy. Astizo, oni tu mają zwierciadło wielkie jak pałacowy dziedziniec i zamierzają skierować je przeciwko flocie amerykańskiej. Słyszałaś o tym w haremie?

- Słyszeli o tym wszyscy mieszkańcy Trypolisu. Jussuf wprost pęka z dumy. Z okien haremu patrzyłyśmy, jak je ustawiają.

- Zanim stąd uciekniemy, musimy je zniszczyć, bo spali szkuner, który tu po nas przyplynie. Zasięg promieni przekracza odległość strzału z działa. Czy jest jakieś przejście do fortu, w którym je ustawiono? - Odwiązałem resztki obroży z jej szyi i cisnąłem je daleko.

- Nie. Pomiedzy pałacem i fortem jest labirynt uliczek pełnych setek żołnierzy i tych fanatyków Aurory Somerset. Ethanie, ze względu na Horusa, uciekajmy! Ileż jeszcze to dziecko będzie musiało znieść?

- Nie możemy uciec. Słońce już prawie wzeszło i oni nas po prostu spalą. Trzeba się będzie przebijać. Mam na dole towarzysza, który pomoże mi zaopiekować się tobą i Harrym i jeszcze jednego z bombą mogącą zniszczyć to zwierciadło. Robert Fulton może jest dziwakiem, ale przechytrzyłby Lucyfera. Jeżeli uda nam się dostać w pobliże tego zwierciadła, wysadzimy je w powietrze, tak że zostaną tylko odłamki.

Astiza zagryzła wargi.

- Nie wiem, co może zrobić ta bomba, ale mam inny pomysł. Dlatego wzięłam tę tarczę. Jeżeli jeden dysk może zogniskować światło, czy nie uda się odbić promienia z pomocą drugiego? Może zdołamy go zablokować?

- I co wtedy?

- Zwrócimy go przeciwko nim. Ty ponieś tarczę, ja wezmę Horusa. Znajdźmy tych twoich przyjaciół i dajmy wyznawcom rytu przedsmak tego, co szykują innym.

ROZDZIAŁ 38

Obawiałem się, że strzelanina i tumult na górze sprowokują nagły wybuch buntu i zamieszania w lochach, ale więzienne korytarze były niesamowicie wprost spokojne i ciche. Pierre zdołał uwolnić setki mężczyzn, oddając część kluczy innym, na tyle mocnym, że mogli pomagać w otwieraniu cel. Uwolnieni więźniowie zmiotli wprost strażników, którzy zostali pozbawieni możliwości ucieczki, gdyż zamknęliśmy bramy. Teraz czaili się bezgłośnie i drżąc z podniecenia wyczekiwali możliwości uderzenia na wyjście. Pierre poinformował ich, że trzeba to zrobić tuż przed naszym atakiem na zwierciadło, potem zaś powinni iść do portu. Wszyscy liczyliśmy na to, że rozpętany wtedy chaos osłoni wspólną ucieczkę.

Prawdziwych przestępców zwykle pozbawiano dłoni albo nóg, a ci ludzie byli w większości chrześcijańskimi więźniami czekającymi na wykupienie ich z niewoli lub na aukcję. Nie mieliśmy pojęcia, czy dajemy im szansę ucieczki, czy tylko na daremny bunt. Wiedzieliśmy jednak, że musimy zrobić co się da, by osłabić Berberów. Niektórzy z więźniów byli zbyt słabi lub zbyt udęczeni, żeby uciekać, nawet ich jednak towarzysze powynosili z lochów i wzburzeni nieszczęśnicy czekali teraz, mrugając bezsilnie. Ich towarzysze niedoli nie chcieli nikogo zostawić. Nawet okaleczeni patrzyli na nas z nadzieją w oczach i sama ich obecność inspirowała nasze poczynania. Uderzyliśmy w niewolnictwo tak, jak tylko mogliśmy.

- Na najniższym poziomie lochów jest jama, w której trzymano mnie i moich przyjaciół - zwróciłem się do Pierre'a.

- Nie ma w niej teraz żadnych ofiar?

- Gdybyś raczył policzyć, to i bez tego miałem pełne ręce roboty.

- Sam zobaczę. Nie zostawię nikogo w tej piekielnej dziurze.

- Nie mamy czasu! - sprzeciwiła się Astiza.

- Ludzie, którzy tam siedzą, są jakby żywcem pogrzebani. Chodź, Pierre, skończmy opróżnianie Hadesu!

- Nie miałem pojęcia, ośle, że Hades jest tak wielki.

Ponownie nabiłem broń, dając garłacz Kanadyjczykowi. Astizie wręczyłem pistolet Pierre'a, polecając jej opiekę nad Harrym. Potem Francuz i ja zaczęliśmy zejście; przy okazji trafiliśmy jeszcze na kilka cel i posłaliśmy uwolnionych nieszczęśników do góry.

- Natknąłeś się na Władcę Lochów? - zapytałem towarzysza.

- Na wypadek spotkania z tym Goliatem znalazłem odpowiedni kamień. Ale podejrzewam, że niektórzy sprytniejsi strażnicy mogli poszukać ocalenia, kryjąc się tu niżej. Nawet ten twój potwór nie zechciałby stawić czoła setkom ludzi, których dręczył i torturował.

Dotarliśmy do niewielkiej pieczary na najniższym poziomie lochu, gdzie była ta śmierdząca jama; sam jej zapach budził mdłości i chęć wymiotów. Czy w istocie przetrwałem tam na dole? Usłyszawszy szcęk łańcuchów, ostrożnie zerknąłem poza krawędź. Było tam oczywiście ciemno i zobaczyłem tylko jedno dziwnie nieruchome oko, patrzące wprost na mnie.

- Hej tam! Cisza.

- Pierre, potrzebna mi pochodnia.

Na dole mignęło coś bezgłośnie, choć z szybkością błyskawicy, i nagle coś skoczyło w górę. Dostrzegłem tylko łuski, pazury, a potem łańcuch ściągnął bydlę ponownie w dół i w mrok. Odskoczyłem szybko. Był to ten koszmarny jaszczur z okrętowej ładowni. Ponownie znaleźliśmy smoka.

A potem usłyszałem okrzyk mojego towarzysza.

- Mon Dieu, on jest jeszcze bardziej szkaradny niż ty!

- Ten jaszczur?

- Nie, twój oprawca!

Odwróciłem się na pięcie i zobaczyłem Omara, blokującego byczymi barkami wyjście i trzymającego Pierre'a łąpskiem grubości konara dębu; obejmował go z tyłu za pierś i ramiona. Twarz Francuza powlekała się już czerwienią. W drugiej łapie Omar trzymał ciężki łańcuch, który w jego paluchach wyglądał niemal jak zabaweczka.

- Czekałem na ciebie! - zagrział Władca Lochów. - Obudziłem się, bo ustały jęki i płacze. Wyczuwam, że w moim legowisku dzieje się coś niezwykłego. - Wciągnął powietrze nozdrzami złamanego nochala, jakby wolność mogła mieć zapach. - Pomyślałem, że może ci, z którymi nie pozwolono mi się zabawić, jak chciałem, okażą się dość głupi, żeby wrócić, jak obiecali. Pamiętasz mój stół, piękniśiu?

- Omarze, tym razem nie jesteśmy bezbronni jak wtedy. - Podniosłem rusznicę. - Puść mojego towarzysza.

- Dobrze! - Cisnął we mnie Francuzem, by uniemożliwić mi strzał; mój towarzysz runął na ziemię tuż przy krawędzi jamy.

Natychmiast potem Omar z szybkością atakującej kobry - niewiarygodną jak na tak ogromnego mężczyznę! - smagnął łańcuchem, uderzając w lufę mojej rusznicy. Strzeliłem, ale kula musnęła tylko łąpsko oprawcy. Łańcuch owinał się wokół lufy i potężne szarpnięcie wyrwało mi broń z rąk. Rusznica uderzyła o skałę, łamiąc się przy komorze nabojoyej. Moja wspaniała strzelba legła w kurzu; kolba zwisała niczym odłamany zawias, trzymając się przy osłonie spustu tylko na jednej śrubie.

- Ty potworze!

Omar parsknął śmiechem i podniósł złamaną rusznicę.

- Chybiłeś, człowieczku!

- Człowieczku! - stęknął oburzony Pierre.

Omar cisnął rusznicę ponad naszymi głowami do jamy, a ja zamrugalem, słysząc, jak z grzechotem spada w dół. Była to broń, nad którą pracowałem przez wiele dni z Jerychem w Jerozolimie; towarzyszyła mi w Egipcie i na murach Akry, broniła nas też podczas bezwzględnej pościgu Dakotów i Odzibuejów na amerykańskim pograniczu. Teraz spadła z głuchym młaśnięciem na dno.

- Możesz się nią podzielić ze smokiem. - Omar wparł podbródek w ramię i sięgnął po leżący na ziemi garłacz Pierre'a. Stał w wylocie jaskini jak tytan. Naprężony sięgnął, zmrużył oczy błyszczące nienawiścią i tryumfem, a na jego wargach, gdy ruszył ku nam, zakwitł bezlitosny uśmieszek. - Z tej broni mogę trafić was obu.

Przeklęty jaszczur ryknął przeraźliwie na dole; niewątpliwie czekał na posiłek. Jussuf Karamanli stworzył tu piekielne zoo! Podniecone zwierzę obijało się o ściany jamy, usiłując swoim prymitywnym mózgiem rozgryźć, czemu walka i szamotanina na górze dały mu tylko pękniętą strzelbę.

- Możesz wskoczyć do jamy i spróbować szczęścia ze smokiem - stwierdził Omar. - Albo ja cię tam strącę strzałem z tego garłacza.

Spróbowałem dyplomacji.

- Puść nas, Omarze, albo trzystu więźniów z góry weźmie na tobie odwet, gdy się dowiedzą, że zrobiłeś nam tu krzywdę.

- A jak niby miałoby się o tym dowiedzieć? Będziecie w brzuchu jaszczura. A zresztą te chrześcijańskie psy myślą tylko o ucieczce. Nie jestem takim głupcem, za którego uważają mnie ludzie. - Zrobił niecierpliwy gest ręką. - Skacz. - Przesunął palcami po ogniwach na swojej szyi. - Nie lubię broni palnej, zabija zbyt szybko. Jeżeli nie skoczysz, wrzucę cię tam za pomocą mojego łańcucha.

- Ethanie, nie daj draniowi tej satysfakcji - powiedział Pierre, rozglądając się bystro i czujnie. - Niech strzeli.

- Ten garłacz zabije nas obu w jednej chwili.

- No właśnie. To będzie miłosierna śmierć. - Pierre spojrział na dno jaskini i podniósł jakiś kamulec. - Uważasz nas za małych ludzików, olbrzymie? - Zważył kamień w dłoni. - Ot, co mały człowieczek może zrobić, goliacie! - Po tych słowach cisnął kamieniem z niewiarygodną precyzją, trafiając Omara w czoło. Władca Lochów cofnął się, mrużąc oczy z bólem i zaskoczeniem. Zaraz potem trafił go następny kamień, a po nim jeszcze jeden. - Ilu mniejszych od siebie pokonałeś, ogrze? - zapytał wyzywająco Pierre. Cisnął kolejny kamień, tym razem trafiając Omara w policzek.

Zobaczyłem błysk wypadającego z paszczy zęba. W dole ryczał i miotał się jaszczur.

- Ilu nie dałeś żadnej szansy na uczciwą walkę?

Omar ryknął coś głucho i podniósł garłacz. Zmrużywszy oczy, spojrział nienawistnie na Francuza; z czoła spływała mu krew. Wylot lufy garłacza był wielki jak paszcza działa i sprężyłem się, oczekując gradu kul.

Pierre chwycił mnie wpół. - Na bok!

Zaraz potem rozległ się huk, zobaczyłem błysk ognia i usłyszałem trzask. Na wszystkie strony poleciały odłamki lufy garłacza, a Omar wrzasnął, podnosząc zakrwawione dłonie do oślepionej twarzy, i oszołomiony chybnął się w tył.

- A teraz łap za jego łańcuch! - Obaj krwawiliśmy z drobnych skaleczeń po eksplozji garłacza, żaden z nas nie był jednak poważnie ranny. Desperacko chwyciliśmy za koniec łańcucha zwisającego z ramion Władcy Lochów i błyskawicznie zarzuciliśmy pętlę na jego szyję. Omar oślepiony przeszedł chwiejnie obok nas, brocząc krwią i wydając przeraźliwe wrzaski bólu. Drugi koniec łańcucha z brzękiem zsunął się w głąb jamy.

Rozwścieczony jaszczur podskoczył, chwycił łańcuch w zęby i spadł na dno.

Ciężar gada pociągnął Omara ku krawędzi jamy.

Olbrzym z przeraźliwym rykiem runął w dół. Usłyszeliśmy łoskot i soczyste mlaśnięcie, gdy Władca Lochów uderzył o dno jamy, a potem serię wrzasków, jakie ongiś wydobywał ze swoich więźniów, gdy jego niesamowita, wygłodzona bestia rzuciła się na swego pana. Omar zawył przeraźliwie i usłyszeliśmy odgłosy szamotaniny, czemu towarzyszyły brzęki ogniw łańcucha.

- Lepiej byłoby dla niego, gdyby zabił go wybuch - stwierdził rzeczowo Francuz, zerkając w dół.

- Mój Boże! Wiedziałaś, że garłacz eksploduje? - Oczywiście. Nie miałem procy do rozprawy z tym goliatem, ale gdy mnie chwycił, wcisnąłem jakiś kamień w jego lufę. A potem rzuciłem jeszcze kilka, żeby go rozjuszyć i skłonić do strzału.

- Nie mogłeś mnie uprzedzić? Postarzałem się o dziesięć lat!

- Jesteś dość kiepski w utrzymywaniu tajemnic. Cofnąłem się ostrożnie, żeby wziąć pochodnię, podkradłem do krawędzi i spojrzałem w dół. Omar leżał na plecach, patrząc w górę szeroko otwartymi, ślepymi oczami, i pojękiwał cicho, gdy jaszczur wgryzał się w jego tors. Zaciskał dłonie na lufie mojej rusznicy, jakby chciał użyć jej w charakterze maczugi, ale tylko wił się w agonii. - I znowu straciłem strzelbę.

- Nie będę specjalnie schodził na dół, żeby ci ją przynieść - oznajmił Pierre.

Widziałem, jak ogon bestii uderza o ściany jamy, gdy potwór szarpał ciało Omara.

- Ta bestia może pożerać po kawałku, zanim prawdziwy potwór zdechnie - mruknął Pierre, mający ponure doświadczenia z dziczy. - Jaszczur będzie odgryzał miękkie kawałki, nie zabijając ofiary, żeby mięso pozostawało świeże. Ten olbrzym będzie umierał kilka godzin albo nawet kilka dni,

chyba że wcześniej w rany wda się gangrena z tego błočka. Myślę, że to nader odpowiednia śmierć dla oprawcy.

- Ten Władca Lochów chyba nie wzbudził twojej sympatii.

- Nie powinien nazywać małym człowieka Północy. - Pierre patrzył przez chwilę na ucztę jaszczura. - Tu, w Afryce, mają naprawdę paskudne bestie.

- Myślę, że akurat ten jaszczur pochodzi z Indii Wschodnich. A tam, na górze, lampart pożarł psa.

- W wieży mają pewnie żyrafę, a w przedpokoju guźca. Szkoda, że ten twój przyjaciel, Cuvier, nie przyszedł tutaj. Mógłby wszystko poklasyfikować.

Powoli odzyskiwałem oddech i zdolność logicznego myślenia.

- Na procę Dawida, gdzieś ty się nauczył tak celnie rzucać?

- Rzut kamieniem w dziczy może oszczędzić ci prochu na zdobycie kolacji. Indianie uczą się więc miotania kamieni. Ciebie też bym nauczył, gdybyś umiał dobrze wiosłować, ale nie da się zrobić wszystkiego naraz. Wiesz, ośle, pozostaje mi się tylko zdumiewać, ilu paskudnych wrogów umiesz sobie ściągać na kark jednocześnie.

- Mnie też to dziwi. Ja chcę być każdemu przyjacielem.

- Owszem, ty i ja jesteśmy ludźmi dobrej woli, ale podejrzewam, że teraz w Trypolisie znajdziesz setki drabów gotowych nas pozabijać. Gdybyż tylko każdy był jak Pierre Radisson! No dobrze, chodźmy stąd. Mamy jeszcze parę rzeczy do zniszczenia, zanim uciekniemy na dobre.

ROZDZIAŁ 39

Był już prawie ranek. Powiedzieliśmy więźniom, żeby uciekali, licząc na to, że zbiorowa ucieczka z lochów rozproszy uwagę janczarów, gdy podniesie się alarm. Gdy uwolnieni, chwiejąc się i zataczając, wypadli z wrót tawerny, a żołnierze otworzyli do nich ogień, Pierre pokazał nam boczny tunel, z którego skorzystał Fulton, by dotrzeć bliżej zwierciadła. Astiza potwierdziła, że wie gdzie właściwy kierunek, i ruszyliśmy za Francuzem.

Mały Harry w jej ramionach, wykazując sporą dozę zdrowego rozsądku, po prostu zapadł w płytką, niespokojną drzemkę.

Bez mojej rusznicy czy innej broni czułem się jak nagi, ale niosłem tarczę Astizy. Na jej powierzchni wyryto płaskorzeźbę przedstawiającą grecką Gorgonę; widok jej wężowych włosów i złowrogi wyraz twarzy mogły każdego wroga zamienić w kamień. Żeby nie patrzeć wprost na potwora, heros Perseusz skorzystał ze zwierciadła i odciawszy głowę Gorgony, oddał ją ostatecznie Atenie, która ozdobiła nią swoją tarczę. Twórca tarczy zainspirowany tym mitem mógł żyć jeszcze przed najazdem Arabów - na przykład w czasach Archimedesza.

Wydostaliśmy się na taras po przeciwnej od portu stronie pałacu, wprost ku promieniom wschodzącego słońca. Za nami wznosiła się przysadzista twierdza Jussufa. Niebo rozjaśniał blask świtu, znikaly już ostatnie różowe odcienie. Oddzielony od pałacu niezbyt rozległą połącją płaskich dachów na skalistym pagórku stał mniejszy fort, z którego rozciągał się dobry widok na wszystkie strony. Na dachu fortu ustawiono zwierciadło, którego krawędzie ostro rysowały się na tle nieba; widać było przy nim ludzi pospiesznie ściągających ze lśniącej powierzchni płócienne osłony. Broń wypolerowano tak, że sama błyszczała niczym niewielkie słońce, rozkładano

też płatki zwiększające średnicę. Był to jakby szykujący się do powitania poranka kwiat z brązu.

- Ach, nareszcie zjawiają się moje przeciwcieźary! - powitał nas Fulton. - W samą porę.

- Jakie przeciwcieźary?

- No, dam wam okazję do okazania przydatności. - Wynalazca skonstruował wysoki kozioł z drągów używanych do naprawy dachów i przymocował do niego belkę o długości może sześciu metrów. Utrzymujące ją rzemienie pozwalały na ruch poprzeczny, tak że całość przypominała dziecięcą huśtawkę. Jej koniec uniesiony ku niebu wymierzony był w zwierciadło. Przy drugim, opuszczonym ku ziemi, krzątał się Fulton.

- Zbudowanie katapulty, za której pomocą zamierzamy zniszczyć starożytną maszynę Archimedesza, wydawało mi się jak najbardziej właściwe - stwierdził wynalazca. - Ale prawdziwe urządzenie miotające ze skreconych ścięgien i sznurów, jakie matematyk budował przeciwko Rzymianom, wymagałoby znacznie więcej wysiłku, czasu, narzędzi i biegłości.

Wschodnia część nieba poczerwieniała, po czym zza horyzontu wyłoniło się słońce. Nawet oświetlone tak nikłymi jeszcze promieniami zwierciadło załśniło oślepiająco.

- Jak widzicie, żeby dotrzeć do fortu, musielibyśmy opuścić pałac Jussufa, przedostać się przez labirynt tych krętych uliczek i wdrzeć się jakoś do tamtej fortecy bronionej przez setki ludzi. Jediną alternatywą, jaką udało mi się wymyślić, jest przerwucenie torpedy powietrzem tak, żeby upadła przy podstawie zwierciadła. Na szczęście w pałacu wszczął się jakiś tumult i strażnicy z tego tarasu gdzieś zniknęli. - Spojrzał na mnie pytająco, unosząc brew. - Jeżeli dobrze wyliczymy długość lontu, torpeda wybuchnie zaraz po

upadku, a jak dobrze trafimy w podstawę, zniszczy je tak, że nie da się go naprawić.

- Pracowaliśmy już z Ethanem Gage'em - ostrzegł Pierre.

- Nie licz na precyzję.

- Nie, on improwizuje. Ale to też jest dobre. Widzę, że odzyskałeś swoją kobietę i synka, Gage, a sądząc z wrzawy, obudziłeś całe Trypolis i połowę nieboszczyków z cmentarza. Może to zamieszanie da nam dość czasu.

- Opróżniliśmy lochy, wypuszczając więźniów.

- Rzecz ogromnie pomocna. Skonstruowałem niewielką wersję wojennej maszyny miotającej zwanej trebuszem. Przymocuję bombę do jednego końca tego obrotowego ramienia, przywiążę je do podłogi tarasu i obciążę drugi koniec belki. Gdy przetnę linę mocującą, przeciwwaga opadnie, pocisk frunie w górę i moja mina z lontem przeleci nad domami. Zniszczymy zwierciadło, pobiegniemy do portu i uciekniemy. - Policzył nas wszystkich. - Sądziłem, że do tej pory przynajmniej dwu z was będzie martwych. W mojej łodzi podwodnej będzie bardzo ciasno.

- Horus nie zajmie zbyt wiele miejsca.

- Tak czy owak, wliczyłem go przed wypłynięciem i tę twoją śliczną panią też. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale będziemy też musieli wcisnąć Ethana Gage'a. Dobrze, słońce wspina się coraz wyżej. Gotowi? Oni jeszcze nas nie zauważyli.

- Gotowi na co?

- Zechciejcie zauważyć, że drugi koniec belki nie ma przeciwcieżaru. Nie miałem pod ręką niczego odpowiedniego. A potem olśniło mnie, że trzy dorosłe osoby swoje ważą. Musicie się wspiąć i chwycić za koniec mojej prowizorycznej maszyny. Gdy przetnę linę, tamten koniec łupnie w dół, bomba frunie do celu i mój eksperyment uwieńczy powodzenie.

- Łupnie w dół?

- Pomyśl o tym jak o niezłej zabawie.

Promienie słońca zaczynały już lizać dachy Trypolisu.

- A co z Horusem? - zapytała Astiza.

- Ja go potrzymam. Dzieci mnie lubią. Powiodła po nas wzrokiem.

- Nigdy w życiu. Żaden z was, mężczyźni, jak do tej pory nie okazał mu dobroci. A to głupie urządzenie to zabawka, jakie wymyślają chłopcy. Ty sam tam wleziesz, a ja przetnę linę. Zostawiłam chłopca z jego ojcem i przeżył tyle niebezpiecznych przygód, i cudem będzie, jak nie wyrośnie na tak niepoprawnego łobuza jak Ethan.

- Nie jestem niepoprawny! Ja tylko improwizuję!

- Ale ja jestem cięższy - zgodził się Fulton. - Tak jak mówiłeś, Gage, twoja żona jest bardziej zmyślna niż którykolwiek z nas. Czekażcie, pozwól, że przytnę lont na odpowiednią długość.

Astiza spojrzała na mnie z ukosa.

- Mówiąc do swoich przyjaciół, nazywałeś mnie żoną? Przełknąłem ślinę i uśmiechnąłem się szeroko.

- Możliwe. - Naprawdę? Skąd miałbym pamiętać! - I nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

- A ty nie zechciałaś mnie powiadomić, że zostałem ojcem.

Przybrawszy nieprzeniknioną minę, przez chwilę rozmyślała o naszym wzajemnym braku zrozumienia. W moim uśmiechu pojawił się odcień niepewności i niepokoju. Niepokoiło mnie, że ją zirytowałem - albo przeciwnie, sprawiłem jej przyjemność! Obie możliwości były ryzykowne, a nawet mogły zwiastować same kłopoty! Kobietom jest łatwiej, myślałem z zawiścią. W naszym świecie potrzebują protektora i obrońcy. Mężczyzna chroni, rezygnując z innych... muszelek i dostaje w zamian... co właściwie? Miłość,

wsparcie, i coś większego od sumy składników: rodzinę. Dostaje syna, powód do dumy trwającej póki życia, troski i odpowiedzialności. Dostaje swoją brakującą połówkę.

Nie taka znów kiepska wymiana.

Przełknąłem ślinę, nie wiedząc, czy bać się bardziej Astizy czy pułku janczarów.

Odwróciłem się, żeby popatrzeć na zwierciadło Archimedesesa. Lśniło niczym piękny, złoty kwiat i samym blaskiem musiało niegdyś przerażać rzymskie galery. Zrozumiałem, że jeżeli porucznik Sterett wraca po nas, jak zapowiedział, Enterprise wkrótce pojawi się na horyzoncie. Zwierciadło z daleka będzie wyglądało jak światło latarni morskiej. Czy szkuner ośmieli się podpłynąć bliżej?

- Jak zapalimy lont? - zapytał Pierre. Wynalazca znieruchomiał.

- O tym nie pomyślałem. - Spojrzał na wschód. - Czy ktoś z was ma soczewkę, która mogłaby skupić promienie słońca?

- Na Apolla, toż to dziewiętnasty wiek! - sarknąłem. - I tkwimy w cieniu. Pierre, przygotuj panewkę pistoletu. Iskra powinna wystarczyć do zapalenia lontu.

- Oczywiście! - stwierdził Fulton. - Jesteś człowiekiem na wskroś nowoczesnym, Gage! No dobra, wszyscy na górę! Gage, ty jesteś największy, włącz na sam koniec. Owszem, wszyscy musimy się objąć ramionami, nie czas na krygowanie się!

Polazłem na koniec belki jak mała. Pierre zawisnął na mnie, a Fulton wciągnął się na nas obu i obejrzał za siebie.

- Astizo, podpal lont, a potem przetnij linę moim kordelasem.

- Jesteś pewien, że dobrze wymierzyłeś?

- Przez całą noc nic tylko liczyłem.

- Jestem gotowa. - Astiza ostrożnie przełożyła drzemiącego Harry'ego na jedno ramię, a wolną ręką podniosła pistolet Pierre'a.

- Przystaw panewkę do lontu i pociągnij za spust! Zobaczyliśmy błysk, ale lont nie zajął się ogniem.

- Nic z tego.

- Spróbuj jeszcze raz.

Słońce wspinało się coraz wyżej. Zgromadzeni na szczycie fortu ludzie zaczęli coś wykrzykiwać i wskazywać na nas palcami - uczepli jak mały koniec belki musieliśmy stanowić niezłe widowisko. Pojawili się tam jeszcze jacyś osobnicy w długich szatach. Okultyści z rytu egipskiego! Co zrobią, gdy zobaczą poszarpane i pokaleczone ciało swojej królowej?

Astiza podsypała więcej prochu na panewkę i ponownie pociągnęła za spust. Kolejny błysk - tym razem lont się zajął. Płonący sznur był bardzo krótki - na tyle, by dosięgnąć prochu podczas lotu pocisku ponad dachami.

- Teraz przetnij linę trzymającą ramię trebusza! Pospiesz się, bo wylecimy w powietrze!

Zamachnęła się, ale klinga odskoczyła, przecinając tylko część liny.

- Piłuj! Mamy tu pięćdziesiąt kilo prochu!

Astiza zaczęła desperacko przecinać włókna. Znieruchomieliśmy. Teraz zgromadzeni na dachu fortu zaczęli wrzeszczeć głośniejsze i zobaczyliśmy kilka smug dymu. W tynku wokół nas utkwiono kilka kul. Lont syczał i sypał iskrami.

- Proszę! - jęknął Fulton. - Oni nas mają jak na dłoni! W końcu lina pękła. Polecieliśmy w dół, a drugie ramię trebusza uniosło się szybko. Bomba frunęła w górę, ciągnąc za sobą smużkę dymu. Na dachu rozległy się ostrzegawcze wrzaski i

wszyscy rozbiegli się byle dalej od zwierciadła. Mina zaczęła opadać, zataczając piękną parabolę...

...i spadła niedaleko parapetu tarasu ze zwierciadłem, lądując jakieś półtora metra niżej.

Przez chwilę czekaliśmy na rezultat. Daremnie. Bomba po prostu nie wybuchła.

- Do diabła! - syknął Fulton. - Pęd powietrza zgasił lont!

- Mon Dieu! - stęknął Pierre, podnosząc się z miejsca, gdzie leżał. - Czemu ja wciąż daję się wplątywać w plany osła! Mogę ci także, panie wynalazco, wytknąć, że kompletnie chybiłeś do tego zwierciadła. Coś ty obliczał przez całą noc?

- Gdyby ta belka była o pół metra dłuższa...

- Ethanie, użyj rusznicy! - odezwała się Astiza. - Może ta torpeda wybuchnie od uderzenia kulą?

- Moja strzelba została złamana w lochach. A pistolet Roberta nie doniesie na tę odległość, nawet gdyby kula jakimś cudem wywołała detonację.

- To lepiej się stąd wynieśmy - stwierdził Fulton. - Oni zaraz dadzą znać innym janczarom, żeby nas tu otoczyli.

- Czekajcie! - zatrzymała nas Astiza. - Popatrzcie! Oni odwracają zwierciadło!

I rzeczywiście: obleczeni w długie szaty wojownicy rytu egipskiego biegiem wrócili do zwierciadła i zaczęli je odwracać ku wschodzącemu słońcu - i przypadkiem w naszą stronę. Przedtem zwierciadło lśniło, ale teraz zapłonęło niczym drugie słońce, a jego płatki zaczęły się obracać i pochylać, żeby lepiej zogniskować promienie. Okultyści zamierzali użyć Archimedesowych promieni śmierci przeciwko naszej nielicznej grupce.

- Odwrót! - Miałem w końcu rodzinę.

- Nie, to jest nasza szansa! - Astiza chwyciła kordelas i zaczęła ciąć liny mocujące belkę do kozła.

- Co ty wyprawiasz? - wrzasnął Fulton. - Musimy umocować tę tarczę na belce i schwytać promień, gdy tu trafi - wyjaśniła. - Gdybyśmy sami trzymali tę tarczę, spłonęlibyśmy, ale możemy użyć belki jak uchwytu. Starożytne zapisy z Memfis i Dendery mówią, że ten promień da się odbić.

- Chcesz odbić promień w ich stronę?

- Owszem, dopóki się nie rozproszą. A potem możemy wymierzyć w naszą bombę!

- Ach! - zawołał Pierre. - To ta piękna kobieta jest czarodziejką, nie ty, ośle jeden!

- No... ale to ja ją znalazłem. - Przypomniałem sobie, jak bardzo jestem zakochany.

Znaleźliśmy stalowy gwóźdź, kolbą pistoletu Francuza przybiliśmy tarczę do belki, po czym kucnęliśmy wszyscy za parapetem tarasu. Wyjrzawszy ostrożnie, popatrzyłem na szczyt fortu. Ognisko zwierciadła skupiały liny, tryby i rozmaite wielokrażki. Zrozumiałem, że wszystko to jest konieczne, by porazić ruchomy cel, taki jak nieprzyjacielski okręt. Uczni z rytu egipskiego odgadli plany Archimedesusa i może je nawet ulepszyli.

- Wstańmy! Niech w nas wycelują! - powiedziała Astiza.

- Mamy zaryzykować spłonienie?

- Ale wtedy my będziemy mogli spalić ich! Zobaczyliśmy błysk światła, po sąsiednich dachach przemknął jakby ogromny słoneczny zajaczek i uderzył w nasz taras. Natychmiast odczuliśmy przerażający, okropny skwar. Astiza zmrużyła oczy i umieściwszy Harry'ego na plecach, odwróciła się ku tarczy. Mój synek obudził się przestraszony.

- Teraz chwycimy promień i użyjemy tarczy! Stękając i sapiąc, podnieśliśmy nasz prymitywny odbijacz światła i umieściliśmy go w ognisku promieni zwierciadła. Głowa Gorgony natychmiast rozpłomieniła się ognisćie. Kolejny

błysk, promień odbity drżał przez chwilę, gdy namierzaliśmy cel, a potem padł na okultystów przy zwierciadle.

Rozbiegli się z wrzaskiem, dwu natychmiast stanęło w płomieniach. Pozostali ze zgrozą odskoczyli od przyrządów kontrolnych.

- Teraz! Teraz w minę! - zawołał Fulton.

Ostrożnie przechyliliśmy tarczę tak, by promień padł na leżącą pod zwierciadłem torpedę. W ciągu kilku sekund zaczęła dymić. Pojawiły się nikłe płomienie, a my wznieśliśmy modły do nieba.

Odpowiedział nam przeraźliwy huk.

Nasza mina i całe jej sto funtów prochu eksplodowały w jednym wielkim wytrysku płomieni, dymu i kamieni; ścianę tuż pod zwierciadłem po prostu rozniosło w kawałeczki. Platforma podtrzymywana przez ścianę przechyliła się i zapadła, a lśnienie zwierciadła nagle ustało, jakbyśmy byli świadkami zaćmienia słońca. Wybuch zwałił z nóg kilkunastu janczarów i techników stojących z drugiej strony, pękły też jedna czy dwie liny kontrolne.

Na tym jednak się skończyło. Zwierciadło zostało uszkodzone, ale nie uległo zniszczeniu. Podrzucone wybuchem kawałki gruzu sypnęły się na miasto, ale gdy dym się rozwiął, zobaczyliśmy, że niewiele wskóraliśmy. W murze pod zwierciadłem zionęła dziura, wewnątrz fortu tu i ówdzie pełgały płomienie, ale nic nie zostało uszkodzone poważniej.

- Powinienem był zabrać drugą torpedę - jęknął Fulton.

- Nie - odpowiedziałem. - To wystarczy, żeby nie mogli skierować zwierciadła na Enterprise, gdy będziemy odpływali, jeżeli szybko się uwiniemy. Biegiem do portu, wciąż jeszcze mamy szansę na ucieczkę!

- Dźwignia Archimedesesa może podnieść to zwierciadło w kilka sekund - zaproponował wynalazca. - Spójrzcie, oni już się

zabierają do napraw! Nie tylko my zginiemy, Sterett też pójdzie na dno.

- Nie dam się wziąć żywcem i wtrącić do tej jamy z jaszczurem - mruknął Pierre.

- Ja też wolę zginąć, niż wydać żonę i synka handlarzom niewolników - przysiągłem. W tejże chwili zdałem sobie sprawę, że bezwiednie ponownie nazwałem Astizę żoną. Na przepaskę jednookiego Odyna, czyżby to była mimowolna deklaracja? Złożyłem ją ja, Ethan Gage, włóczęga bez domu i ojczyzny, niepoprawny wielbiciel płci pięknej, który najczęściej myślał wyłącznie o sobie?

- Ethanie? - zapytała Astiza.

Kobiety lubią mieć pewność. Cóż jednak mogliśmy powiedzieć w sytuacji, w której tak wiele rzeczy zostało niedopowiedzianych, bo nie mieliśmy czasu na cokolwiek innego?

I wtedy rozległa się gigantyczna, ogłuszająca eksplozja; łoskot i wstrząs zwały nas z nóg, a okultyści, zwierciadło i połowa fortu Jussufa frunęły w górę w fontannie ognia i dymu. Lśniące odłamki starożytnej broni rozprysły się na wszystkie strony, jakby w ogromne zwierciadło trafił wielki głaz, i wyglądało to jak wybuch gwiazdy. Dookoła kawałki metalu, kamieni i ludzkich ciał spadały na dachy Trypolisu przerażającym deszczem. Odłamki spżu siekły niczym grad. Straszliwy huk niemal nas ogłuszył.

Fulton zachwiał się i oszołomiony popatrzył na osnute dymem ruiny fortu, gdzie jeszcze do niedawna lśniło zwierciadło.

- Musieli tam zgromadzić proch i armaty do obrony - stwierdził, potrząsając głową. - Ogień dotarł do magazynu i wszystko wyleciało w powietrze. - Spojrzał na naszą zgiętą od żaru tarczę. - To wszystko dzieło Meduzy...

ROZDZIAŁ 40

Uciekliśmy, korzystając z okropnego chaosu i zamieszania. Loch był pusty, wrota stały otworem, a więźniowie i niewolnicy rozproszyli się po uliczkach, rozpaczliwie próbując uciec, zanim ponownie połapią ich janczarzy. Z miejsca, gdzie było zwierciadło, biła w niebo gruba kolumna dymu i słychać było wtórne eksplozje, gdy wybuchały kolejne baryłki prochu. Obleczeni w arabskie szaty biegliśmy po ulicach pełnych spanikowanych ludzi i nikt do nas nie strzelał. Na dachu pałacu Jussufa zgromadzili się wyborowi strzelcy i wydawało mi się, że widzę samego baszę bez cennego turbanu na głowie; potrząsając wściekle ramionami, wykrzykiwał jakieś rozkazy. Nie dostrzegł nas jednak, tym bardziej nie zobaczył tego, co unosiłem ukryte w kieszeni.

W tejże samej chwili, w której przebiegaliśmy przez portowe wrota na nabrzeże, wszyscy usłyszeli kolejny potworny huk i zacumowany przy pomoście korsarski okręt wyleciał w powietrze. Spod jego dziobu trysnął w górę gejzer wody i okręt zaczął tonąć tam, gdzie kotwiczył. W jego takielunku rozkwitły płomienie, które zaczęły żarłocznie pożerać żagle i reje sąsiedniego okrętu. Przerażeni, niemający pojęcia, skąd przyszedł atak, marynarze kopnęli się do szalup. Tymczasem niektórzy z więźniów zaczęli porywać mniejsze feluki.

- Wspaniale! - stwierdził Pierre, zachwycając się tymi dantejskimi scenami. - Ośle, raz jeszcze dopiąłeś swego!

Dostrzegliśmy drzenie fal i cień pod wodą w miejscu, gdzie Cuvier i Smith odpływali ukradkiem od zaatakowanego okrętu. Przez chwilę poczułem obawę, że wypłyną prosto w morze, zostawiając nas na pastwę losu, ale cień zwolnił i na powierzchnię wychyła wieżyczka widokowa łodzi Fultona. Podwodniacy zatrzymali się, niewątpliwie wypatrując naszej

gromadki, a potem zobaczyliśmy, że kłapa na pokładzie się unosi, i pojawił się radośnie machający do nas Cuvier.

- Nie ściągajcie uwagi na siebie! - ostrzegłem go.

I rzeczywiście, niektórzy strzelcy dostrzegli łódź i wokół niej zaczęły wykwitać rozbryzgi po kulach. Cuvier zniknął pod pokładem i łódź skręciła w prawo, ku miejscu, gdzie staliśmy na nabrzeżu. Dużo dałbym za to, by mieć w dłoni swoją rusznicę i odpowiedzieć ogniem, ale teraz jej właścicielem był dobrze już napchany „omarzyną” smok.

Harry, którego nastrój podgrzewały wszelkie kłopoty, ciekawie patrzył na zbliżającą się podwodną łódkę. Najwyraźniej przywykł już do przeraźliwej wrzawy. Wokół nas przebiegali rozmaici ludzie, wiły się smugi dymu, a wodę burzyły uderzenia pocisków armatnich.

- Tatusiu! Ogień!

- To źli ludzie - powiedziałem. - Ty nigdy nie będziesz się bawił ogniem, dobrze, Harry?

- A można się nim bawić? - Nowy pomysł mocno chłopczyka zaintrygował.

- Absolutnie nie! - ucięła Astiza.

- Ogień gorący - powiedział, podnosząc paluszki w górę.

- Bardzo gorący - potwierdziłem. - I groźny.

- Niegroźny - zaoponował. - Wielki, zły pies.

- Wielki, zły pies nie żyje.

- To dobrze.

- Wszystko wskazuje na to, mój mały, że jesteś znacznie bardziej bystry od swojego ojca - zauważył Pierre. - Musiałeś to odziedziczyć po matce.

W tejże chwili z pluskiem i głośnym łupnięciem Nautilus przybił do nabrzeża.

Astiza podała wiercącego się niespokojnie Harry'ego Cuvierowi, a potem cała nasza czwórka wcisnęła się do środka, gniotąc się niczym śledzie w beczce. Harry znów się

rozpłakał, co było zrozumiałe w tej ciasnocie, a strzelcy z pałacu skupili na nas ogień. Kilka kul odbiło się od pokrycia wieżyczki.

- Musimy popłynąć pod wodą, aż znajdziemy się poza zasięgiem strzału - stwierdził Cuvier. - Jak daleko może razić to zwierciadło?

- Zniszczyliśmy je - odparł z dumą Fulton. - To był pomysł Astizy. - Wyglądało na to, że oczarowała go w równym stopniu, jak ja go rozczarowałem. Był człowiekiem na tyle przystojnym, że poczułem ukłucie zazdrości.

- Moje gratulacje, łaskawa pani - odezwał się Cuvier. - I proszę przyjąć moje przeprosiny za brak wygód. Najwyraźniej nasz amerykański wynalazca zapomniał o komforcie.

- Jak uciekniemy, to nie będę się uskarżała na brak wygód. - Astiza rozglądała się niepewnie, wodząc wzrokiem po śmierdzącym męskim potem wewnątrz metalowej rury, której ściany ociekały wilgocią, ale kwitowała wszystko, dzielnie się uśmiechając. - Jestem pewna, że to tylko pierwszy zarys jego eksperymentów.

- A kilka najbliższych minut pozwoli nam stwierdzić, czy nie będzie ostatni - mruknął Cuvier.

- Mam plany na łódź zabierającą dwudziestu ludzi!

- Skończmy najpierw z tą pierwszą. Zanurzyliśmy się i Pierre zajął miejsce wyczerpanego

Smitha przy korbie napędzającej śrubę. Wszyscy doskonale słyszeliśmy niesamowite dźwięki wydawane przez wpadające w morze nieopodal nas armatnie kule. Artylerzyści z garnizonu Trypolis strzelali do wszystkiego - ale bez rezultatu.

- Widzieliście Steretta i Enterprise? - zapytał Cuvier.

- Na razie nie - odpowiedziałem. - Musimy minąć te rafy i wypłynąć na powierzchnię.

Nie mieliśmy żadnego sposobu na ocenę kursu oprócz kompasu i liczenia kolejnych minut, co po cichu robił Fulton. Przy tylu ludziach wewnątrz łodzi i sporym wysiłku kręcących korbą szybko zaczęło robić się duszno. Horus rozwiązał problem po swojemu, ponownie zasypiając, i wszyscy spojrzeliśmy nań z zazdrością w oczach.

- Robercie, co z twoim zapasem powietrza pod ciśnieniem?

- Oszczędzam je na naprawdę krytyczną sytuację.

- Siedmiu ludzi zgromadzonych w łodzi przeznaczonej na trzech i bombardowanej armatnimi kulami to nie jest krytyczna sytuacja?

- Chyba jesteśmy już poza zasięgiem dział fortecznych. - Plusk padających wokół nas pocisków ustał. - Spróbujmy zobaczyć, gdzie jesteśmy, i otwórzmy klapę. Gage, zastąpę cię przy śrubie. Wyjrzyj na zewnątrz, gdy wieżyczka wychynie z wody.

Przecisnęliśmy się obok siebie, a Cuvier wypompował trochę wody ze zbiorników balastowych. Wewnątrz łodzi zrobiło się nieco jaśniej.

Wyjrzałem przez szybkę. Nad Trypolisem oraz kilkoma płonącymi szebekami i felukami wisiały kłęby dymu. Nabrzeże i mury pełne były ludzi, ale strzelanina ustała. Byliśmy za daleko albo stracili z oczu nasz przemykający pod wodą cień. Podwodna łódź Fultona miała przed sobą obiecującą przyszłość.

Czy mogliśmy zobaczyć Enterprise? Odwróciłem się, żeby spojrzeć w stronę otwartego morza. I niemal wrzasnąłem z przerażenia. Wprost na nas pod pełnymi wiatru żaglami sunął berberyjski okręt, rozbryzgując dziobem wodę, a przy bukszprycie podskakiwał... Hamid Dragut. Miał zalany krwią pysk i wymachiwał łapami, pokazując naszą łódź!

Wskazywał mnie! Zamierzał nas staranować!

Piraci ładowali działko na dziobie, by rozprawić się z nami kolejnym strzałem, a inni mierzyli do nas z muszkietów.

- W dół, pod wodę, w dół! - krzyknąłem. - Dragut płynie wprost na nas i zamierza przejechać po naszej wieżyczce!

Fulton i Cuvier nacisnęli dźwignie, pokręcili korbami i nasze zbiorniki balastowe zaczęły się napełniać wodą. Okienka wieżyczki znów się zanurzyły, teraz jednak wolno się rozmywające światło powierzchni zwiastowało agonię, bo oznaczało, że nie zanurzamy się dostatecznie szybko. Piracki okręt rzucał na nas cień niczym chmura i usłyszeliśmy szum wody, gdy nad nami przepływał. Potem rozległ się zgrzyt, gdy ocierając się kilem o naszą wieżyczkę zepchnął nas głębiej. Teraz zanurzaliśmy się już sami i coraz szybciej. Wody wokół nas pociemniały, a w końcu uderzyliśmy o portowe dno na głębokości dwunastu metrów.

Harry się obudził.

- Gdzie my jesteśmy, mamó?

- Bezpieczni. - Głos Astizy drżał lekko.

Z jednej dziury po nicie trysnął strumyk wody.

- Tu jest mokro!

- Owszem, jest - odpowiedziała spokojnie. - Jest. - Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Czy nie możemy poczekać, aż Hamid odpłynie? - zapytał Cuvier, spoglądając w górę.

- Będzie halsował i krążył nad nami - stwierdziłem.

- Zabraknie nam powietrza - ostrzegł Smith.

- Nie, jeżeli otworzymy ten mój zapasowy pojemnik - odpowiedział Fulton. - Mówiłem wam, że powinniśmy poczekać na prawdziwie krytyczną sytuację. To powietrze pozwoli nam przeczekać przynajmniej godzinę. - Przekręcił nieco kurek zaworu i do szumu wody dołączył nowy, raźny syk. Fulton poruszył kilkakrotnie pompą, żeby zwolnić tempo, z jakim woda wpływała do zbiorników balastowych,

powodując opadanie na dno. Potem zapalił kolejną świecę. - Rozchmurzmy się, nie jest tak źle.

- Mieliśmy się spotkać z Enterprise o świcie - stwierdziłem. - Sterett zobaczy dymy i zrozumie, że nam się udało, ale jak długo będzie czekał?

- Spróbujmy użyć śruby, żeby wydostać się z portu. Gage, jak daleko musimy wypłynąć?

- Nie miałem czasu na pomiary rafy.

- To trzeba będzie płynąć na oślep.

Uruchomiwszy pompy, unieśliśmy się nad dno. I wtedy usłyszeliśmy plusk nad głowami, a po kilku sekundach głucho uderzenie.

- Dragut rzuca kotwicę?

- Może spuszcza na nas kule armatnie.

- Na oślep?

I nagle usłyszeliśmy huk, a Nautilus chybnął się, jakby z tyłu ktoś go potężnie kopnął. Rzuciło nas do przodu. Świece pogasły, a potem przez uszczelki wokół osi śruby zaczęła się wdzierać woda. Zimny strumień zmoczył nas wszystkich. Harry zaczął płakać i wtulił się w brzuch matki.

- Piraci zrzucili na dno baryłkę prochu z lontem - odezwał się Fulton. - Wszyscy do pomp! Musimy wypłynąć, zanim zatoniemy!

- Wiedziałem, że powinienem był trzymać się kanoe - mruknął Pierre. - Czy Bóg stworzył nas rybami, żebyśmy się pchali pod wodę? Nie. Powiedział: „Adamie, zostań tam, gdzie możesz oddychać!”

- George, Williamie, czy mamy jeszcze ostatnią minę? - zapytał Fulton.

- Owszem, ale nie jest przysposobiona.

- Możemy obracać śrubą? - zapytałem.

- Jest zgięta, ale trochę się obraca - zameldował wynalazca.

Woda sięgała już naszych kostek.

- Myślę, że trzeba będzie płynąć o własnych siłach - stwierdził Fulton. Mocno przygnębiony rozejrzał się po wnętrzu łodzi swojego pomysłu. - Nie sądzę, żeby Nautilus zdołał dotrzeć do Enterprise.

- Jak opuścimy tę łódź, piraci nas wystrzelają - zauważył Smith. - Albo wyłowią i wsadzą do więzienia.

- Nie, jeżeli przedtem my ich zniszczymy - odezwał się. - Mamy tę minę na dziobie, choć nie jest gotowa. Jak spowodować jej wybuch?

- Zwykły plan polegał na tym, żeby wkręcić ładunek w kadłub nieprzyjacielskiego okrętu, cofnąć się z długą liną, a potem zainicjować wybuch, pociągając za sznur spustowy - przypomniał nam Fulton.

- A co będzie, jak ją po prostu przystawimy i spowodujemy wybuch?

- Zatopi oba statki i wszystkich, którzy na nich będą.

- Więc to właśnie zrobię, gdy wszyscy opuszczą Nautilusa i odpłyną na bezpieczną odległość. Mam już dość tego łajdaka Draguta.

- Ethanie! - jęknęła Astiza. - Ty sam też się zabijesz!

- Racja! - stwierdził Smith. - Człowieku, jesteś ojcem.

- Mam synka, którego nie oddam nikomu w niewolę. Posłuchajcie, to ja nas w to wpakowałem. Nic z tego by się nie zdarzyło, gdybym się nie wplątał w tę sprawę z rytem egipskim, Aurorą Somerset i Napoleonem. Zawiodłem was do Hadesu, bo mieliście pecha i wyruszyliście w moim towarzystwie. Teraz chciałbym zyskać dla was trochę czasu.

- Popełniając samobójstwo! - sprzeciwił się Anglik.

- Robercie - zwróciłem się do Fultona. - Gdybym przywiązał linę do mechanizmu spustowego torpedy i wyciągnął ją przez luk, czy mógłbym odpalić minę, ukrywszy się za metalowym korpusem łodzi?

- Cóż, tak, ale dziób Nautilusa zostanie zgnieciony jak cynowa tabakierka. Moja łódź podwodna zatonie.

- Może zdołam wstrzymać oddech i wypłynąć.

- Ethanie, nie! - krzyknęła Astiza. - Horus potrzebuje ojca!

- Przede wszystkim musi pozostać przy życiu, a do tego trzeba zatopić okręt Draguta. Powinienem był skończyć z tym piratem w haremie. Za każdym razem, gdy kogoś nie zabiję, gorzko tego potem żałuję. A teraz... - spojrzałem na wszystkich jak porucznik po odprawie - ...gdy wypłyniemy na powierzchnię, musicie się wydostać i oddalić, zanim piraci was dostrzegą i zaczną strzelać jak do kaczek. Płyńcie w rozproszeniu. Nurkujcie w razie potrzeby, by im utrudnić celowanie. Ja tymczasem zanurzę się z łodzią pod ich kadłub, uruchomię zapalnik miny i odpłynę po wybuchu. Płyńcie do raf, może zdołacie nawet wydostać się na jedną z nich i sygnałami wezwać na pomoc Steretta.

- To się nigdy nie uda - stwierdził Cuvier.

- I właśnie dlatego ten plan podoba się naszemu osiołkowi - odezwał się Pierre. - Zapominasz o jednej rzeczy, panie Stuknięty... jak zdołasz jednocześnie się zanurzyć i przygotować bombę? Ja, Pierre Radisson, potrafię kręcić korbą mocniej, pływam lepiej i skaczę wyżej niż jakikolwiek inny mężczyzna, pomogę ci więc uporać się z tą robotą. Weszło mi już w krew wspierać cię we wszystkich twoich szalonych przedsięwzięciach.

Pochyliłem głowę.

- Uznam to za komplement, mości traperze.

- Przejaśnia się! - ostrzegł Fulton. - Podpływamy do powierzchni!

- Astiza i Harry idą pierwsi. Potem uczeni, ze względu na dobro nauki. Ludzie może kiedyś dowiedzą się o waszych pracach.

Nie był to nadzwyczaj wojowniczy okrzyk bojowy, ale brzmiał w nim szczery sentyment. Gdy musimy wybierać pomiędzy geologiem a hazardzistą albo zoologiem a wioślarzem, kolejność wydaje się oczywista. Nie sądziłem, żeby zdołali się dostatecznie oddalić, ale miałem być już wtedy martwy i nie musiałem się o to troszczyć.

- Ethanie, nie rozstawajmy się, gdy nareszcie jesteśmy razem - jęknęła błagalnie Astiza.

- Wykaraskam się - zapewniłem ją przekonany o czymś absolutnie przeciwnym.

- A ja nie lubię pływać! - sarknął Smith.

- No to pomyśl o innym rozwiązaniu. - Powierzchnia! - Fulton z łoskotem otworzył klapę, wyskoczył na pokład i sięgnął po Harry'ego, który milczał przestraszony niepokojem dorosłych.

Astiza wydostała się na zewnątrz, wzięła synka w ramiona i skoczyła w wodę, by odpłynąć najszybciej, jak tylko mogła.

- Dalej, wtedy będę miał szansę - ponagliłem pozostałych.
- Pomóżcie Astizie!

Cuvier i Smith wydostali się na pokład; Anglik wyraźnie się trząsł.

- Pomogę ci, Williamie! - Cuvier wziął Smitha za rękę. Gdy opuścili łódź, Pierre zaczął kręcić na pół zaklinowaną śrubą, by zmusić Nautilusa do ruchu.

- Trudna sprawa, ośle! Ale łódź jest lżejsza, co dodaje jej szybkości i zwrotności.

Do środka ponownie wsunął się Fulton.

- Pomogę wam!

- Nie! Razem z tobą zatonie cały sekret budowy tych łodzi! - Nie opuszczę Nautilusa. Dalejże, Ethanie, przywiąż sznur spustowy! Jesteśmy Amerykanami! Nasz naród toczy wojnę z Jussufem Karamanlim!

Wynalazca był człowiekiem wielkiej odwagi, co oznaczało, że i ja muszę wziąć się w garść. Wydostałem się na pokład.

- Płyńcie ostro w prawo, żebyśmy dostali się pod rufę okrętu Draguta - syknąłem. - Piraci się zatrzymali i stanęli w dryfie, żeby nas dopaść. Nikt nie patrzy w tył.

Podczas gdy Nautilus zawracał majestatycznie i nabierał szybkości, poluzowałem jedną z lin żagla i zawiązałem prosty węzeł na mechanizmie spustowym ostatniej miny. Ładunek wybuchowy spoczywał w koszu na dziobie. Powoli podkradliśmy się pod okręt Draguta. W porannym słońcu klepki poszycia kadłuba lśniły jak powleczone lakierem. Mogłem już odczytać nazwę okrętu, na którym uciekliśmy z Wenecji. Mykonos. Podpłynęliśmy cicho i spokojnie; drobne fale obmywały nasz pokład...

Teraz piraci już nas spostrzegli i zaczęli wrzeszczeć. Wszyscy niemal kopnęli się na rufę. Zagrzmiały muszkiety i usłyszałem zgrzyt kół armatek, gdy usiłowali odwrócić jedną z nich i obniżyć lufę, by móc nas trafić. Jakaś kula odbiła się od klapy.

- Dobra, teraz prosto! - krzyknąłem w dół. - Teraz kręcić, kręcić i kręcić! - W moją stronę wymierzono pokładowy obrotowy garłacz, szybko więc się cofnąłem i zsunąłem pod klapę. Wewnątrz łodzi woda sięgała już kolan. Garłacz huknął głośno i po pokładzie sieknął deszcz ołowiu - jedna z kul wpadła do środka, odbiwszy się od klapy.

- Ouć! Merde, ośle, zamknij klapę!

- Nie mogę, bo nie dam rady pociągnąć za linę. A zresztą trzeba będzie się stąd jakoś wydostać!

- I tak prawdopodobnie wybuch wypruje nam flaki - stwierdził spokojnie Fulton. - Ale jeśli jakimś cudem przeżyjemy, dziób zostanie otwarty i nie będziemy musieli korzystać z klapy. Lepiej jednak nie zaciśnij sznura

spustowego. - Wyglądał na zrezygnowanego, lecz zachowywał się tak spokojnie, jakby robił szkice w swojej pracowni.

Spojrzałem w górę. Nad klapą unosiła się wystająca w tył i rozkołysana rufa szebeki. Słyszałem łaskoty i uderzenia, gdy piraci rzucali na nas rozmaite nieprzyjemnie ciężkie przedmioty, czemu towarzyszyły głośne pluski. Potem głuchy i bardziej miękki stuk oznajmił mi, że wcisnęliśmy kosz z prochem pomiędzy ster i kadłub. Usłyszałem też ostrzegawcze okrzyki po arabsku.

Pożegnałem się w myślach z moją nieliczną rodziną, szarpnąłem sznur spustowy i spałem się wewnątrz, czekając na eksplozję.

Huk i podmuch powietrza cisnął całą naszą trójkę ku rufie łodzi podwodnej. Dziób rozbłysnął intensywnie i pękł; do środka wdarła się fala wody, która wypierając powietrze, jeszcze bardziej rzuciła nas w tył i wewnątrz łodzi zalał mrok. Ponownie zaczęliśmy opadać na dno portu.

Rufa Nautilusa uderzyła twardo o szary piasek; dziób łodzi rozniosło w drzazgi. Pod wpływem tego wstrząsu uzmysłowiłem sobie, że jestem dość żywy, żeby mieć czucie w rękach i nogach, i że istnieje możliwość uratowania mnie samego i przyjaciół.

Coś przepłynęło obok mnie i kurczowo wczepiłem się w to dłoń. Baryłka z powietrzem Fultona! Lżejsza od wody unosiła się niczym boja, wypuszczając strumień pęcherzyków powietrza. Chwyciłem czyjaś arabską szatę drugą ręką i kopnięciem odepchnąłem się od zniszczonego dziobu łodzi podwodnej. Skierowałem się ku srebrnej powierzchni wody nad głową. Wyplłynęliśmy jak delfiny, kaszląc, charcząc i wypluwając słoną pianę.

Okazało się, że trzymam Pierre'a, który z kolei obejmował mocno Fultona. Obaj byli ledwo żywi, oszołomieni i pluli wodą, gdy płynęliśmy za pustą baryłką.

Rozejrzałem się szybko i niespokojnie wokół: szebeka Draguta gdzieś zniknęła. Morze wokół nas pokrywała płatanina szczap drewna, porozrywanych ciał piratów i poszarpanych części takielunku.

Musieliśmy wysadzić w powietrze okrętowy magazyn.

Puściłem baryłkę i popłynąłem ku jednej z belek, ciągnąc za sobą Fultona i Pierre'a. Po chwili uświadomiłem sobie, że chwytam belkę bukszprytu Mykonosa; po drugiej stronie wczepił się w nią dłońmi jakiś ocalały z wybuchu pirat, równie oszołomiony jak my. Unosiliśmy się na falach, aż wreszcie otarłszy oczy, spojrzałem na draba, z którym dzieliliśmy szansę ratunku.

Był to Dragut. Pirat miał zakrwawioną i nabrzmiałą gębę w miejscu, gdzie trafiłem kolbą rusznicy. Eksplozja, która zrzuciła go z dziobu jego okrętu, zdarła zeń połowę szmat; ramiona i barki miał pełne drzazg i oparzelin. Spojrzał na mnie z nienawiścią w oczach, jakby obliczał swoje szanse.

Jęknąłem. Czy znów będę musiał z nim walczyć? Byłem wyczerpany jak fundusze żaka, nie miałem broni i spieszyłem się, żeby uratować żonę - tak, tak właśnie już o niej myślałem! - i synka.

Ale pirat, zamiast mnie zaatakować, oddał mi niezbyt zręczny salut.

- Ostatecznie więc wygrałeś, Amerykaninie. Wysadziłeś w powietrze mnie i mój własny okręt. - Potrząsnął głową. - Cóż za diabelskie urządzenie wymyślili teraz wasi chrześcijańscy uczeni? Nie mogłem zrozumieć, czemu Aurora Somerset jest tobą tak zafascynowana, ale teraz wszystko stało się jasne. Ty rzeczywiście jesteś czarodziejem.

- Powiedziałem ci, żebyś się nie wdawał w wojnę ze Stanami Zjednoczonymi. - Rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym go zdzielić w łeb.

- Trzymaj! - Rzucił mi coś, co zdołałem chwycić jedną ręką. Był to pojedynkowy pistolet Cuviera. Dragut został ciśnięty w fale z pistoletami zatkniętymi za pas i teraz, wyciągnąwszy drugi, wymierzył go we mnie. Obu nas dzieliła długość bukszprytu.

Dwa kurki uderzyły w mokre panewki. Pistolety nie nadawały się do strzelania i Dragut spojrzał na mnie z krzywym uśmiechem.

- Jeszcze nas nie pobiliście. - Cisnął pistolet w fale morza, a ja uczyniłem to samo. Przepadła już cała broń, którą kupiliśmy w Wenecji. - Pomszczę mój okręt. Ale wygląda na to, że jeszcze nie dziś. - Wyciągnął rękę i wskazał mi coś w oddali. - Twój okręt jest bliżej niż flota tych tchórzy, moich ziomków.

Obejrzawszy się, ku mojej radości zobaczyłem Enterprise, który dziarsko halsował pod wiatr tuż poza rafami Trypolisu i ostrzeliwał fort swoimi lekkimi działkami. Poranna bryza żywo targała rozwiniętą banderą. Z kadłuba jednej z feluk, które wypłynęły, odpowiadając na wezwanie, trysnęła fontanna drzazg. Ugodzony okręt wraz z pozostałymi szybko wycofał się z walki.

- Wracajcie i walczcie, kretyni! - wrzasnął Dragut, zwracając się do swoich kompanów. Oni go jednak nie słyszeli, a zresztą i tak by nie zawrócili.

- Wygląda na to, że jeszcze wczesnym rankiem będziecie mieli amerykańską blokadę portu - stwierdziłem.

Dragut potrząsnął głową.

- Żegnaj, Ethanie Gage. Nie sędzę, żebym miał jeszcze okazję zaproponować ci rejs na pokładzie moich okrętów. - Po

tych słowach puścił belkę i jako ostatni ze swojej załogi znużony popłynął ku Trypolisowi i wycofującym się felukom.

Rad byłem, że odpływa. Był może narzędziem Aurory, ale nie był Aurorą.

- I cóż, Robercie, wygląda na to, że jak przepowiedział Pierre, zatopiłeś swoją łódź podwodną.

- Powinienem był cię ostrzec na samym początku - wyjaśnił Fultonowi mały Francuz. - Ethan Gage to chodzące nieszczęście i klęska żywiołowa. Musiałem pilnować osła, żeby swoją niezdarną stopą nie przebił dna mojego brzozowego kanoe. Albo na przykład, żeby nie dorzucił zielonego jeszcze drewna do ognia, albo mokrych kamieni do otaczającego ognisko kręgu. Potrafił też spartolić patroszenie albo otruć się jagodami.

- Mogę to sobie wyobrazić - odpowiedział wynalazca.

- Ale raz na jakiś czas potrafi dokonać cudu. Jak teraz.

- Ethanie, Nautilus się sprawdził - stwierdził Fulton ze znużeniem, ale i dumą w głosie. - Mogę wrócić do Paryża i oświadczyć Napoleonowi, że odniósł sukces. Zatopiliśmy dwa okręty.

- Nie, nie możesz. Napoleon nie pozwoli ci rzucić cienia podejrzenia, że Francja maczała palce w ataku na Trypolis, bo naraziłoby to na niebezpieczeństwo jego transport morski. I bez tego ma dość kłopotów. A zresztą twoja łódź podwodna przepadła. Nie masz niczego, co mogłoby poprzeć twoje twierdzenie.

- Mam was, jesteście naocznymi świadkami!

- Powiem, co widziałem, ale czy on zechce mi uwierzyć? Uwierzy Ethanowi Gage'owi?

Wynalazca zrobił minę człowieka, którego zawiodły wszystkie nadzieje.

- Dobrze, popłynemy za innymi i w kierunku Enterprise. Widzę, że nasi spuszcza już łodzie.

Gdy powoli płynęliśmy ku łodziom ratunkowym, Fulton poweselał, ukazując nam upór wszystkich wynalazców, którym się powiodło.

- Bardziej mu się spodoba mój pomysł parostatku - powiedział, kopiąc wodę stopami. - Jestem pewien, że kolejna demonstracja go oszołomi. A w przyszłości morza będą przemierzały całe floty łodzi podwodnych.

- Robercie, trzymaj się swoich panoramicznych obrazów. Ludzie lubią oglądać miejsca, których nigdy nie widzieli.

ROZDZIAŁ 41

Piraci mieli już dość kłopotów na cały dzień, więc nie podjęli pościgu za nami. My zaś nie dysponowaliśmy odpowiednią siłą ognia, żeby podjąć pojedynkę z armatami fortu w Trypolisie. Sterett wziął kurs na Malte i amerykańską eskadrę. Stamtąd moi towarzysze mieli odpłynąć na pokładach różnych okrętów tam, dokąd zechcą.

Okazało się, że Fulton, przemyślawszy sprawę, potraktował moje oświadczenie o konieczności zniszczenia Nautilusa znacznie bardziej przychylnie, niż się spodziewałem. Liczył na to, że doświadczenia zgromadzone podczas eksperymentalnego rejsu pierwszej łodzi pozwolą mu na skonstruowanie drugiej, zabrał się nawet do kreślenia planów.

- Wyobraź sobie dwunastu ludzi kręcących korbą albo lepiej, parowy silnik pracujący pod wodą! Wyobraź sobie życie pod powierzchnią mórz!

- Nie byłoby tam ciemno i mokro?

- Wyobraź sobie unoszenie się nad kanionami głębin i pływanie z ogromnymi rybami! Uśmiechnąłem się pobłaźliwie.

- A czy ktoś uwierzy, że pięciu mężczyzn... i tylko dwu z nich to Amerykanie... przeprowadziło zwyciężony sukcesem atak na Trypolis?

- Oczywiście, że uwierzą! Sam im to powiem! Możemy pokazać, mamy... - Rozejrzał się dookoła, jakby w poszukiwaniu dowodów.

- Nie mamy zdobyczej broni, jeńców ani łupów - stwierdziłem. - Powinieneś wiedzieć, że ludzie tacy jak Bonaparte słyszeli wiele opowieści z ust szukających ich poparcia i nauczyli się nieufności.

- Ty mnie poprzecz, Gage! Zostaniemy współnikami i zgarniemy ogromne przyzwoce z zatopionych okrętów!

- Robercie, świat zażywa dobrodziejstw pokoju. Spójrz na Anglika Smitha i Francuza Cuviera, którzy jak starzy przyjaciele rozmawiają o kościach i skałach. Czemu Napoleon miałby ponownie wszczynać wojnę z Anglią?

- No to zbudujemy parowiec. Musisz użyć tego swojego daru przekonywania, Ethanie.

- Powiedziałem w Paryżu Madame Marguerite, że zamierzam napisać książkę.

- To napisz o naszej przygodzie!

- Może napiszę. I w większości będzie to prawda. Odwiedziłem Cuviera.

- I czym się teraz zajmiesz, Georges?

- Wymarłymi zwierzętami, to lepsze niż żywi piraci. Badanie Morza Śródziemnego było piękną przygodą, ale myślę, że jak na razie dość mam wakacji i wolę spokojne kości. Jestem uczonym i mam zaprojektować reformę systemu edukacji. Są jeszcze te piękne teorie na temat początków życia na Ziemi! Na Terze odkryliśmy czas, ogromne, niezgłębione pokłady czasu. I te wspaniałe pokoje po obu stronach tunelu! Czy to była sama Atlantyda, czy tylko jakaś jej kolonia? Kto pierwszy wynalazł zwierciadło? Może pierwotny pomysł należałoby przypisać naszym tajemniczym przodkom, jak twój Thor czy Toth? Będę musiał przejrzeć starożytne zapiski. Dałeś mi nowego konika na kilka kolejnych lat.

- Miło mi. A co z tobą, Williamie?

- Myślę, że zobaczyłem dostatecznie wiele, i powinienem wrócić do kontynuowania geologicznego opisu Anglii. Skały nie odpowiadają strzałami. Taka praca pomoże innym pomyśleć o tajemnicach, jakie kryją się pod ziemią. Naukowi luminarze mnie zignorowali, Ethanie, ale nasza mała przygoda dała mi pewność siebie i wiarę we własne siły. Kiedy widzę, że nawet Ethan Gage może ostatecznie zwyciężyć, myślę, że i ja potrafię to samo!

- Williamie, nie pozwól snobom się oneśmielać. Oni wiedzą, że jesteś od nich bardziej bystry, i dlatego się ciebie boją.

- Zamierzam ich pokonać - obiecał. - Nakreślę mapę całej Ziemi i zmuszę ich, żeby mnie zaprosili do swojego towarzystwa.

Pierre stwierdził, że tęskni za Kanadą.

- W Afryce jest zbyt mało drzew, a we Francji zbyt wielu ludzi. Doszedłem do wniosku, że chcę jeszcze zobaczyć trochę krain Północy, zanim się zestarzeję, Ethanie. Zamierzam o wiosłach dotrzeć do Pacyfiku.

- Spotkałem pewnego człowieka nazwiskiem Clark, który pragnie dokonać tego samego. On zaprzyjaźnił się z Lewisem, sekretarzem Jeffersona, którego ten chce wysłać w taką podróż.

- Cóż, może więc popłynę z nimi.

A ja sam? Wciąż jeszcze miałem przed sobą namówienie Napoleona do sprzedaży Luizjany. Poza tym drobnostki: była jeszcze kobieta, którą kochałem, chłopiec, którego chciałem wychować, i życie, z którym wciąż jeszcze nie bardzo wiedziałem, co zrobić. Tak więc, gdy płynęliśmy ku Malcie, odszukałem ukochaną na dziobie szkunera i usiedliśmy obok działa, patrząc na roztańczone fale.

- Czy wiesz, że na pokładzie pirackiego statku zostałem niemal zmuszony do poślubienia Aurory Somerset? - zwróciłem się do Astizy.

- Niemal?

- Ceremonię przerwały armatnie kule Steretta. Jak się okazuje, i tak nie miałyby to znaczenia, ponieważ teraz zostałem wdowcem. Aurora byłaby martwa, ty żywa, a mały Harry nadal pozostałby nikim. Zabawne, jaki obrót przybierają niekiedy nasze sprawy.

- On ma na imię Horus. I nie jest nikim, Ethanie.

- On jest naszym wspólnym dziełem, prawda? - Powoływanie się na ten fakt było z mojej strony lekką przesadą, ale na duszę Patricka Henry'ego, nie mogłem powstrzymać uczucia dumy. Charakterek mojego synka sprawiał, że bycie ojcem zaczynało mi się podobać. Mogło się okazać, że Harry jest moim najważniejszym życiowym dokonaniem. - Astizo, myślę o tym, żeby się ustatkować. Chcę znaleźć takie miejsce, gdzie nigdy nic się nie wydarzy, i zamieszkać tam razem z tobą.

- Nigdy nic się nie wydarzy? I jak długo to potrwa, Ethanie?

- Możesz uczyć Harry'ego o gwiazdach i bogach, a ja się postaram o nową rusznicę i nauczę go strzelać. Możemy zamieszkać na jakiejś wyspie i niech świat idzie swoją drogą, a my będziemy się temu przyglądać ze swojej plaży. Czy to nie byłoby piękne? Splotę nam hamaki, spiszę historię dla Harry'ego i nigdy już nie dam się wplątać w żadne sprawy Napoleona. Zostaniesz ze mną?

Udało mi się wywołać na jej wargach cień uśmiechu.

- Wygląda na to, że takie są właśnie zamiary losu wobec nas. Zawsze razem i żadnych zmarszczek na fali naszego życia. - Zabrzmiało to nieco sceptycznie, ale gdy ujawniam swoje plany, kobiety zwykle przemawiają takim właśnie tonem.

- Tak! - Pocałowałem ją, mając po temu pierwszą okazję po trzech latach, i nie bez ulgi stwierdziłem, że Astiza nie zapomniała, jak to się robi. Odchyliłem się, wystawiając twarz na podmuchy wiatru i promienie śródziemnomorskiego słońca. - I pomyśleć, że zostanę właścicielem ziemskim i dżentelmenem. Oczywiście nie wiem nic o uprawie ziemi! I nie lubię się grzebać w brudzie. Zostanę więc może filozofem. Albo dowiemy się czegoś o jakimś skarbie, którego odszukanie i wydobywanie nie będzie wymagało aż tak

wielkiego wysiłku. Przypuszczam, że do tej pory nie pokazałem się synkowi z najlepszej strony, więc będę potrzebował trochę czasu na zabawy z nim. I oczywiście będę go uczył. Mogę mu przekazać wiele mądrych rzeczy.

- Zaczynam mu już współczuć. A jak zamierzasz zapewnić nam utrzymanie w tym wymarzonym świecie?

- Och, prawie byłbym zapomniał. Gdy ty powodowana zmysłem praktycznym zabierałaś z tronowej sali Jussufa tę tarczę, ja wziąłem coś bardziej frywolnego z klatki lamparta. - Sięgnąwszy do kieszeni, wyciągnąłem mój łup. Był nim szmaragd z turbanu baszy. - To powinno nam zapewnić dobry początek. A naszemu synkowi jakąś porządną szkołę w przyszłości.

- Ethanie! Ty naprawdę coś zyskałeś!

- Teraz mam rodzinę, o którą muszę jakoś zadbać. - A przy okazji, gdzie jest Horus?

- No, jest... Myślałem, że z tobą. Nie pilnowałaś go?

- A ja myślałam, że jest z tobą!

Spojrzeliliśmy na siebie z konsternacją w oczach. Strzelaniny, wybuchy, drapieżne zwierzęta, desperackie walki, tonące łodzie podwodne - byliśmy okropnymi rodzicami.

A teraz zgubiliśmy nasze dziecko na dwudziestopięciometrowej długości szkunerze.

- Harry?

Z coraz większym niepokojem zaczęliśmy przeszukiwać pokład. Chłopczyk mógł wypaść za burtę! Wysadziliśmy w powietrze połowę Trypolisu, wymyśliliśmy nowy sposób prowadzenia wojen i zgubiliśmy synka na naszym własnym szkunerze. „Gdy brak zdrowego rozsądku, brak też wszystkiego innego”, ostrzegał stary Ben i zawsze przy tym szczególnie intensywnie patrzył na mnie.

Wreszcie wszystko sobie przypomniałem i ująłem ukochaną pod rękę.

- Gdybym zapomniał, przypomnij Sterettowi, żeby dał nam ślub - powiedziałem jej. - Ostatecznie jest kapitanem okrętu. Znaczy, jeżeli mnie zechcesz.

Serce waliło mi jak młotem. Franklin powiadał, że przed ślubem trzeba mieć oczy szeroko otwarte, a potem jak najczęściej je przymykać.

- Oczywiście, że za ciebie wyjdę! Nie mogę się od ciebie uwolnić! Ale co z Horusem?

- Wiem, gdzie jest. Tam, gdzie kazałem mu się schować. Chodź ze mną pod pokład.

I rzeczywiście, znaleźliśmy chłopca w schowku na żagle, zwiniętego w kłębek i pogrążonego we śnie. Wyglądał jak aniołek, ale gdy na niego patrzyliśmy, ocknął się niemrawo i spojrzał na mnie sennymi oczkami.

- Tatusiu, jestem głodny.

Ułożył się do snu w jedynym miejscu, które mu wskazałem jako bezpieczne.

NOTKA HISTORYCZNA

Amerykański konflikt z państwami Berberii nabrzmiewał od roku 1784, kiedy młody naród po uzyskaniu niepodległości stracił ochronę brytyjskiej floty wojennej. Trwało to do roku 1815, w którym Stany Zjednoczone wysłały wojenne eskadry przeciwko Algierowi. Kolejną karną ekspedycję podjęli Brytyjczycy w roku 1816, a Francuzi podbili Algier w roku 1830, zapoczątkowując kolonizację Afryki Północnej, co raz na zawsze położyło kres berberyjskiemu piractwu.

Amerykańska wojna z położonym w obecnej Libii Trypolisem, którą uwieczniły słowa hymnu Korpusu Piechoty Morskiej USA Ku brzegom Trypolisu, trwała w latach 1801 - 1805 i po obu stronach znaczyły ją zwycięstwa i porażki. Zakończyło ją zajęcie miasta Derna, a powstańców wspierali amerykańscy marines. W zamian za okup w wysokości 60 000 dolarów pasza Jussuf Karamanli zgodził się uwolnić amerykańskich więźniów i zaprzestać ataków na statki płynące pod amerykańską flagą. Zwycięstwo było pyrrusowe, ale jednak zaznaczyło powstanie nowej siły na morzach - amerykańskiej marynarki wojennej.

A co powiedzieć o zuchwałym, wyprzedzającym swoje czasy rajdzie łodzi podwodnej w 1802 roku, w którym wzięli udział amerykański awanturnik Ethan Gage i trzech sławni naukowcy, o czym nie wspominają raczej poważne konwencjonalne podręczniki historii?

Wiemy, że Georges Cuvier był jednym z najsławniejszych zoologów i paleontologów swoich czasów. William Smith stał się ojcem angielskiej geologii, którego wysiłki doceniono dopiero pod koniec jego życia. Robert Fulton był niezmordowanym wynalazcą pracującym na rzecz Francji i Anglii. Ostatecznie wrócił do ojczyzny i w roku 1807 spuścił na wody Hudsonu pierwszy parowiec (nazywał się Clermont).

Zbudowana przez niego łódź podwodna Nautilus wyprzedzała swoje czasy o niemal sto lat.

Fulton przybył do Francji, licząc na to, że rewolucyjny rząd może być otwarty na nowe wynalazki, które wyrównałyby szanse francuskiej floty w starciu z Brytyjczykami. Amerykański wynalazca David Bushnell zbudował znacznie prymitywniejszy aparat, któremu nadał nazwą Turtle („Żółw”), i bez powodzenia usiłował zatapiać brytyjskie okręty wojenne podczas wojny rewolucyjnej. Fulton udoskonalił koncepcję Bushnella po opublikowaniu planów Turtle w 1795 roku i zademonstrował łódź podwodną (albo „łódź zanurzalną”) Francuzom 13 grudnia 1797 roku. W tej powieści opisałem ostateczny projekt tego aparatu.

Koncepcja ta pozostawała w zawieszeniu aż do przejęcia w listopadzie 1799 roku we Francji władzy przez Napoleona. Mając jego wstępne poparcie, wiosną roku 1800 Fulton zbudował działającą łódź podwodną, mającą w przybliżeniu sześć metrów długości i niespełna dwa metry szerokości. Spuszczono ją na wodę 24 lipca, a pięć dni później zaczęto próby w ujściu Sekwany. Kolejne eksperymenty przeprowadził Fulton w Hawrze, gdzie udało mu się wysadzić w powietrze beczkę. Następnie dwakroć podjął próbę podejścia pod stojące na kotwicy brytyjskie okręty wojenne, Anglicy jednak wiedzieli o przeprowadzanych przez niego doświadczeniach i czy to przypadkiem, czy wskutek alarmu odpłynęli, zanim zdążył do nich podpłynąć. Eksperymenty zakończono w Breście latem roku 1801. Nautilus zanurzył się tam na głębokość siedmiu i pół metra i pozostawał pod wodą przez trzy godziny, przepływając mniej więcej połowę mili. Pływał także po powierzchni, korzystając z żagla.

Niestety, pechem Fultona stała się zmiana na stanowisku ministra marynarki wojennej - nowy sprzeciwił się temu sekretnemu sposobowi prowadzenia wojen i rząd francuski

wycofał poparcie dla projektu. Historyczne zapiski mówią, że Fulton polecił Francuzom zniszczyć Nautilusa, żeby zapobiec skopiowaniu pomysłu, Ethan Gage sugeruje jednak, że resztki aparatu mogą spoczywać na dnie portu w Trypolisie.

W sierpniu 1803 roku Fulton przedstawił jeszcze Napoleonowi na Sekwanie projekt parowca, ale potem, rozczarowany brakiem poparcia we Francji, udał się do Anglii, żeby przedstawić Brytyjczykom plany łodzi podwodnej i torped, które pomogłyby odeprzeć francuską flotę inwazyjną.

Równie rewolucyjnym pomysłem było zwierciadło lub promienie śmierci wielkiego greckiego matematyka Archimedesesa. Syrakuzy, grecka kolonia założona na Sycylii w roku 743 p.n.e., stały się jednym z największych miast starożytnego świata i w końcu zostały wplątane w wojny pomiędzy Rzymem i Kartaginą. W roku 212 przed Chrystusem zdobyli je i splądrowali Rzymianie. Wbrew rozkazom rzymskiego wodza Marcellusa Archimedes został zabity przez legionistę, który nie poznał sławnego matematyka.

Legendy podają, że Archimedes do obrony swojego miasta wymyślił groźne maszyny wojenne. Były wśród nich ulepszona katapulta, gigantyczne mechaniczne kleszcze do miażdżenia rzymskich galer i zwierciadło, za pomocą którego je podpalano.

Pierwszą biografię Archimedesesa, która przetrwała do naszych czasów, napisał Polibiusz siedemnaście lat po śmierci wynalazcy. Nie wspomina w niej o zwierciadle. Ale żyjący w drugim stuleciu po Chrystusie historyk Lukian napisał, że Grecy odpierali ataki Rzymian za pomocą podpalającego wszystko szkła czy zwierciadła. Późniejsi historycy powtarzali tę historię, która od tamtych czasów rozpaliała wyobraźnię czytelników.

Współczesne próby odtworzenia oręża Archimedesesa zwińczył eksperyment ateński w roku 1973. Korzystając z zestawu siedemdziesięciu zwierciadeł, podpalono stos sklejki. W roku 2005 studenci Massachusetts Institute of Technology podpalili nieruchomy cel, ale podjęta przez nich ponowna próba odtworzenia eksperymentu dla telewizyjnego programu Mythbusters zakończyła się niepowodzeniem. Czy geniusz klasy Archimedesesa mógł mieć lepsze wyniki? Czy amerykański śmiałek i renegat pomógł ponownie odkryć to urządzenie w roku 1802? Domysły zostawiamy czytelnikom.

W obecnych czasach niewątpliwie gromadzimy coraz więcej dowodów na to, że świat starożytny był technologicznie bardziej zaawansowany, niż myśleliśmy do niedawna. W zapiskach Cycerona znajdujemy wzmiankę o tym, że Archimedes wykonał pełne rozmaitych trybów urządzenie do imitacji ruchów ciał niebieskich, a w 1900 roku podobne urządzenie odkryli greccy poławiacze gąbek. Nazwany „komputerem z Antykityry” aparat można podziwiać na wystawie w Atenach; przy jego pomocy da się obliczać ruchy Słońca, Księżyca i gwiazd.

Pomysł „miotacza ognia” Fultona poprzedza wcześniejszy, datowany na 674 rok wynalazek „ognia greckiego”, za pomocą którego Bizantyjczycy podpalali okręty arabskie.

Francuska legenda o Czerwonym Gnomie jest prawdziwa i została odnotowana w niektórych biografjach Bonapartego. Jest także prawdą to, że Napoleon lubił strzelać do łabędzi Józefiny.

Palais Royal był ówczesnym Las Vegas, a opisy ruin, pieczar i świątyń Syrakuz w większości są prawdziwe.

Ioannis Kapochistrias, grecki patriota, z którym Ethan Gage spotkał się na Terze, stał się ojcem ruchu niepodległościowego Greków przeciwko Turkom. Innymi historycznymi postaciami z powieści są Józef Fouche,

amerykański porucznik marynarki wojennej Andrew Sterett i basza Jussuf Karamanli.

Ogromny jaszczur ze statku Aurory to sławny smok z indonezyjskiej wyspy Komodo. Zachodni naukowcy odkryli go dopiero w roku 1910, ale te zwierzęta od dawna znane były mieszkańcom archipelagu. Zapiski historyczne świadczą o tym, że Jussuf Karamanli trzymał w pałacowych klatkach lwy i inne drapieżniki.

Loża rytu egipskiego była prawdziwym skupiskiem odstępców od wolnomularstwa, zapoczątkowanym przez oszusta i wydrwigrosza Cagliostro w roku 1777. Wpływy, ambicje i trwałość jej istnienia są w moich powieściach literacką fikcją.

Wyspa Tera jest dziś lepiej znana pod nazwą Santoryn; to krawędź krateru zatopionego podmorskiego wulkanu. Około roku 1640 przed Chrystusem wyspa wyleciała w powietrze w wyniku eksplozji tak gwałtownej i potężnej, że wywołane przez nią fale tsunami położyły kres minojskiej cywilizacji na Krecie. Niektórzy naukowcy wierzą, że platoński mit o Atlantydzie odzwierciedla prawdziwą katastrofę Tery. W pobliżu Akrotiri odkryto minojskie ruiny, a niektóre z opisanych w powieści fresków można podziwiać w tamtejszym muzeum.

Czy naprawdę istniało Og, tajemniczy przodkowie i starożytna broń? Historia jest taka, jaka jest, a oddzielenie faktów od mitów zajmie setki lat historykom i archeologom. Wiemy tylko tyle, że legendy uznawane w przeszłości za absolutne wymysły, takie jak Atlantyda, wydają się dziś oparte na geologicznych świadectwach - i że im więcej się dowiadujemy o starożytnych, tym bardziej wydają nam się pomysłowić.

Napisanie tej książki umożliwiły prace licznych autorów niezajmujących się literackimi fikcjami, którzy pisali o życiu i

czasach wojen z Berberami, a także o historii Francji i Morza Śródziemnego. Książka była też wspaniałym pretekstem do wycieczek w tak cudowne miejsca, jak Santoryn czy Syrakuzy. Szczególne podziękowania należą się Huxley College i Nickowi oraz Cynthii Zaferatosom, którzy byli moimi przewodnikami po Grecji. Raz jeszcze chciałbym wyrazić uznanie zespołowi HarperCollins, który stanowią: mój redaktor Rakesh Satyal, wydawca Jonathan Burnham, pomocnik redaktora Rob Crawford, starszy redaktor David Koral, specjalistka od reklamy Heather Drucker, od marketingu Kyle Hansen, agent odpowiedzialny za prawa do wydań zagranicznych Sandy Hodgman, a także projektanci, adiustatorzy, korektorzy i handlowcy; zespół wydawniczy każdej powieści. Mój agent Andrew Stuart bardzo sprawnie prowadzi moje interesy. I jak zawsze dziękuję mojej żonie Holly, za to, że jest niezawodną towarzyszką podróży, pierwszą niezbędnie sceptyczną czytelniczką i muzą.

Trwaj, przygodo!